

ŽAMBOCH

MIROSLAV

KONIASZ

WILK SAMOTNIK TOM II

Koniáš Vlk Samotář

PRZEŁOŻYŁ

Andrzej Kossakowski

fabryka słów

Lublin 2010



SPIS RZECZY

Spis rzeczy	2
Przelotny kontakt	4
Kobiety pośród nocy	9
Ziemia niczyja.....	15
Pięknym za nadobne	27
Pokarm dla stali.....	33
Umieranie w ciszy.....	39
Węzły losu	44
Wskoczyć w nowe buty	52
Duel – pierwsza rozgrywka	59
Cytadela	64
Duel – druga rozgrywka.....	80
Palenie mostów	93
Żywcem pogrzebani.....	98
Niebezpieczna audycja.....	107
Dylemat przywódcy	118
Powrót czarodzieja.....	126
W imieniu cesarza.....	143
Droga do zapomnienia	150
Jestem Lakel Lumbi.....	156
Polowanie trwa.....	163
Żywy lub martwy	169
Wilk na łowach	181
Maszynka do mięsa.....	184
Zły człowiek.....	189
Exodus.....	203
Ninja.....	209
A z nieba pryskała krew	214
Polowanie.....	224

Butwienie, zgnilizna i smród	230
Sens życia.....	236
Ponure żniwo	239
Wielki mistrz.....	242
Epilog.....	245

PRZELOTNY KONTAKT

Bamegi ukrywał przed ludźmi swój zły humor. Varatchi okazał niezadowolenie z postępu poszukiwań i po raz pierwszy sięgnął po swój własny plan. Dysponując, informacją, że Koniasz wyruszy z Krachtiburga z kupiecką karawaną, rozkazał, żeby zlikwidować wszystkie grupy kupców, jakie następnego dnia ruszą w kierunku bagien. Ninja uważał, że takie rozwiązanie nie jest dobre. Zbyt brutalne i bardzo trudne w realizacji ze względu na siły, jakie miał do dyspozycji. Nie mógł tego użyć jako argumentu, gdyż Ferusi nigdy nie mówił swemu zwierzchnikowi, jak niewielu ludzi realizuje jego rozkazy. Wynikało to z siły wojowników ninja, a teraz, niestety, obracało się przeciw Bamegiemu. Gdyby mógł ściągnąć ludzi z Malanska, dysponowałby osiemnastoma, a właściwie już tylko piętnastoma żołnierzami. Jeśli miał starannie wykonać zadanie, tak żeby nikt nie uciekł, potrzebował co najmniej dwukrotnej przewagi liczebnej. Tego nauczyło go doświadczenie.

W ostatniej chwili powstrzymał się przed nerwowym zabębnieniem palcami o stół. Nikt nie powinien wiedzieć, że sprawy idą nie po jego myśli. Popatrzył surowo na znajome twarze. Nie wiedzieli o jego rozterkach, co było dobre, bo to on dowodził, on był odpowiedzialny za sukces. Brak sukcesu... Tego nie tolerowano.

Wszystko się skomplikowało z powodu poprzednich, chaotycznych, a przez to bardzo szkodliwych akcji Konwentu, zaś teraz znów z powodu aktywności straży miejskiej. Czuł się z tego powodu coraz gorzej. A do tego jeszcze Varatchi zażądał, żeby zajął się masakrą, jaką ludzie Konwentu odkryli na jednej z farm. Miasto miało status niezawisłego i Varatchi nie mógł prowadzić oficjalnego śledztwa własnymi siłami. Drugi co do ważności człowiek w cesarstwie oczywiście był w stanie pociągać za sznurki i zmusić władze miasta do działań zgodnych z jego życzeniem, ale trudno byłoby wówczas ukryć posiadane informacje. Ujawnienia ich Varatchi z jakiegoś powodu chciał uniknąć za wszelką cenę. Bamegi dobrze wiedział, że dyskrecja i profesjonalne działanie stanowią podstawę wysokiej wartości klanu ninja. Oddział tysiąca żołnierzy też w wielu przypadkach podołałby zadaniu... ale z dużo większym rwetesem i późniejszymi komplikacjami dyplomatycznymi.

Zadanie było trudne, a osób do jego wykonania niewiele, miał jednak nadzieję, że dzisiejszej nocy odkryje chociaż część kart należących do nieznanymi przeciwników. Chciał się dowiedzieć, kim są ludzie z karawany zorganizowanej na sposób wojskowy. I jaki mają

ładunek. Udało mu się podsłuchać, że nie szykują się do odjazdu jutro rano, ale zdecydowani są obozować w mieście jeszcze dzień czy dwa. Gdyby miał paru wojowników więcej, mógłby ich nadal śledzić.

Na nocny wypad wziął ze sobą Gaspru i trójkę z drugiego zespołu. Współpracował już wcześniej tylko z Valitem, ale można było polegać i na nim, i na jego wyborze pozostałej dwójki.

*

Szli rozproszeni, chwilami nawet nie tymi samymi ulicami, ale utrzymywali dystans pozwalający się wzajemnie słyszeć. Wszyscy dobrze znali miasto i znali swój cel. Bamegi z zadowoleniem stwierdził, że chociaż jego ludzie są blisko, to ma problem z ich usłyszeniem i zauważeniem. I tak powinno być.

Doszedł do szeregu domów ogrodzonych drewnianymi płotami, za którymi znajdował się obóz kupców. Z łatwością przeskoczył przez parkan, kucnął i czekał. W tym ogrodzie psa nie trzymano, stwierdził to już za dnia. W innych były, ale dało się słyszeć tylko zduszone szczeknięcie i krótki skowyt. Po problemie. Bamegi chciał się zorientować w terenie przed atakiem. Okrążył dom, dochodząc do ściany zwróconej ku obozowi. Nie znalazł drzewa, na które mógłby się wspiąć, zawrócił więc w stronę domu, wsunął czubek buta w szparę między dwiema belkami, oparł rękę o szorstkie drewno i przeniósł ciężar ciała na nogę. Szło mu nieźle, powierzchnia dawała wystarczającą ilość punktów podparcia, łatwo mógł się wspiąć. Na dach nie wchodził, z doświadczenia wiedział, że na zwykłych domach nie są one zbyt mocne. Trzymał się górnych krawędzi belek nośnych i wychylał w stronę wozów, usiłując dostrzec jakieś szczegóły. Zdołał to zrobić, kiedy zasłonił ręką oczy przed światłem księżyca. Trzy wozy stały tam, gdzie poprzednio, tylko teraz tworzyły trójkąt. Między nimi znajdowała się jaśniejsza plama, powiew wiatru spowodował, że pojawiły się na niej czerwone iskry. Zagaszone ognisko. Już dostrzegł strażnika – stał w luce między wozami, przodem do wolnej przestrzeni. Zdradził go połysk metalu pod szyją, w miejscu, gdzie pozornie cywilna odzież nie zakrywała zbroi.

W ogrodzie krótko odezwał się świerszcz. Bamegi wydobył piszczałkę noszoną na sznureczku pod ubraniem i odpowiedział wysokim piskiem nietoperza. W ten sposób potwierdził, że on też odkrył tylko jednego strażnika.

Zaczął złazić ze ściany. Zgodnie z planem to Gaspru powinien zabić strażnika i przetrząsnąć wozy. Bamegi chciał obejrzeć obóz z zewnątrz, a do środka wejść tylko w razie pojawienia się jakiegoś nieoczekiwanego szczęśliwego zbiegu okoliczności. Valit z

pozostałymi obserwował okolicę i zabezpieczał ewentualny odwrót.

Dotarłszy na ziemię, przeskoczył płot i wyczekiwał przykucnięty z głową opuszczoną w dół. Tylko z ukosa obserwował okolicę.

Strażnik już nie stał, ale pomału obchodził zewnętrzną linię wozów, drobne kamyczki chrzęściły pod jego butami. Czy Gaspru zauważył, że strażnik ma broń? Bamegi dla pewności ujął broń, podobną do małego sztyletu, z ostrzem nie dłuższym niż szerokość dłoni. Strażnik przeszedł obok luki między wozami, zaledwie parę kroków od Bamegiego. Nigdzie nie było widać Gaspru. Jednak nagle na tle jaśniejszej płachty wozu pojawił się cień, przy gwałtownym ruchu zachrząściła kolczuga, głuchy odgłos uderzenia i ninja ostrożnie położył na ziemi bezwładne ciało.

Bamegi opuścił swoje miejsce, wymienił krótkie spojrzenie z Gaspru i zaczął obchód zamiast strażnika. Nie domyślał się, jak drugi ninja zabił strażnika, nie było zapachu krwi, więc prawdopodobnie zrobił to bez użycia broni.

Pokonał pierwszy krąg, wiedząc, że Gaspru będzie potrzebował czasu, żeby obejrzeć obóz w środku. Noc była spokojna, nikt ze śpiących w wozach podróżnych nie podejrzewał, że przybyli goście. Podczas drugiego okrążenia Bamegiego coś zaniepokoiło, nie wiadomo czemu, i przez pewien czas podejrzliwie spoglądał w ciemność między dwoma wozami. Taka akcja targa nerwy każdemu człowiekowi, nawet bardzo doświadczonemu, uspokajał sam siebie. Odwrócił się szybko i znalazł się twarzą w twarz z ciemną sylwetką wychodzącą z cienia. Nieprzyjaciel zaatakował pchnięciem, Bamegi odskoczył przewidująco i tylko dlatego zdołał się uratować przed ciosem drugiego miecza, który nieznajomy trzymał jako lewak.

– Nieprzyjaciel! – krzyknął Bamegi.

Zrobił wypad z mieczem w jednej, a sztyletem w drugiej ręce, podwójne brzęknięcie stali podkreśliło wagę ostrzeżenia.

– Cholera! Alarm! Atakują obóz! – zmałował spokój nocy głos kogoś wyrwanego gwałtownie ze snu.

Bamegi przerwał kontakt z przeciwnikiem, żeby zorientować się w sytuacji. Spostrzegł dwóch swoich ludzi nadbiegających z ciemności, żeby zabezpieczyć ucieczkę, dokładnie według planu. Jednak zanim rzucił się znowu do walki, jego przeciwnik zniknął między wozami, równocześnie zadźwięczała broń i ktoś jęknął.

– Tu jest ich więcej! – rozległ się okrzyk.

To nie była prawda, Gaspru został sam wewnątrz trójkąta wozów. Bamegi przecisnął się między wozami; właśnie zapaliła się pierwsza pochodnia. Spostrzegł Gaspru, jak ciskał bezwładną postacią w dwóch zaspanych mężczyzn z mieczami. Wysoki nieznajomy, z którym

Bamegi startł się przed chwilą, obalił na ziemię jednego z zaspanych mężczyzn i pognął wzdłuż wozów, łomocząc w nie i budząc ludzi śpiących wewnątrz.

Budzi ich, zrozumiał Bamegi. Żeby nam narobić kłopotów. Ruszył za nim, ale drogę zastąpił mu chłop wynurzający się jakimś cudownym sposobem spod jednego z wozów. Ninja szczęśliwie odbił sztyletem pchnięcie w pachwinę, biegnąc szybko, zostawił za sobą miecz przeciwnika, uderzył go rękojeścią w twarz i ciął w plecy mężczyznę, który zaatakował Gaspru.

– Wycofujemy się! – krzyknął Bamegi, żeby było jasne, iż o żadnej walce z przeważającymi siłami nie ma mowy.

Gaspru usłyszał, w ogólnym zamieszaniu zdołał odbić cięcie w ramię i uderzył przeciwnika drugą ręką w pierś. Mężczyzna upadł, a Bamegi zdołał zadać pchnięcie drugiemu z nieprzyjaciół. Trafił w rękę, którą tamten się zasłaniał, ale to wystarczyło.

W ten sposób zyskali czas i wolną przestrzeń do ucieczki. Bamegi przeskoczył między wozami, a Gaspru uciekł długim szczupakiem pod jednym z nich. Spostreegli szczupłą wysoką sylwetkę odskakującą przed wypadem jakiegoś ninja i natychmiast atakującą pchnięciem. Właściwie Bamegi nie widział tej akcji, usłyszał tylko, jak jego człowiek głośno westchnął i zwałił się na ziemię.

To ten żebrak, uświadomił sobie. Poznał go po sposobie, w jaki trzymał głowę w momencie, kiedy obejrzał się, aby skontrolować sytuację za sobą. Może spoglądał na obóz, a może odgadł zamiar Bamegiego i został na miejscu, żeby wesprzeć obrońców i przysporzyć napastnikom jak największych strat. Chłodna kalkulacja... Bamegi pochylił się, żeby ruszyć na niego.

– Strzelajcie! Wystrzelajcie ich wszystkich! – zatrzymał go pełen wściekłości głos i widok dwóch mężczyzn nakładających strzały na cięciwy przygotowanych już łuków.

Inny zapalał właśnie pochodnię, której blask przesunął bezpieczną strefę ciemności tak daleko, że ninja nie mieli szans na dobiegnięcie tam na czas. Bamegi jednym płynnym ruchem wyrwał z pochwy na ramieniu trójgraniasty nóż do rzucania i cisnął go płaskim torem. Obracające się ostrze stworzyło wrażenie migoczącego dysku metalowego. Nóż ominął szyję mężczyzny i trafił w pochodnię. Płomień się rozproszył, blask zamigotał i przygasł, ciemność skoczyła do przodu w chwili, gdy zadźwięczały cięciwy łuków.

Bamegi słyszał przed sobą biegnącego Gaspru.

– Kiedy się ich pozbędziemy, wrócimy po ciało – syknął.

Nie chciał zostawiać śladu, po którym mogli ich wysledzić. Nieco dalej ktoś krzyknął boleśnie, klinga związała się z klingą, ale pojedynek skończył się szybciej, niż zaczął. Bamegi

miął nadzieję, że zwyciężył jego człowiek – w końcu ciemność była ich żywiołem. Namacał ciało, drugi ninja pomógł mu zarzucić je na plecy i zanim zapalono kolejną pochodnię, zniknęli w głębi ulicy.

KOBIETY POŚRÓD NOCY

Fresz wiedziała, że noc nie jest właściwą dla niej porą i nie powinna włączyć się po ulicach, lecz tym razem naruszyła żelazną zasadę i to się opłacało. Pracowała bardzo ostrożnie, wiedziała, że nie umie się bronić jak inni złodzieje, a przed mężczyzną w dobrej formie po prostu nie zdoła uciec. Jednak sytuacja była dla niej dziś niezwykle korzystna. Ludzie radośnie świętowali odwołanie nakazanych przez Konwent ograniczeń i zachowywali się nadzwyczaj beztrusko. Dlatego udało się jej okraść więcej pijaków niż kiedy indziej przez cały tydzień. A zdobycz sięgała wysokości miesięcznego łupu. Teraz już pomału rozwidniało się, ruch uliczny zamierał, wstawał poranek. Była zmęczona, jednak było to jakieś beztruskie zmęczenie. Zbliżała się zima, lecz miała tyle oszczędności, że mogła pozwolić sobie codziennie na porządną porcję jedzenia i pokoik w którejś z tanich noclegowni. Nie łóżko, ale pokoik. Była to wielka zmiana na lepsze.

Szła do swego ulubionego noclegowiska, z którym będzie musiała wkrótce się pożegnać ze względu na coraz gorszą pogodę. Sądząc po różnych oznakach – na przykład lodowatych powiewach wiatru, który w kamiennych murach miasta prawie mroził – uznała, że długie w tym roku babie lato definitywnie się skończyło. Już miała skręcić z głównej ulicy, gdy spostrzegła przed sobą starego znajomego: wysokiego mężczyznę, którego okradła z całych jedenastu złotych i siedmiu srebrnych. Tych złotych jeszcze nawet nie rozmieniła, bo nie były jej potrzebne. Może zrobi z nich później jakiś użytek. Nie wiedziała jaki – tak daleko jej wyobraźnia nie sięgała.

Jednak gdy próbowała okraść go po raz drugi, złapał ją. Ale to było przy świetle dziennym, a nie w ciągle jeszcze gęstej ciemności odchodzącej nocy. Obserwowała go przez chwilę. Sprawiał wrażenie zmęczonego i spoglądał gdzieś w bok. Może był pijany. Tak, zdecydowała, może się uda jeszcze jeden majstersztyk, jeszcze jedna zyskowna robótka. Kolejne dziesięć złotych. To brzmiało upajająco. Zwolniła kroku, zbliżając się do niego wolniej i ciszej. Kieszeń czy opaska? Przedtem pieniądze miał w kieszeni. Jeszcze krok, w naturalny sposób zwolnić, mężczyzna nadal patrzył w bok na zbliżających się przechodniów.

Włożyła rękę do kieszeni płaszcza, nie poruszając najmniejszej fałdki materiału. Zanim zdążyła uchwycić namacaną sakiewkę, zacisnął się na jej nadgarstku stalowy chwyt.

Nie dopisało szczęście, pomyślała wystraszona. Mężczyzna odwrócił się do niej,

musiał pochylić głowę, żeby ją zobaczyć. Aż się zachwiała. To był ktoś całkiem inny. Wystraszyło ją nie tyle stwierdzenie tego faktu, ale jego oczy. Martwe i puste, z ostatnimi iskierkami poczytalności błyskającymi w mroku.

– Szukałem kogoś okazalszego, kto wymagałby więcej pracy. Ale mogę i z tym spróbować – powiedział bez związku.

Głos brzmiał jak zza grobu i mężczyźnie podobnie cuchnęło z ust. Zdecydowała się postawić wszystko na jedną kartę i wyrwać się nawet ze złamaną ręką. Trzasnęło. Zamiast palców ścisnęła jej nadgarstek metalowe kajdanki. Drugi koniec mężczyzna przypiął sobie do lewego przedramienia. Nigdy czegoś takiego nie widziała, słyszała jednak o tym. Używano takich rzeczy tylko na najniebezpieczniejszych przestępców. Zatrząskiwano się same, ale do ich otwarcia potrzebny był specjalny klucz.

– Jeśli będziesz krzyczeć, zabiję cię – powiedział mężczyzna bezbarwnym głosem i odwrócił się z powrotem ku przechodniom. Trwało to wszystko nie więcej niż trzy uderzenia serca.

Fresz wydawało się, że o niej zapomniał.

Jeden z przechodniów zatrzymał się po kilku krokach. Zrozumiała, że nie było to przygodne spotkanie, ale byli umówieni.

– Nie chcę rozmawiać przy świadku – wskazał na nią przybysz.

Był dobrze ubrany, musiał być bardzo bogaty, co zaraz poznała, choć starał się tego nie ujawniać.

– Przy świadku? – nie rozumiał jej prześladowca.

– Mam na myśli dziewczynę.

– Ach, tak – mruknął mężczyzna. – To nie jest świadek, zabiorę ją do swego domu. Nie będzie z niego wychodzić. Nigdy.

Te słowa sparaliżowały ją strachem. Skupiła uwagę na obu mężczyznach, żeby dowiedzieć się o nich jak najwięcej. Musi spróbować uciec, koniecznie, zaklinała się.

Handlowiec. Fresz oceniła, że jest handlowcem, bo szlachcic byłby ubrany bardziej ekstrawagancko.

– Chciał pan ze mną rozmawiać. Niechętnie chodzę do miasta bez istotnego powodu – oznajmił wysoki mężczyzna, kładąc prawą rękę na rękojeści miecza przypasanego u lewego boku. Była w tym geście jakaś poządlliwość, niecierpliwość.

Handlowiec pobladł, Fresz zrozumiała, że z jego strony nie może oczekiwać pomocy.

– No tak. Dla pana też jest ważne, żeby nikt się o tym nie dowiedział. Mam dla pana interesującą propozycję. Ten człowiek, od którego otrzymał pan miecz...

– To jest mój miecz! – mężczyzna przerwał rozmówcy bardzo zdecydowanie.

– Oczywiście, oczywiście! Niczego innego nie pomyślałem – uspokajał go ostrożnie niższy. – Ten człowiek jest po prostu nieuprawniony. Nie ma prawa własności ksiąg, które mu pan tak wspaniałomyślnie przekazał.

– Nie są mi potrzebne. Księgi mnie nie interesują – burknął wysoki i zaczął się rozglądać. – Posiadam miecz.

Fresz miała wrażenie, że myśli tego budzącego grozę człowieka błędą gdzieś bardzo daleko.

– Oferuję za nie dwadzieścia tysięcy złotych! Mam na myśli księgi – zaproponował handlowiec.

– Pan się ośmiela proponować mi prostacki handel?! – oburzył się mężczyzna.

– Nie, hrabio, oczywiście, że nie!

Fresz widziała, z jaką żalospną miną handlowiec patrzy na palce ręki poklepującej rękojeść miecza.

– Ten człowiek nie zasługuje na to, żeby mieć takie księgi. To oszust i zabijaka. Chciałem je dla pana odzyskać, wreszcie odkupić, żeby je panu zwrócić, ale on zabił wszystkich moich ludzi.

To było bez sensu, uznała Fresz. Ten człowiek plątał się we własnych wymysłach, jednak hrabia, czy kim on w końcu był, nie zwracał na to uwagi.

– Jest zabijaką? – wyłowił z gadaniny słowo, które go zainteresowało.

– Tak, zabijaką. Podobno to najlepszy szermierz o jakim słyszano – szybko potwierdził handlowiec z większą pewnością siebie niż na początku rozmowy.

Zrozumiała, że właśnie zrealizował swój plan, bo chociaż się bał, to przyszedł na spotkanie przygotowany. Zapewne miał w zanadru więcej przynęt zdolnych zainteresować dziwaczego hrabiego.

W oczach trzymającego ją mężczyzny zabłysło zainteresowanie.

– A gdzie go mogę znaleźć? – zapytał.

– Jak tylko go odzyskam, dam panu znać. Czy mogę jeszcze coś dla pana zrobić? Zwrot ksiąg prawowitemu właścicielowi byłby moją nagrodą. To nie była uczciwa transakcja. Powinien pan je odzyskać.

Hrabia znów rozejrzał się po okolicy.

– Nie wiem. Rozejrzę się za nim sam. Ale teraz muszę wracać do domu, już się rozwidnia, a od światła bołą mnie oczy. Ale oczywiście będę pamiętał.

Odszedł bez pożegnania, a Fresz musiała ruszyć biegiem, żeby mu dotrzymać kroku.

W jednym z renomowanych pensjonatów czekał na jej prześladowcę koń. Mężczyzna wskoczył na siodło i ze zdumieniem popatrzył na Fresz oraz kajdanki, które go z nią wiązały. Zapomniał, w jakich okolicznościach ją spotkał.

– Jestem pana nową kucharką – wyjąkała ze strachu, że hrabia pojedzie, wlokąc ją za sobą.

– Aha. – Zamyślił się niepewnie. – Prawda, kucharz nie żyje. Wszyscy nie żyją – oznajmił szczególnym tonem, który znów ją wystraszył.

Nachylił się i bez wysiłku posadził ją na siodle przed sobą.

*

Liana siedziała przy stole i w świetle dwóch lamp nanosiła na mapę miasta nazwiska i adresy porwanych ludzi. Uzyskanie tych informacji było łatwiejsze, niż się wydawało. Zaczęła na pobliskiej ulicy rozmową z mężczyzną, którego znała z widzenia. Zniknął jego brat. Mężczyzny to zbytnio nie interesowało. Utrzymywał, że brat już kilkakrotnie planował odejść, choć nigdy dotąd się nie zdecydował. Teraz wreszcie to zrobił, bez pożegnania, tak samo jak niejaki Martin Hefery. Poszła tym śladem, stopniowo wymyślając kilka historyjek, z których pomocą łatwiej nawiązywała kontakty. Niekiedy opowiadała, że jej też zaginął mąż, niekiedy tylko tak gawędziła sobie, a innym razem poszukiwała siostry. W ciągu kilku dni przyzwyczała się do opowiadania bajeczek na tyle, że pozbyła się nieprzyjemnego uczucia wynikającego z tego, że kłamała i nadużywała zaufania ludzi.

Herman Jarmin, oznaczyła dom zapiskiem i przysunęła do siebie książkę leżącą obok na stole. Wczoraj ukradła ją, aby uzyskać kartki na matryce. Chciała z ich pomocą sprawdzić pewien pomysł, tak złowieszczy, że straszyl ją nawet we śnie.

Pracę przerwało jej stukanie do drzwi. Uśmiechnęła się, bo poczuła zapach oseska zawiniętego w świeżo wyprany i wybielony becik. Przyszła Mapuszi. Było bardzo późno, właściwie nad ranem, ale niemowlę spało częściej w dzień niż w nocy, a młoda matka chętnie wykorzystywała bezsenność Liany do pogawędki.

– Wyglądasz na zmartwioną – powiedziała Mapuszi zamiast powitania i bez zaproszenia usiadła na krześle.

Trzymane przez nią dziecko rozejrzało się nic jeszcze nierozumiejącymi oczami. Liana uśmiechnęła się do niego i kiwnęła głową.

– Jestem zmartwiona – potwierdziła.

– Dlatego, że odszedł, czy z powodu tego, co robisz? – zapytała Mapuszi, wskazując na mapę.

– Z obu powodów – uśmiechnęła się starsza z kobiet. – Ale bardziej obawiam się tego.
– Przysunęła ku niej mapę.

Od czasu ich ostatniej rozmowy przybyło na niej dużo nazwisk.

– Zaczęłam wpisywać daty, widzisz? – Wskazała na notatki naniesione drobnym pismem na mapę.

– Ludzie znikali z różnych ulic i dzielnic kolejno, jakby ich ktoś wybierał z miejsc leżących obok siebie, według z góry sporządzonej listy. Dziwne, że nikt tego nie zauważył.

Dziecko zapiszczało i zamknęło oczy. Matka pokołysała nim troskliwie.

– Może ktoś coś zauważył, ale zostawił to dla siebie? – powiedziała ostrożnie Liama.

– Dasz mi kopię? – zapytała z wahaniem młodsza kobieta.

Liama przytaknęła, z kupki taniego, pożółkłego papieru o niejednorodnej fakturze wyciągnęła jedną kartkę, położyła ją nad swoją mapą i rozejrzała się zakłopotana.

– Gdzie też go kładłam?

Kawałek wypolerowanego agatu, którego szukała, znalazł się na blacie kuchennym.

– Nie zwracasz na takie rzeczy tyle uwagi, co przedtem – zauważyła Mapuszi.

– Nie zwracam, wydaje mi się to niepotrzebne – zgodziła się Liama i przetarła agatem powierzchnię papieru.

Gdy go podawała przyjaciółce, na drugiej stronie widniała kopia mapy, odbita liniami szarego koloru.

– Co z tym zrobisz? – zapytała. – Jeszcze nie czas pokazać to pozostałym. Nadal mam za mało nazwisk. Chociaż z tymi tu – wskazała na swoje najnowsze notatki – można już spróbować przekonać kilku ludzi. Tych, którzy na to pozwolą – dodała cierpko.

– Pokażę to tylko Jarvilowi, chcę, żeby o tym wiedział. – Mapuszi miała na myśli swego małżonka. – Jak oni wybierają porwanych? – zapytała jeszcze.

– Według miejsca zamieszkania, chyba dlatego, żeby nie musieli trudzić się chodzeniem po mieście w tę i z powrotem. I żeby to nie byli krewni. Wśród tych, którzy zniknęli, nie było bliższych krewnych niż w czwartym pokoleniu. – Wskazała na matrycę. – Ponieważ wiem o czterdziestu osobach zaginionych w ciągu minionego miesiąca, nie mogę uważać tego za przypadek.

Liama uważnie spojrzała na przyjaciółkę. Jej już przekonywać nie musiała, przyjęła przypuszczenia za swoje. Częściowo dlatego, że tak jak i Liama kilka miesięcy przeżywała ciężką śmierć Hardona Malenzi.

– Ktoś wyłapuje nas, ludzi mających magię we krwi. I robi to systematycznie – wyraziła swoje najgorsze obawy.

– Ale przez ostatnie parę dni nikt nie zaginął, przynajmniej o nikim takim nie słyszałam – powiedziała Mapuszi z obawą i instynktownie przytuliła dziecko.

– Ja też nie i bardzo bym chciała, żeby tak zostało – przytaknęła Liama.

Nastała cisza. Słyszeć było tylko trzaskanie ognia w piecu i głosy pierwszych budzących się ptaków.

– Może zabił ich wszystkich ten twój gość – powiedziała w końcu Mapuszi i wstała.

– Chętnie bym w to uwierzyła – przytaknęła Liama i pochyliła się znów nad swoją pracą.

Zostało jej jeszcze dużo do zrobienia, a musiała wstać wcześniej. Zapisując na mapie kilka ostatnich nazwisk, zauważyła, że wraz z poprzednimi tworzą one łuk na powierzchni miasta. Popatrzyła na mapę inaczej niż poprzednio i stwierdziła, że właściwie są to dwa łuki. Środki obydwu znajdowały się gdzieś na południu, poza miastem. Chodziło chyba o to, żeby oszczędzić na czasie i dystans do pokonania był za każdym razem taki sam. Przez chwilę uważnie przyglądała się widniejącym na mapie kształtom. Miejsce, w którym stał jej czworobok, było puste. Ponieważ kontynuowali porwania w innych miejscach, oznaczało to, że przez jakiś czas nie wrócą do niej i jej ludzi. Zniknięcie całej grupy porywaczy chyba ich tymczasowo odstręczyło.

ZIEMIA NICZYJA

Wyjechaliśmy jeszcze przed świtem jako jedni z pierwszych. Po nocnej potyczce bolały mnie mięśnie pleców w okolicy lewej łopatki. Jedna z wystrzelonych strzał przez głupi przypadek trafiła w to miejsce. Krążkowa zbroja i pleciony pancerz nie przepuściły jej wprawdzie, ale podobny uraz zdarzył się już po raz drugi w krótkim odstępie czasu i humoru mi to nie poprawiało. Nie wyspałem się ponadto i było zimno, oddech wydobywał się z ust w postaci białej pary.

– W lewo – powiedziałem do Janicka i wskazałem na drogę z wyjeżdżonymi koleinami.

Mimo szarówki dało się dostrzec, że jedzie po niej niewiele wozów, a trzy dwukółki podskakujące przed nami na wybojach pojechały prosto.

– Dlaczego? – zapytał Janick, ale posłuchał mnie.

Na to przyskoczył Majal na koniu. Aby podkreślić swoje stanowisko, postarał się o spokojną kobyłę, na której teraz uporczywie objeżdżał nas w kółko.

– Czemu nie jedziemy prosto? – szczeknął. – Do brodu?

– Ta rzeka ma dwa brody – odparłem spokojnie. – Ten dalszy, do którego jedziemy, jest płytszy. Tak do osi kół. A my wieziemy towar, który nie może zamoknąć. Jesteśmy kupcami.

Warknął coś, ale nie kłócił się dalej.

Zastanawiałem się, jak długo jeszcze przyjdzie nam jechać na wozach, bo kiedy teren stanie się zbyt ciężki, będziemy musieli pomagać zwierzętom.

– Myśli pan, że ktoś nas szuka? – pytanie zadał Janick.

Prawdopodobnie szukali mnie, może chodziło im o artefakty, które ich zdaniem miałem przy sobie. Nie chciałem jednak mówić o tym Janickowi.

– Tak, jestem tego pewny.

Myślałem, że się przestraszy, ale kiwnął tylko głową i rozejrzał się.

Potem skulił się na koźle i pozornie przestał oglądać okolicę. Wiedziałem, czy raczej domyślałem się, że skupił się na swoich niedawno odkrytych zdolnościach. Wypróbował już jakiś czar czy jeszcze bezskutecznie zmagął się z najprymitywniejszymi manipulacjami mocą? O takiej możliwości wiedziałem z doświadczenia. Utalentowani z punktu widzenia

normalnych ludzi potrafili czynić cuda nawet wtedy, gdy w pełnym znaczeniu tego słowa nie czarowali. Z kilku książek, do których miał dostęp, chłopak wywnioskował, że magia nie była częścią życia codziennego, całkowicie albo przynajmniej częściowo zrozumiałą. Czary i uroki opisywano jako połączenie żelaznej logiki z intuicją i talentem magicznym. Prawdziwy wielki mistrz musiał być obdarzony wszystkimi trzema tymi przymiotami, i to w stopniu najwyższym.

– Nie wydaje mi się, żeby ktoś znajdował się w pobliżu nas – odezwał się w końcu Janick z zadowoleniem, a nawet z pewną dozą próżności, po ujechaniu około pół kilometra.

Dróżka kupiecka wiała się po falujących stokach pagórków, wzbraniających Brunatnym Bagnom rozlewać się coraz dalej, i mokradła napotykalismy tylko w najniżej położonych miejscach.

Ani hipnoza, ani wmuszanie sugestii nie opierają się na magii, jak sądzi większość ludzi. Ale prawdą jest, że dzięki talentowi magicznemu można łatwiej wpływać na świadomość innych ludzi. Jednak dość prosto można się przed tym bronić. Prosto dla tego, kto sam jest wystarczająco silny i wie, jak to robić.

– Już kilka razy umknąłem takiemu polowaniu – poinformowałem Janicka, nie zwracając uwagi na jego niespokojne spojrzenie.

Wróciłem myślami do nocnej potyczki. Ludzie, z którymi walczyłem w obronie wojskowo zorganizowanej karawany, uznanej przez nich za mój kamuflaż, zdołaliby ukryć się przed Janickiem, jeśli nie potrafił on jeszcze skutecznie stosować czarów. A przynajmniej ukryłby się swobodnie ich dowódca.

Swoją drogą, ciekawy zbieg okoliczności. Uwaga napastników skupiła się na innej karawanie. Z jednej strony byłem zadowolony, że wyrobiłem sobie wczoraj w nocy jaśniejszy obraz najważniejszych przeciwników, z drugiej jednak nie mogłem się zorientować, co to była za karawana. Dobrze zorganizowana, złożona bardziej z wojowników niż z kupców. Dla kogo pracowali? Kim byli? Najemnikami? Żołnierzami któregoś z możliwych arystokratów? Komandosami cesarza? Krachtiburg był wprawdzie wolnym miastem, ale cesarz miał siedzibę w pobliżu i prawdopodobnie zdołałby przeprowadzić swoją wolę tylko za pomocą środków dyplomatycznych. Ta ostatnia możliwość nie wydała mi się jednak prawdopodobna.

– Nie ma Sakbistena! – krzyknął nagle Fedor. – Od początku siedział ze mną na wozie, a teraz go nie widzę!

A więc zabójca, którego czarodzieje najęli, żeby mnie później załatwić, nazywał się Sakbisten. Ta informacja nie była mi do niczego potrzebna, ale wiedziałem, że jej nie zapomnę.

Janick wstrzymał konie, Fedor z Majalem i Mayersem rozglądali się i nawoływali najemnika po nazwisku.

– Może odszedł, bo przestało mu się u nas podobać? – zasugerowałem, zdobywając się na uśmiech.

Majal popatrzył na mnie podejrzliwie.

Wyszczrzyłem zęby i tego już nie wytrzymał. W moim uśmiechu nie ma nic miłego, zwłaszcza gdy nie staram się, żeby wypadł uprzejmie.

– Zostawił tu coś? – Kiwnął na Fedora, żeby przejrzał wóz.

– Nie, nie widzę jego rzeczy. Zaraz, jednak tak, jest tu jego mniejszy plecak! – poprawił się Fedor. – Dużego nigdzie nie ma.

Przyglądałem się, jak ostrożnie przełazi do tyłu ku bagażom.

– Mam go – oznajmił z triumfem i zatoczył się, jakby stracił równowagę. – Cholera, ale brudne.

I zaczyna śmierdzieć, uzupełniłem w myślach.

Fedor zeskoczył z wozu ze skórzanym plecakiem w ręce. Otworzył go i momentalnie upuścił z krzykiem, po ziemi potoczyła się ludzka głowa.

Wszyscy wytrzeszczyli na nią oczy, jakby nigdy nie widzieli tak zwyczajnej rzeczy. Niczego pięknego w tym widoku nie ma, to prawda. Wolałem rozglądać się po okolicy. Głowę widziałem już wcześniej. Należała do jednego z żołnierzy karawany, który miał na swe nieszczęście więcej wytrwałości i odwagi niż pozostali i próbował mnie gonić.

– Podarunek dla was, panowie? Nie wiedziałem, że się tak szczególnie z nim lubiliście. – Zaprezentowałem im swoją ulubioną minę głodnego rekina.

Wychodzi mi lepiej niż uśmiech.

– Co to znaczy? – Fedor kręcił głową wystraszony.

– To znaczy, że wasz kolega już z nami nie jedzie. I zostawił wam tu wiadomość.

Patrzyli po sobie mocno zaniepokojeni.

– Długa droga przed nami – przypomniałem i wlałem na wóz.

Janicka nie trzeba było poganiać. Poszedł w moje ślady, targnął lejcami i konie ruszyły. Wiedziałem, że dopóki nie dostanę się do twierdzy, żadne niebezpieczeństwo mi nie grozi. Później tak. Nie miałem jednak pojęcia, w jaki sposób spróbują mnie zabić. Może powinienem zaatakować pierwszy. Ale nie miałem pewności, czy naprawdę będą chcieli mnie zgładzić. Wieczny dylemat. Sakbistena wystraszyłem, zamiast go zabijać. Łatwo mi to przyszło. I było wygodniejsze.

*

Bród pokonaliśmy bez problemów i krótko po południu wjechaliśmy znów na drogę wiodącą przez bagna. Zazwyczaj podróż trwała od dziesięciu dni do dwóch tygodni. Zależało to od ładunku i pogody, a dokładniej od poziomu wody. Każdy centymetr miał znaczenie. Niektórzy starzy podróżnicy twierdzili, że jeśli poziom wody jest niski, to zdołają skrócić czas podróży o połowę. Ale słyszałem również kilka historyjek, jak to wjechały na bagna duże karawany, liczące dziesiątki wozów i wielu jeźdźców, i nigdy ich więcej nie widziano.

W drugiej połowie dnia pojawiły się komary. Nie było ich na szczęście wiele, ale i tak wszyscy naciągnęli kaptury na głowy. Ja nałożyłem kapelusz, podniosłem kołnierz, a ręce ukryłem w długich rękawach kurtki. Nie pozostawało nic innego, jak pogodzić się z losem i zachować cierpliwość. Fedor i Mayers tak się spocili, walcząc z owadami, że stali się dla krwiopiczów o wiele bardziej nęcącym celem niż ja.

Czasem wydawało się, że droga kręci się po prostu niepotrzebnie, że przejedziemy bez przeszkód przez gęstą puszcę porośłą jesionami, wierzbami i jaworami, śladem poprzednich podróżnych, którzy zostawili tutaj koleiny po swych wozach. Tak bywało, gdy przejeżdżaliśmy przez wyżej położone, najbardziej suche fragmenty trasy wiodącej pagórkami. Wystarczyło jednak pojechać nieco dalej, gdzie płynęły wolno małe potoczki, a puszcza zmieniała się w gąszcz buczyny, z rzadka urozmaicony rosochatymi lipami lub jaworem. Wnioskując z mapy, przejeżdżaliśmy teraz przez najbardziej różnorodną część bagien. Kraina była wspaniała, dzika i tętniąca życiem, przesuwała się przede mną jak na paradzie. Być może zacznę w przyszłości poruszać się wozem. Wyglądało to tak, jakby było specjalnie dla mnie przygotowane.

Z podziwu wyrwało mnie chlupotanie wody i błota. Jechaliśmy po brudnym dywanie różnokolorowych opadłych liści i rozmięklej gliny, łagodnie zniżająca się droga wpadała do wielkiej kałuży pokrytej zielonymi porostami.

– Stój – powiedziałem.

– Na drugą stronę tylko kawałek – napomknął Janick, ale zatrzymał wóz.

– Nie potrzeba nam przerwy. – Podjechał do nas Majal, trzymający się dotąd z tyłu.

Przypatrywałem się przeszkodzie i dostrzegłem duże kępy trawy i trzciny. To nie była kałuża, tylko język większej przestrzeni wodnej, znajdującej się nieco dalej po lewej stronie, między drzewami. Powierzchnia wody była prawie niewidoczna pod przykryciem opadłych liści.

– Cofniemy się – rozkazałem. – Pomóżcie mi popchnąć wóz do tyłu.

Majal pojął, co jest nie w porządku, i bez szemrania zlął z konia.

Przyłożyliśmy się do szprych kół, a zwierzęta też zaczęły się cofać, nagle jedno z nich zarżało i zapadło się przednimi nogami aż po kolana. Musieliśmy je wyprząc, wspólnymi siłami uwolnić z pułapki i wyprowadzić na brzeg. Dno było sprężyste, jednak przy silniejszym zaparciu się nogi przebijały warstwę podwodnych roślin aż do gęstego torfu pod spodem.

Po godzinie ciężkiej pracy zwierzęta i wozy stały na pewnym, suchym podłożu, my natomiast byliśmy kompletnie przemoczeni.

Rozgrzebałem wierzchnie liście i stwierdziłem, że już od pewnego czasu jedziemy nie po wytyczonej drodze, ale po płaskiej darni. Nikt tędy przed nami nie jechał.

– Gdzieś musieliśmy zjechać z drogi, trzeba zawrócić i lepiej się rozejrzeć – oznajmiłem.

Fedor i Mayers popatrzyli na siebie, a potem obejrzeni się nerwowo. Śpiew ptaków i kumkanie żab, które odzywało się już od pewnego czasu, najwyraźniej zaczęły wydawać się im złowieszcze. Po dziesięciu minutach bardzo ostrożnej i powolnej jazdy dotarliśmy do miejsca, w którym powinniśmy skręcić w prawo. Nie zauważyliśmy zakrętu z powodu grubej warstwy liści leżących na właściwej drodze, która oprócz tego niknęła w ciemnym tunelu zieleni.

Daleko tego wieczora już nie ujechaliśmy i zatrzymaliśmy się na polance między wysokimi jesionami. Miejsce zrobiły nam dwa przewrócone olbrzymy, które niedawno, oczywiście z punktu widzenia ich długowieczności, złamał wiatr. Może i własny ciężar, bo pnie były puste w środku. Oczyszciliśmy miejsce z leżących na ziemi gałęzi, przypatrując się pozostałym podróżnym, siedzącym lub leżącym koło wozów.

– Przynieść drewno, rozpałić ognisko, przygotować jedzenie, nikt się do tego nie kwapi? – spytałem kwaśno.

– Wyśpimy się na wozach, jadło zostało nam od wczoraj, ogniska nie potrzebujemy – zbył mnie Majal.

Zostawiłem ich i postarałem się o swój własny ogień. Przygotowałem drewno i liście. Gdy tylko słońce dotknęło horyzontu, komary, do których już przywykliśmy, przypomniały o sobie ze zdwojoną mocą. Mrużyłem oczy, zawinięty w płaszcz, chroniony przez dym, i patrzyłem, jak inni się drapią.

– Jeśli przyniosę drewna, to mogę się przysiąść? – nie wytrzymał Janick, udając, że nie widzi nieprzyjaznego spojrzenia Majala.

Czarodziej źle to wszystko rozgrywał. Ja na jego miejscu zachowywałbym się bardziej

ugodowo w stosunku do kogoś, kogo w bliskiej przyszłości zamierzam zabić. To może oszczędzić dużo pracy.

– Tak – kiwnąłem głową i wyciągnąłem mapę, aby przyjrzeć się okolicy.

Dziś odebrałem lekcję, że nawet jazda po drodze nie jest na Brunatnych Bagnach sprawą prostą. Jakim sposobem tak je nazwano, skoro teraz, jesienią, świeciły wszystkimi kolorami?

Janick nie chciał tak całkiem opuścić towarzyszy. Siedział dalej i wyczekująco obserwował Mayersa i Fedora.

– Nie pójdziecie po drewno? Żebyśmy wszyscy nie zostali dotkliwie pokłuci.

Dwaj czarodzieje wahali się, ale w końcu pomału wstali, patrząc cały czas na młodzieńca. Widziałem, jak palce jego prawej ręki, od ich strony zasłonięte ciałem, układają się w trzy stopniowo powtarzające się położenia. To już nie tylko hipnoza, lecz coś więcej. Być może od tego się zaczynało, ale później przechodziło w magię. Przyglądałem się, jak obydwaj mężczyźni poddali się jego woli i ruszyli do lasu. Mieli właściwie szczęście, że przyleciały do nas tylko komary. Słyszałem kilka ciekawych opowieści o tym, jak z bagien ludzie wrócili ledwie żywi, prawie wyszani z krwi przez miejscowe krwiożercze moskity.

Zanim Janick zniknął między drzewami, odwrócił się, żeby sprawdzić, czy zauważyliśmy sztuczkę, jaką zmusił dwóch pozostałych do działania. Patrzyłem na niego z ukosa, twarzą zwrócony do mapy. Czytałem gdzieś, że do uprawiania magii nie są potrzebne żadne ćwiczenia w układaniu palców czy coś podobnego. Jednak dawniej wielu czarodziejów używało gestów i rytmicznych inkantacji, żeby ułatwić sobie wytworzenie w myśli diagramu potrzebnego do stworzenia czaru. Podobno właśnie na tym polegała prawdziwa magia. To znaczyło, że albo Janick dokładniej znał historię, niż przypuszczałem, albo zrobił to po prostu intuicyjnie. Jak bardzo jest więc utalentowany?

Skupiłem się znów na mapie i musiałem przyznać, że jest nadzwyczaj dokładna i precyzyjnie wykonana.

W niektórych miejscach pieczołowicie naniesiono warstwice, na obszarach bagiennych podano głębokości, na wierzchołkach gór, znajdujących się około stu kilometrów na północ od nas, wpisano wysokości nad poziomem morza. Przestałem studiować szczegóły i skupiłem się na całości. Mokrada przypominały kształtem trapez od wschodu ograniczony rzeką Turą, na południu przechodzący w Jezioro Brunatne, a na północy dochodzący do podnóża gór. Z dolin leżących między górami spływały dwie inne rzeki, Raslina i Baltima. Wlewały się bezpośrednio do bagien, zasilając je przez cały rok. Północno-zachodnią część mokradeł odwadniała Grutvica, wyznaczając w ten sposób naturalną granicę zalanych terenów.

– Jesteśmy. – Fedor i Mayers wrócili, wlokąc wspólnymi siłami ogromną wiązkę drewna okręconą powrozem.

– Na noc trzeba mieć dużo opału – oznajmił z powagą Fedor i usiadł zadowolony.

Nie wyglądali na omamionych ani niepewnych, jak to mogło być w przypadku kogoś, kto wypełnił cudzy rozkaz. Raczej na zadowolonych z dobrze wykonanej roboty.

Jak Janick to zrobił? Wymusił na nich wyobrazenie, że zgromadzenie drewna jest ich własnym pomysłem? Było to łatwiejsze, niż kierować nimi jak marionetkami... i sprytniej pomyślane.

Pomału zaczęło się ściemniać, pomiędzy drzewami światła ubywało szybciej niż na otwartym terenie. Korzystając z resztek światła, jeszcze raz przyjrzałem się mapie. Góry traciły na wysokości, schodząc na południe, ale zaznaczały się nadal w mokradłach, rozczłonkowując je na szereg obszarów praktycznie zupełnie nieprzejezdnych. Droga zawsze trzymała się blisko zatopionych pagórków, pojawiających się na bagnach niczym wypsy.

Tam, gdzie musiała się od nich oddalić, przedstawiała na mapie wijącą się linię, pokrytą wieloma znakami, zwracającymi uwagę na niebezpieczeństwo. Byliśmy dopiero na początku drogi, najgorsze znajdowało się przed nami.

Szarówka ostatecznie zwyciężyła w pojedynku z moimi oczami. Schowałem mapę, wyjąłem bochenek chleba i kawałek sera.

– Jesteśmy w drodze, powie mi pan, dokąd dokładnie zmierzamy? – zagadnąłem Majalę i ukroiłem sobie kromkę. – Pomogłoby to nam lepiej wyznaczyć trasę.

– Na bagna, to na razie musi panu wystarczyć – odparł.

– To obszar mniej więcej czterdziestu tysięcy kilometrów kwadratowych. Nie wiem, jak się dostaniemy do celu. Jeśli nie leży on w pobliżu drogi – próbowałem dalej, nie wierząc, że zdradzi coś dobrowolnie.

Może nie dobrowolnie.

– Niech pan się nie martwi, wszystko we właściwym czasie – wycedził pogardliwie. – Nie zechciałby pan pokazać nam w zamian klucza, przy pomocy którego wejdziemy do środka? – odbił piłkę w moją stronę.

– Wszystko we właściwym czasie – powtórzyłem jego słowa i wykrzywiłem do niego twarz.

Niczego się nie dowiedziałem, tylko go zirytowałem.

W jaki sposób zamierzał się mnie pozbyć? Nie miałem żadnej wskazówki. Siedział teraz zachmurzony i obserwował swoich ludzi, poklepywał ręką noża trzymanego na kolanie. Czyżby tak po prostu, krótkim ostrzem? Nie wydawało mi się. Wiedział, że jestem

uzbrojony po zęby i umiem się obchodzić z bronią. Dzięki temu jeszcze żyłem. Czy naprawdę dążył do pojedynku? Nie, to złe pytanie. Zdobyłby się na pchnięcie z zasadzki? Nawet w to wątpiłem.

Urządziłem się wygodnie, owinąłem w koc.

– Tego klucza nie mam przy sobie, schowałem go, gdy poszedłem po drewno – powiedziałem bez dalszych wyjaśnień. – A jeśli ktoś będzie grzebał w moich rzeczach, zabiję.

Janick zauważalnie drgnął. Miał chyba jakiś plan i moja pogróżka zaskoczyła go. Wzbudzenie strachu jest doskonałym orężem. Ocaliło życie wielu ludziom.

Nasunąłem kapelusz na oczy, jakbym szykował się do snu, obserwując współtowarzyszy spod jego ronda. Majal w skupieniu coś jadł, Janick mimo zmroku starał się czytać książkę, Fedor z Mayersem siedzieli beczynnie.

Od drzew napływały ku nam wilgoć i chłód, stopniowo zaczęli nakładać na siebie wszystkie sztuki odzieży, jakimi dysponowali.

– Może przyniesiemy jeszcze więcej drewna – zaproponował nagle Fedor, a Mayers natychmiast wstał.

Janick popatrzył na nich, pstryknął palcami, jakby mu coś przyszło do głowy, i obaj mężczyźni znów się uspokoili. Młody czarodziej wyglądał na zaskoczonego, chyba rzucony przez niego czar zadziałał inaczej, niż zamierzył. Nie przypuszczałem, że używanie magii może być tak różnorodne...

Las wkrótce zmienił się w ścianę ciemności, kumkanie żab jeszcze się nasiliło.

– Może jednak powinienem powiedzieć panu, gdzie się znajduje cytadela. Może nam to oszczędzić wielu kilometrów mordegi w tym przeklętym bagnie – oznajmił Majal, patrząc na mnie.

Widział mnie tylko jako podłużny kształt bez twarzy, zlewający się z otoczeniem. Nie poruszyłem się.

– Co pan o tym myśli? – zagadnął.

Milczałem.

– Śpi – stwierdził Fedor.

Majal dołożył do ogniska i przez chwilę przyglądał mi się badawczo.

– Jesteście przygotowani? – zapytał cicho.

– Tak – odpowiedzieli obaj czarodzieje, Janick nie zareagował.

– Powiem wam, kiedy przyjdzie właściwy czas – dodał Majal.

Gałęzie zatrzeszczały, gdy przygotowywał sobie legowisko na noc.

Bez większego trudu dowiedziałem się tym sposobem, że w planowanym morderstwie

mają odegrać swoje role obaj czarodzieje, Fedor i Mayers. Nie był to znów aż tak kiepski dzień. Zamknąłem oczy i...

*

Bamegi i jego ludzie wyruszyli w drogę z minimalnym tylko wyposażeniem. Wraz z Kuzbosem nadawali równomierne tempo, które wytrzymałyby nawet kilka dni, obaj instynktownie kontrolowali okolicę i zajmowali się własnymi myślami.

Bamegi zaraz po nieudanym ataku na karawanę otrzymał od Varatchiego nowe zadania. Coraz bardziej dokuczał mu niedostatek ludzi. Dwóch musiał zostawić przy siedzibie Lumbiego, żeby nieustannie śledzili szaleńca. Powody, jakimi kierował się Varatchi, były dla niego zrozumiałe. Wojewoda chciał się dowiedzieć, ile tylko można, o sposobie funkcjonowania tego niebezpiecznego miecza, a nikomu oprócz wojowników ninja w tym względzie nie ufał. Nawet dla tak wysoko postawionego człowieka nie było rzeczą łatwą zorganizowanie testów takiej broni. Znacznie łatwiej pozostawić to Lumbiemu, a gdy przyjdzie właściwy czas, po prostu zamknąć go, stracić za zbrodnie i po wszystkim. Kolejni trzej ludzie pod dowództwem Gaspru poszukiwali żołnierzy z karawany. Po fatalnie zakończonej próbie sprawdzenia ładunku chroniący konwój żołnierze jakby pod ziemię się zapadli.

Kuzbos zwolnił i skręcił w bok od wyjeżdżonej dróżki. Bamegi poszedł za nim. Jednym z zadań Kuzbosa było uzyskanie informacji o bagnach i wiodących przez nie szlakach. Poświęcony czas mógł się opłacić. Rozmawiał z wieloma przewodnikami karawan i dzięki temu znał skróty mogące zaoszczędzić im drogi.

Brodzili teraz po kolana w brunatnej wodzie, czując pod nogami miękkie dno.

– Wozy tędy nie przejadą, a są też odcinki, gdzie będzie to trudne i dla koni – powiedział Kuzbos półgłosem.

Bamegi przytaknął. Obaj nie musieli dużo mówić.

Wrócił myślami do nieudanej próby zlustrowania ładunku podejrzanej karawany. Za problemami, które wystąpiły w bitwie z zaskakująco dobrze przygotowaną i uzbrojoną ochroną, mógł kryć się Koniasz. Bamegi był tego pewny. Nieoczekiwany przypadek? Raczej nie. Obaj interesowali się kupieckimi karawanami. Koniasz chciał stać się wędrownym kupcem i tym sposobem wyjechać z miasta, a Bamegi odróżnić prawdziwych kupców od fałszywych. Ta grupa zamaskowanych żołnierzy zwróciła uwagę ich obu. Było też bardzo możliwe, że oni również w jakiś sposób brali udział w interesach związanych z magicznymi artefaktami. Tej możliwości nie mógł ani potwierdzić, ani odrzucić. Tymczasem.

Wchodzili coraz głębiej, woda sięgała im już do bioder. Idący przodem Kuzbos zwolnił jeszcze bardziej, szedł teraz nadzwyczaj ostrożnie, przyglądając się każdemu miejscu, na którym miał postawić nogę. Bamegi sięgnął pod kurtkę, odwinął swoją szarfę i podał mu jeden z końców. Szli dalej, ubezpieczając się wzajemnie.

Tak dotarli do miejsca, gdzie woda prawie nie płynęła, wysokie zwały chrustu zatrzymywały liście i gałęzie, wszystko to razem z gęsto pływającym żabieńcem tworzyło butwiejącą masę o konsystencji melasy, w której nawet pływać nie było można. Dno jeszcze bardziej opadło, obaj byli aż po pierś oblepieni błotem i rozkładającymi się resztkami roślin.

– Zdaje się, że woda trochę przybrała, tu widać każdy centymetr – mruknął Kuzbos, który poślizgnął się i zmoczył jeszcze bardziej.

Bamegi przytaknął mechanicznie, nadal rozmyślał o Koniaszu. Pozna go po sposobie poruszania się, był tego pewny. Zuchwalstwo i umiejętność przystosowywania się do sytuacji pozwalały mu wykorzystywać nieoczekiwane zwroty akcji. Wybił ich z uderzenia, przyczynił im strat i do całej sytuacji wniósł jeszcze więcej zamieszania, a to właśnie mu odpowiadało. I był bardzo dobrym wojownikiem. Niebezpiecznym. Bamegi mógł scharakteryzować jego styl walki jako stosunkowo prosty, intuicyjny i bezlitosny. Tak, to pasowało. Chcąc nie chcąc, musiał go podziwiać.

*

Pół dnia trwał wyczerpujący marsz, aż natknęli się na dróżkę kupiecką wyraźnie wyznaczoną przez koleiny wyciśnięte kołami wozów. Bamegi ukląkł i dotknął odkrytej gliny w koleinie. Trzy godziny temu, prawdopodobnie dwa wozy ciągnięte przez konie. Biorąc pod uwagę szybkość, z jaką mogli się poruszać, powinni dogonić je w ciągu godziny. Kuzbos popatrzył na dowódcę i bez zbędnych pytań ruszył kłusem.

Po półgodzinie obaj stanęli, ich uwagę zwróciło kilka dużych kruków krążących po niebie nad miejscem położonym niedaleko od nich.

– To duże drzewo. – Kuzbos wskazał na dąb z wypróchniałym pniem, mającym już tylko resztki korony. – Za nim jest inna dróżka. Była dawniej używana, ale dziś jest już podobno nieprzejezdna, pod wodą coś się zapadło i kończy się w głębinie. Jednak stamtąd zobaczymy miejsce, nad którym krążą ptaki. Nie będą się spodziewać, że ktoś ich obserwuje z głębi bagien.

Milczał przez chwilę.

– Myślę, że jesteśmy w miejscu, o którym mówił ten stary – mruknął w końcu. – Drzewo jest wielkie i mocne, ale karawany nie jeżdżą tędy od dawna.

Bamegi kiwnął głową i po chwili deptania to tu, to tam trafili na skrytą pod wodą drogę, dającą oparcie stopom.

– Powinna nas doprowadzić aż do tej skały otoczonej zatopionymi krzewami – wskazał dowódca ninja.

Kuzbos, chociaż pierwszy raz był na bagnach, orientował się lepiej niż większość doświadczonych przewodników. A to dlatego, że ludzie, których wypytywał, zdradzili mu wszystkie tajemnice.

Teraz też nie zabłądził. Dróżkę wyznaczały kępy uschłych badyli i pałek wodnych, ostrożnie przechodzili od jednej do drugiej i znów dostrzegli dróżkę wiodącą prosto ku skale.

Zanurzyli się aż po szyje. Bamegi zauważył grupę swoich wysłanych o świcie ludzi, pychających wóz do czarnej wody. Nad powierzchnię wystawał dyszel drugiego pojazdu.

Na ziemi w trawie leżały w równym rzędku ciała siedmiu mężczyzn.

Nie powiedział nic, zawrócił i po własnych śladach ruszył z powrotem. Kuzbos przez chwilę przyglądał się ponurej scenie, a potem poszedł w ślady dowódcy.

Bamegi i Kuzbos dogonili swoją grupę dopiero pod wieczór. Musieli wrócić do głównej drogi i poruszać się po niej. Ninja wybrali sobie na obozowisko wyższy i bardziej suchy fragment terenu, a to, że znajdują się na bagnach, przypominała tu i ówdzie podmokła gleba i spore kałuże. Przed ewentualną złą pogodą chroniły gęsto rosnące lipy. Miejsce zapewniało dobry widok na drogę. Kuzbos i Bamegi nie zachowywali ciszy i obozujący wiedzieli o ich obecności na długo przed tym, zanim do nich dotarli.

Bamegi popatrzył na całą piątkę, jej dowódca odpowiedział nieustępliwym spojrzeniem. Błąd, skarcił go w duchu. Już samo to mogło zwrócić uwagę, że wydarzyło się coś nieprzewidzianego.

– Meldunek, Wrang – ponaglił i kucnął przed nim obok stosu drewna przygotowanego na ognisko. Umieścili je w zagłębieniu ukrytym między spróchniałymi pniami i dużymi kamieniami. Gdy się wystarczająco ściemni, słup dymu nie zwróci niczyjej uwagi.

– Natrafiliśmy na dwa wozy ciągnięte przez czwórki koni, a jak na kupców jechały niezwykle szybko. Zlikwidowaliśmy ich zgodnie z rozkazem. Człowieka, którego szukamy, nie było między nimi.

– Nie wydałem rozkazu likwidowania każdej karawany – odparł cicho Bamegi, obserwując Wranga.

Młodszy ninja odpoczywał jak zwykle ze skrzyżowanymi nogami. Sądząc ze sposobu, w jaki składał meldunek, nie był skłonny przyznać się do pomyłki.

Bamegi uświadomił sobie, że popełnił błąd. Samodzielne zadania powinien przydzielić

ludziom, z którymi współpracował na co dzień, a pozostałych trzymać przy sobie. Znał tylko ich nazwiska i wiedział, że są wystarczająco dobrzy, żeby pracować w terenie. Klangit, Varmon, Manatu, piątego nie przypominał sobie nawet z imienia. Pamiętał tylko, że miał brzydką siostrę, która знаła się na opatrywaniu ran jak mało kto. Była nazywana Kariana Wietrzyk ze względu na niezwykle delikatne, kształtne palce.

– Ale naszemu pracodawcy spodoba się takie załatwienie sprawy – oponował Wrang.

Nie poruszył się w widoczny sposób, ale palce trzymał już na rękojeści miecza. Bamegi kiwnął głową. Nie było już drogi powrotnej, młody ninja podważył jego autorytet i wszyscy obecni zdawali sobie z tego sprawę. Przez własny błąd straci człowieka. Miał nadzieję, że tylko jednego.

Spojrzał na dłoń Wranga spoczywającą na mieczu tak, aby ten to zauważył, i pochylił się lekko do przodu.

Klinga, przedłużenie ciała wojownika, zaślniła w błyskawicznym łuku. Bamegi zdążył tylko wyciągnąć miecz razem z pochwą. To jednak wystarczyło, stal wbiła się w lakierowane drewno. Zanim Wrang zaatakował po raz drugi, Bamegi pochylił się jeszcze mocniej, między jego palcami pojawiło się coś metalowego, pozornie tylko dotknął Wranga, a ninja padł z przeciętym gardłem. Bamegi pozostał w klęku, obserwował gasnące oczy młodego człowieka i strumień gorącej, szybko stygnącej krwi, która pomału wsiąkała w glebę.

– Miał żonę, prawda? – Odwrócił się ku towarzyszom Wranga.

– I syna, i córkę – dodał jeden z nich.

– Zginął w akcji. Jego nazwisko pozostanie czyste, klan zatroszczy się o jego rodzinę – oznajmił Bamegi i popatrzył na podwładnych.

– Ja, jako jego brat stryjeczny, przystaję na to – powiedział jeden z nich, a pozostali kolejno przytaknęli.

– Ciało obciążyć i wrzucić do wody. Jutro z samego rana przejdziemy na rozstaje. Najpierw zbadamy, kto będzie się interesował starą twierdzą, później zaczniemy działać. Nie chcę już niepotrzebnego zabijania. To rozkaz.

Nikt nie protestował, lecz Bamegi nie czuł się usatysfakcjonowany.

PIĘKNYM ZA NADOBNE

Kolejny dzień na bagnach był za nami. Przejeżdżaliśmy teraz przez obszary wilgotniejsze niż początkowo, w podmokłej ziemi rosły tylko topole, platany i jakiś gatunek wiązów. Już przywykliśmy do zapachu, jaki niosły ze sobą wilgoć i butwiejące liście, tylko od czasu do czasu, przejeżdżając przez zagłębienia całkowicie wypełnione masą gnijącej roślinności, odczuwaliśmy intensywniej zapach moczar. Uważałem to za zapach, bo mimo woni rozkładu kryło się w nim życie. W głębszej wodzie roiło się od ryb, wolno pęły ogromne małże, w płytszych miejscach widziałem niezwykle duże bahniki, osiągające długość dwóch metrów. Te ogromne ryby, podobne do gadów, mogły w tak niegościnnym środowisku przeżyć tylko dlatego, że były dwudyszne, oddychały nie tylko w wodzie, ale i na lądzie. Nie spostrzegłem żadnych gadów, za to niespotykane dużo różnych gatunków ptaków. Widziałem też kilka półryb, które poruszały się po ziemi przy pomocy ni to płetw, ni to kończyn. Chętnie bym je obejrzał dokładniej, sprawdził, jak sobie radzą na lądzie. Ale niestety, nie przybyłem tu badać przyrody Brunatnych Bagien. Prawie złościłem się z tego powodu.

– Rozbijemy obóz? – zapytał mnie Majal.

To on wybrał poprzednie miejsce na nocleg i okazało się niezbyt dobre.

Rozejrzałem się i dalej wzdłuż drogi dojrzałem miejsce wystające nieco ponad otaczający teren. Trzeba było dobrze się przyjrzeć, żeby je zobaczyć. Jednak każdy decymetr wysokości ujmował z gleby mnóstwo wilgoci, a to miało wielkie znaczenie.

– Tam – pokazałem.

Wszyscy z ulgą przyjęli moją decyzję. Podróż nas zmęczyła. Już od dawna nie jechaliśmy na wozach, tylko szliśmy pieszo, co pewien czas pomagając koniom uporać się z przeszkodami.

Pokazałem pozostałym, żeby poczekali, zanim nie zbadam miejsca wybranego na obóz. Jakiś czas temu ktoś tu nocował, ale popiół dawno już rozwiął wiatr i miejsce, w którym rozpalono ognisko, odkryłem tylko dzięki niedopalonemu resztkom. Nie wykryłem żadnych śladów, nawet odchodów czy odoru moczu. Od czasu, gdy tu ktoś ostatnio spał, musiały minąć raczej tygodnie niż dni.

Podczas gdy się rozglądałem, pozostali wzięli się do zbierania drewna, a ja wkrótce do

nich dołączyłem. Wszystko, co leżało na ziemi, było wilgotne, na podpałkę odłamałem dolne gałęzie starych topoli.

Ognisko rozpałem w chwilę po tym, jak słońce schowało się za horyzontem. Mieliśmy ze sobą spore zapasy jedzenia, ale w jednej z sadzawek złapałem kilka ryb i teraz piekliśmy je zatknięte na kijach. W bezwietrznym powietrzu dym leniwie szedł do góry, przenikając przez gałęzie drzew, i unosił się nad nami jak szary obłok.

Nie przeszkadzało nam to, przeciwnie, było korzystne, bo odstraszało komary. Żaby głośno kumkały, wszystko wskazywało na zbliżający się deszcz. Tu, w bardzo mokrej części bagna, żadnego deszczu sobie nie życzyłem. Kilka centymetrów wody więcej mogło oznaczać, że utknemy gdzieś na dłużej. Nawet z pomocą dokładnej mapy nie mogłem się zorientować, kiedy dotrzemy do suchszej, przejezdnej części trasy, bo profil terenu zmieniał się od pagórka do pagórka i dużo zależało od rodzaju i gęstości roślinności oraz podłoża. Po półgodzinie wpatrywania się w warstwicę przypomniałem sobie, że baron Sorton dał mi inną mapę, wprawdzie starszą i nie tak dokładną, ale przedstawiającą obraz terenu z czasów, gdy rozległe bagna jeszcze nie istniały. Zmiana klimatu, która przyniosła intensywne opady, miała miejsce wkrótce po zakończeniu Wielkiej Wojny. Czy sprowadzili ją walczący czarodzieje, było do dziś tematem wielu spekulacji. Ostrożnie wyjąłem z plecaka delikatny pergamin, rozłożyłem go na kocu i przyglądałem się obu mapom równocześnie. Moje przypuszczenie, że droga kupiecka biegła w tym samym kierunku co północno-zachodnie pasmo górskie, okazało się prawdziwe. Góry zniżały się w kierunku bagien, rozbijając na pojedyncze wzgórza, co nadawało krainie charakterystyczną, urozmaiconą rzeźbę. Ze starej mapy odczytałem ponadto, któredy wiodła dawna droga. Biegła dolinami, omijając wzgórza. Porównanie map okazało się ciekawe. Zrozumiałem, że obecnie poruszamy się po wierzchołkach dawnych wzgórz. Brunatne Bagna miały dziesiątki, a często i setki metrów głębokości, to istny cud, że nie rozlewały się jeszcze dalej. Położenie starej twierdzy Maaterenditu nie było niestety zaznaczone.

Wyprostowałem się, dając odpoczynek plecom i oczom, pod mapą znajdowało się dużo napisów maleńkimi literkami, co stanowiło spore obciążenie dla wzroku. Klan na pewno nie używał twierdzy jedynie jako zapasowego magazynu. Kto inwestuje tyle środków w wybudowanie jakiejś siedziby, chce mieć z niej maksymalny pożytek. Prawdopodobnie strzegła drogi handlowej i służyła do pobierania opłat za przejazd. Gdzie bym ją postawił? W czasach gdy nie było tu bagna, tylko łagodnie pofałdowane pogórze? Możliwości było wiele, błądzenia po omacku także, bo przez minione trzy stulecia kraina zmieniała się na do poznania.

Trzasnęła gałąź, Fedor odszedł w ciemność. Złożyłem obydwie pergaminy i starannie

je schowałem. Nawet nie zauważyłem, kiedy się ściemniło. Czekałem na odgłos oddawania moczu, jednak czarodziej szedł dalej, aż jego krokom zaczęło towarzyszyć mlaskanie mokrej gliny. Odgłos poprzedzało kumkanie przestraszonych żab i plusk wody, gdy do niej wskakiwały, uciekając tuż przed nim. Już wczoraj zdumiało mnie, że odchodzi tak daleko, bo gdybym pozostałych nie odganiał, załatwialiby się praktycznie na miejscu. Dźwięk dobrze rozchodził po powierzchni, usłyszałem odgłos uderzenia czegoś o wodę. Fedor coś łowił, prawdopodobnie żaby. Pewnie dlatego chodził codziennie na spacer po rejon obozu. Ale po co je łowił? Wiedziałem, że pod koszulą coś chowa, sądziłem, że to skrytka na dokumenty albo coś podobnego. Jednak dokumenty raczej nie pożerają żab. Widocznie czarodzieje polegali na osobliwszych metodach zabijania, niż mogłem sobie wyobrazić.

Chwilę o tym myślałem, kosztując równocześnie ryby. Dalsze pieczenie nie poprawiłoby już jej smaku.

– Jesteśmy pośrodku bagien. Gdzieś tutaj znajduje się cytadela Maaterenditu – powiedziałem, patrząc na Majalę.

Nadal uważnie piekł swoją kolację, sądząc zapewne, że zupełne zwęglenie uczyni ją smaczniejszą. Może miał jeszcze gorszy stosunek do bagiennego smaku niż ja. Spojrzał na mnie, chwilę potrwało, zanim wyrwał się z zamyślenia.

– To prawda – przytaknął.

– Nie chce mi pan zdradzić, gdzie dokładnie znajduje się cytadela? Mogłoby to okazać się użyteczne dla nas wszystkich. W przypadku jakichś nieoczekiwanych okoliczności – ciągnąłem dalej.

Poprzednio nic z tego nie wynikło, ale powtórka nie mogła zaszkodzić.

Popatrzył na mnie jak na kompletnego idiotę.

– A zdradzi mi pan przedtem, jak się chce dostać do chronionego magazynu klanu Maaterenditu? – zapytał prawie uprzejmie.

– Ma się rozumieć – odparłem z uśmiechem, który mógłby zostać uznany za przyjacielski, gdybym był o dwadzieścia pięć lat młodszy i trochę podobniejszy do matki. Albo nawet ojca. – Mam klucz.

Majal drgnął, a potem jeszcze raz, gdy rzuciłem mu skórzany woreczek. Były w nim dwa okrągłe odlewy, na których widniały skomplikowane rysunki. Wielu ludzi sądziło, że prawdziwy klucz zostanie rozpoznany na podstawie tych rysunków, że musi on pasować do swego negatywu znajdującego się w cytadeli. Tak jednak nie było. Rysunek na wszystkich kluczach klanu był taki sam. Decydował skład materiału, z którego go wykonano.

I klucz, i zamek musiały być wykonane z tego samego stopu, a w przypadku klucza

uniwersalnego – z czystego akrawitu, metalu, który wykonać potrafiły tylko huty Maaterenditu. Jakim sposobem zamek uznawał klucz za prawidłowy, nie domyślałem się. Znalazłem wprawdzie kilka odsyłaczy do stosownego czaru, ale niczego istotnego się nie dowiedziałem. A autentyczny klucz akrawitowy zdobyłem dawno temu i teraz po dziesięcioleciach mogłem go użyć.

Majal ostrożnie rozwiązał woreczek i wyjął z niego oba krażki. Musiał już gdzieś widzieć klucz tego klanu, bo nie wątpił w ich autentyczność.

– No a teraz, gdzie znajduje się twierdza? – przypomniałem o sobie z nieszczerym uśmiechem, kładąc niby przypadkiem rękę na mieczu. Chciałem, by wiedział, iż jestem przygotowany. Ostatnią rzeczą, jakiej sobie życzyłem, było, żeby Majal zwariował i rzucił swych ludzi przeciwko mnie właśnie teraz.

Rozważał to. Naprawdę – przez krótką chwilę rozważał taki wariant. Jednak jego napięcie ustąpiło, sięgnął w zanadrze, wyciągnął podłużny skórzany futerał i wyjął z niego mapę zwiniętą w rulonik.

– Tu jest.

– Zwróci mi pan klucz? – zapytałem, zanim sięgnąłem po mapę. – Ja też tylko popatrzę.

Podał mi ją niechętnie. Jeśli moi klienci mieli jakieś czarodziejskie zdolności przydatne do śledzenia ludzi, to byłem pewny, że w najbliższych godzinach będą ich używali w stu procentach.

Położyłem klucz obok siebie i popatrzyłem na mapę. Według niej twierdza znajdowała się na długim półwyspie sięgającym głęboko w Jezioro Czyste, jedyną stale otwartą przestrzeń wodną całego obszaru bagien.

– Żebyśmy tylko nie potrzebowali łodzi, biorąc pod uwagę obecny poziom wody – powiedziałem, popatrzyłem na Majala i oddałem mu mapę.

Teraz wiedziałem już, gdzie szukać twierdzy, i mapa nie była mi potrzebna.

Moje pytanie było istotne, bo rzeka Tura wpadała wprost do Jeziora Czystego.

– Łódź nie będzie potrzebna, nawet przy najwyższym poziomie wody półwysep pozostaje ponad powierzchnią wody. To potwierdzone.

Nie miałem pojęcia, gdzie taką wiadomość mógł uwierzytelnić, i oczekiwałem kolejnych informacji. Ale tak głupi to on nie był. Widać było, że żałował nawet tego, co mi powiedział. Pytanie, jak bardzo. Prowadziłem z nimi dość niebezpieczną grę, ale wydawało się, że jak dotąd z powodzeniem.

Ognisko migotało i napięcie towarzyszące naszej rozmowie zaczęło powoli opadać.

Sięgnąłem po woreczek z kluczem, ale zostawiłem go tam, gdzie leżał. Powinienem zająć się zbieraniem drewna. Było potrzebne ze względu na komary, światło i w ogóle. Wstałem. Drewno, drewno, myślałem o nim już chwilę wcześniej. Stos drewna, którego naznosiliśmy wspólnymi siłami, był bardziej niż wystarczający. Ale mógł być większy. Potrzeba drewna, dużo drewna... cholera, Janick i jego sztuczki. Sięgnąłem po woreczek, schowałem go w opasce i posłusznie ruszyłem w ciemność. Słyszałem, jak Mayers i Fedor potykają się niezgrabnie, idąc za mną. Janick spróbował swoich sztuczek na mnie i byłoby mu nawet wyszło, gdybym nie przyłapał go na tym już wcześniej. Był dobry, lepszy, niż przypuszczałem, ale nie tak dobry, jak to sobie wyobrażał, bo zdołałem go przejrzeć. Z drugiej strony, nadal zbierałem drewno. Dla maskowania się czy zgodnie z jego życzeniem? Zostawiłem te rozważania i skupiłem się na tym, żeby w gęstniejącej ciemności nie wykluć sobie oka i przynieść kilka patyków. W końcu wróciłem do obozu, udając, że nie dostrzegam nieobecności Mayersa i Fedora. Janick wyglądał na zadowolonego, choć starał się to maskować. Majal nie. Ciężko mu wyjawienie mi tajemnicy położenia starej twierdzy. I wiedział już, jak mam zamiar dostać się do środka. Ale mogłem blefować... Będzie się musiał zastanowić, zanim zdecyduje się, co dalej robić. Dlaczego Janick nie próbuje na nim swoich gier? Ma przed nim z jakiegoś powodu większy respekt? Nie wydawało mi się.

– Idę spać, jestem wykończony – mruknąłem, rzuciłem przyniesione drewno na stos i położyłem się na swoim miejscu.

Leżałem, obserwując świat półprzymkniętymi oczami. Bałem się zasnąć, bo pewnie już nigdy bym się nie obudził. Urządziłem to tak, że pod kocem wyciągnąłem nóż i trzymałem dłoń nad jego ostrzem. Gdy zacząłem drzemać, ręka opadła i ból uklucia obudził mnie. Przez długi czas nic się nie działo, już zacząłem myśleć, że tak będzie przez całą noc. Jednak później Majal spojrzał znacząco na Fedora i skinął głową. Właśnie teraz zdecydował się mnie zgładzić. Powinienem być zdenerwowany, walczyć ze strachem, zaatakować, ale zamiast tego obserwowałem rozwój wypadków i oceniałem sytuację z dystansem, zastanawiającym nawet dla mnie samego. Byłem zdumiony własną zimną krwią, zestarzałem się w międzyczasie i wcale tego nie dostrzegłem? Życie nie było mi już miłe? A może ten dziwny brak zainteresowania wywołały czary Janicka? Nie domyślałem się. Czulem tylko ciekawość i pewność siebie. Być może taka kombinacja doprowadziła do śmierci wielu ludzi mojego pokroju. I co z tego?

Nikt już nie dokładał do ognia, ciemność, wypełniona odgłosami nocnego życia bagien, objęła w końcu i nasz obóz. Fedor, żaby, schówek na piersi. Czy chował tam węża, który miał mnie ugryźć? Nigdy w życiu nie słyszałem o wężu, który umiałby zaatakować z

góry wybrany cel, jeśli nie był mu podany na srebrnej tacy. Psa, hiene, nawet tygrysa można wytresować w ten sposób, węża nie. Nie bez pomocy magii.

Czarodzieje. Co o nich wiedziałem?

Całe życie studiowałem ich zachowania, ale wiedziałem o nich bardzo mało, właściwie nic. Panika, jaką nagle poczułem, paradoksalnie pozwoliła mi się uspokoić. Boję się, rozumiem logicznie, jestem sobą, nie omamiły mnie czary. To powinno wystarczyć. Wiedziałem, co zrobię, nawet jeśli to nic nie da. Ale w przeszłości zawsze robiłem wszystko, co w mojej mocy, aby utrzymać się przy życiu. Zdjąłem koszulę, przez chwilę starałem się opanować szczykanie zębami. Potem najciszej jak to możliwe, na czubkach palców, przybliżyłem się ku posłaniu Fedora. Koszulę, którą nosiłem przez dwa ostatnie dni, wetknąłem mu pod gałęzie posłania. Potem oddaliłem się równie ostrożnie, narzuciłem na siebie kurtkę i metr po metrze wspiałem się na rosnące opodal drzewo. Ciężko mi było zachować ciszę, mimo że już uprzednio starannie wybrałem sobie drzewo. Szczęściem okresowe silniejsze podmuchy wiatru zagłuszały nieostrożne ruchy.

Wyczerpany jak po długim biegu, usadziłem się w drugim rozwidleniu konarów, około trzech metrów nad ziemią. Bardzo niewygodnie. Zdawałem sobie sprawę, że czeka mnie długa i chłodna noc. Na górze wiało mocniej i znów zacząłem szczykać zębami, przywołałem z pamięci ćwiczenia, których uczył mnie przed laty mój nauczyciel samokontroli. Ta nauka wydawała mi się wtedy niepotrzebnym obciążeniem, czymś prawie niewykonalnym, dziś jednak, w chłodną noc wysoko na drzewie, wydawała się nieskomplikowana i służąca tylko temu, żeby rozgrzać mięśnie i utrzymać je do rana w stanie zdolnym do działania. Panować nad sobą nauczyłem się przez te lata. Sam.

POKARM DLA STALI

Fresz otarła łzy. Nie chciała płakać, dawno się nauczyła, że łzy w niczym nie pomagają. O ile nie używała ich celowo w odpowiednich okolicznościach. Żelazne kajdanki obcierały jej nadgarstek do krwi, ciągle trzęsła się z zimna i strachu. Kiedy Lumbi zabrał ją ze sobą, wiedziała, że dzieje się niedobrze. Ale jak bardzo niedobrze, zrozumiała w chwili, gdy weszli do jego zamku i na podwórku ujrzała mnóstwo trupów. Kawałki porąbanych ciał gniły rozrzucone na bruku, tylko droga do stajni została oczyszczona.

Zupełnie straciła nadzieję w chwili, gdy ujrzała w kuchni na krześle rozpadający się szkielet prawie już bez ciała. Ktoś przywiązał go do krzesła wieloma sznurami, które teraz, gdy tkanki zgniły, swobodnie zwisały z klatki piersiowej i długich kości udowych; czaszka i ręce oderwane w barkach leżały na podłodze razem z fragmentem nogi.

– Kucharz już od dawna nie gotuje. Nikt tu po prostu niczego porządnego nie robi, oprócz stajennego – mruknął Lumbi z niesmakiem i zamknął ją w jednej z komnat.

Zrozumiała, że nie złapał jej po to, żeby zgwałcić, jak się obawiała, ale w innym celu. Mimo że chwilami wyglądał na przytomnego, prawie normalnego, był bardziej szalony, niż mogła to sobie wyobrazić.

Po co ją złapał, wyjaśnił dopiero nazajutrz rano.

– Potrzebny mi nowy kucharz. Zapominam o jedzeniu i słabnę. Nie mogę być najlepszym wojownikiem na świecie, jeśli pozbawię się sił. Prowianty są przygotowane w kuchni – oznajmił i zmienił jej kajdanki na ciężkie okowy otaczające kostkę. Okowy te przytwierdził do łańcucha przy pomocy solidnej kłódki.

Łańcuch był długi i ciężki, przypuszczała, że waży więcej od niej. Rozciągnięty na całą długość, umożliwiał jej przejście korytarzem do wielkiego, niegdyś bardzo wygodnie urządzonego salonu. W ciągu kilku minionych miesięcy zniszczyła go jednak woda wpadająca do środka przez rozbite, wiecznie otwarte okna. Lumbi siadywał tu często ze wzrokiem utkwionym w ścianę, innym razem pisał lub czytał coś z wielkiej księgi, będącej bez wątpienia jego dziennikiem. Fresz niestety nie umiała czytać i teraz żałowała tego. Może dowiedziałyby się z księgi czegoś, co pomogłoby jej w ucieczce. Łańcuch umożliwiał również przechodzenie w odwrotnym kierunku niż do salonu, a mianowicie do dwóch małych pokoików z widokiem na przeciwległą stronę podwórca.

W pomieszczeniu położonym najdalej w ciągu pierwszych dwóch dni zrobiła sobie wychodek. Początkowo wstydziła się, ale potem przywykła. Do wszystkiego można się przyzwyczaić, myślała, obserwując olej na patelni i czekając, aż rozgrzeje się tak, żeby mogła położyć płat mięsa. Dawniej nie jadłaby czegoś takiego, o ile nie konałaby z głodu. Mięso było stare, oblaźłe przez czerwie. Miała nadzieję, że nie pochodzi z trupów na dole.

Jej poprzednie życie, mimo że ciężkie i mozolne, wyglądało prawie jak raj w porównaniu z obecnym. Porywy wiatru trzaskały okiennicami i wiewały do środka krople wody, kilka z nich upadło aż na patelnię, odwróciła głowę, żeby pryskająca woda z tłuszczem nie wpadła jej do oczu. Ostrożnie położyła mięso na gorącym oleju, czerwie wyczuły widać niebezpieczeństwo i próbowały uciekać, ale żaden nie przedostał się przez rozpalony olej. Dziś Lumbi dostanie do jedzenia mięso z mięsem. Sama się do zjadania czerwi nie mogła przymusić.

Głośne huknięcie drzwiami i odgłos wściekłego tupania rozlegający się w pomieszczeniach pozbawionych mebli, tapet i jakiegokolwiek wyposażenia świadczyły o jego nadejściu.

– Gdzie jesteście, nie chowajcie się, udowodnię wam, że jestem najlepszy!

Wychudzona postać hrabiego Lumbi pojawiła się w drzwiach, był goły do pasa, a w ręce trzymał miecz.

Zrozumiała, że właśnie się obudził. I jakiś czas trwało, zanim wróciła mu choć część przytomności.

Nie stał już w drzwiach, ale dwukrokiem, który zabrzmiał jak jeden, znalazł się nagle tuż przy niej i zaczął toczyć dziki pojedynek z niewidzialnymi przeciwnikami.

Fresz nie poruszyła się. Gdy pokonała strach i zbadła szkielet na krześle, odkryła, że ma kilka żeber przeciętych. Może Lumbi zranił go w trakcie jednej z takich dzikich walk, a później związał z jakiegoś powodu i zostawił na miejscu? W tym ponurym zamku nasyconym szaleństwem wszystko było możliwe.

Lumbi zakończył swoją walkę z cieniem w parterze z klingą wyciągniętą równolegle do podłogi.

– Jesteście nędznikami i dlatego chowacie się przede mną! Ale ja was znajdę, oni mi powiedzą, gdzie was odszukać! Ale teraz milczeć!

Jego wściekłość zastąpiło gwałtowne łkanie i Lumbi wybiegł. Wiedziała, że teraz będzie szaleńczo pisał w swojej księdze. Albo ją wertował. Odwróciła mięso, od spodu zdążyło już się zaróżowić, a czerwie poszarzały.

Przez poprzednie dni wiele rozmyślała, nie miała nic innego do roboty. Już dawniej

zdawała sobie sprawę, że nic dobrego jej w życiu nie czeka. Mogła skończyć jako ulicznica, żyjąca z tym czy innym mężczyzną, albo nawet jako prostytutka. Przy odrobinie szczęścia i przy zachowaniu ostrożności mogła jeszcze parę lat utrzymywać się z kradzieży. Nie знаła żadnych starych złodziejek oprócz tych, które pracowały dla szefów poszczególnych dzielnic, szukając takich szczeniaków, jakim ona teraz była.

Znów odwróciła mięso, żeby się porządnie przypiekło. Gdyby Lumbi zatrzał się jedzeniem, zostałyby przypięta do łańcucha i umarła z głodu. A tego sobie nie życzyła.

Nie pamiętała czasów, gdy do kogoś należała, nie pamiętała matki, niczego. Jej wspomnienia zaczynały się od śniegu na ulicach i tułaczki od domu do domu. Obejmowały też poranne ucieczki przed sprzedawcami chleba i precli, którzy starali się ją dogonić, ale nigdy im się to nie udawało. Może dlatego, że tak naprawdę nie chcieli jej złapać, bo była naprawdę bardzo mała. Podniecenie powodowało, że dostawała kolorów na twarzy, a łup smakował jej lepiej niż cokolwiek, czego próbowała. Ostatnimi czasy było lepiej, ulica stała się jej domem, wiedziała, jak na niej przeżyć. Było lepiej, czasem naprawdę świetnie, jeśli nie myślała o przyszłości.

Teraz to się skończyło. Zawsze może być gorzej, przyszło jej na myśl stare powiedzenie. Zdawała sobie sprawę, że jeśli nie nastąpi jakiś cud, to skończy jako kolejne zwłoki w tym ponurym, opuszczonym zamku. Gdyby ją Lumbi przed chwilą zauważył, mogła to już mieć za sobą.

Wyłożyła mięso na talerz i wrzuciła na patelnię ziemniaki. Też były stare, ale po przegotowaniu i upieczeniu dały się jeść. To właśnie ziemniakami żywiła się przez ostatnie dni. Może powinna oszczędzić sobie tej całej udręki i pozwolić szalonemu hrabiemu zabić ją jak najszybciej? Jednak nigdy przedtem nie poddawała się ani głodowi, ani ludziom, którzy chcieli ją skrzywdzić. Z niewesołych rozmyślań wyrwało ją skrzypnięcie drzwi. Lumbi, wracając z nocnej wyprawy, znów nie zamknął za sobą zamkowej bramy i teraz miał gości. Fresz odstawiła patelnię z ognia i podbiegła do drzwi. Wiedziała, w którym oknie stanąć i gdzie patrzeć. Podobną sytuację już raz widziała. Przez podwórze posuwali się ostrożnie dwaj mężczyźni. Jeden młody, z zarostem na twarzy, a drugi przysadzisty pięćdziesięciolatek, z szeroką pierśią i silnymi ramionami. Obaj byli uzbrojeni, broń dość nieskutecznie ukrywali pod rozpiętymi płaszczami. Starszy, wiedziony jakimś instynktem, dostrzegł ją, chociaż kulila się przy parapecie, i wykrzywił kwadratową twarz pokrytą jakimiś liszczami. Coś powiedział do swego towarzysza i obaj zarechotali. Znała taki rechot, dobrze go rozumiała. Ten stary chce ją skrzywdzić. Czuła to na odległość, cieszył się, że będzie mógł ją skrzywdzić.

W pierwszej chwili chciała uciec od okna, ale metaliczny dźwięk łańcucha

przypomniał jej o rzeczywistości i ogarnęła ją groza. Co z nią będzie, jeśli ten mężczyzna się tu dostanie? Umrze wtedy i będzie ją to bardzo bolało. Powinna starać się rozbijać ten łańcuch w każdej chwili, kiedy jej Lumbi nie widział. Powinna przynajmniej spróbować, nie marnować swojej szansy! A teraz chociaż popatrzy, żeby dowiedzieć się jak najwięcej. Przycisnęła się znów do okna i wyglądała przez nie tak, żeby wszystko widzieć, pozostając ledwie widoczną. Jej poprzedni szybki ruch poruszył kurz tkwiący pod ramą okienną i czuła go teraz na języku i między zębami. Cząsteczki wysychającego ciała za plecami też na pewno były w tym kurzu. Odgoniła te myśli i skupiła się na wydarzeniach na zewnątrz.

Dekoracja podwórza zatrzymała intruzów, obchodzili jednego trupa po drugim i czasem cicho coś do siebie mówili. Broni już nie ukrywali, trzymali ją w pogotowiu.

– Zabici mieczem, nie zastrzelili ich – dosłyszała głośniejsze wypowiedziane zdanie, w którym brzmiała ulga.

Jednak jeśli przyszli tu goście, to powinni być na miejscu i obserwatorzy, przypomniała sobie. Poprzednio stali na wątych murach i ten grubszy miał z tym kłopoty. Gdyby go drugi mężczyzna nie podtrzymał, spadłby chyba. Dostrzegła ich. Tym razem usadowili się na niższym dachu stajni. Znów był to ten gruby w drogim ubraniu i niższy ubrany na ciemno, który poruszał się jak zapaśnik, a czasem jak tancerz. Widziała takich w wędrownym cyrku, do którego dostała się przez dziurę w ogrodzeniu.

– No, chodźmy z wizytą, ten cmentarzyk już obejrzałem, a do kieszeni im zajrzę, jeśli w środku nic nie znajdziemy. – Starszy z mężczyzn wskazał na główny budynek zamku.

– A ja wiem, że coś – zarechotał chrapliwie młodszy – tam na pewno jest.

Fresz skurczyła się. To o nią mu chodziło.

Czy to był przypadek, że te draby przyszły do zamczyska? Zdawało się opuszczone, niezamieszkane i to mogło ich przywabić, ale mogli też przyjść celowo.

Czy to za sprawą Lumbiego, czy obserwatorów kryjących się na dachu stajni? Wszystko było możliwe, lecz dla niej wynikało z tego tylko dalsze niebezpieczeństwo.

Skrzypnęły drzwi, wzbudziło to jej ciekawość i znów wyjrzała przez okno. Spostrzegła Lumbiego podchodzącego do dwójki na dole. Nadal goły do pasa i bosy, w ręce trzymał miecz.

Chociaż był zdecydowanie szalony, nieznanym gościom nie zapomniał powitać.

– Witam was, moi goście, czegoż sobie życzycie? – zaczął ze staroświecką uprzejmością.

Czy to był jego normalny stan? Nie sądziła.

– A jak myślisz, czego możemy chcieć? – rzekł młodszy i uniósł broń.

Nawet ze swego miejsca Fresz dostrzegła na ostrzu niedozwolone zęby.

Starszy, nic nie mówiąc, przesunął się w lewo, żeby obaj zbliżali się do Lumbiego z różnych kierunków. Jeszcze przed chwilą poruszał się, kolebiąc jak niedźwiedź, teraz stawiał krótkie, szybkie kroki, zdawało się, że pływa.

– Tak myślałem. Przyszlście zmierzyć się ze mną, przyszlście po swoją śmierć. Jak wszyscy inni.

Lumbi uśmiechał się teraz i wyglądał prawie normalnie. Jednak sytuacja, w jakiej się znajdował, daleka była od normalności, co tylko zwiększało jego niepoczytalność.

Starszy mężczyzna machnął ramionami i jego zbójcecki płaszcz łatwo zsunął się z pleców. Złapał go w rękę. Musiał to mieć wyćwiczone, osądziła Fresz. Młodszy tymczasem ostrożnie przybliżał się do wyczekującego Lumbiego, jego kompan też szedł na niego z płaszczem przerzuconym przez lewą rękę.

Lumbi ruszył na młodszego, zaatakował cięciem, ale powstrzymał klingę, zanim miecze się zetknęły, a później szybkim wypadem dosięgnął boku przeciwnika. Tylko go drasnął, nic więcej. Starszy był już prawie przy nim, ale Lumbi widział go, odszedł w bok z równoczesnym obrotem, zwiększył dystans i odbił pchnięcie. Stał zadzwięczała po raz pierwszy. Fresz zauważyła, że dwaj ludzie na dachu przestali się ukrywać i obserwują całą scenę z wielkim zainteresowaniem.

Młodszy z napastników spróbował skorzystać z odskoku przeciwnika i zaatakował, ale sytuacja się powtórzyła, Lumbi łatwo się uchylił, a następnie pozornie bez sensu ciał prosto w jego miecz. Metal zadzwonił głośnym, wwiercającym się w uszy dźwiękiem i Fresz aż drgnęła. Młodziak z tępym wyrazem twarzy spoglądał na swój przecięty oręż i krew lejącą mu się z piersi.

– Zabiłeś mnie – wycharczał i upadł na kolana, potem na twarz.

Ale na Lumbiego już nacierał starszy mężczyzna. Nieoczekiwanie szybki i skoczny. Fresz nie musiała być fachowcem, żeby ocenić, że jest znacznie lepszym szermierzem niż jego kompan.

Miecze znów zadzwoniły, oczekiwała, że Lumbi przetnie i ten miecz, ale nic takiego nie nastąpiło, chociaż wyraźnie tego próbował.

– Z Arminem dość długo chodziłem na robotę – wyrzucił z siebie ochryple starszy z napastników, gdy nastąpiła krótka przerwa i obaj ostrożnie się obchodzili wokół. – Będiesz długo umierać.

Pragnienie zemsty brzmiące w tym zdaniu na nowo wzbudziło u Fresz falę strachu, w tej chwili obaj przeciwnicy znów rzucili się na siebie. Napastnik mocno nacierał na

Lumbiego, używając miecza i płaszcza. Wydawało się, że zyskuje przewagę. Nagle obaj stanęli blisko przy sobie, obrócili się w dzikim piruecie i rozdzielili. Hrabia zastygł w swobodnej postawie szermierczej, goła, spocona pierś poruszała mu się szybko. Obserwował przeciwnika uważnie. Teraz wyglądał całkiem normalnie. O ile normalnie może wyglądać ktoś, kto walczy właśnie na śmierć i życie. Jego przeciwnik nie stał tak swobodnie, trzymał rękę na biodrze, a między palcami przeciekała mu krew. Płaszcz odrzucił.

– Tego na mnie nie wystarczy, oddam z procentami – warknął.

Lumbi pokręcił tylko głową, zbliżył się ostrożnie i zaatakował. Tym razem nie próbował ominąć zastawy, cięcie skierował wprost na klingę przeciwnika. Nienaturalny dźwięk metalu znów zaskoczył Fresz, ale wiedziała, co to znaczy, jedna z kling nie wytrzymała.

– Jak to zrobiłeś? – zapytał mężczyzna, wyglądając nagle o wiele starszej niż przed chwilą.

Lumbi zaśmiał się, błyskawicznie ujął swoją ukochaną broń obiema rękami i odrąbał przeciwnikowi przedramię ręki, w której tamten trzymał ułomek miecza. Zanim ranny upadł na ziemię, szalencie zdołał zaatakować jeszcze trzykrotnie. Ostatnim cięciem pozbawił go kawałka ciemienia.

Fresz schowała się pod oknem, oparła plecami o ścianę i przez chwilę walczyła z mdłościami. Nie chciała później sprzątać po sobie. Ta myśl pozwoliła jej przezwyciężyć nudności i powróciła do przygotowywania jedzenia. Stojąc przy palenisku, widziała, że obaj obserwatorzy złażą z dachu. Dla ułatwienia już przedtem przyciągnęli sobie składaną drabinę. Kiedy to zrobili, nie domyślała się. Ani tego, z jakiego powodu tu byli. Wątpiła jednak, żeby ich obecność mogła być dla niej pomocą. Wierna swej niedawnej decyzji, żeby nie poddawać się za żadną cenę, zaczęła od tego, że do kłódki swego łańcucha naalała trochę oleju i wzięła się za szukanie czegoś, co mogło jej posłużyć jako klucz.

UMIERANIE W CISZY

Przez połowę nocy nikt nie spał, chyba tylko z wyjątkiem Janicka. Słyszałem, jak czarodzieje przewracają się na swoich prowizorycznych legowiskach, czasem któryś z nich westchnął przeciągle, I inny znów oddychał zbyt głośno i z przerwami. Nerwowość i strach, spotęgowane ciemnością, stworzyły mieszaninę przenikającą każdą komórkę ciała. Dokuczalo mi zimno, w plecy i pośladki uciskały mnie gałęzie, po kilku godzinach niewygodą zmieniła się w ból, który w końcu stał się nieznośny. Jakoś jednak wytrzymałem, była to cena za umknięcie śmierci polującej gdzieś na dole.

Pierwsze chrapanie odezwało się wraz z pierwszym niecierpliwym ptakiem, choć niebo było jeszcze ciemne. Jakby tym uspokojeni, zasnęli wszyscy. Nie zdradził mi tego jakiś konkretny sygnał, ale nerwowość zniknęła i nastał spokój. Dalej wyczekiwałem, zmarznięty, wymęczony i obolały, starając się rozruszać i rozgrzać mięśnie. Później, również bez jakiegokolwiek wyraźnego powodu, doszedłem do wniosku, że w obozie jest o jednego żywego mniej. Skąd to wiedziałem? Wcale nie wiedziałem, zadziałała intuicja, ale nie chciałem ryzykować życiem, nie mając pewności, i czekałem aż do chwili, gdy w szarówce świtu mogłem rozpoznać sylwetki śpiących ludzi. Dopiero wtedy ostrożnie zszedłem i z nożem w ręce podszedłem na palcach ku Fedorowi. Leżał z rękami wyciągniętymi do góry. Może instynktownie przyjął taką pozycję, gdy walczył z obniżającym się poziomem tlenu we krwi, jaki powoduje jad niektórych węży. Żadnego śladu ugryzienia jednak nie dostrzegłem, węża również. Teraz, w porannym chłdzie, każdy gad byłby sparaliżowany zimnem i wystarczyłoby go podnieść. Fedor otworzył oczy, bez zastanowienia przytknąłem mu ostrze do gardła. Żył! Ale chyba byłoby dla niego lepiej, gdyby umarł, pomyślałem, widząc, że jego źrenice są małe jak główki szpilek, a białka czerwone od krwi z popękanych naczyń. Dopiero teraz ujrzałem sieć, która oplotła się wokół jego korpusu. Oplotła i przegryzała się, czy też przenikała, przez ubranie do skóry i głębiej do mięśni.

Nagle goleń lewej nogi objął mi jakby ogień, odskoczyłem błyskawicznie. Już wiedziałem, w jaki sposób czarodzieje chcieli mnie zabić. Pozyskali jakoś *carpathium plagae* – sieciowca przywrę, egzotycznego drapieżnika owianego legendą, zamieszkującego deszczowe lasy tropikalne na południe od równika. Jak podaje encyklopedia Aary'ego, te półmityczne stwory osiągały wielkość dochodzącą do kilkudziesięciu metrów kwadratowych,

a największe z nich były w stanie upolować goryla, nosorożca, cokolwiek – po prostu wszystko, co żyło w pralaszach. Bardzo ostrożnie pochyliłem się nad Fedorem. Drobnym kontakt nie mógł mi zaszkodzić, ale stąpienia na sieciowca obydwoma nogami powinienem się wystrzegać. Odsunąłem zniszczone ubranie, żeby sprawdzić, na ile dokładne są opisy dawnych przyrodników. Według nich sieciowiec miał formę siatki o sześciokątnych oczkach, zbudowanej z cienkich, mocnych włókien pokrytych drobnymi włoskami. Do wnętrza ciała ofiary przedostawał się, przepalając je kropelkami żrącej cieczy, jaką wydalał. W jej skład wchodził też narkotyk paraliżujący ofiarę, a równocześnie zachowujący ją przy życiu aż do momentu, w którym sieciowiec nie uszkodził jakiegoś ważnego organu wewnętrznego. Było to logiczne, w warunkach pralasu padlina szybko się psuła, a sieciowiec musiałby się zmagać z konkurencją w postaci niewybrednych padlinożerców, zainteresowanych łatwo dostępnym pożywieniem. Musiałem przyznać, że opisy były dokładne.

Podczas mojego badania rozwidniło się jeszcze bardziej, już mogłem ocenić wielkość sieciowca. Przypuszczałem, że całkowicie rozwinięty miałby około sześciu metrów kwadratowych. Na nosorożca było to za mało, ale na człowieka lub goryla starczało aż nadto. Ostrożnie wyciągnąłem moją koszulę spod legowiska Fedora, wróciłem na swoje miejsce i zapadłem w nieco nerwową drzemkę, czekając, aż obudzą się pozostali. Nie sądziłem, żeby sieciowiec poszczuty na mój zapach opuścił złowioną zdobycz, ale całkiem pewny tego nie byłem.

– Nie! To zabiło Fedora! – wykrzyknął Mayers, budząc wszystkich.

Odczekałem chwilę, pozwalając im wrócić do przytomności.

– Co żezało Fedora? – zapytałem z widocznym zaciekawieniem i niedowierzaniem, zrywając się na nogi.

Majal stał już obok zszokowanego Mayersa z ręką na jego ramieniu, a sądząc z tego, jak napięte były jego mięśnie, trzymał go raczej mocno.

– Coś, nie domyślamy się co – odparł i rzucił przestraszonemu czarodziejowi ostrzegawcze spojrzenie.

Podszedłem do nich i przyjrzałem się Fedorowi. Nadal żył, tak jak podawała encyklopedia, a przy świetle dziennym mógł nawet coś widzieć przez zmniejszone źrenice. Przyjrzałem się sieciowcowi i jego metodzie łowieckiej jeszcze raz, w pełnym świetle.

– Słyszałem o takich stworach – powiedziałem w końcu. – Ale sądziłem, że żyją tylko w pralaszach. Jak się okazuje, na tych bagnach też.

Majal wyglądał na zaniepokojonego, Mayers był wystraszony, a Janick tylko zaciekawiony i zamyślony. Pewnie domyślał się, co zaszło w nocy.

– Już późno, powinniśmy zacząć przygotowywać się do drogi – przypomniałem im i wróciłem na swoje posłanie, żeby spakować rzeczy.

Zachmurzony Majal poszedł za moim przykładem, Janick nadal oglądał martwego. Znaczy, na razie umierającego.

– W żaden sposób mu nie pomożemy? – zapytał zgnębiony Mayers. – Przecież żyje, stara się coś powiedzieć, ale nie potrafi.

– Chyba ma porażone struny głosowe – powiedziałem. – A jak mu pomóc, nie wiem. Sieciowca z niego usunąć nie zdołam, jest już głęboko w ciele.

W ponurej ciszy załadowaliśmy wóz, zaprzęgli konie, do śniadania nikt się nie kwapił. Majal przez chwilę stał nerwowo w miejscu, później wsiadł na konia i ruszył w drogę. Janick pojechał za nim na pierwszym wozie, a na końcu ruszył Mayers z nisko opuszczoną głową.

Pozwoliłem im odjechać i pochyliłem się nad Fedorem.

– Widzisz, nie zrobili dla ciebie nawet tej ostatniej przysługi – szepnąłem. – Ale ja będę bardziej litościwy.

Nie poruszył się, tylko prawie niepostrzeżenie zamrugał powiekami. Może nie planowałem tego, ale w rzeczywistości było to bez znaczenia. Otworzyłem mu żyłą udową i pozwoliłem się wykrwawić. W przeciwnym razie leżałby tu jeszcze wiele dni, a tego mu nie życzyłem. On nie zrobiłby dla mnie nic, ale świat nie jest sprawiedliwy, z tym pogodziłem się już dawno.

Przez pierwsze godziny jazdy rozmyślałem o tym, kim są moi towarzysze. Dostrzegałem zwierzęcą nienawiść Mayersa, obarczającego mnie winą za to, co się stało, i wściekłość Majala z powodu fiaska jego planu. Rozumiałem ich, najłatwiej jest własne błędy i niepowodzenia przypisać komuś innemu. Ale czemu nie skrócili cierpień towarzysza? Czy im na nim nie zależało? Zabrakło im odwagi? A może dlatego, że byli czarodziejami?

Stwierdziłem, że rozumiem ich mniej, niż sądziłem, i trochę mnie to zaniepokoiło. Przeciwnicy, o których człowiek nic nie wie, a tym bardziej ci, którzy potrafią stworzyć fałszywy obraz siebie, są najniebezpieczniejsi.

Nie jedliśmy śniadania i dlatego zrobiliśmy sobie popas około południa i porządnie najedliśmy się, korzystając z naszych zapasów. Chleb zaczynał już pleśnieć, ale solone i natarte przyprawami mięso nadal smakowało wyśmienicie. Kroilem cienkie plasterki, żując je dokładnie, żeby dostarczyć ciału maksimum wartości pożywienia. Przy jedzeniu obserwowałem kępę trawy, ostrzycy. Jakieś zwierzę przeszło po niej i teraz podnosiła się pomалу. Wielki dziki kot? Wiedziałem, że tu żyją. Dzika świnia? W miejscach nieco bardziej suchych widziałem ich ślady. Może coś innego? Wstałem, podszedłem do kępy powoli,

jakbym nie miał niczego innego do roboty, i ukucnąłem. Pas ostrzycy wyznaczał skraj płytkiej wody, czystszej niż gdzie indziej w okolicy, bo dno było piaszczyste, a w pobliżu nie rosły drzewa, z których spadałyby do niej liście. W piasku pod powierzchnią odcisnął się bardzo wyraźnie ślad buta bez obcasa. Wszedłem do wody i znalazłem więcej śladów. Dwóch mężczyzn nadeszło z pozornie nieprzebytego moczar i tutaj musieli wejść na dróżkę. Albo nie starali się maskować swojej obecności, albo przechodzili po ciemku i nie zauważyli rzadko występującego piaszczystego dna, w którym zachowały się odciski stóp.

– Co pan tam ogląda? – huknął Majal.

– Nic – odparłem, rozpiąłem spodnie i wysikałem się do wody.

To zniechęciło go do dalszych pytań.

Po dalszej półgodzinie drogi uzyskałem pewność, że ci dwaj starali się jednak zacierać za sobą ślady, bo tylko w kilku miejscach znalazłem nierzucające się w oczy oznaki, że ktoś tędy przechodził. Gdybym ich świadomie nie szukał, pewnie bym nie zauważył.

Oczekiwało na nas towarzystwo.

Według mapy powinniśmy po południu dotrzeć do bocznej dróżki prowadzącej do ruin starej twierdzy Maaterenditu. Jednego z nas brakowało, więc więcej trudu kosztowało nas popychanie wozów, nikt nie siedział na koźle, a kobyła Majala szła swobodnie bez jeźdźca. W każdej wolnej chwili wypatrywałem śladów. Nabrałem pewności, że niedawno przeszło tędy trzech lub więcej ludzi. Po bagnach nikt nie chodził bez potrzeby, a ci na pewno nie byli kupcami. Dobrze zacierali ślady, tak jakby im zależało na tym, żeby nikt się o nich nie dowiedział.

– Wygląda pan na zamyślonego – zagadnął mnie Janick podczas krótkiego postoju po przejechaniu zalanego odcinka drogi. Chociaż byliśmy przemoczeni po piersi, nikomu nie było zimno i gdy siedzieliśmy na słońcu, nasze włosy i ubrania wyraźnie parowały.

Młody czarodziej uległ zmianie od czasu przebudzenia się jego talentu. Zamknął się w sobie, a przy tym zyskał na pewności siebie. Był trochę mniej ludzki i bardziej surowy. Ale może mi się tylko tak wydawało.

– W górach pada deszcz, woda się podnosi – oznajmiłem.

To była druga sprawa, która przyczyniała mi trosk, oprócz tajemniczych nieznanym przed nami.

Wszędzie wokół, między drzewami, krzewami, kępami traw i trzciny, błyszczała czarna woda. Z każdym centymetrem wzrastającego poziomu zalewane były dalsze dziesiątki kilometrów kwadratowych. Jakby na potwierdzenie moich słów krzewy, gęsto rosnące na granicy płytkiego zagłębienia, zachwiały się. Nagle pojawiły się pomiędzy nimi cienkie

strużki, ściekające do niżej położonej tafli wodnej.

Wyglądało to tak, jakby kraina żyła, a woda stanowiła jej krwiobiegi.

– Lepiej jedźmy – powiedziałem i nikogo nie trzeba było poganiać.

Majal często się rozglądał, porównywał przebytą przez nas trasę ze swoją mapą. Widocznie był przekonany, że zbliżamy się do celu. Ja byłem tego pewny, bo po lewej stronie pojawiła się wąska, stopniowo rozszerzająca się wstęga wody. Była to najbardziej wysunięta na zachód część wielkiego Jeziora Czystego, zasilanego przez rzekę Raslinę. Na mapie jezioro miało kształt przypominający rozprysniętego kleksa, a na jednym z półwyspów, wrzynającym się w jego powierzchnię, znajdował się cel naszej podróży. Przynajmniej według mapy Majala.

Spodziewałem się, że wbrew swej nazwie jezioro będzie zawierało wodę stojącą i zatechłą, ale teraz powierzchnia pokryta była dość dużymi falami, wywołanymi przez wyraźnie widoczny prąd, omywający trawy, trzciny i krzewy. Jezioro pomału wylewało się do otaczającego je bagna. Dróżka prowadziła po najsuchszym, a więc najwyżej położonym terenie i tworzyła naturalną, rozmiękłą groblę, po której poruszaliśmy się wolno i ostrożnie. W gruncie rzeczy brodziliśmy.

Wszyscy obserwowali przebudzony żywioł podejrzliwie i z obawą. Po lewej było jezioro pofalowane przez prąd, po prawej pozornie bezkresny, poszatkowany wznórkami i kępami trzcin obszar bagien, w którym woda rozmywała się i zanikała. Ale nadal miała swoją moc. Wysoka topola zatrzeszczała nagle i z donośnym pluskiem runęła w bagno. Po tym wydarzeniu z jeszcze większą obawą patrzyliśmy na błyszczące, stale rozszerzające się rozlewiska, zmieniające stały ląd w archipelag wysepek.

Mimo to posuwaliśmy się naprzód zgodnie z planem. Dostrzegłem już półwysep odchodzący od dróżki. Był niski, wystawał zaledwie na metr ponad powierzchnię wody, pełnej gałęzi, pni lub całych przewróconych drzew. Może nie był to nawet cały metr. Wyobrażałem sobie, że jest wyższy.

Nie miałem ochoty wchodzić na ten wąski skrawek ziemi i zмагаć się z powodzią rozlewającą się na wszystkie strony i wyraźnie przybierającą na sile.

WĘZŁY LOSU

Bamegi nie spuszczał oczu z przybliżających się wozów. Pomimo że rano wybrał starannie miejsce dające doskonały ogląd sytuacji, a równocześnie suche, leżał teraz w płytkiej kałuży. Miał nadzieję, że trzech jego łuczników nie ma kłopotów z nadmiarem wody. Cięciwom by to nie posłużyło, a on liczył, że trafią co najmniej dwóch ludzi.

Im bliżej bocznej drogi podjeżdżały wozy, tym wolniej się posuwały. Bamegi dostrzegł dławca. Wysoki, szczupły mężczyzna, najwyraźniej dowódca karawany, rozglądał się coraz częściej i co chwila spoglądał na mapę. Bamegi skupił uwagę tylko na nim. Patrzył, jak obchodzi wóz, jak się rozgląda, chowa mapę, wspina się na kozioł, pochyla się ku innemu podróżnemu i rozmawia z nim. To był on, żebrak, który później okazał się niebezpiecznym wojownikiem i zniweczył ich akcję. Zupełnej pewności nie miał, ale gotów był postawić dziesięć do jednego, że to właśnie zdobycz, którą tak długo tropili. Nie mógł jednak zacząć działania, dopóki nie uzyska całkowitej pewności. Nie wcześniej, niż karawana ruszy ku nieistniejącym resztkom twierdzy Maaterenditu. Wtedy ostatecznie zatrzaśnie się pułapka zastawiona przez króla intrygantów, Jego Ekscelencję Varatchiego.

Jak uzbrojony jest Koniasz? Po chwili uważnej obserwacji uzyskał odpowiedź. Pod kurtką nosił krótki miecz. Albo dwa miecze, o ile zostały wykonane jako broń bliźniacza, dla prawej i lewej ręki. Oprócz tego miał kilka noży do rzucania, lecz ile, ninja nie mógł odgadnąć. Człowiek, który nosi przy sobie tyle żelaza, potrafi je dobrze ukryć przed ewentualnymi obserwatorami. Bamegi nie martwił się, wiedział, że jego ludzie są na tyle dobrzy, żeby poznać, który cel jest najniebezpieczniejszy, i właśnie nim zająć się w pierwszej kolejności. Ironią losu wydawało mu się, że tak waleczny człowiek miał zginąć od celnej strzały wypuszczonej z zasadzki. Ale takie było życie i nie do Bamegiego należało dokonywanie zmian w planach. On powinien przystosować się do biegu spraw. Zatrzął się z zimna. Zauważył, że przez kałużę, ogrzewaną jego własnym ciałem, zaczyna przepływać odczuwalny prąd wody. Chyba właśnie to zjawisko zatrzymało karawanę. Obawa przed powodzią. Ninja wiedział, że półwysep, na którym znajdowała się stara czarodziejska cytadela, jest położony wyżej niż dróżka i jego obecne stanowisko. To powinno uspokoić Koniasza i jego ludzi. Gdy skręcą obok dużego kamienia i miną złamaną topolę, łucznicy zaczną strzelać. Trzy łuki oznaczają sześć strzał wypuszczonych w czasie nie dłuższym niż

siedem uderzeń serca. Sześć dokładnie wycelowanych strzał. Rażąc na krótki dystans trzydziestu kroków, jego ludzie będą celowali w głowy i nic nie pomogą kolczugi, nawet najwyższej jakości. O ile tamci je mieli. Wątpił w to, nie poruszali się jak ludzie w zbrojach. Gdzieś głęboko w duszy Bamegi na przekór swemu pragmatyzmowi pragnął, żeby Koniasz jakimś cudem przeżył i zmierzył się z nim twarzą w twarz. To bezsensowne życzenie przeczyło wszystkim zasadom życiowym Bamegiego, pojawiło się jednak niezależnie od jego woli.

*

Wydawało się dziwne mieć nad głową czyste niebo, a równocześnie widzieć wzbierające fale wszędzie dookoła. Według tego, co czytałem o Brunatnych Bagnach, nachylenie gruntu było tak łagodne, a roślinność stawiała cieknącej wodzie tak silny opór, że aby powódź dotarła aż do starych, północnych obwałowań Krachtiburga, poziom rzek spływających z gór musiałby się podnieść o dziesięć metrów lub jeszcze więcej.

– Stójcie – zawołałem i wyszedłem na środek dróżki, żeby zmusić Majalę, w razie gdyby nie posłuchał polecenia, aby ominął mnie, wchodząc do wody.

Nie miał ochoty na kąpiel i dzięki temu mój autorytet nie ucierpiał.

– A to dlaczego? – spytał zaczepnie.

Poklepał kobyłę, jakby za chwilę zamierzał jej dosiąść. Ja nie miałbym odwagi w tym terenie i w obecnych warunkach.

– Dlatego, że tak powiedziałem – oznajmiłem spokojnie i rozchyliłem płaszcz, żeby dokładnie widział bandolier z nożami. Nie sądziłem, że spróbuje głupich sztuczek, nie teraz, gdy wszyscy byliśmy zagrożeni. Chciałem go tylko trochę wyprowadzić z równowagi. Znow wyjąłem mapy i zacząłem porównywać starą z nową. Z uwag kartografa wynikało, że półwysep nie wystawał ponad powierzchnię jeziora więcej niż na pięć metrów. Przy obecnym poziomie wody wystawał o wiele mniej, brunatne fale jeziora miały zamiar zalać go zupełnie. Krzaki i kamienie sterczące z wody wskazywały, gdzie jeszcze niedawno był suchy ląd. Przy jeszcze wyższym poziomie wody cały półwysep praktycznie zniknie. Z drugiej strony jeziora, jakieś pół godziny drogi przed nami, wrył się w brzeg występ najdalszego grzbietu północno-wschodnich gór. Wydawał się o wiele wyższy. Spróbowałem wyobrazić sobie, jak ta kraina wyglądała przed wiekami. Jezioro leżało w miejscu, gdzie stykało się kilka płytkich, szerokich dolin. Niestety, na własne oczy widziałem zbyt mało, wróciłem więc znow do rozłożonych kart. Nigdy nie miałem w rękach map z tak dokładnie oznaczonymi wysokościami poszczególnych miejsc. Dlaczego ktoś zadał sobie tyle trudu? Nie domyślałem

się. Może to było pasją kartografa? Skupiłem uwagę na sto lat starszej, mniej dokładnej mapie. Brunatne Bagna były wtedy mniejsze niż dziś. Żadna dróżka kupiecka nie została zaznaczona, ale jeśli wiodła przez teren obecnie częściowo bagienny, zarośnięty i zalany wodą, to musiała obchodzić ten wyższy grzbiet. W jakiej odległości? Co kierowało dawnymi budowniczymi, że wzniesli twierdzę właśnie w tym miejscu, do którego się zbliżyliśmy?

Majal zaraził swą nerwowością i tak już niespokojną kobyłę, aż zaczęła się płoszyć.

– No to ruszmy już? – szczechnął.

– Tak – przytaknąłem i zacząłem chować mapy.

*

Liam wracała do domu. Wcześniej rano, korzystając z wysokiego poziomu wody w kanałach za miastem, nałapała ryb. Udało się jej złowić kilka drapieżnych, które na targu sprzedała za godziwą sumę, potem przepytowała dwie kobiety i jednego mężczyznę, uzyskując kolejne trzy nazwiska ludzi, którzy zniknęli. Wprawdzie nie wiedziała jeszcze, do których rozgałęzionych rodzin zaginięni należeli, ale plan miasta знаła już niemal na pamięć i wszystko pasowało do odkrytego wzorca. Deprymowało ją to i napawało strachem. Jak to możliwe, że zniknęło tylu ludzi, a nikt o tym nie wiedział? I co ona z tym zrobi? Dalsze poszukiwania byłyby tylko odwlekaniem rzeczy najważniejszej, zaznajomienia z tymi przerażającymi przypadkami całego rodu i pozostałych rodzin. Bała się, że jej nie uwierzą, a nawet jeżeli uwierzą, to co mogą, do cholery, zrobić? Uciec? Wszyscy? Odłożyła torbę z zakupami i tępo wpatrywała się w mur. Nie miała nadziei, nikt z nich nie mógł mieć. Może także jej działania do tego doprowadziły? Nie wiedziała, jak długo stała tak bez ruchu. Kiedy straciła syna i męża, nauczyła się, że najważniejsze jest skupienie się na rzeczach najbliższych. To oznaczało powrót do domu, naniesienie na mapę nowych informacji, zwołanie... nie, powrót do domu. To nie było takie trudne zadanie.

Rozejrzała się i przez chwilę usiłowała odgadnąć, gdzie właściwie jest. Przypomniała sobie, że szła skrótem, uliczką wiodącą pomiędzy dwoma blokami przylegających do siebie domów z podwórkami. Ogradzały je wysokie mury. Podniosła torbę i poszła dalej. Narzuciła dobre tempo, żeby jak najszybciej wydostać się z opuszczonych zaułków. Naraz posłyszała za sobą szybkie kroki. Nie odwracała się, tylko jeszcze przyspieszyła. Teraz ten ktoś za nią już biegł. Uliczka była zbyt długa, zdawała sobie sprawę, że nie ucieknie, i odwróciła się. Ujrzała młodego mężczyznę. Biegł z jedną ręką schowaną za sobą. Za nim podążał następny. Odrzuciła torbę, ale wahała się zbyt długo, powinna to zrobić od razu. Kiedy spróbowała pobiec, poślizgnęła się i upadła na kolana. Młodzik był już blisko, zamierzył się na nią, w

ręce trzymał długi, wąski nóż. Nagle zatoczył się, krzyknął i tuż przed nią zwałił się na ziemię.

Zanim zdążyła zrozumieć, co się wydarzyło, był już obok niej drugi z mężczyzn i krótkim obuszkiem z pozoru lekko uderzył napastnika w potylicę. To wystarczyło, by młodzik zwiotczał i rozciągnął się na ziemi.

– O mało co nie zdążyłem, pani – powiedział nieoczekiwany obrońca, wyciągając rękę, żeby pomóc jej wstać.

Nie ufała mu, ale pomoc przyjęła. Nie był od niej wyższy. Smukły, niemal delikatnej budowy ciała, z twarzy przypominał małego drapieżnika, kunę albo łasicę. I tak właśnie się poruszał. Przechodząc z jednej postawy w drugą, jakby nic pośredniego między nimi nie było. Dopiero teraz zauważyła, co obaliło napastnika usiłującego ją zabić. Wokół kostek omotał mu się rzemień obciążony trzema kościanymi kulami.

– Bolas – wyjaśnił jej wybawiciel. – Kiedyś pracowałem z poganiaczami bydła i nauczyłem się od nich tej sztuki. Przydaje się, prawda? – Wyszczrzył zęby.

– Dlaczego mi pan pomaga? – spytała.

– Czy nie byłoby rozumniej spytać, dlaczego ten tutaj chciał panią zabić? – wskazał na nieprzytomnego mężczyznę.

Przełknęła, żeby pozbyć się narastającej guli strachu dławiącej jej gardło. Ten nóż! Już mogła być martwa. Ręce zaczęły jej się trząść i nic nie mogła na to poradzić.

– Potrzebuje pani czegoś mocniejszego – stwierdził mężczyzna. – Kawalek dalej jest dość przyzwoity lokal. Tylko tego młodego mordercę uspokojmy, żebyśmy mogli później porozmawiać.

Rozejrzał się, a gdy stwierdził, że nikt nie nadchodzi, zręcznie związał młodzika jak barana, a do ust wsadził mu knebel sporządzony z kawałka jego własnej koszuli.

– Oddychaj – przykazał mu, odciągnął go do ciemnego kąta i zostawił tam leżącego obok kupy odpadków, przykrytego jakimś pleśniejącym materiałem.

Może wyglądał delikatnie, ale Liama uświadomiła sobie, że to mylne wrażenie.

Z niespodziankami życia radził sobie więcej niż dobrze.

Nadal niepewna, co powinna robić, pozwoliła zaprowadzić się do gospody i teraz siedziała z kielichem mocnego, czerwonego wina w ręce, starając się zbyt dużo nie rozlewać.

– Wydaje mi się, że wiem, dlaczego próbował mnie zabić – udało się jej w końcu powiedzieć.

Pociągnęła trzy szybkie łyki i poczuła, jak ciepło z żołądka rozlewa się po całym ciele.

Pan Łasica, jak już go w duchu zaczęła nazywać, obserwował ją, milcząc.

– Ale nie wiem, dlaczego pan też się tam znalazł.

– Wysłał mnie pani przyjaciel, żebym pomógł w razie potrzeby – powiedział, badawczo się jej przyglądając.

Zamówił to samo po raz drugi.

– Nie mam żadnego przyjaciela – odrzuciła zdecydowanie jego sugestię.

– Wysoki, z bardzo brzydką twarzą, którą różni ludzie starali się poprawić pięścią i obuszkami, ale na nic się to zdało. I niebezpieczny. Nic pani ten opis nie mówi?

– Mówi, ale nie uważam go za przyjaciela.

Łasica wzruszył ramionami.

– Na pani miejscu bym uważał. Zapłacił mi, żebym był przez pewien czas pod ręką.

– Jak mógł panu za coś takiego zapłacić? Dlaczego panu ufa? Dlaczego ten chłopak chciał mnie zabić? – wybuchnęła.

Jak dla niej, za dużo było tego dobrego. Miała uczucie, że topi się w gęstej cieczy, z której nigdy już nie wydostanie się na powietrze.

– To dużo pytań naraz – zaczął spokojnie Łasica – a więc po kolei. Mamy stałego partnera handlowego, jego nazwisko nic pani nie powie. A pani przyjaciel, będą go nazywał pan Koniasz, żeby pani niepotrzebnie nie drażnić, szukał kogoś zdolnego, na którym, jak to mówią, można polegać. A tym, którego nasz wspólny znajomy handlowiec polecił, jestem właśnie ja. Dlatego mi ufa. Nie powiedział, co dokładnie będzie pani potrzebne, ale ja jestem wszechstronny. A zapłacił dość, żebym jakiś miesiąc poświęcił właśnie pani.

Łasica uśmiechnął się i skłonił. Potem znów napił się wina.

Liama stwierdziła, że jej kielich jest pusty. Zanim zdążyła go odstawić, gospodarz na znak Łasicy przyniósł następny. Wcale jej to nie przeszkadzało.

– A dlaczego miałabym panu zaufać? – zapytała cicho.

Łasica sięgnął pod wyszywaną kamizelkę. Teraz zauważyła, że jest ubrany elegancko i ma słabość do wyszywanych ozdób. Położył na stole kawałek złożonego, zadrukowanego pergaminu.

– To jest czek na okaziciela, wystawiony na Pierwszy Imperialny Bank w Saxpolis. Wie pani, co to jest czek?

Kiwnęła głową. Nigdy żadnego czeku nie wystawiła, ale raz jeden dostała i bank po jego przedłożeniu wypłacił jej pieniądze.

– Ten czek opiewa na dziesięć tysięcy złotych – powiedział cicho Łasica. – Za taką sumę mogę postarać się o tytuł szlachecki albo kupić całą dzielnicę miejską.

– Więc dlaczego jest pan jeszcze tutaj? Dlaczego nie jest pan w banku w Saxpolis? –

zapytała wprost.

– Jest pani mądra, madame, muszę to przyznać. – Zaśmiał się. – Dlatego, że o ile dobrze wywiążę się z obowiązków wobec pani, mam obiecany jeszcze jeden taki.

Wciągnęła powietrze. Dwadzieścia tysięcy złotych z jej powodu. Nie była w stanie wyobrazić sobie takiej ilości pieniędzy. Ani myśleć o niej jak o czymś realnym.

– A tu jest jeszcze jeden powód – dodał Łasica i uśmiechnął się.

Tym razem jednak tylko ustami, oczy pozostały chłodne.

– Proszę odwrócić ten czek.

Ostrożnie, jakby samym tylko dotykiem mogła go uszkodzić, zrobiła, co kazał. Cała odwrotna strona dokumentu była pokryta ciemnobrązowymi zaciekami. Nie musiała pytać, zrozumiała, że to krew.

– I to jest powód, żeby z Koniaszem grać fair – zakończył.

*

– Tak – kiwnąłem głową – już jedziemy. – Zacząłem chować mapy. – Jeśli chcecie zostać przy życiu, naśladowujcie mnie i róbcie takie miny, jakbyście nigdy nie zamierzali skrócić w tę boczną dróżkę.

Majał osłupiał.

– To pułapka. Żadnych ruin cytadeli Maaterenditu tam nie ma. Chodzi o pułapkę zastawioną właśnie na was, na czarodziejów, którzy kiedyś potajemnie służyli cesarzowi, ale później musieli zejść do podziemia.

Powiedziałem to dlatego, żeby Majał zrozumiał powagę sytuacji i zdał sobie sprawę, że tu chodzi o ich życie.

Nie byłem tego zupełnie pewien. W przeszłości osobiście szukałem artefaktów i możliwe, że chodziło tylko o mnie. Ale chciałem ich zszokować, tak żeby nawet nie spojrzeli na boczną dróżkę.

– Obserwują nas – mówiłem dalej, mając nadzieję, że tylko oni mnie słyszą. – Jeśli popełnimy błąd i wzbudzimy podejrzenia, że nie jesteśmy zwyczajnymi kupcami, już po nas.

Ruszyłem pierwszy w poprzednim kierunku, wzdłuż wyjeżdżonych, podchodzących wodą kolein. Plecy miałem mokre od potu, bałem się nawet rozglądać, żeby nie wzbudzić podejrzeń czyhających w zasadzce ludzi. Byli tu, czułem. Ja sam wybrałbym takie właśnie miejsce. Każdy krok był dla mnie jak brodzenie w smole, włosy na karku jeżyły mi się, a najśłabszy nawet powiew wiatru mroził krew w żyłach. Najgorsze było, że rozwój sytuacji nie zależał tylko ode mnie, ale również od pozostałych. Wystarczył jeden błąd. Minąłem boczną

dróżkę, wiodącą na porośnięty pałkami wodnymi i kosaćcem półwysep. Ciężkie, brunatne fale przelewały się zaledwie pół metra niżej. Byłem gotów pójść o zakład, że wkrótce półwysep stanie się wyspą, na przekór informacjom Majala.

*

Bamegi z niedowierzaniem obserwował karawanę mijającą miejsce zasadzki. Odkryli obecność jego ludzi, wyczuli podstęp? Nie sądził, żeby to było możliwe. Pomylił się, chodziło o zwyczajnych kupców, których o mało co nie pozabijali? Też niemożliwe. Karawanie przewodził Koniasz, to musiał być Koniasz. Obserwował go przecież i z każdą minutą był coraz bardziej pewny, że to właśnie on. Ale nie miał dowodu, a bez niego nie śmiał stanąć przed Varatchim. Zaś jeśli istniał choć cień wątpliwości, nie chciał zabijać.

Wozy, kołysząc się, zniknęły wśród drzew. Bamegi poczekał chwilę, potem wstał i pobrodził przez bagno ku dróżce. Jego ludzie zrobili tak samo i za chwilę wszyscy byli razem. Koniasz nie mógł zauważyć, że ktoś się tu ukrywał. Nawet Bamegi nie widział pozycji swoich ludzi, dopóki nie wyszli. Karawana pojechała dalej z jakiegoś innego powodu.

– Będziemy ich śledzić – oznajmił zwięźle bez najmniejszego śladu rozczarowania w głosie. – Jak rozbiją obóz, zbliżę się do nich na tyle, żeby podsłuchać, o czym mówią. Upewnię się, że chodzi o nasz cel. Potem na mój rozkaz zaatakujemy. Haufri, Kuzbos, wy dwaj będziecie zwiadowcami. Nie musicie mieć ich w zasięgu wzroku, ale nie chcę, żeby nas czymś zaskoczyli. Nie wiedzą o nas i niech tak zostanie.

Spojrzał w niebo i ocenił czas.

– Do wieczora nie ujadą więcej jak dwa kilometry, na pewno rozbiją obóz w pierwszym dogodnym miejscu.

*

Pierwsze dogodne miejsce minęliśmy z tego prostego powodu, że okoliczny teren stwarzał bardzo dobre warunki do skrytego podejścia ku obozowisku. Gdy słońce wisiało tuż nad horyzontem, wypatrzyłem kępę platanów rosnących obok dróżki, kawałek za płytkim zagłębieniem zalany teraz wodą.

Mayers, który stopniowo wychodził z porannego szoku, zatrzymał wóz przed dość rozległą przeszkodą wodną.

– Jesteśmy uwięzieni, nie możemy jechać dalej.

Bał się. Inni również, ale nie odzywali się. W końcu i ja się bałem, ale strach w takich przypadkach nikomu w niczym nie pomaga.

– Właśnie, że musimy. Przejedziemy przez tę kałużę i rozbijemy obóz po drugiej stronie. Woda będzie nam chronić tyły. Po ciemku będzie prawie niemożliwe przez nią przejść.

– A co będzie, jeśli droga kręci pod wodą? – zapytał Janick.

Majal, od czasu gdy narzuciłem im swoje zamiary, zachowywał ponure milczenie. Chyba dotarcie do cytadeli leżało mu na sercu bardziej niż pozostałym.

– Wtedy wjedziemy w bagno. Nic więcej – odpowiedziałem spokojnie.

Równocześnie uważnie rozglądałem się po liczącej około tysiąca metrów kwadratowych powierzchni wody, dzielącej nas od dalszej części drogi. Prąd był silny, dawno już połamał trzciny i trawy, które wyznaczały poprzednio skraj dróżki. Teraz nie było ich widać. Jeśli wody będzie ponad metr, nie damy rady przeprowadzić wozów.

– Do tego drzewa droga jest wyraźnie widoczna – pokazałem. – Dojedźcie tam i poczekajcie na mnie.

Poszedłem do pierwszego wozu, chwyciłem konia za uzdę i prowadziłem do chwili, aż wóz wjechał do wody po osie. Potem przesunąłem się pod dyszlem i pełznąc, przemieściłem się aż pod drugi wóz, gdzie pozostałem, zanurzony w wodzie, wystawiając tylko głowę ponad powierzchnię. Do tego, że jestem zupełnie przemoczony, już się przyzwyczailem w ciągu kilku ostatnich dni, ale teraz było mi jeszcze zimno. Życie czasem nie jest łatwe. Często. W większości przypadków. Niemal ciągle.

– Jedźcie już, do cholery – pogoniłem ich.

Majal ruszył pierwszy. Pozostawało pytanie, jak ostrożni są nasi prześladowcy. Z odległości setek metrów, z jakiej nas prawdopodobnie śledzili, nie mogli mnie wypatrzeć, zanurzonego w wodzie. Jednak ja mogłem dostrzec ich ruchy.

Wozy już dojeżdżały do oznaczonego przeze mnie miejsca i jak na razie nic się nie działo. Wiedziałem, że prawdopodobieństwo zauważenia podkradającego się ninja jest niewielkie. Już miałem się poddać, gdy spostrzegłem dwa nagle cienie przesuwane się od krzaka do krzaka. Nie myliłem się, szli naszym tropem. Musieliśmy za wszelką cenę przedostać się na drugą stronę zalanej części drogi.

Jak jedyna w swoim rodzaju ryba pełzająca, gatunek występujący tylko na bagnach, podążyłem ku towarzyszom, po czym bez zwłoki wyruszyłem do celu, na drugi brzeg rozlewiska. Prąd był silny i miałem wrażenie, że poziom wody powoli, lecz stale wzrasta.

WSKOCZYĆ W NOWE BUTY

Liamie serce podchodziło do gardła, gdy spoglądała na ludzi zgromadzonych na podwórzu czworoboku. Zapadł już zmrok i podwórze oświetlały tylko pochodnie oraz kilka lamp zawieszonych na murach. Były magicznie zmodyfikowane i ich płomień nawet nie drgnął na wietrze. Pomyślała, że może w ostatnich latach ludzie z czworoboku ryzykowali za bardzo i przestali dbać o utajnienie swoich poczynań, jak to robiły poprzednie pokolenia. Nic z tym jednak nie mogła zrobić. Nie teraz.

Miała uczucie, że wszyscy od pierwszego rzutu oka widzą jej zdenerwowanie i obawę. W ciągu minionych dni ciągle się bała. Jednak teraz bała się nie o siebie, lecz o pozostałych. Co będzie, jeśli się jej nie powiedzie? Co będzie?... Po kolei, nakazała sobie i odkaszlnęła, żeby nie zająknąć się ze zdenerwowania. Powiew chłodnego wiatru przeniknął jej ubranie. Powinna była włożyć kurteczkę. Nerwowość i obawa spowodowały jednak, że nie pomyślała o zimnie.

Niektórych spośród obecnych znała z widzenia, ale nie wszystkich. Zaskoczyło ją, jak wielu ludzi przybyło na wezwanie. Mapuszi z mężem wykonali dobrą robotę, chociaż ciekawość też odegrała znaczącą rolę. Każdy miał nadzieję, że wydarzy się coś interesującego, jakiś mały skandal, i nikt nie chciał tego przegapić. Ale może i Każewicz zamierzał upiec swoją pieczeń i chciał, żeby jak najwięcej ludzi było przy tym, jak się raz na zawsze upora z nielubianą wdową? Od czasu odejścia Koniasza unikał jej, lecz domyślała się, jakie ma plany. Właściwie już o nich wiedziała, ale nadal nie mogła w to uwierzyć.

Dziś jako członek rady starszych i przywódca społeczności czworoboku musiał wystąpić na zgromadzeniu. Nie wyglądało na to, żeby to mu przeszkadzało. Z ożywieniem rozmawiał z pozostałymi starszymi i ze swoimi zwolennikami. Nie wszyscy jednak na jego uwagi reagowali przychylnie.

– Zgromadziliśmy się, żeby osądzić jedną z nas, która zawiniła przeciw prawom naszego rodu – rozpoczął zaskakująco Każewicz.

Liam drgnęła. Mówił o niej. Zgromadzenie zostało zwołane przez nią, przy pomocy przyjaciół i znajomych, ale Każewicz najwyraźniej postanowił wykorzystać je po swojemu. Rozejrzała się i spostrzegła, że Mapuszi i jej mąż też są zaskoczeni, tak samo jak inni jej zwolennicy. Pozostali, a była ich większość, wyglądali na zadowolonych. Ci należeli do

starszyzny.

– Liama Klidmen zawiniła przeciw naszym prawom tym, że sabotowała zarządzenia starszych, które miały nas chronić przed łowcami czarodziejów i zapewniać bezpieczeństwo ludziom mającym uzdolnienia magiczne. A tymi ludźmi jesteśmy my, wszyscy o tym wiemy i musimy żyć z tą niebezpieczną cechą.

Gwar umilkł, gdyż Każewicz zjednał sobie uwagę i respekt. Liama zrozumiała, że jeśli teraz się nie odezwie, to już nigdy nie będzie mogła zabrać głosu. Klucha w gardle wróciła, znów zaczęła dusić, ale przecież nie przyszła tu tylko dla siebie samej. Popatrzyła na Mapuszi, na jej nowo narodzoną córkę, na dzieci, które bawiły się codziennie na podwórzu, a teraz przestraszone, z okrągłymi oczami, stały obok rodziców.

– Ja to zgromadzenie zwołałam i mam prawo zabrać głos jako pierwsza – powiedziała.

Niepewność brzmiąca w jej głosie wydawała się tak wyraźna, że wszyscy musieli zorientować się, jak głupio i bezsilnie się czuje.

Nikt się jednak nie śmiał.

– Od kiedy to obwiniony ma prawo przemawiać jako pierwszy? – zapytał drwiąco Każewicz.

– Chcesz złamać zwyczajowe prawo? To zgromadzenie zwołałam ja – rozejrzała się – czy znów wolisz kłamać i oszukiwać?

Wściekłość na tego nędznego człowieka, który uczynił tyle zła, dodała jej sił, żeby zwalczyć nerwowość i obawę.

– No tak, to prawda – odezwały się liczne potakiwania jej zwolenników.

Nikt nie protestował przeciw zabraniu przez nią głosu.

– Zwołałam was z dwóch powodów – zaczęła. – Po pierwsze, żebyście dowiedzieli się ważnych rzeczy, które, być może, zostały przed wami zatajone przez starszyznę.

Wiedziała, że jej wypowiedź wywołała niezadowolenie starszych i ich popleczników, ale równocześnie wzbudziła ciekawość pozostałych. Na nią zamierzała postawić.

– W naszym mieście w ostatnich miesiącach i tygodniach porywano ludzi. Stwierdziłam, że chodzi o pięćdziesiąt siedem osób.

– Jaki to ma związek z nami? – wybuchnął Każewicz.

– Nie przerywaj jej, starcze! – odezwał się mąż Mapuszi, kilku ludzi uśmiechnęło się.

Liama była im za to naprawdę wdzięczna.

– Ludzi wybierano według dwóch kryteriów. Raz decydowało miejsce zamieszkania, żeby porywacze mieli jak najmniej roboty, raz stopień pokrewieństwa między uprowadzonymi. Nigdy nie porwano ludzi spokrewnionych dalej niż w czwartym pokoleniu.

Wiemy, że właśnie tak daleko sięga zwykle dziedziczenie uzdolnień magicznych.

– Zdradzasz tajne informacje – parsknął Każewicz.

– Które powinni znać wszyscy – odcięła się. – Wszyscy, u których mimo starań naszej starszyny pozostał choć ślad magicznych uzdolnień, wiedzą – rozejrzała się – że kilka miesięcy temu umarł Hardon Malenzi. Pamiętajcie też, że umierał w męczarniach. Ponadto przekazał nam wiadomość, że powinniśmy mieć się na baczności.

– Właśnie przez ciebie i przez wyjawianie starych tajemnic jesteśmy teraz prześladowani! – krzyknął Każewicz, ale Liama tym razem go zignorowała.

Wiedziała, że nie tylko ona posiada resztki uzdolnień magicznych, a o śmierci Malenziego wie z pewnością więcej ludzi.

– Teraz wszyscy dostaniecie wykaz nazwisk porwanych ludzi i adresów, pod którymi zamieszkiwali. Na pewno słyszeliście o niektórych i możecie się przekonać, że moje ustalenia są prawdziwe.

Liama zamilkła na czas dwóch oddechów, żeby przejść do sprawy, którą uważała za najważniejszą.

– Gdyby oddziału porywaczy nie zlikwidowano, zostałby uprowadzony ktoś z nas. Wróg odkryłby naszą obecność i zabrał bez problemów jednego po drugim.

Popatrzyła po zgromadzonych. Widać było, że nie wszyscy dostrzegali zagrożenie.

– Teraz ja zabiorę głos, starosta rodu! – Czerwony ze złości Każewicz wystąpił naprzód. – Obwiniam tę kobietę o sabotowanie działań starszych! O to, że usuwała z dziecięcych kolebek płyty, które miały je chronić przed łowcami utalentowanych magicznie.

– Miały je okaleczyć na całe życie, pozbawić zmysłu takiego jak wzrok, węch albo dotyk – mruknęła Liama pod nosem, wiedząc, że tej kwestii podnosić teraz nie powinna. – Na początku powiedziałam, że będę mówić o dwóch sprawach – zabrała głos powtórnie. – I dopóki nie skończę, nikt nie ma prawa mi przerywać. Czy naprawdę chcesz łamać prawa, których tak bronisz? – zwróciła się do Każewicza z retorycznym pytaniem i twardo na niego popatrzyła.

Nie wytrzymał wyzwania i zaklął, odwracając oczy.

– Dalej, chcę starostę Każewicza obwinić o próbę zabójstwa. Konkretnie o próbę zabicia mnie – oznajmiła spokojnie.

Wszyscy znieruchomieli, w ciszy słychać było trzaskanie pochodni.

– Zwariowałaś! – powiedział starzec z pobladłą nagle twarzą i fioletowymi, bezkrwistymi ustami.

– Udowodnię to – odparła. – Próbował mnie zabić ten oto człowiek! – wskazała na

młodzika, który wynurzył się z cienia bramy za plecami zgromadzonych.

Miał krótko spętane nogi i dreptał szybko, starając się nie stracić równowagi.

– No cóż, przecież to nie ja! – wybuchnął Każewicz.

– Popatrzcie wszyscy, jak wygląda napastnik – kontynuowała Liama, nadal bez emocji.

Teraz przypadło jej zadanie jeszcze gorsze niż pierwsza część przemówienia. Oskarżyć kogoś o tak straszny zamiar. Kogoś, z kimś stykała się przez całe dorosłe życie. Sięgnęła do kieszeni, wyjęła kryształ i siłą myśli rozświetliła go. Podniósł się gwar głosów komentujących użycie magii dla podkreślenia wiarygodności.

– Czy kogoś wam nie przypomina? – zapytała cicho, zmęczonym głosem. – Te włosy, rysy, twarz... Czy nie przypomina wam synów i wnuków Każewicza?

– Nie jest od nas z czworoboku! – ryknął wściekły Każewicz. – Nie pochodzi z żadnego czworoboku!

Jego upokorzenie stawało się większe, niż mógł sobie przed paru minutami wyobrazić.

– To prawda – przytaknęła Liama. – Ale magię ma we krwi, sami możecie się o tym przekonać. Powiesz nam coś o tej sprawie? – zapytała młodzika, który nie odważył się spojrzeć jej w twarz.

– Mówił, że jak mu pomogę – kiwnął głową w kierunku Każewicza – jeśli załatwię sprawę tak, żeby ona już nigdy więcej nie pokazała się w domu, to przyjmie mnie za swojego.

Liama nie miała pojęcia, jakich metod użył pan Łasica, żeby zmusić młodzika do zeznań, i wcale nie chciała wiedzieć.

– Uciekaj, odźwierny cię wypuści. Nie chcę cię więcej widzieć. – Dotrzymała swojej części umowy. – Znikaj, zanim się nie rozmyślę.

Posłuchał jej. Ułamek sekundy później wybuchła chaotyczna wrzawa. Szczęśliwym dla zbiega trafem Każewicz też próbował uciec. Ludzie skupiali swoją uwagę głównie na staroście i nie pozwolili mu zniknąć.

Bez ostrzeżenia spadło na Liamę wyczerpanie. Czowała, że siły ją opuściły, że nie jest zdolna do dalszego działania. Z pewnej odległości obserwowała, jak ludzie oglądają materiały, które im dała, i z ożywieniem o nich dyskutują.

Czwała za sobą Łasicę. Trzymał się z tyłu, ale chciał jej pomóc. Z powodu dziesięciu tysięcy złotych? Koniasz, ten wysoki, szczupły mężczyzna, którym starała się posłużyć, a później żałowała tego tak bardzo, że unikała jakiegokolwiek myśli o nim, zaskoczył ją swym postępowaniem. A teraz będzie jej jeszcze trudniej o nim zapomnieć.

– Co mam robić? Co robić, jeśli mi uwierzą? – odezwała się półgłosem, bardziej do

samej siebie niż kogokolwiek w tłumie.

Życzyła sobie, żeby ktoś zaczął się śmiać, żeby znalazł błąd w jej rozumowaniu, udowodnił, że jest tylko bojaźliwą idiotką.

– Już o tym rozmawialiśmy – podpowiedział jej Łasica tak cicho, że ledwie go zrozumiała, i nagle odszedł. Nie odszedł, tylko cofnął się, pojęła natychmiast. Był jakby przezrządy, gdy chciał, stawał się prawie niewidzialny.

Podszedł do niej Getzner. Znała go z widzenia, kiedyś był zadowolonym z życia, starzejącym się mężczyzną ze skłonnością do otyłości. Jego tusza i zadowolenie zniknęły, tak jakby w ciągu roku, przybył mu cały jeden krzyżyk. Stracił syna i synową, teraz opiekował się trójką ich dzieci. Od kilku tygodni zaczął jednak znowu zajmować się sprawami związanymi z życiem mieszkańców czworoboków.

– Co mamy robić? – Spojrzał na Liamę ze zdecydowaniem i zaufaniem.

W pierwszej chwili chciała krzyczeć. Jak to, do cholery! Ja mam wiedzieć?! On jest mężczyzną, niech się o to zatroszczy!

Popatrzyła jednak na noworodka w ramionach Mapuszi, głęboko odetchnęła i przełknęła ślinę. Uświadomiła sobie, że Getzner właściwie pomógł jej swoim pytaniem. Nie oponował przeciwko informacjom, zadał rzeczowe pytanie i dawał do zrozumienia, że jest zainteresowany i chętny do uczestnictwa we wszystkim, co postanowią wspólnie uczynić. Zdenerwowało ją tylko to, że patrzył na nią jak na dowódcę. Mimo to desperacja i ucisk w gardle zniknęły.

– Uciekniemy – powiedziała po prostu.

– Ja jej nie wierzę, zostaję! – odpowiedział jeden ze świadków rozmowy, zatwardziały zwolennik Każewicza.

Nie przypominała sobie jego nazwiska.

– To dobrze, bo jest nas wszystkich, znaczy ludzi z czworoboków, którzy należą do rodu, chyba stu pięćdziesięciu – zareagowała spokojnie. – Wszystkim i tak nie uda się uciec.

Wylczyła to z pomocą matrycy i ją także zdziwiło, jak duży jest ród. A przecież nie brała pod uwagę pozostałych, członków innych rodów. Zwyczaję zabraniające małżeństw w kręgu ostatnich potomków rodu nadal obowiązywały, ale tylko z pozorów.

– A dokąd niby uciekniecie? – zapytał drwiąco poplecznik Każewicza.

Zdumiała się, jak szybko ludzie podzielili się na dwa obozy. Nie martwiło ją to, bo jednak i tak będzie mogła uratować tych, którym zależy na życiu.

Odwróciła się do pana Łasicy, ale on nic nie powiedział, tylko podał jej zapieczętowaną kopertę i zniknął w mroku. Wyobraziła sobie, że tak mogą wyglądać ważne,

tajne raporty, które cesarz posyła swoim generałom, albo korespondencja między arystokratami. Nie wiedziała, co jest w środku, nie chciała łamać pieczęci bez świadków.

Ludzie wpatrywali się w kopertę. Odwróciła ją tak, żeby wszyscy mogli zobaczyć pieczęć możnego rodu i brak jakiegokolwiek napisu na odwrocie. Czekali. Nie pojmowała, jak Koniasz, od którego ten list pochodził, pozyskał taką pieczęć, ale dodawała ona wiarygodności całej sprawie.

Łasica przedstawił jej dwie możliwości dotyczące kierunku ucieczki. Albo na wybrzeże zachodnie do niewielkich państw Ligi Handlowej, gdzie nie sięgała władza cesarza i arystokratów, albo na północ, za Pustynię Gutawską. Sam doradzał drugi wariant, właśnie z powodu listu, który trzymała w ręce. Był adresowany do hrabiego Daska, a w razie jego nieobecności do kapitana jego gwardii osobistej, Valera. Nie było tytułów i imion, podpis wyglądał skromnie. Koniasz.

– Mam tu list, zapewniający przyjacielskie przyjęcie wolnych przybyszów przez hrabiego... – przerwała czytanie i spojrzała na obecnych. – Ponieważ nie wszyscy planują wyjazd, zachowam tę informację tylko dla tych, których dotyczy. Nadchodzą złe czasy. Albo mi zaufacie, albo nie. W drugim przypadku nie będę mogła wam pomóc.

– Brawo, to było bardzo sprytne – usłyszała pełen uznania szept Łasicy.

Nie była tego pewna. Jakie stosunki mógł mieć samotny podróżnik, jakiś Koniasz, z możliwym hrabią, o którym wiedziała tylko tyle, że jego wielkie państwo leży daleko na północy? Czy słowa tajemniczego zabójcy aż tak wiele znaczyły, że mogły im pomóc? Biorąc pod uwagę, że nie wahał się wydać dwudziestu tysięcy złotych tylko na to, żeby ją z daleka ochraniać... Dalej nie rozmyślała. Ważniejsze były zapewnienia Łasicy, że hrabia Dask, tak jak pozostali arystokraci z północy, chętnie wita na swych ziemiach przybyszów i zapewnia im lepsze warunki niż inni. To mogła być prawda, jako że jego siedziba leżała daleko od cywilizowanego świata.

Widocznie właśnie dlatego nie zwracał uwagi na politykę cesarza i imperium. I potrzebował ludzi do pracy, żeby jego włości prosperowały.

Liana zadrżała, myśląc o wszystkich tych sprawach, których nie była w stanie do końca ogarnąć. Bała się bardziej niż przedtem. Nie o siebie, o innych. Że przywiedzie ich do zguby.

– Pojadę z tobą wraz z moimi wnuczętami – wyrwał ją z ponurych rozmyślań Getzner. – Lepiej wyruszyć z nadzieją, niż na miejscu czekać na śmierć – oznajmił donośnie i stanął u boku Liany. Mapuszi popatrzyła na męża i oboje przyłączyli się do niego.

Perspektywa tego, co ją czeka, powodowała, że kolana jej miękły, ale właśnie dlatego

starala się zachować obojętną minę i bez emocji przyglądała się obecnym. Wiedziała, że musi myśleć szybciej niż inni, że musi być przygotowana na ich pytania, że będzie musiała uporać się ze wszystkimi problemami, jakie się pojawią.

Lecz całkiem sama, bez pomocy kogoś znającego się na polityce i mnóstwie innych spraw, nie mogła tego dokonać.

– Pomoże mi pan? Pomoże nam? – zwróciła się w mrok, gdzie spodziewała się obecności pana Łasicy.

– Przyjąłem tę pracę, więc pomogę – odpowiedział spokojnie. – Pani przyjaciel ostrzegł mnie, że postara się pani zabrać ze sobą kilka bliskich osób. A jeśli ich będzie trochę więcej – wzruszył ramionami – nic chyba na to nie poradzę. – Uśmiechnął się tym swoim szybkim uśmiechem. Jego wargi przypominały dwie przyłożone do siebie brzytwy. – Po prostu za te pieniądze opłaca mi się nawet daleka wyprawa.

Chciała mu przypomnieć, że Koniasz nie jest jej przyjacielem, ale w końcu nic nie powiedziała.

– Rozwiązujemy zebranie, porozmawiajcie w domu i jutro powiecie mi, na co się zdecydowaliście! – zakończyła zaskakujące dla wielu zgromadzenie.

Modyfikowane pochodnie zapalała sama, wystarczyła więc jedna myśl i podwórze czworoboku pogrążyło się w ciemności.

DUEL – PIERWSZA ROZGRYWKA

Bamegi kuczał przed ciemnym krzewem i obserwował, jak ludzie Koniasza rozbijają obóz. Kaptur ściągnięty jedwabną wstążką nasunął głęboko na czoło, brodę i usta przewiązał chustką. Niezakryty pozostał tylko wąski pas w okolicach oczu, który sobie zaczernił. Z doświadczenia wiedział, że nawet z o wiele mniejszej odległości powinien pozostać niezauważony na ciemnym tle. Pogoda poprawiła się w przeciągu kilku minionych godzin, mżawka ustała, niebo przejaśniało. W powietrzu jednak nadal czuć było wilgoć, a woda, napływająca pozornie znikąd, szumiała groźnie.

– To pech, że założyli obóz po drugiej stronie, mogliśmy mieć łatwiejsze zadanie – powiedział jeden z jego ludzi.

Kahlua, przypomniał sobie nazwisko. Nigdy jeszcze nie pracowali razem. Cichy i zwinny, nic więcej nie mógł o nim powiedzieć po akcji trwającej zaledwie pół dnia.

– To nie przypadek – powiedział cicho. – On o nas wie. Dlatego przeszli na drugą stronę, nie czekając, aż woda opadnie.

– Nie mogli nas zobaczyć – zaprotestował natychmiast Haufri, jeden z dwójki śledzącej karawanę przez cały dzień.

– On jest dobry, lepszy, niż sądzisz. Lepszy od wszystkich, z którymi się dotąd zetknęliśmy – rzekł Bamegi bez śladu wymówki.

– Zaatakujemy wcześniej rano? – zapytał Kuzbos. Nie zwracał uwagi na obóz. Na płaskim kamieniu, wystającym ponad rozmiękle otoczenie, z niezwykłą zręcznością splatał matę z trzciny i szykował sobie wygodne legowisko.

– Tego właśnie oczekuje – odpowiedział po krótkiej przerwie Bamegi. – Musimy znaleźć się po drugiej stronie wcześniej, niż będzie się spodziewał.

– Teraz? – zareagował natychmiast Kuzbos.

Kahlua syknął. Zapadał już zmrok i zanim dostaliby się na drugą stronę, zrobiłoby się zupełnie ciemno. Bardzo łatwo mogli stracić orientację, a to dla wszystkich oznaczałoby śmierć w bagnie.

– Nie teraz, dlatego że nie rozpalili ogniska – wyjaśnił spokojnie Bamegi. – A nie rozpalili, bo to by nam pomogło, a on o tym wie. Ale prawie nad ich obozem weszła Mała Gwiazda Wieczorna i to jest ta odrobina szczęścia, potrzebna czasem do zwycięstwa.

Kuzbos uśmiechnął się i wygodnie wyciągnął na posłaniu, pozostali, którzy nie znali Bamegi tak dobrze, stali z niepewnymi minami. O ile w gęstniejącym mroku mógł to zauważyć.

– A na czym to szczęście polega? – zapytał Kahlua.

– Na tym, że ruszymy do ataku w zupełnej ciemności i zaskoczmy ich w momencie, gdy będą to uważali za niemożliwe.

– Nie rozumiem – stwierdził Kahlua.

– O tej porze roku w tym rejonie jeszcze na długo przed świtem w tym samym miejscu, co Mała Gwiazda Wieczorna pojawi się Wielka Jutrzenka. Gwiazda Poranna. Jest widoczna tylko przez krótki czas, nie dłużej niż pół godziny, nisko nad samym horyzontem. Ale wskaże nam drogę. Będziemy musieli się spieszyć.

Nastała cisza i Bamegi zastanowił się, czy naprawdę słyszy odgłos drobnego deszczu, czy to tylko jego wyobraźnia. Chyba to drugie, bo szum płynącej wokół wody był zbyt głośny.

– Pamięta pan wygląd mapy nieba w różnych miejscach świata i o różnych porach roku? – zapytał bardzo cicho Kahlua.

– Człowiek nigdy nie wie, co mu się w życiu może przydać – odparł Bamegi. Później aż do chwili, gdy wydał rozkaz do ataku, panowała cisza.

W tym momencie na wschodzie tylko pasek nieba odrobinę jaśniejszy niż zupełna czerń zapowiadał koniec nocy. Bamegi ruszył pierwszy i bardziej niż chłód wody wyczuwał strach ludzi postępujących za nim. Zapomniał o nich, gdy łydki i uda objął mu prąd, dno pod nogami stało się niepewne, zmuszając do balansowania ciałem. Pomimo tego szedł dalej, skoncentrowany na kierunku wytyczonym przez ledwo widoczną gwiazdę przetaczającą się po horyzoncie. W porównaniu z poprzednimi dniami wody na bagnach przybyło jeszcze więcej. Szum mokrej trawy, krzewów i samego prądu dochodził zewsząd i jeszcze bardziej utrudniał orientację. Lewa noga ugrzęzła mu nagle, stopę schwyliło bagno.

Wstrzymał oddech i zaraz potem zaczął głęboko i regularnie oddychać. Lewą ręką zatrzymał idącego za nim. Gwiazda Poranna zniknęła, może zakryła ją chmura lub wypukłość horyzontu, oddalone drzewa czy pagórek. Bez pośpiechu przywołał z pamięci mapę, którą wieczorem dokładnie przestudiował, i kierując się nią, poprowadził ludzi dalej. Wiedział, że przejście w tych warunkach będzie trudne, lecz rzeczywistość przeszła jego oczekiwania. Pomimo tego szli dalej i Bamegi wierzył, że to się opłaci. Niektórzy z jego ludzi smarowali klingi trucizną. On tego nie robił z kilku powodów. Manipulowanie taką bronią było niezwykle ryzykowne również dla jej właściciela, brodenie w wodzie, która mogła zmyć

toksynę, powodowało, że na skutki działania trucizny nie było można w pełni liczyć, a poza tym takie postępowanie nie zgadzało się z jego mentalnością i filozofią życiową. W razie pojedynku z Koniaszem, a w głębi duszy wierzył, że kiedyś do niego dojdzie, chciał, żeby było to spotkanie wojownika z wojownikiem, umysłu z umysłem, szczęścia przeciwko szczęściu. Nie wydawało się to zgodne z zasadami, ninja powinien używać wszystkich możliwości, jakie daje mu sytuacja, ale Bamegi nie umiał postąpić inaczej.

Suchą ziemię pod nogami powitał z wielką ulgą i przez kilka uderzeń serca czuł się naprawdę szczęśliwy. To był jeden z momentów, dla których warto żyć. Skontrolował swoich ludzi i stwierdził, że są wszyscy. Dopuszczał możliwość, że któryś z nich nie da sobie rady z nurtem wody i ciemnością, ale szczęście im sprzyjało.

– Czy widzicie zarysy wozów? – podchodził do swoich ludzi i szeptał im do uszu.

Niektórym musiał wskazać kierunek, żeby zorientowali się w ciemnościach.

– Cisza do ostatniej chwili, a potem zabijajcie wszystkich, nikt nie może uciec – powtórzył rozkaz. – To będzie łatwe, bo śpią.

Po nocnej walce o życie z topielą, ludzie potrzebowali pobudzenia, żeby mogli zmobilizować się do boju.

Ruszyli wszyscy razem, stanowiąc doskonale zgraną jednostkę.

Bamegi nie pełznał, zadowolił się głębokim pochyleniem i doświadczeniem, pozwalającym mu do maksimum wykorzystywać ciemność i szczegóły terenu.

Pierwszy przeszedł między dwoma wozami, tworzącymi improwizowane obwarowanie. W prawej ręce trzymał miecz, w lewej długi sztylet. Nie znał przyczyny, dla której zaledwie przekroczył obronną linię wozów, stanął prosto i przestał się ukrywać. Jego ludzie zaczęli metodycznie przetrząsać obóz, ale on już wiedział, że jest pusty. Koniasz znów go przechytrzył. Z jednej strony odczuwał to jako porażkę, z drugiej jednak podziwiał przeciwnika. Varatchi nie był już ważny. Teraz to była osobista rozgrywka między nimi dwoma.

– Nie ma ich tu – usłyszał syknięcie Kuzbosa. Tylko po głosie poznał, gdzie ninja stoi.

Mrok nadal był zbyt optymistyczną nazwą dla panującej wokół ciemności.

– Wiem.

*

Wyprostowałem się, poruszyłem bolącymi barkami i z zadowoleniem obserwowałem, jak do wykopanej przez nas rynny wpada brunatny prąd, rozszerza ją, zabiera ze sobą kawały ziemi, omywa kępy trawy, szamocze nimi i zabiera ze sobą wraz z kawałkami pływającego

drewna. Wydeptana ścieżka, odbiegająca od drogi kupieckiej w kierunku pobliskiego pagórka, na odcinku kilku metrów praktycznie spłynęła z wodą i teraz pokrywały ją leniwie przetaczające się fale. Godzina wyteżonej pracy wystarczyła, żeby osiągnąć taki efekt i zatrzeć ślady. Poziom wody nadal powoli wzrastał, większość jeszcze niezatopionych miejsc przykrywał nanos błota, szlamu, gnijących liści, a wszystko to było nam na rękę. Nikt nie mógł wykryć miejsca, w którym zesliśmy z drogi. O ile oczywiście nie był czarodziejem, a tego się po naszych prześladowcach nie spodziewałem.

– Idźcie się schować tam – wskazałem na grupę jaworów rosnących na łagodnym zboczu i sięgających aż do jego wierzchołka. Wystawał nie więcej niż na dwadzieścia metrów, ale był najwyższym miejscem w okolicy.

– Jak was wypatrzą, to nas dostaną – zwróciłem im uwagę.

Z pagórka już nie było drogi ucieczki.

Mayers popatrzył na mnie ze smutkiem i posłuchał. Janick również, bawił się przy tym dużym jaspisem i wyglądał tak, jakby go cała sytuacja zbytnio nie obchodziła. Majal zrobił tak wrogą minę, jak nigdy dotąd. A przysiągłbym, że to niemożliwe.

– A pan co, pana nie wypatrzą? – zapytał z tłumioną złością.

– Nie – odpowiedziałem – nie wypatrzą. Idźcie, nie chcę tu umrzeć z waszego powodu.

Patrzyłem za nimi, w gęstej trawie zostały po nich ślady, które na szczęście powinny szybko zniknąć. Miałem nadzieję, że wystarczająco szybko.

Wybrałem sobie porośnięte mchem wybrzuszenie, które zapewne ukrywało głąz pogrzebany w glinie, dla pewności posmarowałem twarz błotem, do kapelusza wplotłem kilka garści zerwanej trawy i jak jakiś leśny człowiek z bajek kucnąłem na piętach, czekając.

Światła zbyt wiele nie przybyło, niskie chmury zakryły słońce, mżawka zmieniła się w deszcz. Krople wody miękko bębniły po kapeluszu. Jego starannie impregnowany materiał zaczął przeciekać po całonocnym moknięciu. Czas płynął monotonnie wraz z ciekącą wodą, chrząszcze pełzały po mokrej trawie, czasem tęsknie krzyknął jakiś ptak. Chyba i dla niego tej wilgoci było za dużo. Stopniowo nabierałem przekonania, że kraina jest tak opuszczona, bezludna, że mnie też tu nie ma.

A później nadeszli. Wiedziałem o ich obecności wcześniej, niż ich dostrzegłem. Siedmiu ludzi w ciemnych ubraniach zlewających się z terenem. Ostrożnie, ale zdecydowanie szli dróżką. Dwóch wypatrywało śladów po obu stronach, a nieco z tyłu, za nimi, dwóch innych rozglądało się po dalszej okolicy. Rękojeści mieczów wystawały im spod płaszczy. Za nimi szedł dowódca. Patrzył na wszystko i na nic konkretnego zarazem. Pozostali

przystosowywali się do jego tempa. Ta trójka wypatrywała ewentualnej zasadzki. Byli ode mnie zaledwie o trzydzieści metrów, słyszałem mlaskanie błota pod ich nogami, plusk wody, gdy przechodzili przez zalane odcinki. Właśnie przekraczali miejsce, w którym opuściliśmy drogę, dzieliło mnie już od pierwszego dobre dziesięć metrów wody. Oddychałem powoli i regularnie, nie odważyłem się nawet poruszyć. Dowódca zatrzymał się i rozejrzał. Opuściłem wzrok, skupiając uwagę na porośłym mchem kamieniu, na padającym deszczu, na wodzie.

Wzrok obcego prześlizgnął się po mnie, gdy spojrzałem ponownie, już poszli dalej.

Odetchnąłem głęboko. Było blisko. Prawie mnie wyczuł, domyślił się, zarejestrował instynktownie, nie wiedziałem, jak to dokładnie nazwać. Dopiero gdy zmienili się w zlewające się z tłem sylwetki, ruszyłem tam, dokąd wysłałem swoich klientów.

CYTADELA

Wyczerpani czarodzieje leżeli na brukowanej drodze ukrytej pod drzewami, padał na nich deszcz. Byli tak zmęczeni, że nie zdawali sobie sprawy, co oznacza obecność tej drogi. Poprzednio była ukryta pod warstwą gliny i trawy, ale obfite deszcze zmyły glebę. Niedługo, za rok lub dwa znów zakryje ją roślinność. Uśmiechnąłem się. Jakie to ironiczne i wspaniałe w swej prostocie! Moje plany związane z planami naszych prześladowców zmieniły się przez zbieg okoliczności. Właściwie nie tylko. Zadziałała również prosta logika wydarzeń.

– Pójdziemy popatrzeć, co jest dalej, czy już wam na tym nie zależy? – zapytałem.

Janick spojrzał na mnie, nie rozumiejąc, o czym mówię, Mayers nadal leżał bez ruchu, Majal tylko warknął coś niechętnie.

– Ta droga – wskazałem – nie prowadzi donikąd. Biorąc pod uwagę, że znajdujemy się na jednym z najwyższych wierzchołków obszaru, będącego dziś bagniskiem, sądzę, że to dogodne miejsce na zbudowanie twierdzy.

Mógł tu oczywiście stać jakiś zwyczajny, niewielki bastion, ale wątpiłem w to. Ci, którzy zastawili pułapkę, odkryli przez przypadek właściwe położenie starej bazy Maaterenditu. Zapewne nie wierzyli, że po tylu wiekach w ogóle istnieje.

Majal, usłyszawszy moje słowa, wstał natychmiast, Janick też.

– Pomóżcie mu – nakazałem. Byli skłonni zostawić Mayersa.

Wspinaliśmy się pod górę zboczem, jawory zastąpione zostały przez lipy i dęby. Wielkie krople spadały z mokrych liści. Pod nogami mieliśmy kobierzec opadłych już liści, których pod osłoną rozłożystych koron drzew nie zdołały rozwiać ani jesienne, ani zimowe wiatry. Na płaskim wierzchołku pagórka, gdzie zacząłem szukać pozostałości twierdzy, rosły dęby znacznie młodsze od innych drzew, ale krzewy malin i jeżyn tworzyły jeden splątany gąszcz. Poszukiwania zapowiadały się więc nieprzyjemnie, zwłaszcza że nie byliśmy pewni wyniku.

– Tam jest jakiś mur! – Janick wskazał miejsce, gdzie ja widziałem tylko fałdę terenu pokrytą różnobarwną roślinnością.

Lepszego miejsca dla rozpoczęcia poszukiwań nie znalazłem. Janick nie zamierzał iść sam, więc zacząłem wycinać drogę, posługując się maczetą. Szło mi lepiej, niż się spodziewałem i po chwili dostałem się na miejsce. Janick miał rację. To był mur gęsto

porośnięty bluszczem. Odgarnąłem rośliny i ujrzałem jednolitą kamienną ścianę. Na jej powierzchni odkryłem wypukłości i małe dziurki podobne do takich, jakie pojawiają się na cieście podczas pieczenia. Żar spoił kamienne bloki w monolit, pozostały tylko ślady po dawnych szparach między kamieniami.

Majal nie chciał niczego przegapić i zaglądał mi przez ramię.

– To dzieło dawnej broni – powiedział zafascynowany i rozejrzał się z wyraźną pożądlivością.

Trzymając się grubego pędu bluszczu, wlałem na mur i rozejrzałem się. Korony drzew zaczynały się nieco wyżej i dzięki temu mogłem sięgnąć wzrokiem dość daleko. Zobaczyłem pusty obszar pokryty tylko rzadkimi kępami traw. Drzewa na nim rosnące były cherlawe i niezdrowe.

– Tam – pokazałem. – Magazyny są na ogół zabezpieczone magią niezbyt sprzyjającą żywym istotom, nawet roślinności.

Teraz nie musiałem już poganiać Majala. Zanim zlałem z muru, był już w połowie drogi do wskazanego miejsca. Janick szedł za nim zamyślony. Mayers snuł się z tyłu. Nie interesowały go skarby dawnych czarodziejów, zbyt był zmordowany.

Ogołocony z drzew obszar miał kształt prostokąta o bokach sześćdziesiąt na osiemdziesiąt metrów. Rosło na nim tylko kilka karłowatych krzewów i wznosiły się dwa niewielkie wyrzuszenia terenu. Mocny, nisko rosnący porost uczeplił się naniesionej przez wiatr ziemi i chronił ją przed rozwianiem. Po otwartej przestrzeni hulał wiatr, wilgotne porywy uderzały w twarz.

– Składy Maaterenditu są pod nami? – zapytał Majal.

– Chyba tak – odpowiedziałem.

Rozmiary podziemnego kompleksu zaskoczyły mnie.

– Musieli tutaj magazynować również i bardzo duże przedmioty. Oczywiście użyli jakichś urządzeń mechanicznych do umieszczania ich na dole, może zostały po nich ślady – słusznie zauważył Majal.

Rozpoczęliśmy poszukiwania.

Wielogodzinnej, systematycznej pracy zaoszczędził nam Janick. Znowu miał szczęście. Bez trudu dostrzegł w pewnej odległości dwa okrągłe zagłębienia, a zaraz potem znaleźliśmy dwa dalsze. Musiały kiedyś służyć do zamontowania bardzo dużych wielokrążków. Gdy pracowaliśmy nad usunięciem cienkiej warstwy gliny, zastanawiałem się, czy tylko szczęście pomagało Janickowi. Był czarodziejem, nie zapomniałem o tym. Myślałem też, że kiedy otworzę Majalowi dostęp do jego wyśnionych skarbów, ten postara

się mnie pozbyć.

Po dłuższej chwili mokrej i brudnej roboty odkryliśmy kamienny krąg o średnicy pięciu metrów z wyrytym kręgiem współśrodkowym. Najbardziej wyglądało to na klapę jakiejś gigantycznej studni, w niczym natomiast nie przypominało wejść, z którymi miałem już do czynienia. Tyle że tamte przy naszym znalezisku wyglądały jak spizarnia wobec ogromnej sali bankietowej. Ale zamki powinny być takie same, przynajmniej tak przypuszczałem.

– Jak się dostaniemy do środka? – zwrócił się do mnie Majal po chwili milczenia.

Tym razem w jego głosie nie słyszałem ironii ani sarkazmu. Naprawdę marzył o tym, żeby nam się powiodło.

To, co uszkodziło mur, zostawiło ślady również na powierzchni kamieni. W zagłębieniu powstałym przed wiekami przy użyciu nieznanym nam środków pozostało jeszcze trochę gliny. Zakrywała ona relief, o ile tam był. Ukłęknałem i dużym nożem zacząłem starannie usuwać warstwę ziemi. Janick chciał coś powiedzieć, ale się rozmyślił. Nie patrzył na środek, od którego zacząłem, lecz na brzeg wewnętrznego kręgu. Bez komentarza przesunąłem się w to miejsce i kontynuowałem uciążliwą pracę. Po półgodzinie odkryłem uszkodzony relief w formie ludzkiej czaszki.

– Trochę to prymitywne – osądził Majal.

– Ale logiczne. Taki symbol skutecznie odstrasza przypadkowych ciekawskich – nie zgodziłem się z nim.

Co do Janicka, byłem już pewny. Widział lub wiedział więcej, niż okazywał.

W wyniku dalszego starannego czyszczenia odkryłem oczodoły czaszki; pozostali obserwowali mnie wyczekująco. Gdyby chociaż pomagali.

Wiedziałem już, co trzeba zrobić, odkryte szczegóły podpowiedziały mi sposób działania. Sięgnąłem do plecaka, wyjąłem klucz, dokładnie pasował do oczodołu. Myślałem, że dziurkę od klucza znajdę na środku kamiennego kręgu, ale Janick jednym spojrzeniem dowiedział się więcej niż ja przez lata. Wcisnąłem do otworu klucz stanowiący przepustkę do przestrzeni chronionej i nic się nie wydarzyło.

Popatrzyłem na Janicka. Zafascynowany spoglądał na krąg wewnętrzny. Zostawiłem klucz w otworze, przesunąłem się do środka i nacisnąłem powierzchnię zakreśloną przez mniejszy krąg. Cały wewnętrzny okrąg obrócił się na niewidzialnej osi i otworzył przed nami drogę do podziemi.

Palcem wskazującym dotykałem rękojeści dużego noża, który odłożyłem przy pierwszej próbie znalezienia przejścia do podziemi. To był kolejny moment, w którym Majal

mógł spróbować mnie zabić. On jednak tylko z zafascynowaniem spoglądał w głąb ciemnej dziury.

– Dokonaliśmy tego! – wykrzyknął. – Jak najszybciej chcę się przekonać, co jest wewnątrz – dodał z mocą.

Wzruszyłem ramionami. Nie zaszkodziłoby poświęcić trochę czasu na przygotowania, ale wiedziałem, że musiałbym się bić z Majalem, żeby go zatrzymać choć przez chwilę.

*

Przygotowałem gałąź trzymetrowej długości, grubą jak męskie ramię, położyłem ją w poprzek otworu i uwiązałem do niej naszą linę. Mieliśmy dwa grube sznury, każdy długości około dwudziestu metrów. Większość wyposażenia zostawiliśmy w wozach i musieliśmy zadowolić się tylko dwiema pochodniami. Majal zaskoczył nas, wyjmując małą, ale bardzo praktyczną lampę olejową. To stanowiło całe nasze wyposażenie na podziemną wyprawę. Czarodzieje również zdawali sobie sprawę, jak niedostatecznie jesteśmy przygotowani na tak poważne przedsięwzięcie, i ich entuzjazm powoli stygł.

W milczeniu zgromadziliśmy się wokół wejścia do podziemi, krople wody znikwały w ciemnym szybie jak małe, lśniące perełki w czarnej wodzie. Zostawiłem ich, zaglądających do ciemnego otworu, wróciłem do reliefu, ostrożnie wyciągnąłem klucz i schowałem go. Przejście, zgodnie z moją wiedzą, powinno pozostać otwarte.

– W momencie zamknięcia się kłapy, zatrzaśnie się zamek i nikt nie dostanie się do środka ani nie wydostanie na zewnątrz – wyjaśniłem im.

Zabrzmiało to nieoczekiwanie złowieszczo.

– Ten kamień jest dobre pół metra gruby – mówiłem dalej, wskazując na klapę. – Ale ja myślę, że nie sama tylko odporność materiału chroni skład przed nieproszonymi gośćmi.

Majal przytaknął. Dobrze wiedział, dlaczego o tym przypominam.

– Mayers, pan zostanie na straży – zwróciłem się do wyczerpanego czarodzieja.

Przytaknął z wdzięcznością i usiadł na swoim tłumoku.

Podniosłem krąg naszych związanych lin i w grobowej ciszy rzuciłem go na dół. Odgłos upadku był wyraźny i głośny, nie sądziłem, żeby głębokość była większa niż dwadzieścia metrów, najwyżej jakieś dziesięć, piętnaście. Dostyc jednak, żeby ten, który spadnie, połamał sobie wszystkie kości.

– Zejdę pierwszy – oznajmiłem.

Majal zdziwił się, ale nie protestował. Gdyby mnie odcięli, mając nadzieję, że zabiję się podczas upadku, to straciliby linę, a innej nie mieli. Co więcej, zakładałem, że zjadę na dół

szybciej, niż uważają to za możliwe.

Zarzuciłem plecak na ramiona i starannie go umocowałem, żeby mi się w najmniej odpowiednim momencie nie zsunął. Miałem w nim wodę i znaczną część naszych zapasów jedzenia. Dla uniknięcia sytuacji, w której spróbowaliby zostawić mnie na dole przez kilka dni i poczekać, aż umrę z głodu i pragnienia. Do tego konieczny był jednak czas i cierpliwość. A oni nie mieli ani jednego, ani drugiego. Miałem nadzieję, że tym sposobem oddaliłem próbę zlikwidowania mnie. Nadal było to wielkie ryzyko, ale... ja też chciałem się przyjrzeć podziemiom.

*

Okręciłem dłonie kilkoma pasami skóry, wziąłem jedną pochodnię, przywiązałem ją do przedramienia tak, że jej koniec sterczał poza moją dłoń, i zapaliłem. Płomień kocił i w zetknięciu z wilgocią syczał oraz chwiał się w różne strony.

Janick obserwował mnie z zainteresowaniem. Jeśli konieczność naśladowania moich poczynań nie podobała mu się, to nie dawał po sobie tego poznać.

Schyliłem się nad ciemnym otworem i włosy zjeżyły mi się na karku, a po plecach przeszły ciarki. Zmierałem do nieznanego miejsca, a na górze zostawiałem ludzi, na których nie mogłem polegać. Czy zbyt nie ryzykowałem? Czy nie przegapiłem czegoś oczywistego? Przyciągnąłem linę do siebie, złapałem ją butami, a później rękami, chronionymi jeszcze długimi rękawami płaszcza. Zwracałem uwagę, żeby płomień trzymać w bezpiecznej odległości od liny, mojej jedynej drogi powrotnej.

– Czekam na was na dole – powiedziałem i zacząłem się ześlizgiwać.

Przez pierwsze kilka metrów dość szybko na wypadek jakiejś nieoczekiwanej akcji czarodziejów. Później nieco wolniej. Wisiałem w ciemności na linie, światło dzienne skurczyło się do rozmiarów niewielkiego okienka wysoko nade mną, a pochodnia nie była w stanie oświetlić ścian. Pomału zjeżdżałem niżej, dłonie mimo osłony piekły nieprzyjemnie. Majal i Janick obserwowali mnie z góry. W końcu zacząłem coś niecoś widzieć, szarą powierzchnię pod sobą i jakieś przedmioty rozmieszczone bez ładu i składu. Chyba krzesła, stół i coś jeszcze. Ostatnie metry przebyłem z dużą ostrożnością, gotów w razie przykrej niespodzianki szybko wspiąć się z powrotem. Jednak pod stopami poczułem twardą ziemię, a nozdrza wypełnił mi suchy zapach krypty. Bez śladu jakiegokolwiek rozkładu. Stałem obiema nogami na ziemi i powoli się obracałem, trzymając nadal linę w ręce. Z ciemności wynurzały się drewniane skrzynie, rupiecie leżące na ziemi, metalowy puchar, rozdarty worek, z którego wysypywały się mniejsze woreczki. Więcej nic.

– Złazcie! – krzyknąłem.

Lina zakołysała się, Majal zaczął zjeżdżać. Odstąpiłem w bok. Wkrótce byliśmy na dole we trójkę.

– Będziemy się trzymać razem, jedna pochodnia nam wystarczy – zarządziłem.

Janick przytaknął, ale starszy czarodziej prawie mnie nie zauważył.

– Niech pan mi poświeci! – zażądał i ruszył w stronę rozdartego worka.

Poświeciłem mu i sam trochę się rozejrzałem. Pod najbliższą ścianą spostrzegłem dużą drewnianą płytę zaopatrzoną w małe kółeczka, służącą zapewne do transportu ciężkich przedmiotów. Sama ściana była albo wykuta w skale, albo obłożona kamiennymi płytami tak dokładnie, że w słabym świetle pochodni nie mogłem się zorientować. Zdołałem natomiast ocenić rozmiary pomieszczenia, w którym się znaleźliśmy. Dziesięć metrów na dziesięć, przeznaczone na rozrzucone wokół rupiecie. Z miejsca, w którym stałem, dostrzegałem tylko jedno wyjście. Wiodło na północ i było tak szerokie, żeby zmieściła się w nim płyta, którą widziałem wcześniej.

– Kamienie! Ten worek jest pełen kamieni! – westchnął Majal.

Zanim się rozejrzałem, zdążył rozwiązać pierwszy woreczek i wysypał zawartość na dłoń.

– Krzemienie – określiłem zawartość.

– Czarodzieje używali krzemieni do czynności magicznych. – Spojrzał na mnie, szarpiąc się z następnymi.

Nieporządek panujący w pomieszczeniu świadczył o tym, że opuszczono je w pośpiechu.

– Chodźmy obejrzyć, co mamy dalej, dopóki jest światło – popędziłem Majala.

Posłuchał niechętnie. Janick nic nie mówił, tylko rozglądał się z oczami rozszerzonymi z podziwu, jak ktoś, kto dostał się do legendarnej krainy. Może to prawda.

O czasach sprzed Wielkiej Wojny krążyło wiele legend, jak było naprawdę – nie wiedział nikt.

Po przebyciu krótkiego chodnika dotarliśmy do sali będącej kopia poprzedniej. Stały tu tylko dwie skrzynie. Duże i solidne, okute żelazem, z trzema zamkami i pokrywami ozdobionymi abstrakcyjnymi reliefami, robiącymi niepokojące wrażenie przy bliższym przyjrzeniu się.

Z pochodni odpadło trochę żywicy, tworząc na podłodze płonącą kroplę. Cienie przesunęły się, a ozdoby na skrzyniach, jeśli to były ozdoby, zdawały się ożywać.

Majal stał w niemal nabożnym osłupieniu, Janick natomiast cofnął się o krok.

– Chyba nie odważę się ich otworzyć. Nie tutaj i nie bez przygotowania lub co najmniej starannego przeglądu – powiedziałem cicho.

To go zatrzymało.

– Ma pan rację. – Zachmurzył się. – Ale ta druga – wskazał na skrzynię – jest już otwarta. Albo tylko tak mi się wydaje.

Nie wydawało mu się. Posłusznie poświeciłem, przyglądając się, jak ostrożnie otwiera niedomknięte wieko. Janick tym razem nie trzymał się w tyle.

– Księgi! – westchnęliśmy wszyscy trzej równocześnie.

Zdawałem sobie sprawę, że wypadłem z roli, ale oni na szczęście niczego nie spostrzegli i pożądliwie przeglądali poszczególne tomy. Zaglądałem im przez ramię.

Zapisy rachunkowe, zakupy dla zbrojowni, handel kamieniami. Wykazy podatkowe. Wszystko dotyczyło handlu, bo zysk w każdym czasie był najważniejszy. Aż do momentu, gdy wybuchnie wojna. Wyglądało na to, że całkowitej ewakuacji nie zdołali przeprowadzić. Możliwe, że w dalszej części magazynu czekały na nas jeszcze ciekawsze rzeczy.

Pozwoliłem im grzebać w księgach, a sam rozejrzałem się wokół jeszcze raz. Z doświadczenia wiedziałem, że jeśli ktoś organizuje transport dużej ilości przedmiotów, to potrzebuje wykazu. A im więcej przedmiotów, tym więcej wykazów. Dla całego ładunku, dla każdej przesyłki, każdej paczki.

Majal wyglądał jak dziecko, które dobrało się do kramu ze słodyczami i ma niewiele czasu do chwili, gdy je stamtąd zabiorą. Odłożył jedną księgę i zaraz sięgnął po drugą, oprawioną w grubą skórę, pożądliwie ją wertował z otwartymi ustami. Starał się trzymać wolumin w taki sposób, żebyśmy nie mogli zaglądać mu przez ramię, a równocześnie tak, żeby pochodnia dawała mu dość światła. Ciężko to szło. Janick też poświęcił się bez reszty jakiemuś odkryciu. Gdyby wykaz znajdował się w skrzyni, leżałby na wierzchu. Pierwsze tomy oglądałem razem z nimi i nie dostrzegłem go. Raczej przez przypadek spojrzełem na wewnętrzną stronę wieka i gdybym nie był tak doświadczonym poszukiwaczem, to nie powstrzymałbym triumfalnego uśmiechu. Nadal świeciłem czarodziejom, żeby im się dobrze czytało, a równocześnie drugą ręką wyciągnąłem cienkie płytki zatknięte za drewnianą listwą. Z nieporuszoną twarzą schowałem je do jednej z licznych kieszeni płaszcza. Pozwoliłem sobie na jedno tylko ukradkowe spojrzenie. Ktoś przed stuleciami napisał: „Spis zawartości skrzyni numer dwadzieścia osiem”.

– Mamy tylko dwie pochodnie – przypomniałem im, gdy dogrzebali się do trzeciej warstwy ksiąg. – Nie chcecie sprawdzić, co jest dalej? Ta skrzynia na nas poczeka.

Posłuchali niechętnie.

Razem ruszyliśmy do przejścia. W szarym materiale ścian błyskały krzemienne oczka. Ściany nie były wykonane z naturalnego kamienia, stanowiła je masa wytworzona przez budowniczych lub na ich zlecenie. Przyszło mi do głowy, że znajdujemy się na poziomie równym z okolicznym bagnem, a mimo to nie widziałem ani kropli wody. Może gdzieś dalej? Zatrzymaliśmy się przed wejściem do tunelu, światło pochodni nie sięgało zbyt daleko w głąb i dlatego wydawał się nieskończony.

– Nie jest tak szeroki jak ten, którym przyszliśmy z głównego składu – stwierdził Majal i bez wahania wkroczył do tunelu.

Fascynowało go podziemie i to, co mógł w nim znaleźć. Przyciągało jego uwagę niemal magicznie, mną się w tej chwili nie interesował. Ostrożnie poszedłem za nim. Janick trzymał się z tyłu, odwróciłem głowę, żeby mieć go na oku.

Rozglądał się niespokojnie na wszystkie strony.

Po kilku krokach spostrzegliśmy dwie skrzynie blokujące dalszą drogę. Majal, nie czekając, rzucił się ku nim, niestety obie były puste. Na dnie jednej poniewierało się kilka kawałków starego powroza. Leżał tam od stuleci i nie powierzyłbym mu swego ciężaru, ale użyliśmy go do sporządzenia nowych pochodni.

– Stój pan – zatrzymałem czarodzieja, przeciskającego się między skrzyniami. Janick obserwował go wyczekująco.

– Dlaczego? Mamy mało czasu, zaraz będziemy musieli wracać. Chcę sprawdzić, co jest dalej.

– Pomóżcie mi odsunąć te skrzynie od ścian – zwróciłem się do obydwu.

Gdyby Majal nie posłuchał, pozwoliłbym mu iść dalej, ale coś w moim głosie zastanowiło go. Za pierwszą skrzynią nic nie było, za drugą znajdował się mały relief w formie czaszki z pogłębionymi oczodołami. Był znacznie mniejszy i mniej widoczny niż ten przy wejściu do podziemi.

– Czy to kolejny zamek? – zapytał Majal. – Tak – odpowiedział sobie sam. – Ale nie ma tu żadnych drzwi, żadnej zapory. Co by się stało, gdybym poszedł dalej?

– Nie wiem – powiedziałem zgodnie z prawdą i popatrzyłem na Janicka.

Tylko wzruszył ramionami

– Nic? – wyraził przypuszczenie.

Ufałem mu coraz mniej. Prowadził jakąś własną grę, a wiedział więcej od nas.

Sięgnąłem do pasa i wyjąłem klucz numer dwa. Nigdy dotąd nie musiałem go używać, istnienie kolejnych, mniejszych zamków zakładałem tylko dlatego, że miałem w rękach zmniejszoną kopię pierwszego klucza. Włożyłem go do oczodołu. Ze ściany bezdźwięcznie

wynurzył się skalny dysk z reliefem w środku i obrócił na niewidzialnej osi.

– Możemy już iść. – Obejrzałem się na Majala.

Ostrożnie wystukałem klucz z otworu na dłoń, zwracając uwagę, żeby nie poruszyć dysku. Gdyby znów się obrócił, wejście zostałoby zamknięte, o ile wszystko działało zgodnie z moimi przypuszczeniami.

Majal zawahał się, ale Janick zdecydowanie ruszył naprzód i do kolejnego pomieszczenia wszedł pierwszy.

– Magazyn drugiego stopnia – oznajmiłem głośno, rozumiejąc w końcu, co znaczył jeden z wyrazów napisanych w języku starosaxpoliskim, którego nie rozumiałem.

Nie sądziłem, żeby chodziło o dwa składy, bo w następnym słowie używali liczby pojedynczej.

Hala czy też jaskinia – nie wiedziałem, który termin jest właściwy dla tej ciemnej krypty – była po prostu pusta. Majal wyglądał na rozczarowanego.

Moja pochodnia już się dopalała, zanim zgasła, zapaliłem tę, którą niósł Janick, a resztkę swojej schowałem na wypadek jakiejś nieprzyjemnej niespodzianki.

– Możemy iść dalej w tym samym kierunku albo skrócić w prawo – wskazał Majal.

Na samotny rekonesans się nie wybierał.

– Tunel przed nami ma jeszcze mniejszą średnicę niż ten, którym przyszliśmy. Skręcający w prawo wygląda na taki sam – zwrócił nam uwagę.

W półmroku widział naprawdę dobrze.

– Najcenniejsze, aktywne przedmioty magiczne nie były chyba zbyt duże – osądził Janick. – Czy istnieje też magazyn trzeciego stopnia? – Popatrzył na mnie.

– Przekonamy się – odparłem krótko, chociaż znałem odpowiedź.

Po wejściu do wąskiego tunelu, będącego właściwie szerokim korytarzem, wnikliwie przyglądałem się ścianom, ale kolejny relief znaleźliśmy dopiero przy wylocie tunelu do następnego pomieszczenia. Jeszcze mniejszy i trudniejszy do zauważenia.

– Tu już nie trzeba było wzbraniać wejścia przygodnym ciekawskim, raczej podobałoby się im, gdyby nieproszony gość beztrąsko poszedł dalej – osądził Majal.

Dał znak Janickowi, żeby zbliżył pochodnię do linii wyznaczonej przez zamek, przesłonił oczy i zajrzał do pomieszczenia.

– Są tam jakieś przedmioty! – oznajmił podniecony. – Skrzynie, widzę też półki, na których coś się błyszczy. Pewnie misy z kamieniami albo duże, oszlifowane kamienie szlachetne. Tam leży księga w metalowej oprawie – głos mu się załamał. – Już pan otworzył? – zwrócił się do mnie.

– Nie – pokręciłem głową. – Nie mam klucza trzeciego stopnia.

Patrzyli na mnie rozczarowani.

– Myślałem, że był już pan w magicznej twierdzy – powiedział Majal zimno.

– Tam gdzie byłem, wystarczył jeden klucz. To miejsce było w swoim czasie o wiele ważniejsze i dlatego lepiej chronione.

Milczeliśmy, płomień pochodni palił się równo. Smoła w główicy i w porach drewna cicho syczała.

– Wrócimy i sprawdzimy tunel wiodący w prawo, powinien chyba należeć do drugiej strefy. Średnica tunelu odpowiada takiej okoliczności – zaproponowałem. – Lepiej przygotowani możemy spróbować przyciągnąć do siebie przedmioty z tego pomieszczenia przy pomocy liny z kotwiczką. Może się nam to udać.

– Przyciągnąć! – pokręcił głową zniechęcony Majal. – Ja chcę je dostać, są na wyciągnięcie ręki!

Nie odpowiedziałem mu. Większość łowców artefaktów zginęła dlatego, że chcieli więcej, niż mogli osiągnąć.

Kolejny magazyn drugiej strefy też okazał się pusty, z wyjątkiem dwóch na około metr długich tyczek z materiału przypominającego bursztyn. Do czego mogły służyć, nawet nie próbowałem zgadnąć. Znów doszliśmy do końca wąskiego tunelu i zajrzeliśmy do następnego składu, do którego poprzednio nie weszliśmy. Było w nim pusto z wyjątkiem zamkniętej skrzyni, a w pomieszczeniu znajdowało się tylko jedno wyjście, do nieuporządkowanego składu, który już widzieliśmy.

Janick podczas pobytu w podziemiach pozbył się pożądlivosti i teraz z bliska przyglądał się czaszce wyrytej w ścianie. Majal natomiast trzymał się od niej z daleka i dzikim wzrokiem patrzył na skrzynię.

– Tu zdołamy się dostać, bierzmy się do tego od razu – rzekł energicznie.

– Wrócimy jeszcze. Bez przygotowania tylko marnujemy nasze zasoby. – Machnąłem pochodnią.

Spojrzał na mnie z wściekłością ale, o dziwo, nie protestował. Wracaliśmy inną drogą, przez pozostałe pomieszczenia, do których wstęp był możliwy. Razem tworzyły sieć tuneli łączących trzy składy drugiej i dwa pierwszej strefy.

Dojrzałem kilka pustych lub na wpół opróżnionych worków leżących na ziemi, w kącie kilka książek, skrzynię, która widocznie spadła podczas transportu, tworząc wraz ze swą zawartością trudną do zidentyfikowania mieszaninę.

Janick przyglądał się raczej ścianom, a z Majala wyparowywał pomału początkowy

entuzjazm. Szedłem ostatni i widziałem, że raz czy dwa obejrzał się na mnie. Decydujący moment zbliżał się, a ja przez cały czas nie wiedziałem, jak spróbuje mnie zabić. Dopiero na górze czy już tutaj? Czarami? Nie przypuszczałem, że stawi mi czoła w boju. Raczej będzie to nieoczekiwany atak. W końcu doszliśmy do wyjścia z podziemi. Krąg światła nad nami wydawał się wisieć niezmiernie wysoko, ze światem łączyła nas tylko zwieszająca się nieruchomo lina. Janick został w tyle, staliśmy z Majalem naprzeciw siebie.

– Widzieliśmy wszystko, co możemy zdobyć, dalej się nie przedostaniemy – stwierdził, patrząc na mnie.

Chciał mnie przejrzeć. Ja jego także. Miałem nadzieję, że do konfrontacji dojdzie na otwartym terenie, gdzie będę miał więcej miejsca na działanie, a nie w trzymetrowym kręgu mdłego światła, otoczonym ciemnością.

– Dokładnie tak. Wypełniłem swoją część umowy. Załadujmy rzeczy i wynośmy się stąd – powiedziałem spokojnie.

Czy pomoże mu Janick? Czy to on jest jego tajną bronią? Panowało straszliwe napięcie, świadomość bliskiej śmierci. Poczułem naraz każdą część swego ciała, dotyk rękawa koszuli na przedramieniu, zadrapanie na grzbiecie dłoni, a równocześnie widziałem sam siebie jakby z zewnątrz, tak jak postrzegał mnie mój przeciwnik. W jego postawie nie mogłem dopatrzeć się żadnej wskazówki podpowiadającej, w jaki sposób chce zaatakować. Czyżby naprawdę nie zamierzał atakować w sensie fizycznym? No to dlaczego tak często bawił się nożem?

Napięcie rosło, Majal nadal pozostawał nieprzenikniony. Musiałem go sprowokować, wywołać w nim chęć natychmiastowego działania.

– Niech pan się wspina pierwszy. Czy myśli pan, że odwrócę się do pana plecami, teraz gdy zna pan moje tajemnice? – Wykrzywiłem twarz, to wystarczyło.

Nie poruszył ręką ani na milimetr, spojrział tylko w dół na swój pas, nabrał powietrza, zacisnął szczęki, a oczy wparł w moją pierś. Ten nóż.

To był instynkt, nic innego.

Lewą rękę uniosłem w obronnym geście, obróciłem się bokiem i przykucnąłem. Stał przebiła mi przedramię, klinga przeszła przez nie i dosięgła bicepsa. Bolało, ale z tym się liczyłem. Błyskawicznie skoczyłem do przodu, skracając dystans, kopnąłem go w kolano, dłonią odbiłem drugi nóż, jakimś cudem unoszący się w powietrzu, atak zakończyłem z doskoku uderzeniem pięści. Trafiłem w splot słoneczny. Zachwiał się, sztylet, który właśnie wyciągnął, wypadł mu z dłoni i zadzwieczał na kamieniach. Mimo to czarodziej nie padał, powaliło go dopiero uderzenie czołem w nasadę nosa. Stałem nad nim, krew kapłała z mojej

zranionej ręki. Popatrzyłem na ostrze noża, którym mnie trafił. Było gładkie. Zacisnąłem zęby i jednym szarpnięciem wyrwałem je z rany. Ból był piekielnie mocny, nie dałem rady go opanować, aż się zatoczyłem. Majal nadal leżał nieprzytomny i nie mógł tego momentu wykorzystać. Rana pulsowała, ubranie miałem zbroczone krwią, ale poczułem ulgę.

Dopiero teraz zrozumiałem, w jaki sposób mnie zaatakował. Władał telekinezą, broń rzucił we mnie siłą woli. Mierzył dokładnie, gdybym nie wyczuł, w jakie miejsce skierował wzrok, miałbym teraz ostrze w sercu i leżał na podłodze zamiast niego.

Telekinezą, powtórzyłem z niedowierzaniem i obejrzałem zwyczajny nóż, który nadal trzymałem w ręce. Zacząłem nim ciąć rękaw koszuli, żeby sprawdzić, w jakim stanie jest ręka. Wtedy spostrzegłem, że zawzięty Majal wrócił do przytomności i spogląda gdzieś w ciemność, tam gdzie upadł drugi nóż. Nie namyślałem się, jeden ruch ramienia i łokcia i miał swój nóż z powrotem, tyle tylko, że w brzuchu. Zacharzał, w oczach pojawił się gasnący błysk. Odwróciłem się w stronę, gdzie patrzył, i zobaczyłem lewitujący sztylet. Unosił się w miejscu, kolebiące się ostrze błyskało srebrzyście, odbijając światło padające z góry. Co to znaczy? Nienaturalność sytuacji wyprowadziła mnie z równowagi. Brzęk. Sztylet upadł na podłogę i leżał nieruchomo. Ostrożnie odwróciłem się w stronę Majala, leżał bezwładnie. Wola i życie uciekły z niego.

Uklęknąłem twarzą do Janicka, stojącego pod ścianą w bezpiecznej odległości, i zająłem się swoją ręką. Najpierw zacisnąłem ranę powyżej łokcia, żeby zatamować krwawienie. Bicipsem jednak przejmować się nie musiałem, ucierpiał bardzo niewiele.

– I co mi powiesz? – zapytałem, skupiony na przebitym przedramieniu.

Głęboko oddychać, głęboko, poświęcić całą uwagę temu, co najważniejsze, wszystko inne odrzucić. Znałem to, ale walka z bólem zawsze jest wyczerpująca.

– Nie próbowałem pana zaatakować, tylko się przyglądałem – powiedział cicho.

Spojrzałem na niego.

– A wiedziałeś, do czego się szykuje?

– Przypuszczałem, że czegoś spróbuje – odparł wymijająco.

Kości i ścięgna nie wyglądały na uszkodzone. To była dobra wiadomość, jako że mięśnie goją się najszybciej. Kierunek pchnięcia też był szczęśliwy, przeciętych zostało tak niewiele włókien jak to tylko możliwe. Miałem niebywałe wprost szczęście.

– Musimy się stąd wydostać. O ile można, to ze zdobyczą – przyjąłem rzeczowy ton. – Opłaci się to nam obydwóm.

Kiwnął głową, ale wciąż miałem uczucie, że jego myśli biegną w kierunku, który nie mógłby mi się podobać, gdybym je oczywiście znał.

Odkręciłem nasadę jednego z moich noży bojowych i wyciągnąłem woreczek pełen pasty w szarym kolorze. Była to roztarta łodyga *byruelie cladomor* zmieszana z wyciągiem z gruczołów pewnego gatunku węża morskiego. Gdyby ta maść nie była tak droga i niedostępna, z powodu ran i skutkiem infekcji umierałaby zaledwie jedna setna zranionych. Ta maść i zwykła mydlnica lekarska zawierająca saponin, zmieszana z wyciągiem z kory wierzbowej, byłyby w stanie uratować wiele żywotów. Nie powinienem mieć większych problemów, o ile Majal nie zatrzał ostrza.

– Czy to jest magiczna maść lecznicza? – zapytał Janick, gdy zaciskając zęby, wcierałem ją sobie w ranę. Najwięcej zanieczyszczeń wniknęło w miejscu pierwszego styku ostrza z tkanką i tam chciałem nanieść najwięcej lekarstwa.

– Niestety nie – odpowiedziałem z wysiłkiem. To naprawdę bolało.

– A ty masz magiczną maść? – zapytałem, przewiązując rękę czystym materiałem i dodatkowo pasem skóry. Wiedziałem, że i tak wspinanie się po linie nie będzie należało do przyjemności.

– Nie mam – odparł szczególnym tonem. Przyjrzałem mu się uważnie, ale w końcu doszedłem do wniosku, że nie kłamie. A nawet jeśli, to chyba bym niczego z jego rekomendacji na własnej skórze nie wypróbował.

– Teraz do góry ku niebiosom – mruknąłem, poprawiłem rzemienie plecaka i podszedłem do liny. Lewą rękę oszczędzałem, podciągałem się głównie prawą. Gdybym wcześniej zawiązał na linie węzły jako oparcie dla nóg, szłoby mi łatwiej. Ale wtedy nie zjechałbym tak szybko na dół.

Będąc już blisko celu, spojrzałem w dół. Janick stał w kręgu światła i patrzył za mną. Zostać na dole samemu, tylko w towarzystwie nieboszczyka, wymagało chyba mocnych nerwów albo przyzwyczajenia. Mnie martwi od dawna nie przerażali.

Dotarłem już na górę i prawą ręką uchwyciłem kamienną płytę. W nosie poczułem dym, przekręciłem się, żeby zobaczyć, skąd pochodzi. W pewnej odległości, bliżej drzew, Mayers rozpałił ognisko. Spojrzałem w niebo, było zachmurzone, ale nie na tyle, aby słupa gęstego dymu z wilgotnych gałęzi nie było widać z odległości kilku kilometrów. Głupek, dureń, idiota... Ile czasu byliśmy w podziemiach? Aż za długo. Ściana pralasu, napierająca na niezarośniętą przestrzeń, wyglądała nadal na spokojną i opuszczoną. Ale to nic nie znaczyło.

Jeśli już tu byli, na pewno skryli się w najbliższej gęstwinie. A więc, chcąc uciec, musiałbym przebiec co najmniej trzydzieści metrów odkrytej przestrzeni. Może nie mieli luków i zdołałbym zwiać, może mieli, lecz zawilgocone cięciwy były teraz do niczego. Tych „może” koniecznych do przeżycia było za dużo.

– Mayers! – krzyknąłem. – Potrzebuję pomocy. Chodź tutaj.

Popatrzył na mnie, dorzucił do ognia, aż ku niebu wzniósł się kłęb ciemnego dymu. W pralesie nie drgnął ani jeden listek. Kucnął koło ogniska, wyraźnie nie mając ochoty oddalić się od ciepła. Są tu czy ich nie ma?

Za głupotę się płaci, a ja zdecydowanie nie chciałem płacić za głupotę Mayersa.

– Oni tu są! Uciekaj! – ryknąłem. Rozejrzał się zdezorientowany.

– Do mnie! – naprowadzałem go. – Bo cię dostaną! Nie pojmował, o co mi chodzi, ale zerwał się na nogi.

Zwisająca gałąź akacji rosnącej na skraju lasu poruszyła się, pojawił się naciągnięty łuk.

– Na ziemię! – krzyknąłem.

Był zbyt powolny. Dostał strzałę w łopatkę i drugą w ramię. Kolejna przeszła mu nad głową. Mimo to dotarł aż do mnie, zostawiając krwawe ślady na kamiennej klapie.

– Złap się mnie! Uciekamy na dół! – nakazywałem mu, przyciągając go do siebie i starając się zmusić, żeby złapał mnie za kark. Linę trzymałem teraz głównie nogami i zacząłem się już ześlizgiwać. Tuż nad nami świsnęły strzały. Byli szybcy, ale trafić w leżącego jest trudniej, niż myśli większość ludzi. Mayers w końcu jakoś się uczepił, ja o sobie mogłem powiedzieć to samo. Z zielonej ściany lasu wyszło trzech ludzi z zakrytymi twarzami. Tylko wąskie pasy odsłaniały oczy. Zacząłem zjeżdżać, lina paliła mi uda i rękę, w połowie drogi wydało mi się, że się nie utrzymam, ale Mayers nagle spadł z moich pleców i z gruchnięciem znalazł się na dole pręcej ode mnie.

– Precz od światła – wyrzuciłem zdyszonym głosem i odciągnąłem bezwładne ciało w stronę ciemności. – Zobacz, co z nim – poleciłem Janickowi, skupiając uwagę na włazie nad nami.

Ostrożnie badali sytuację, ale nie mieli odwagi ruszyć do nas na dół. Wiedziałem, że mnie nie widzą, ale nie jest przyjemnie stać na odkrytej przestrzeni i obserwować wroga, sprawiającego wrażenie, że patrzy ci w oczy.

– Mówiłem, żeby strzelać tylko wtedy, jak wszyscy będą na górze i trafienia będą pewne. Teraz uciekli nam do tej nory! – usłyszałem zimny głos.

Ten człowiek był wściekły, ale umiał się opanować. Musiałem mu to przyznać.

– Nie żyje – poinformował mnie Janick. – Rozbił głowę, spadając. Ma pękniętą czaszkę.

– Dobrze – przytaknąłem.

Użyłem Mayersa jako przynęty, mającej ich sprowokować, a potem zrobiłem

wszystko, co możliwe, żeby go uratować. Nie było to najmądrzejsze. Mogłem mu od razu pozwolić spaść, oszczędziłbym sobie obtarcia ud, które piekły mnie teraz nieprzyjemnie.

– Co zrobimy? Zamkniemy ich tam?

Obrotowa kłapa poruszyła się. Gdy ktoś ją popchnął, wstrzymałem oddech.

– Nie. Jesteś pewny, że dostaniemy się potem do środka? – odpowiedział dowódca.

Wiedziałem już, jak wygląda, znałem i jego głos.

– Na pewno nas podsłuchują. Pogadamy przy ognisku, co dalej. Wyciągnij linę, masz pierwszą wartę.

Nasza jedyna więź ze światem zakołysała się i zaczęła wolno sunąć w górę. Krąg ułożony na ziemi wolno malał. Będziemy pogrzebani za życia. Był to tylko błysk myśli, spontanicznej i instynktownej. Zrobiłem trzy szybkie kroki, podskoczyłem i całym ciężarem pociągnąłem linę. Ktoś krzyknął, kamienna kłapa zadudniła, kiedy ninja upadł i złapał się naszej improwizowanej belki. Zanim zdążył wymotać się ze splotów liny i odsunąć w bezpieczne miejsce, odbiłem się i uwiesiłem jeszcze raz. W chwilę później obok mnie przeleciało czyjeś ciało i z trzaskiem pękających kości rozbiło się o kamienną podłogę. Cofnąłem się w ciemność, obserwując, jak po kamieniach rozlewa się kolejna kałuża krwi.

Janick patrzył na mnie jak na szaleńca.

– Cofnij się w korytarz – poradziłem mu szeptem i sam zrobiłem to samo. Przestrzeń pod włazem przeszywały strzały, miotane na ślepo przez rozwścieczonych łuczników.

– Przestańcie – zatrzymał ich dowódca – to na nic. Kuzbosie, lina.

Drugi raz tej sztuczki nie próbowałem.

– Zyskaliśmy tym sposobem trzy czwarte litra wody – oznajmiłem Janickowi, jakbym zabił tego ninja tylko po to, żeby powiększyć zapasy, a potem nadal przeglądałem jego wyposażenie.

Był mężczyzną w wieku około dwudziestu pięciu lat, w znakomitej kondycji fizycznej, budowy zawodowego gimnastyka. Wnętrze lewej dłoni przecięte miał głęboko przez linę. Chyba właśnie to było przyczyną jego upadku. Po prostu nie miał szczęścia.

Był uzbrojony w miecz, miał przyrząd do łażenia po murach, łuk, sztylet z długą, smukłą klingą, dwa ciężkie noże do rzucania, jeden za pasem, drugi na łydce, dwa małe nożyki z ostrzami nie dłuższymi niż cztery centymetry. Były skuteczne tylko wówczas, gdy trafiał nimi w ważne, żywotne miejsca: oczy, krtań, tętnicę szyjną... Całe wyposażenie było mi dobrze znane. Ucieszyło mnie znalezienie świeczki, małej apteczki osobistej i cienkiej, sześciometrowej linki, którą miał obwiązaną wokół pasa. Po chwili doszedłem, z czego była wykonana. Ze ściśle splecionych ludzkich włosów.

Później obejrzałem łuk. Kiedyś, przed tym jak ćwierć wieku temu uciekłem z domu, czytałem książkę opisującą umiejętności i uzbrojenie skrytobójców, agentów i profesjonalnych morderców. Autor, którego podejrzewałem o to, że sam był ninją i pracował dla mojego ojca, zajął się w swojej książce również łukami. Wtedy były to nieskomplikowane, krótkie łuki ze zwykłego drewna cisowego, skuteczne tylko na małym dystansie, najlepiej przeciw ludziom bez zbroi. Zaś tutaj miałem przed oczami łuk kompozytowy, z zewnętrzną częścią wykonaną ze ścięgien, środkową z drewna, a wewnętrzną z rogu. Takiej broni używali koczownicy lub armie niektórych arystokratów ze środkowego zachodu. Ten jednak był subtelniejszy i umożliwiał noszenie w ukryciu. Doskonała i skuteczna broń. Niestety, nie byłem szczególnie dobrym łucznikiem, a co gorsza, znalazłem przy trupie tylko pięć strzał.

– Co teraz zrobimy? – zapytał Janick.

W odróżnieniu ode mnie, nie miał nic do roboty i jego nerwy były bardzo napięte. Odciągnąłem wszystkich nieboszczyków pod ścianę.

– Wkrótce nastanie wieczór – powiedziałem spokojnie. – W nocy będziemy czuwać, żeby nas nie zaskoczyli. Jutro sporządzimy więcej pochodni z tego, co znajdziemy.

A co będzie dalej, tego mu nie powiedziałem, bo nie miałem pojęcia. Ale minę przybrałem spokojną i pewną siebie. Zawsze to lepiej, niż wyglądać na wystraszonego i przytłoczonego sytuacją.

DUEL – DRUGA ROZGRYWKA

Bamegi obszedł wkoło płaskowyż otoczony pralaszem i zbadał również zarośla na jego obrzeżu. Znajdował się na płaskim wierzchołku pagórka, który nawet teraz, podczas powodzi, gdy wezbrane rzeki zamieniały Brunatne Bagna w jedną moką pułapkę, wznosił się dziesięć do piętnastu metrów nad powierzchnią wody. Może był jedynym w okolicy niezatapianym miejscem, nienarażonym przy tym na fale niosące błoto.

Deszcz zmienił się w mżawkę. Ninja cicho wrócił do miejsca, w którym nieostrożny czarodziej rozpałił ognisko. Tam rozbili obóz jego ludzie. Ognisko już tak nie dymiło i Klangit, jeden z najmłodszych członków byłej drużyny Wranga, zaczął opiekać świeżo złowione ryby. Bamegi rozważał przez chwilę, czy zbytnio nie ryzykują ze względu na dym zdradzający ich obecność, tak jak zdradził im przedtem obecność czarodziejów, ale nic nie powiedział. Powątpiewał, żeby na bagnach przebywała jakaś mogąca im zagrozić grupa, zwłaszcza przy tak niesprzyjających warunkach pogodowych. Co więcej, stale rosnący poziom wody uniemożliwiał dotarcie dokądkolwiek.

Milcząc, przysiadł na piętach u ogniska i chłonał jego ciepło. Ostatnie dni były męczące, stale w akcji, stale w marszu. Wszyscy mieli zapadnięte policzki i cienie pod oczami. Szybki przemarsz na pagórek tuż po zauważeniu dymu, przeprawa przez wodę i bagno, podczas której niewiele brakowało, żeby się wszyscy utopili, wyczerpały ich siły. Kuzbos przyniósł więcej ryb i Klangit bez wahania zaczął szykować nowe przęty.

– Warta? – zapytał Kuzbos.

– Na górze wystarczy dwóch ludzi, drogi nikt nie musi pilnować – odparł Bamegi.

Jedzenie dobrze im robi, stwierdził, obserwując przygotowania do kolacji, będącej zarazem obiadem.

Tymczasem wrócili Varmon i Manatu, którzy mieli za zadanie przeczesać pagórek w dalszej odległości od wierzchołka.

– Co będziemy teraz robić? – zapytał Varmon, przysuwając się do ognia.

Bamegi przyglądał się, czy jest tylko zmęczony, czy również wystraszony. Bagna wzbudzały strach nawet u najbardziej zrównoważonych ludzi. Tym bardziej bagna w czasie powodzi. Stracili w nich już dwóch ludzi, w obu wypadkach niepotrzebnie, stwierdził ponuro.

A może zaniepokoił ich ten człowiek zagnany do podziemi? Koniasz?

– Czekać – odpowiedział spokojnie. – Na pewno nie mają tam na dole dość jedzenia i wody. Za tydzień ich wyciągniemy. Może znajdziemy ich jeszcze żywych, ale oporu stawiać nie będą.

Kuzbos przytaknął. Cierpliwość należała do głównych cech wojowników i zabójców, a on dobrze o tym wiedział.

– Czy nie ma ukrytego podziemnego wyjścia? – zapytał Klangit, nie przestając poświęcać uwagi piekącym się rybom.

– Może kiedyś istniało, ale wątpię, czy zachowało się po tylu stuleciach – odparł po chwili Bamegi. – Jutro podzielimy pagórek na ćwiartki i dokładnie je przejrzymy.

– A czy nie wyleżą na zewnątrz już teraz? – pytał dalej Varmon.

Nie powiedział „uciekną”, ale „wyleżą na zewnątrz”, uświadomił sobie Bamegi. Bał się.

– Siedzą w podziemiu, izolowani, co najmniej jeden z nich jest ranny – zaczął wyliczać. – Trudno jest odejść od światła i ruszyć w ciemność. Koniasz, nasz cel, może by tego dokonał, ale jego towarzysze będą musieli przyzwyczajać się do ciemności. Zrobią to wtedy, gdy będą zdesperowani. Będą się też obawiać, że wejdziemy do środka. Zanim wymyśli, jak nam to utrudnić, i pozakłada pułapki, minie trochę czasu.

Zadowolony ninja kiwnął głową.

Bamegi nie okazał najmniejszego śladu złego humoru z powodu jego obaw. Uspokoił go, a to też należało do obowiązków dobrego dowódcy. Pozostali po krótkiej rozmowie usadowili się jak się dało najwygodniej. Bamegi nie poszedł w ich ślady, rozmyślał. Odpowiedzialność za ludzi i decyzje należały do niego.

W tym stanie ducha i ciała prawdopodobnie nie zauważyliby, że więźniowie uciekają z podziemi.

Pierwsze ryby były gotowe i Bamegi, tak jak inni, ze smakiem zajadał ich kruche mięso. Mieli szczęście, że przyplłynęły z górskich rzek wraz ze spływającą wodą i nie cuchnęły bagnem.

– Nie zapominajcie o warcie – zatrzymał Varmona, który łapczywie sięgał po kolejne porcje.

– Zaniosę im – sapnął niechętnie ninja.

– A ja popatrzę, czy do mojego stawku nie napłynęło więcej ryb – podniósł się Kuzbos.

Zanim zdążyli odejść, spomiędzy drzew wynurzył się jeden z wartowników.

– Oddział wojska, około czterdziestu żołnierzy. Kierują się na nas.

Bamegi spojrzał nieprzyjaźnie na ognisko. Jego błąd, nie powinien być aż tak wygodny.

– Jakie to wojsko? – zapytał.

Zanim ninja zdążył odpowiedzieć, nadbiegł drugi wartownik.

– Już przebyli wodę. Piechota, przyzwyczajeni do marszów. Dobrze wyekwipowani. Lekkie zbroje typu chaabskiego, okrągłe tarcze, włócznie, miecze i łuki – wyrzucił z siebie pod pytającym spojrzeniem Bamegiego.

Ten już z grubsza wiedział, z kim ma przyjemność. Nie było zbyt wiele tak dobrze uzbrojonych oddziałów wojskowych.

– Poczekamy na nich. Przygotujcie się do ucieczki. Jeśli będzie taka konieczność. W razie czego spotkamy się w Krachtiburgu.

Nikogo rozkaz nie zdziwił. Z tak silnym nieprzyjacielem nie mogli walczyć, a w przypadku ucieczki najwygodniej było się rozproszyć.

Bamegi nadal spokojnie siedział przy ogniu i zanim na skraju lasu pojawili się pierwsi żołnierze, zdążył zjeść drugą rybę, na którą miał ochotę. Wytarł zathuszczone dłonie w trawę, a potem o spodnie i wyszedł naprzeciw barczystemu mężczyźnie, który szedł na czele oddziału. Żołnierze bez rozkazu przegrupowali się, tworząc czworobok obronny. Bamegi nie spieszył się, wolny krok pozwalał mu dokładniej przyjrzeć się nadchodzącym. Zauważył, że mają za sobą długą i trudną drogę. Sądząc po wychudłych, wilczych twarzach, nie zatrzymywali się zbyt często, w połowie puste tornistry oznaczały, że w kwestii wyżywienia polegali sami na sobie.

– Kapitan Jason Gudsbirg – przedstawił się głośno dowódca.

Jego ludzie wyposażeni byli jednakowo. Porządnie, ale bez ozdób. Gudsbirg starał się odróżnić od podwładnych. Prawy naramiennik pokrywał mu skomplikowany ornament, rękojeść miecza przypasanego wysoko na lewym boku była wykładana, a część kolczugi kazał wykonać z dwukolorowego metalu, co go optycznie poszerzało w ramionach. Ninja spotykał już kilkakrotnie ludzi należących do prywatnych oddziałów Varatchiego, przeznaczonych do zadań specjalnych. Współpraca z nimi układała się poprawnie i nikt nikomu nie wchodził w paradę. Ten człowiek był wyjątkiem. Dlaczego nie należał do ciężkozbrojnych? Choćby do piechoty czy jazdy, wszyscy oni mieli większy prestiż.

– Jestem Bamegi – powiedział spokojnie.

– Mamy was zastąpić w wykonaniu zadania – oświadczył Gudsbirg. – A może już je wykonaliście, skoro obozujecie tacy zadowoleni? – Machnął drwiąco w stronę ogniska.

Pewności siebie mu nie brakowało. Musiał zdawać sobie sprawę, że może w niego

celować kilka łuków. Rzut oka na obóz zdradził mu, że odpoczywało tu więcej ludzi, którzy przed jego przybyciem zniknęli.

– Można tak powiedzieć – przytaknął Bamegi spokojnie. – Koniasz jest tam, w tej dziurze. – Wskazał otwór z klapą.

Kapitan ogarnął sytuację jednym spojrzeniem.

– A więc zwiął wam, no nie?

Wyglądało na to, że ta informacja sprawiła mu radość.

– Nie powiedziałbym tego, zagoniliśmy go do kąta. Dostaniemy go, to tylko kwestia czasu. Wykurzymy jak królika z nory.

Wyraz twarzy Bamegiego pozostawał stale taki sam. Uprzejmy kawał lodu.

– No, to już nie wasz problem. Jak dokończymy robotę, której nie podolaliście, zameldujemy Jego Ekscelencji o wykonaniu zadania – powiedział spokojnie kapitan.

– A czy ma pan dla mnie jakieś inne rozkazy niż te, przekazane ustnie? Nie w tym rzecz, żebym panu nie wierzył, ale... – Bamegi jakby przepraszająco wzruszył ramionami – muszę mieć coś więcej. W przeciwnym razie, niestety, nie będę mógł się wycofać.

Większość wojskowych wysmiałaby samotnego ninja. Gudsbirg wiedział jednak, z kim ma do czynienia; tylko rysy twarzy mu stwardniały. Trochę sztywno podał rulonik pergaminu.

Bamegi nadzwyczaj starannie sprawdził pieczęć i przejawiał pewne niezadowolenie z jej stanu. Złamał ją dopiero wtedy, gdy Gudsbirg zaczął czerwienić ze złości. Bamegi nie przypuszczał, że Gudsbirg nie mówi prawdy, ale nie chciał, żeby mu cokolwiek łatwo poszło. Pisemny rozkaz z pieczęcią Varatchiego potwierdzał słowa wojskowego. Ninja nie dał po sobie poznać, że są mu nie w smak.

– No to życzę dużo szczęścia w pana pracy, kapitanie – rzekł zwięźle.

Nie odwracał się od Gudsbirga, mówiąc do swoich ludzi ukrytych w pobliżu.

– Spróbujcie złapać jeszcze kilka ryb. Najemy się porządnie, zanim wyruszymy w drogę.

– Jego Ekscelencja przekazał mi, że powinniście stawić się u niego jak najszybciej – urażony Gudsbirg zareagował na jego polecenie.

– Kapitanie, gdyby Wielki Wojewoda Varatchi życzył sobie, żeby pan objął dowództwo nad moimi ludźmi, to napisałby o tym w pergaminie. Niech pan troszczy się o swoich podwładnych i o swoje zadania.

Bamegi stał teraz twarzą w twarz z Gudsbirgiem i mówił prawie szeptem.

– Czy to dla pana jasne?

Na to Gudsbirg nie znalazł odpowiedzi.

– Tylko dlatego, że walczymy po tej samej stronie, dałbym panu chętnie jedną radę. Całkiem bezinteresownie.

Kapitan nie był pewny, czy Bamegi mówi poważnie, czy też w jakiś sposób kpi z niego. Jednak ninja cały czas zachowywał kamienny wyraz twarzy.

– Koniasz, człowiek, na którego obaj polujemy, jest bardzo niebezpieczny. Radziłbym zostawić go tam w dole na pewien czas. Nie ma zbyt wiele wody ani jedzenia. Po kilku dniach poradzi pan sobie z nim łatwo.

– A pan niech się nie miesza do moich rozkazów! – zasyczał wściekle Gudsbirg.

– Proszę o wybaczenie, panie – rzekł Bamegi obojętnie i podszedł do ogniska.

Jego ludzie, wylaniając się z ukrycia, uważnie go obserwowali, tak jak Gudsbirg, i chociaż znali go lepiej, nie potrafili odgadnąć, czemu ta rozmowa miała służyć.

Bamegi wrócił na swoje miejsce przy ogniu.

– Będą jeszcze jakieś ryby czy musimy tu moknąć głodni?

To wystarczyło, żeby Kuzbos ruszył bez słowa.

– Jak się je właściwie łapie? – zapytał Varmon. – Woda jest strasznie zamulona, powiedziałbym, że nie zechcą brać.

– Rękami, a jak by inaczej? – odpowiedział mu Klangit.

*

Oddział tymczasem podszedł do wjazdu, a dowódca wraz z innymi zbadał go starannie.

– Światło, potrzebuję jakiegoś światła na dole – zawołał Jason Gudsbirg.

Bamegi z zainteresowaniem przyglądał się, jak ten rozkaz zostanie spełniony. Siwowłosa, zgarbiony mężczyzna, cieszący się wśród pozostałych wyraźnym autorytetem, bez namysłu z rzemienia i dwóch ociosanych gałęzi sporządził uchwyt, przymocował do niego pochodnię i całość przywiązał do liny.

– Meldujcie, co widzicie – rozkazał Gudsbirg, obserwując, jak jego ludzie opuszczają zapaloną pochodnię. Sam stał o dwa kroki w tyle.

Zgarbiony, którego pozostali tytułowali sierżantem, nałożył hełm, położył się na brzuchu i ostrożnie zajrzał w dół.

– Sejr, połóż się naprzeciwko mnie, razem będziemy widzieli cały plac pod nami – zawołał. – Pomału z tą liną i nie kiwajcie nią tak.

– Ciekaw jestem, jak to rozegrają – powiedział Klangit i z żalem oblizwał palce.

Z jego ryby pozostał dokładnie obrany szkielet.

– Pomyślałem o tych chłopach, których goniliśmy. Według śladów i pozostawionego bagażu przyszedli tu we czwórkę, ale tylko jeden zabrał rzeczy na dół. To chyba ten Koniasz. – Zamyślił się na chwilę. – Jednego dostaliśmy. No to na dole jest ich trzech z minimalnymi zapasami. Z tego, co widziałem, gdy ich śledziliśmy, to bronią umie władać tylko ten Koniasz. O ile pozostali nie są najlepszymi aktorami na świecie.

– Zobaczymy – rzekł Kuzbos, który wrócił właśnie z tuzinem ryb nawlęczonych na pręt wierzbowy.

*

Klangit wraz z człowiekiem, którego nazwiska Bamegi wciąż zapominał, a nie chciał o nie pytać, dołożyli do ognia solidną porcję wysuszonego już drewna i płomień niemal natychmiast przegonił wilgoć. Varmon przyniósł kamień, o który można było oprzeć pręty z rybami, co znacznie ułatwiało pieczenie. Wszyscy dyskretnie obserwowali to, co działo się kilka metrów od nich.

Gudsbirg uznał tymczasem, że niebezpieczeństwo im nie grozi, i kazał rozluźnić szyk obronny. Wszyscy żołnierze obserwowali teraz poczynania czwórki skupionej wokół wejścia do podziemi.

– To wielka dziura, prawie nie widać jej skraju. Pusto, tylko trochę z boku leży kupa jakichś starych gratów – meldował sierżant. – Sejr, co widzisz?

– To samo, tylko graty leżą dalej, pod drugą ścianą.

– Co jeszcze? – dopytywał się Gudsbirg. – Korytarze?

– Nie jestem pewny, panie, ta pochodnia jest dość słaba. Chyba tak. Po tej stronie, po której pan stoi.

– A co z naszym celem?

– Nikogo nie widzę, panie. Albo się schowali, albo odeszli.

– Cholera! Pochodnia spadła! Wyciągnijcie linę!

– No to ma jeszcze jedną pochodnię – stwierdził Kuzbos prawie z zadowoleniem.

– Sierzancie! Czterech ludzi na dół, niech mi tych głupków przyniosą w zębach – wrzasnął Gudsbirg.

– Tylko dwóch naraz damy radę opuścić, panie – odpowiedział żołnierz.

– Bierzcie się za to!

– Stawiam dwie duże ryby przeciw jednej małej, że ani jeden z nich nie wróci – powiedział zamyślony Kuzbos.

– Nie zakładam się – pokręcił głową Bamegi.

– Ale ja tak – podjął wyzwanie Varmon. – Dobrze sobie radzą z tą liną, nie robią tego pierwszy raz.

Dwaj żołnierze wybrani przez sierżanta sporządzili ze sznurków prowizoryczną uprząż wokół bioder i przywiązali się do liny. Jedną ręką się trzymali, a w drugiej, wolnej, mieli broń.

– Wystarczy, że pociągną za końcówkę i już są wolni – stwierdził Klangit.

Kuzbos nic nie powiedział. Jego ryby były już gotowe, ale nie ruszał ich, traktując jako swą stawkę, na wypadek gdyby przegrał.

– Opuuszczajcie nas szybko, jak ryknę, zatrzymajcie! – przykazał jeden z dwójki idącej do ataku. Następni już szykowali się za nimi.

Sierżant kiwnął tylko głową i dał znak ludziom u lin.

– Meldujcie, co widzicie – przypomniał im Gudsbirg.

Żołnierze ostrożnie przeleźli przez otwór i zniknęli.

– Jest dokładnie tak, jak mówił sierżant – odezwał się z podziemi głos jednego z nich – na razie nic nie widzimy. Dosypuję do płomienia trochę proszku świecącego.

Bardzo dobrze wyposażony oddział, ocenił Bamegi. Do tej pory uważał, że używanie magnezji jest specjalnością jego klanu.

– Są dwa wyjścia z tego pomieszczenia! W ścianie północnej i wschodniej! Więcej nic nie widać.

Głos był coraz bardziej przytłumiony.

– Nigdzie nikogo nie ma, tylko sporo starych sprzętów. Jesteśmy na ziemi!

– Następni – syknął sierżant.

Klangit triumfująco popatrzył na Kuzbosa, który tylko wzruszył ramionami.

Dwaj żołnierze utworzyli przyczółek i do liny błyskawicznie przywiązali się następni.

– Uwaga! – Zduszone ostrzeżenie przerwał krzyk i bulgoczące charczenie, po którym rozległ się ryk bólu.

– Trafił mnie w nogę, wyciągnijcie nas!

Klinga uderzyła jeden raz w klingę i nastąpiła cisza. Ludzie u liny robili, co mogli, żeby wyciągnąć towarzyszy jak najszybciej na górę.

Naraz zaczęło im to iść znacznie łatwiej, natychmiast zrozumieli dlaczego. Z otworu wyłonił się tylko jeden żołnierz.

– Maseg nie żyje, dostał strzałę w pierś, odciąłem go – sapnął uratowany.

Z wyrazem wdzięczności sięgnął ku podawanym mu rękom, gdy nagle zbladł.

– Coś mnie trzyma! – jęknął. – Za nogę!

Potem już tylko ryczał nieartykułowanie, kiedy koledzy usiłowali go wspólnymi siłami wyciągnąć.

Z dołu dobiegł rumor walących się przedmiotów, żołnierz nagle wyrwał się swym ratownikom z rąk i zniknął pod ziemią wraz ze zwojem liny.

Kuzbos przysunął do siebie swoje ryby i popatrzył na Klangita.

Ten bez słowa oddał mu połowę swojej porcji.

– Jak to zrobił, jak dał radę przeciągnąć trzech chłopów? – zapytał.

– Uwiązał linę do czegoś ciężkiego i zrzucił to z wierzchu kupy, na której leżało – wyjaśnił Varmon. – A może umie czarować? Słyszałem, że kręcił się koło czarodziejów.

Nikt mu nie odpowiedział.

– Ma łuk, strzały, teraz wpadło mu w ręce mnóstwo wyposażenia i do tego jeszcze lina. Te chłopcy, co zostały na dole, na pewno miały przy sobie jedzenie i wodę. Nieźle mu się dzieje – stwierdził po chwili Kuzbos. – Ale załatwił ich pięknie, to trzeba przyznać – dodał prawie z podziwem.

Bamegi tylko kiwnął głową. Nie miał nic do dodania. Poczekał, aż ostatni z jego ludzi zje swoją porcję, i wstał.

– Varatchi pilnie chce mnie widzieć. Załatwimy to szybko.

Zniknęli tak, że żaden z nadal pozostających w szoku żołnierzy tego nie zauważył.

*

Janick obserwował wysokiego, szczupłego mężczyznę, klęczącego nad zbrojnym, którego partner odciął od liny. Przed chwilą dwukrotnie strzelił do niego z bliskiej odległości. Jedna strzała trafiła w korpus, ale pierwszorzędna zbroja ocaliła mu życie: grot utknął między żebrami, nie sięgając płuc. Druga utknęła w udzie. Mężczyzna obficie krwawił i Koniasz starał się opatrzyć ranę. Udawało mu się to tylko częściowo, mimo opaski uciskowej krew nadal ciekła.

– Już jest lepiej, kolego – uspokajał żołnierza.

Janick tego nie rozumiał. W kącie leżało sześć trupów, a właściwie pięć, poprawił się. Przed chwilą ten człowiek usilnie starał się zlikwidować żołnierzy i to mu się udało. Teraz tracił czas i cenny materiał opatrunkowy, żeby jednemu z nich uratować życie.

– Dlaczego pan mu pomaga? – zapytał.

Nie chciał się do niczego mieszać, uważał, że jako obserwator ma największe szanse na przetrwanie. Właściwie przez całe życie był obserwatorem, a teraz, gdy zaczynał

pojmować prawidła rządzące mocą, chciał swoją taktykę życiową utrzymać tak długo, jak tylko można.

– Nie masz czegoś, co by mu pomogło? Na przykład powstrzymało krwawienie? Ta rana jest paskudna. Gość już blednie i ma fioletowe usta – zapytał szczupły zabójca zamiast odpowiedzi.

Janick uświadomił sobie, że nawet w duchu nie nazywa go po nazwisku, o wiele lepiej mu się wtedy o nim myślało. Przez chwilę rozważał, co ma odpowiedzieć. Może będzie miał pożytek z okazanej pomocy? A nawet jeśli nie, to przynajmniej wypróbuje swoje nowe zdolności. Ścisnął w ręce kamień. Jego blasku, ukazującego mu świat w niezwykłych kolorach i kształtach, nikt inny nie zauważał. Skulił się, żeby uniknąć linii mocy przecinającej pomieszczenie. Widział ostatnio te krzywe coraz wyraźniej. Nie wiedział, czym dokładnie są, ale przestał uważać je za halucynacje. Widząc, że obserwujący go szczupły zabójca nie rozumie przyczyny tego ruchu, wyprostował się. Przejście przez linię wywołało w jego głowie niemal bolesne mrowienie. Była naprawdę silna.

Nachylił się nad rannym, żołnierz spojrział na niego z obawą, uwidaczniającą desperacką wolę zachowania świadomości, choć jego stan ciągle się pogarszał. Stracił już mnóstwo krwi. Janick z wahaniem położył dłoń na opasce nad raną. Co teraz? Przez całe życie wertował księgi o magii, miał do nich łatwiejszy dostęp niż pozostali członkowie klanu, jako że uważano, że nie ma uzdolnień w tym kierunku. Wicker te księgi studiował, ale równocześnie ich nienawidził. Wiedział, że jest jednookim kaleką cierpiącym na kurzą ślepotę w wielkiej, ciemnej sali. A Janick je kochał. Czystą, dziwną miłością niezadającą niczego w zamian. Teraz pojawiały mu się przed oczami diagramy magiczne, wryte głęboko w jego chłonną podświadomość. Nie wiedział dokładnie, co oznaczają, jako że dopiero niedawno częściowo rozgryzł stary język nieżyjących czarodziejów. Zdołał jednak doczytać się, co były w stanie spowodować struktura diagramów i wprawiane w ruch prądy mocy. Ulepszanie drewna, znaczenie pojawiło się, gdy wyobraził sobie nagle prosty ornament przestrzenny, jaki powstał w jego umyśle. A czy naczynia ludzkie są tak różne od drewna? Mogło się udać. Skupił się, szło mu to łatwo, znacznie łatwiej niż podczas ćwiczeń, jakie przeprowadzał na podstawie tej dziwnej, magicznej książki kucharskiej. Energia na chwilę ożywiła wytworzony myślą diagram, ranny zajęczał i zemdłał. Janick drgnął, ulżyło mu, struktura zniknęła, został tylko przenikliwy ból. Sprężenie zwrotne spowodowane nieostrożnie użytym czarem, zrozumiał znaczenie kolejnego terminu, jaki przyswoił sobie podczas studiowania ksiąg. Dopiero teraz stwierdził, że ranny zemdłał. Popatrzył z obawą na szczupłego zabójcę, ale on obserwował żołnierza ze spokojem.

– Dobrze to wygląda – oznajmił po chwili. – Zdaje się, że naprawdę przestał krwawić. Dałbyś radę zrobić coś z moją ręką?

Janick ścierpł. Każda akcja powoduje reakcję, a ta wywołuje kolejne akcje, uświadomił sobie. Nie chciał swemu towarzyszowi pomagać, nie chciał nikomu pomagać. Był tylko obserwatorem. Ale bał się odmówić. Ten człowiek, szczupły zabójca, Koniasz – wyglądało na to, że zawarł jakiś pakt ze śmiercią, tak łatwo ją rozsiewał.

– To nie musi zadziałać – odpowiedział Janick ostrożnie.

– Mięsień albo żyły. To samo. – Szczupły zabójca obojętnie wzruszył ramionami.

Janick kiwnął głową. Właściwie nie przeszkadzało mu spróbować jeszcze raz. Odczuwał nawet z tego powodu pewną radość. W końcu operował mocą.

Skupił się znowu i nawet nie starając się zbyt, intuicyjnie zmodyfikował nieco diagram. Dopiero po chwili stwierdził, że to była właściwa zmiana, dlatego że mięsień jest bardziej sprężysty i zrasta się o wiele szybciej niż inne części ciała. Dzięki temu zasklepienie się rany będzie łatwe, a ramię wróci do sprawności w krótszym czasie. Wiedział już nawet, jak postępować przy próbie zagojenia kości.

– Nie do wiary – powiedział szczupły zabójca. – O wiele mniej boli. Dziękuję.

Poruszał przez chwilę prawie wygojoną ręką, wypróbując sprawność mięśni. Wyraźnie był zadowolony z wyniku próby.

– Lepsza niż przedtem, powiedziałbym – podsumował i popatrzył na Janicka z uznaniem. – Sprawdźmy, co zyskał. Coś niecoś sobie zabierzemy i weźmiemy się do roboty. Musimy przygotować się na dalsze działania wrogów – znów zaczął analizować sytuację.

Sytuacja nie do pozazdroszczenia, pomyślał Janick, rozglądając się wokoło. Siedzieli pod ziemią jak krety, a na zewnątrz czyhała na nich cała armia.

Szczupły zabójca podszedł do zabitych i zaczął oglądać jednego po drugim.

– Włazili do nas na szczęście z marszu, nie pomyśleli, że mogą tu zostać – stwierdził zadowolony i pokazał Janickowi dwie manierki z wodą.

Janick mógł tylko domyślać się, że chodzi o manierki.

– Czy pan widzi po ciemku? – zapytał ostrożnie.

*

Stał na granicy mroku i ciemności, tak żeby widzieć coś koło siebie, a równocześnie nie być zauważonym przez strzelców na górze. Szczupły zabójca zniknął w ciemnym kącie pomieszczenia. Myśli Janicka kilkakrotnie już pobiegły ku małej buteleczce z zatopioną w

ołowiu kryształową ampułką.

– Nie widzę po ciemku – otrzymał odpowiedź. – Ludzie nie doceniają jednak dotyku. Z drugiej strony – Koniasz zamyślił się – aby ten zmysł się w człowieku naprawdę rozwinął, musi on przebywać długi czas w ciemności. Dość długi.

Janick zadrżał, wyobrażając sobie taką możliwość. Tym bardziej że już praktycznie znajdowali się w królestwie ciemności, dzielił ich od niej tylko krąg mdłego światła wpadającego z góry. Ale on był przecież inny, on widział więcej niż zwyczajni ludzie. No tak. Co właściwie widział? Moc, linie mocy. Jeśli się postara, na pewno zobaczy ich więcej i nigdy nie znajdzie się w zupełnej ciemności. Uspokoił się. Trochę.

– Jeden miał przy sobie całą żelazną rację dzienną, kolejny prezent dla nas – stwierdził szczupły zabójca z zadowoleniem, gdy wrócił do strefy półmroku, niosąc zdobycz.

– Wodę będziemy oszczędzać. Tu jest chłodno, dużo nie potrzebujemy. Ta butla musi nam wszystkim wystarczyć aż do jutrzejszego obiadu.

Zranionego żołnierza, którego przedtem położył na wieku jednej z rozbitych skrzyń, przyciągnął do siebie i dał mu pić. Potem rozdzielił na trzy części kawał nieapetycznie wyglądającej ciemnej masy.

– Co to jest? – zapytał ostrożnie Janick, ale widząc, że obaj mężczyźni bez entuzjazmu wprawdzie, lecz i bez wahania zaczęli jeść, poszedł w ich ślady.

– Suszone, zmielone mięso zmieszane z łojem, solą, oregano, majerankiem i kminkiem, żeby się to w ogóle dało zjeść. Potem sprasowane i znowu wysuszone. Maksimum energii przy minimum wagi i nie psuje się – odpowiedział szczupły zabójca. – I właściwie tak źle nie smakuje. O ile alternatywą jest śmierć z głodu – dodał.

Przez pewien czas jedli, czy raczej żuli, uściślił Janick, w ciszy zakłócaną tylko chlupotaniem wody w pogiętej manierce, która krążyła wokoło. Całe życie przepędził skromnie, ale nigdy nie wyobrażał sobie, że czysta woda może stać się luksusem.

– Ilu was jest? – szczupły zabójca zwrócił się do rannego.

Właściwie to jeńca, określił Janick jego położenie.

– Tego panu dobrowolnie nie powiem.

Szczupły zabójca kiwnął tylko głową i podał mu manierkę.

– Rozumiem.

Na górze rozpadało się i szara powierzchnia suchego dotychczas bruku pokryła się kroplami wody. Poczuli powiew wilgoci, ale potem znów zapanował zapach suchego, nieruchomego powietrza wypełniającego zamknięte od trzech stuleci podziemia. Coraz głośniejszy szum deszczu zagłuszyły liczne przekleństwa, żołnierze szybko uciekali gdzie

indziej, zostawiając tylko wartowników.

– Można powiedzieć, że mamy się teraz lepiej od nich. – Szczupły zabójca spojrział w górę, pokazując, kogo ma na myśli.

Janickowi, nie wiadomo dlaczego, to stwierdzenie poprawiło nastrój. Uświadomił sobie, że w tym celu właśnie zostało powiedziane. Przedtem szczupły zabójca tak dużo nie mówił. Podczas kilku godzin spędzonych w podziemiach wypowiedział więcej słów niż przedtem przez wiele dni.

– Co to znaczy, że nie powie panu dobrowolnie? – zapytał.

– Że musiałbym wziąć go na męki, żeby wydobyć z niego informację mogącą zaszkodzić jego kolegom.

Janick zadrzał. Te słowa zabrzmiały aż nazbyt rzeczowo. Gdyby kiedykolwiek zdecydował się wystąpić przeciw szczupłemu zabójcy, powinien bardzo uważać, żeby nie pozwolić mu zagnać się w ką, żeby nie dostać się w jego ręce. Wbiło mu się to do mózgu jako paląca konieczność, spotęgowana jeszcze przez strach.

– I zrobi pan to? – naciskał dalej Janick. Chciał go dobrze poznać i zrozumieć.

Szczupły zabójca i żołnierz popatrzyli na siebie. Janick nie rozumiał, jak to się działo, ale widział, że doszło między nimi do wymiany poglądów jakimś niepojętym dla niego sposobem.

– Już kiedyś umęczyłem człowieka – powiedział cicho szczupły zabójca, a jego głos zabrzmiał jakby z głębokości, z której wynurzyć się niepodobna. – A dla ratowania własnego żywota nie będę tego powtarzał.

Krople z cichym pluskiem rozbijały się na kamiennej podłodze. Janick znów zadrzał. Własne życie nie jest dla niego tego warte, a więc co innego w takim razie mogłoby być?

– A w ogóle, to nawet nie muszę wypytywać – powiedział szczupły zabójca po dłuższej pauzie. – Tu musi chodzić o niewielki oddział. W przeciwnym razie z pewnością by nie dotarli do cytadeli. Bagna nie znają litości. Więcej niż dwunastu ludzi, mniej niż stu. Na spodniach nie znalazłem żadnego śladu po jeździe konno, to piechurzy. A więc określe ich liczebność na trzy tuziny dobrze wyszkolonych i doświadczonych ludzi. I tym się zadowolę.

Szczupły zabójca spojrział krótko na żołnierza i zamilkł.

– Trzydziestu sześciu żołnierzy, co możemy przeciw nim zdziałać? – wydyszał Janick, słysząc strach w swoich słowach.

Nawet dziecko odgadłoby, jak bardzo się bał.

– Jeśli zostawią nas na jakiś czas w spokoju, spróbujemy stąd uciec. Jeśli nie zostawią, pobijemy tych, którzy tu przyjdą – odpowiedział obojętnie szczupły zabójca.

– A jeżeli nam się to nie uda?

– Wtedy umrzemy.

Takiej odpowiedzi Janick nie chciał usłyszeć. On miał przecież inną możliwość, czyż nie? Był czarodziejem, może jedynym prawdziwym czarodziejem na świecie. Przestał żuć i skupił się na mglistych refleksach, nieistniejących w świecie zwyczajnych ludzi. Bał się, bał się bardzo, ale jednocześnie wiedział, że w mężczyznach, z którymi siedział teraz nie z własnej woli, kryje się siła. On sam był obserwatorem i przywykł do tego. Tylko że dawniej nie miał żadnych ambicji, a teraz to się zmieniło. Czy pozostając obserwatorem, mógł swoje ambicje zaspokoić? Nie, już z samej zasady nie.

No to do dzieła, nakazał sam sobie.

PALENIE MOSTÓW

– Umowa stoi. – Liama wprawdzie popatrzyła na starszego mężczyznę, a później podała mu rękę, pieczętując u siebie interesu.

Uściskała ją i z uznaniem pokiwała głową.

– W życiu nie spotkałem nikogo, kto targowałby się tak jak pani. Dostała pani dobrą cenę.

Liama pozwoliła sobie na uśmiech.

– I pan też. Jutro albo pojutrze urodzi się cielętko. Będzie zdrowe, o to można się założyć.

– Jeśli się tak stanie, to i ja będę zadowolony – mruknął.

Liama wiedziała, że wszystko będzie w najlepszym porządku, a co więcej, mogła zdradzić gospodarzowi, że przybędzie mu krówka, a nie byczek. Tego oczywiście nie zrobiła.

Zawinęła pieniądze w chusteczkę, ukryła ją pod suknią i pożegnała się.

Pomagała Getznerowi wyprzedawać jego majątek. On sam pojechał do jakiejś wioski odległej o dwa dni drogi, żeby wyegzekwować należne mu długi. Pieniądzy by nie dostał, ale wozy tak, a o nie głównie chodziło.

Poszła do domu i po raz pierwszy w tym dniu, pełnym pośpiechu i nerwowości, poczuła zadowolenie. Nawet nie przypuszczała, że tak dobrze umie się targować. Uzyskała więcej pieniędzy, niż na to liczyli wraz z Getznerem. Może dlatego, że targowała się dla niego, nie dla siebie. Mimo to zdawała sobie sprawę, że ludzie, którzy jej zaufali, będą mieć kłopoty. Ich główny majątek stanowiły mieszkania w czworoboku, a tego nie dało się łatwo sprzedać, o ile w ogóle, bo część mieszkańców zostawała.

Może nawet większość, stwierdziła krytycznie, bo na wyjazd zdecydowało się dotąd tylko siedem rodzin, a zaledwie trzy zaczęły się do niego poważnie przygotowywać.

Ale będą odjeżdżać ubodzy, z minimalnym tylko wyposażeniem na długą drogę.

Ta myśl zaprzętała jej uwagę, gdy odzwierny, tym razem jeden ze starszych chłopców, wpuszczał ją do domu. Miał poważny wyraz twarzy, a u pasa wielki nóż. Przypomniała sobie komando, które prawie na progu jej domu zlikwidował Koniasz. Ten nóż i strażnik u drzwi to były tylko pozory, które miały przekonać mieszkańców, że zrobiono wszystko dla ich ochrony.

– Czeka na ciebie ten człowiek – poinformował ją chłopak, zanim jeszcze zdążył zamknąć drzwi.

Liana zdrętwiała. Koniasz? Wrócił? To byłoby wspaniałe. Nie wiedziała dokładnie dlaczego, ale była tego pewna.

– Ten, co wygląda jak mały kotek – uzupełnił.

Stłumiła rozczarowanie i skarciła samą siebie za to, że je poczuła. Pan Łasica mógł okazać się nadzwyczaj pomocny i wcale jej nie przeszkadzało, że otrzymał zapłatę za swoją pracę. Właściwie było to korzystne, mogła zwracać się do niego bez skrępowania, nie czując się zobowiązana.

Poszła na podwórze i popatrzyła na taras. Czekał tam, zmrużył oczy, twarz wystawiał do nisko wiszącego słońca. Wygrzewał się zupełnie jak kot.

– Idę do Każewicza. Tylko na chwilę. Poczekaj pan na mnie? Zrobię panu później kawę albo herbatę.

Odpowiedział prawie niezauważalnym kiwnięciem głową.

Jedną rzecz miał wspólną z Koniaszem. Obaj, kiedy nie musieli, nie poruszali się, jakby oszczędzali siły.

Zawahała się przed drzwiami Każewicza, ale zastukała energicznie i bez zaproszenia weszła. Każewicz miał areszt domowy i oczekiwał na decyzję zgromadzenia mieszkańców co do swego losu. Tym razem tylko mieszkańców tego czworoboku, w którym mieszkał.

Siedział w fotelu nad dzbanem zwiertzałego piwa. Chyba żona mu je przyniosła, uznała Liana. Oboje wydawali się jej jednakowo pełni żółci i podstępni, choć może to sobie tylko wmawiała. Co więcej, nie byłoby sprawiedliwe, gdyby za jego winy pokutowała i ona. A tak by się stało, jeśli ludzie wykluczyliby go ze swej społeczności.

– Czego chcesz? – zapytał zaczepnie.

Liana wiedziała, że to opór człowieka zapędzonego w kąt, człowieka, który nie wie, co z nim będzie.

– Byłeś starostą rodu, ale już nim nie będziesz – zaczęła. – Wygonimy cię stąd, ja cię stąd wygonię.

Słuchał tego, co mówiła, kilka iskier nienawiści w jego oczach szybko zgasło, ustępując miejsca rezygnacji.

– Pomóż mi zostać starostą, a przemówię za tobą na zgromadzeniu. Nie będę żądała twojego odejścia.

Nieoczekiwana oferta wytrąciła go z letargu, widziała, jak się w nim obudziło zdumienie, radość, wzburzenie.

– Jesteś kobietą – mruknął. – Nie przyjmą cię. Czekala, nie odpowiadając. Gdyby została starostą, jej słowa nabrałyby większego znaczenia i zdołałaby przekonać do odejścia więcej ludzi. To była jej główna i właściwie jedyna motywacja.

– Jak mam ci pomóc? – zapytał po dłuższej przerwie.

– Na początek dasz mi klucz do starych pomieszczeń, a gdy przyjdą zapytać, dlaczego mi go dałeś, powiesz, że wybrałeś mnie na swego następcę.

Chwilę trwało, nim się z jej żądaniem uporał. Zastanawiała się, czy przypomnieć mu, że jest oskarżony o próbę zabójstwa, ale w końcu tego nie zrobiła.

– Ale wstawisz się za mną, postarasz się, żeby mnie nie wygonili? – spytał cicho.

Bał się bardzo i Liama ze zdumieniem stwierdziła, że nie czuje już do niego ani nienawiści, ani odrazy, tylko litość.

– Postaram się – obiecała.

Odchodziła z masywnym, z pozoru prymitywnym kluczem w torebce. Kiedyś złamał się i ktoś z miejscowych nieumiejętnie zespawał go w kuźni. Tylko nim można było otworzyć zamek, bo dokładna kopia, wykonana przez ślusarza, nie działała.

*

Łasica nadal czekał na tarasie i nic nie mówiąc, poszedł za nią do domu.

– Będzie pani miała kiepską opinię. Sprowadza pani do siebie obcego mężczyznę – zauważył, gdy przygotowywała kawę.

Przyglądał się każdemu zakątkowi, rejestrował każdy drobiazg. Nic nie umknęło jego uwadze, a z tego, co zobaczył, umiał wyciągać wnioski.

– Ładny nóż. – Wskazał na ten, który dostała w prezencie. – Dobra robota, musiał być bardzo drogi.

– Dostałam go – przyznała się, nie kontynuując tego tematu.

Wyglądało, że to mu zupełnie wystarcza.

Zaznajomiła go ze stanem przygotowań do odjazdu tych z ludzi, których przekonała o konieczności ucieczki, jak również ze swoim porozumieniem z byłym starostą.

– Odważny i pragmatyczny postępek – oświadczył Łasica. – Miejmy nadzieję, że go pani dobrze usadziła, bo mógłby pani szkodzić. Ale co pani w ten sposób zyska? Szykuje się pani przecież do odjazdu, a on tu zostanie.

– Naszym wspólnym majątkiem, myślę o ludziach z czworoboku, są przedmioty pochodzące z dawnych czasów – wyjaśniła. – Dobrze ukryte, bo ich posiadanie groziło albo nadal grozi śmiercią. Ale przy ich pomocy byłibyśmy w stanie robić mnóstwo użytecznych

rzeczy, które mogą się przydać w drodze. Bez Każewicza nie potrafiłabym się do nich dostać.

– Czy to są magiczne artefakty? – zareagował natychmiast.

– Właściwie nie wiem. – Wzruszyła ramionami i przez chwilę zastanawiała się, ile może zdradzić swemu rozmówcy. Wszystko, osądziła, bo i tak powierzyła mu życie ludzi, na których jej zależało. Całkiem przy tym nie myśląc o swoim własnym życiu.

– Przy pomocy tej bransoletki – wskazała na obręcz z ciemnego metalu na swym nadgarstku – mogę widzieć rękami. Nie naprawdę widzieć, ale gdy położę rękę na rodzącej, wyczuwam ułożenie dziecka, mogę stwierdzić, czy wszystko jest w porządku. To bardzo pożyteczna rzecz.

– Tak – zgodził się Łasica.

Słuchał jej uważnie, trzymając w ręce kubek z kawą.

– A takich rzeczy może tam być więcej, z pewnością jest więcej. Chciałabym, żeby odjeżdżający zabrali należną im część. Z takim wyposażeniem możemy ułatwić sobie nie tylko drogę, ale i początek bytowania w obcych stronach.

Łasica przytaknął zamyślony.

– W takim razie pospieszmy się. Kiedy według pani wyruszymy? – zapytał.

Przypuszczał, że Liama, świadoma grożącego niebezpieczeństwa, odjedzie wraz z pierwszą trójką.

– Za tydzień – odpowiedziała. – Chcę przekonać pozostałych.

– Tyle czasu nie mamy.

Głos Łasicy, opanowany i spokojny, nagle stwardniał, choć nie podnosił go.

– Ktoś o panią wypytuje – ciągnął dalej, widząc jej nierozumiejące spojrzenie.

– O mnie? Dlaczego?

Nie pojmowała, czemu ktoś miałby o nią wypytywać ani dlaczego tak to Łasicę zaniepokoiło.

– To przecież jasne, zbiorę fakty razem. Pani i jej ludzie zamierzacie stąd zniknąć. Domyślcie się, że ktoś na was czyha, może nie na was konkretnie, ale na członków rodów zamieszkujących czworoboki.

Liama tylko przytaknęła. Milczała, czekając, co mężczyzna powie dalej.

– Sądzę, że podczas gdy przez pięć dni panoszył się tutaj Konwent, ten ktoś, oczywiście chodzi o więcej niż jednego człowieka, zapadł się pod ziemię i wyczekiwał. Teraz niebezpieczeństwo minęło i przeciwnik chce przeprowadzić swój plan. Ale przedtem ostrożnie się rozejrzy, czy mu ktoś nie depta po piętach. I czego się dowie? Że jedyną osobą interesującą się tajemniczymi zniknięciami jest zwyczajna kobieta, pardon, madame. –

Skłonił się bez uśmiechu. – Jak pani myśli, co zrobi?

– I dlatego nie mam tyle czasu – zrozumiała. – Ale ja muszę ich uratować! Nikt tu nie powinien zostać, zabijają ich!

– No to niech ich pani przekona do jak najszybszego wyjazdu. Najlepiej już jutro.

ŻYWCEM POGRZEBANI

Krag światła wpadający z góry, przypominający, że gdzieś indziej, w innym świecie istnieje słońce i świeże powietrze, bladł i matowiał. Ściemniało się, a już od dobrej godziny dobiegał nas odgłos niezbyt rytmicznego bębnienia. Według mnie było to trzech lub czterech chłopów walących drewnianymi klocami o siebie.

– Po co to robią? – zapytał Janick.

Mnie też to działało na nerwy. Nasz przymusowy gość poruszył się i podrapał po głowie.

– Jeśli przesuniesz opaskę, którą masz na oczach, wydlubię je – przypomniałem mu.

Znieruchomiał i bardzo ostrożnie cofnął rękę.

– Przygotowują się do ataku – odpowiedziałem młodemu czarodziejowi. – I nie chcą, żebyśmy, nasłuchując, poznali, kiedy nadejdzie godzina zero.

Janick niewiele mi pomógł w przeciągu ostatnich godzin, raczej zajmował się własnymi sprawami. Pobyt w podziemiach wyraźnie mu służył, z jego zachowania wynikało, że postrzega wnętrze inaczej niż ja, starał się to jednak ukrywać. To było logiczne, znajdowaliśmy się w twierdzy mocarnego niegdyś klanu czarodziejów, magii w różnych formach pozostało tu na pewno sporo.

Janickowi wydawało się, że przygotowuje pułapkę, ale ja go przez cały czas obserwowałem. Był podobny do człowieka, który od urodzenia nie miał smaku i węchu, ale nagle pozyskał obydwie brakujące zmysły. Kręcił się po okolicy, *obmacywał-obwąchiwał* świat, a nawet w sytuacji, gdy groziło nam śmiertelne niebezpieczeństwo, wydawał się zrównoważony w sposób budzący podziw. A jeśli od czasu odejścia z wioski jego pewność siebie stopniowo rosła, to teraz wręcz wybujała. Wiedziałem, że prędzej czy później będę musiał coś z tym zrobić i uświadomić mu, że wystąpienie przeciwko mnie nie będzie dla niego korzystne. Nie byłem jego przeciwnikiem, a z obecnej sytuacji obaj mogliśmy się wypłatać. Tylko nie wolno mu popełnić błędu.

Rytm bębnienia nie zmienił się, tymczasem spuścili nam do wnętrza lampę z osłoną u góry, przez co przestrzeń nad nią pozostawała w ciemności.

– Trzeba uważać – ostrzegłem Janicka w momencie, gdy tuż koło jego głowy złamały się o ścianę dwie strzały.

Przygotowane przedtem kryjówki ze starych szaf i skrzyń bardzo nam się teraz przydały. Bez nich musielibyśmy ukrywać się nieco dalej, poza zasięgiem światła lampy.

– Będą się starali uprzykrzyć nam życie – nadmienilem, żeby go uspokoić, chociaż wcale tego nie potrzebował.

– Na górze jest ich wielu. Wierzy pan w to, że się z nimi upora? – zapytał.

Upora. Sam się od sytuacji dystansowałem. Ciekawe.

– Zobaczmy. Czarodzieje Maaterenditu znani byli z dobrej techniki obronnej, nieczęsto udawało się zdobyć ich twierdzę. Albo obrońcy poddawali się, albo napastnicy musieli zrównać z ziemią ich stanowiska siłami pozostającymi poza naszą zdolnością pojmwania – wyjaśniłem.

Ktoś na górze usłyszał mnie i wystrzelił w kierunku głosu. Strzała wbiła się w płytę stanowiącą prowizoryczną osłonę postawioną między dwiema szafami. Przeszła na wylot, namacałem stalowy grot. Bez haków utrudniających wyciąganie, prosty kształt przeznaczony do przebijania zbroi.

Janick pochylił się, żeby lepiej widzieć, i naraz pobladł. Przemoc fizyczna, zwłaszcza skierowana przeciwko niemu, źle na niego działała. Opanował się jednak dość szybko, jakby wznosił mnóstwo barier między sobą a grotem sterczącym z płyty.

– Pan się naprawdę nie boi? – zapytał.

Starał się mnie przeniknąć, tak jak ja jego. Może nie doceniałem go z początku? Pytanie zastanowiło mnie, długo myślałem nad odpowiedzią.

Sam się zdumiewałem, jak mało strachu odczuwam przed tymi dziesiątkami ludzi nad nami. Wiedziałem, że nasze szanse na przeżycie nie są zbyt wysokie, ale mimo to pozostawałem spokojny. Jak zawsze, a może nawet bardziej. Czy to znaczyło, że właśnie tu zginę? Nie wiedziałem. Czy podjąłbym na nowo całe to ryzyko? Tylko ciekawość spowodowała, że zostałem w Krachtiburgu. Uczciwa odpowiedź, której sam sobie udzieliłem, zaskoczyła mnie. Podjąłbym. Dowiedziałem się więcej niż przez wszystkie poprzednie lata, stwierdziłem, że dziedzictwo magii nie zostało wytrzebione, ale oczekuje na odkrywcę płytko pod powierzchnią, a ten, który znajdzie właściwe miejsce i odgarnie cienką warstwę piasku utworzoną przez ziarna czasu, odzyska je. To stwierdzenie było fascynujące. A co więcej, w wewnętrznej kieszeni koszuli ukryłem wyświechtaną książkę, właściwie nawet nie książkę, lecz notes pradawnego czarodzieja, który wszystkich innych przerósł siłą i rozumem. A ja, o ile przeżyję, będę mógł zaznajomić się z przemyśleniami czarodzieja nad czarodziejami. Będę mógł swym niepowołanym umysłem próbować pojąć, jak funkcjonuje magia. Tak, wziąłbym w tym udział jeszcze raz. Niewiele miałem do stracenia. Lata spędzone na szlaku nauczyły

mnie samotności. Jeśli zbiegiem okoliczności zbliżyłem się do kogoś, jeśli kogoś pokochałem, to wszyscy moi bliscy umarli albo odeszli w swoją stronę. To pierwsze zdarzało się częściej. Pewnie, że wolałbym umrzeć gdzieś na zboczu wysokiej góry, mając stamtąd piękny i rozległy ostatni widok niż w ponurym, ciemnym podziemiu, ale człowiek najczęściej nie ma przecież pełnego wyboru. A ja, jak dotąd, zwykle wybór miałem.

– Nie, nie boję się. Dlaczego? Bo jestem panem swojego losu – odpowiedziałem Janickowi zgodnie z prawdą.

Przybrał szczególny wyraz twarzy. Rytmiczne bębnienie zmieniło się w chaotyczne, przestałem się nim zajmować i skupiłem na włązie.

Atak wciąż nie następował, nadal się przygotowywali.

Lampa wkrótce zgasła, a następnej nie spuścili. To oznaczało, że możemy ich oczekiwać w każdej chwili, za minutę, za pół godziny, nad ranem.

Siedziałem, odpoczywałem i pozwalałem rzeczom toczyć się swoją koleją, nie mając na nie żadnego wpływu. W zupełnej ciemności i w panującym hałasie nie miałem szansy na odkrycie zamiarów naszych wrogów. Wiedziałem tylko, że jak mnie ktoś klepnie w plecy, to będzie nieprzyjaciel. I stosownie do tego zareaguję. Czas płynął, przemyślałem o magii, o konsekwencjach jej powrotu, o uporządkowaniu świata. Niczego nie usłyszałem, niczego nie spostrzegłem, nie ostrzegł mnie ruch powietrza albo nowy zapach, a mimo to nagle stanąłem w gotowości i bez namysłu cisnąłem dużym kamieniem w ścianę za sobą. To był sygnał dla Janicka. Założyłem strzałę, a on, tak jak się umówiliśmy, zapalił naszą jedyną świeczkę.

Jej słabe światło wydobyło z ciemności kosz spuszcany na linie. Domyślałem się, że za zasłoną z prętów, gliny i skóry może chować się dwóch lub trzech ludzi. Wystrzeliłem w momencie, gdy dno kosza dotknęło ziemi, rzuciłem się do przodu, za plecami poczułem zawirowanie powietrza wywołane całą salwą wypuszczonych strzał. Janick zgasił świeczkę, znów zgodnie z naszą umową.

W ręce nie trzymałem miecza, lecz zaimprovizowaną włócznię z grotem sporządzonym z wojskowego noża. Cisnąłem nią z całej siły. Ktoś zacharczał i był to ostatni dźwięk, jaki wydał w życiu. Zapaliła się lampa, osłona wyleciała ku mnie, aż musiałem przypaść do ziemi, żeby mnie nie uderzyła. Przetoczyłem się przez ramię i kolano, czubek miecza zjechał po moim ramieniu i trzasnął w podłogę. Odskoczyłem i użyłem całej siły, żeby pchnąć przeciwnika szykującego się do kolejnego ciosu. Włócznia przebiła go i uwięzła w jego wnętrznościach. Pochylił się, jakby chciał się na mnie rzucić, broń pogrzyżyła się jeszcze bardziej. Już o kamienie uderzyła lina, po której spuszczali się dalsi napastnicy. Wiedziałem, że się pojawiają, ale nie podobało mi się, że poszło im tak łatwo.

Łysy chłop w moim wieku porwał się na mnie z mieczem, podniosłem się i rzuciłem na jego ostrze martwego kolegę. To wytrąciło go z rytmu. Mojego boksterskiego haka, wzmocnionego skrycie trzymanym nożem, zdołał jednak uniknąć. Za to żołnierz w zbroi, który ni to spadł, ni to zjechał po linie, nie spodziewał się pchnięcia wyprowadzonego z niskiego obrotu. Jednak jego kolczuga wytrzymała. Podbródek natomiast nie. W pośpiechu nie zdążyłem wyprowadzić klingi, uderzyłem go tylko rękojeścią. Migotanie pochodni, ciemność mieszająca się ze światłem, chaos, wrzask. Wykorzystując zamieszanie, pognałem korytarzem do składu położonego najbardziej na północ. Nareszcie miałem chwilę, żeby dobrać miecza. Ostrze drasnęło moje plecy, machnąłem z obrotu, rozcinając głowę najszybszemu z mych prześladowców. Na szczęście nie potknąłem się i biegłem dalej, w wysoku przecinając worek zawieszony nad wylotem korytarza. Jego zawartość wysypała się na ziemię. Tuż po tym odezwał się wielokrotny ryk, a ja zyskałem trochę dystansu. Stąpienie na jeża utworzonego z grotów strzał nie należy do przyjemności. Wszystkie, jakie udało mi się znaleźć, zgromadziłem w tym worku. Jednocześnie w głównym pomieszczeniu zapłonął ogień. To Janick, znów zgodnie z ustaleniami, podpalił prowizoryczną barykadę, którą zablokowaliśmy wejście do magazynu pierwszej strefy. Ogień nie mógł ich wprawdzie zatrzymać, ale spowolnić i owszem. Spowodował, że skupili się na mnie, a pozostałe korytarze i tunele zostawili w spokoju. Przynajmniej na początku.

Wszystko to dało mi pięć głębokich wdechów i wydechów, kilka sekund odpoczynku. Fali najeźdźców, która miała mnie zniszczyć i wdeptać w ziemię, stawiałem czoła z dwoma gołymi mieczami.

Półmrok, krzyki, niezrozumiałe rozkazy do niepoznania zdeformowane przez echo, coraz gęstszy, szczypiący w oczy dym. Pchnięcie w pierś ześlizgnęło się po ostrzu w bok, w odpowiedzi zrobiłem wypad, chłop w ostatniej chwili wyczarował w lewej ręce broń i odbił mój atak drugim mieczem. Przeszedłem z pchnięcia do cięcia odwrotnego, cofając się o krok, żeby nie wystawić odkrytego boku innemu żołnierzowi, posuwającemu się po drugiej stronie tunelu.

– Tarcze, ludzie z tarczami naprzód! – ryczał ktoś. Zamarkowałem atak lewym mieczem. Nowy przeciwnik wyczuł, że chodzi tylko o fintę, ale wyprzedziłem go wypadem i ostrze weszło głęboko w pierś. Nie miałem czasu go wyciągnąć, zamiast tego padłem prawie na kolana, żeby uniknąć poziomego cięcia i równocześnie zatrzymać kolejnego przeciwnika.

Są dobrze uzbrojeni, doświadczeni w walce w ciasnych pomieszczeniach, dobrze zgrani, przeleciało mi przez głowę. Nie dam rady ich zatrzymać. Gwałtownym popchnięciem z biodra odrzuciłem przeciwnika pomiędzy jego kolegów. Zadziałał jak dobrze rzucona kula

bilardowa, co pozwoliło mi złapać oddech. Krótką przerwę wykorzystali, by się przegrupować, na czele tłoczyli się teraz tarczownicy. Pulsowanie w skroniach, obca i własna krew na twarzy, obdarta skóra na pięści. Wdech i...

...skoczyłem, zanim zdążyli się sformować. Wyrzuciłem lewą rękę w kierunku tarczy, zahaczyłem palcami o jej skraj, pociągnąłem do siebie, chroniąc w ten sposób ramiona przed świszczącą klingą i równocześnie wyłamując żołnierzowi łokieć. Poddał się naciskowi połączonemu z bólem. Ciąłem go w kark, w ostatniej chwili skłonił głowę na bok, cięcie zjechało po hełmie i przecięło obojczyk. Odepchnąłem go ramieniem, z obrotu oburącz ciąłem w rękę jego towarzysza spieszącego na pomoc. Coś mnie uderzyło w plecy, sztylet świsnęła koło mnie i zginął w ciemności. Byli nie dalej niż cztery kroki za mną. Ich wściekłość spowodowaną śmiercią kolegów czułem jak ognistą falę. Musiałem przed nią uciec, jeśli chciałem przeżyć. Masakra w korytarzu naprawdę ich rozwścieczyła. Mijałem właśnie zamek magiczny, nie zatrzymując się, w biegu dotknąłem go lekko, a dysk wrócił na swoje miejsce. Zamknięty. Trzy wolniejsze już kroki, odwróciłem się, żeby zobaczyć, co się stanie i – o ile magia nie zadziała – zmierzyć się z nimi i zginąć.

Pierwszy żołnierz zrozumiał, że coś jest nie w porządku, że zastawiłem na nich pułapkę. Miał rację, lecz jaką pułapkę, tego obaj się nie domyślaliśmy.

– Stójcie – ryknął, gromada jego kolegów parła jednak dalej, za niewidzialną linię wytyczoną przez zamknięty mechanizm.

Wyglądało to tak, jakby człowiek w okamgnieniu zmienił się w marionetkę, której ktoś przeciął linki. Podłamały mu się nogi. Zgięły się nie tylko w stawach, lecz na całej długości, jakby kości utraciły nagle sztywność. Upadł na ziemię i zaczął zapadać się w sobie, aż została z niego tylko masa złożona z mięsa i galaretowatych kości.

To samo stało się z dwoma innymi ludźmi. Widowisko było przerażające i fascynujące równocześnie, nie miałem jednak czasu na obserwowanie, zostawiłem napastników pogrążonych w osłupieniu i uciekłem przez magazyn do korytarza, w którym płonąła barykada.

Janick kulił się u wylotu tunelu z chustką na ustach i obserwował ogień. Dym bardziej tu dusił, powiększał jeszcze chaos panujący w podziemiu. Łatwo było zginąć. Udusić się lub zostać zabitym.

– Północnym korytarzem nie dostaną się do nas. Zamknąłem przejście, a zamek stanowi śmiertelne niebezpieczeństwo dla ludzi niemających klucza – poinformowałem go i ruszyłem ku barykadzie. Najsłabszym punktem była przestrzeń przy lewej ścianie, gdzie drewno osunęło się i łatwo było przeskoczyć przez płomienie. Do tego, żeby wszyscy naraz

nie rzucili się za mną, barykada wystarczyła. Innym powodem, dla którego postawiliśmy ją właśnie tutaj, było to, że maskowała widoczne zamki, umożliwiające wstęp do pierwszej strefy magazynowej. Ostrożnie przeskoczyłem przez płomień, wysuwając się przed barykadę tak daleko, jak tylko pozwalał mi strach. Przekraczając linię zamka, doznałem przykrego uczucia. Nie przypuszczałem, żeby mogło mi się coś stać przy opuszczaniu chronionej przestrzeni, ale z magią nigdy nic nie wiadomo.

– To jakieś kurewskie, zaczarowane podziemia, sierzancie! – wymyślał ktoś głośno. – Flita z Baldem i Kodenem całkiem rozpuściło! Nie mieli najmniejszej szansy!

Nie poruszałem się, to ruch najczęściej zwraca uwagę. Mimo dymu mogłem rozeznaczyć, że pośrodku pierwszej hali tłoczy się z dziesięciu żołnierzy z mieczami w rękach, z uniesionymi tarczami. W obliczu niebezpieczeństwa instynktownie utworzyli formację obronną. Sierżant stał obok nich, bliżej tunelu, w którym jeszcze przed chwilą z nimi walczyłem, w ręce trzymał pochodnię.

– Sprawdźcie, gdzie jest ta granica, która zabija! Albo lepiej ja sam pójde popatrzeć, a wy trzymajcie pozycję – zdecydował po krótkiej przerwie. – Krag, zajmij się rannymi. – Klepnął któregoś z podwładnych po ramieniu i w towarzystwie jednego żołnierza zniknął w tunelu.

Nadal nikt mnie nie widział. Głównie dlatego, że mnie nie szukali, myśleli, że uciekłem gdzieś w głąb podziemnego labiryntu.

– Meldunek, chcę słyszeć meldunek – zabrzmiało z góry żądanie, natychmiast przerwane kaszlem. Tam w górze dym był najgęstszy, na dole jak na razie tylko szczypał w oczy.

– No, do cholery, sierzancie! – dowódca na górze zachęcał podoficera do czynu.

Gęsty dym rozświetlił mdły poblask lampy. Klęcząc, widziałem ją równo na poziomie sklepienia wlotu tunelu do centralnej hali. Pod ścianą przygotowałem przedtem łuk, tak żeby nie rzucał się w oczy. Strzelanie do góry nie jest proste, zwłaszcza na klęczkach, a ze mnie żaden cudowny łucznik. Ale spróbować nie zawadziło, miałem dwa pociski właśnie na taką okazję. Wsunąłem miecz do pochwy, nałożyłem strzałę, zrobiłem wdech i wydech i bez zwłoki, wstrzymując oddech, płynnie naciągnąłem cięciwę, wymierzyłem do góry, w kierunku światła, i wystrzeliłem.

Krzyk, lampa spadła, roztrzaskując się, a ułamek sekundy później poszło w jej ślady czyjeś ciało, ale nie spadło, tylko zawisło głową w dół, na nodze zamotanej w pętlę liny.

Szkoda.

– Ratujcie mnie, ktoś do mnie strzelił! Boli, cholera! – ryczał wiszący kapitańskim

głosem.

Nalozylem druga strzale. Przez moment wahalem sie, ale w koncu wybralem sobie inny cel – zolnierza stojacego w szyku obronnym, zwróconego twarza ku mnie. Tak jak inni patrzył w góre, opuszczajac przy tym tarcze. W chwili gdy wycelowalem, spojrzal nagle w moim kierunku i nasze oczy sie spotkaly. Zrozumial, ze juz nie zyje. Trafilem go w odslonieta szyje, to bylo latwe.

– Tam jest! – ryknal ktos.

– Stojcie – sierzant, krzyczac gdzieś z daleka, usilowal odzyskac kontrole nad swoimi ludzmi, ale nie udalo mu sie i wszyscy rzucili sie za mna.

Przeskoczyłem przez ogień, w biegu zamykając zamek lekkim dotknięciem. Miałem nadzieję, że nikt tego nie zauważył. Pierwszy z goniących potknął się i dotarł do barykady na brzuchu. Sierzant ryczał swoje rozkazy tak głośno, że słyszałem go mimo trzaskania kupy starych papierów, które wysypały się z jednej z szaf i płonęły wysokim płomieniem.

– Stójcie, do cholery, stójcie, bo wszyscy zdechniecie! Tuż przed barykadą posłuchali. Dobyłem miecza, żeby dosięgnąć choćby najbliższego, ale nagle w świetle pożaru zobaczyłem siwowłosego unoszącego łuk. Rzuciłem się na podłogę akurat w czasie wystarczającym do uniknięcia dokładnie wycelowanej strzały. Nigdy w życiu nie pełzałem tak szybko, ale i tak trafił mnie drugą strzałą, pod minimalnym kątem, dzięki czemu ześlizgnęła się tylko po nodze, pozostawiając powierzchowną ranę.

Bezpiecznie ukryty za ścianą oparłem się plecami o mur i powoli opuściłem na dół. Całe ciało miałem jak z ołowiu, w żyłach krążył mi żywy ogień. Ile czasu minęło od chwili, gdy odkryłem ich atak? Dwie minuty? Trzy? Było to szaleństwo, błyskawiczne i nielitościwe, zużyłem wszystkie siły, a nawet trochę zapożyczyłem na kredyt.

– Co będzie dalej? – zapytał Janick, kiedy zrozumiał, że walka się skończyła i zapanowało tymczasowe status quo.

Byłem jeszcze zbyt zmęczony, żeby odpowiedzieć od razu. Zamiast tego podsłuchiwałem, jak sierzant, którego głos pomimo echa dobrze już rozróżniałem, wydaje dalsze rozkazy. Kazał żołnierzom zbadać ściany i znaleźć wszystkie pozostałe zamki magiczne, poza które nie powinni wchodzić. Przesunąłem się tak, żeby mieć widok na tunel łącznikowy i zobaczyć, jak to robią. Pierwszy szedł obserwator, a za nim dwóch ludzi obstawy, zapewniających wsparcie na wypadek ataku i meldujących o ewentualnej pułapce, w którą wpadł zwiadowca. Sierzant dobrze to przemyślał, zorganizował równie dobrze i do tego szybko. Zdałem sobie sprawę, że jestem zlany potem.

Usiadłem znów obok Janicka w magazynie zapewniającym nam tymczasowe

schronienie i oparłem się o ścianę.

– Są dwie możliwości – wróciłem do jego pytania. – Albo zadałem im takie straty, żeś podziemia wystraszyły ich do tego stopnia, że wrócą na górę, machną na nas ręką i odejdą, żeby złożyć meldunek dowództwu. Albo zostaną tu, wezwą posiłki i będą czekać na nasze ruchy.

Myślałem przez chwilę o tym, ilu ich zabiłem lub uczyniłem niezdolnymi do walki. Mieli znakomite broje, kilku z nich zawdzięczało im życie. Trzech, czterech... co najmniej siedmiu, prawdopodobnie dziesięciu, analizowałem w myślach niedawne krwawe dzieło. Gdyby nie byli tak dobrze wyszkoleni i zgrani, magiczny zamek mógłby zabić wielu więcej. Pech. Takie straty zadane w tak niezwykłych okolicznościach zdeorganizowałyby I przytłoczyły większość oddziałów walczących samotnie, bez łączności z dowództwem i wsparcia sił głównych armii. Tego nie.

Aktywność naszych nieprzyjaciół stopniowo zamierała, oni też potrzebowali odpoczynku.

– Wrócimy do miasta, muszę opatrzyć rany u medyka. Jest nas zbyt mało do walki z tą bandą czarodziejów – usłyszałem przytłumiony głos kapitana.

Już go ściągnęli na dół. Musieli mu coś dać, wywar z maku, alkohol czy coś podobnego. Ożywiłem się, to brzmiało obiecująco.

– Kapitan jest odurzony, gdybyśmy go posłuchali, to jutro powiesiłby nas na najbliższym drzewie – odezwał się sierżant. – Dajcie mu się jeszcze napić, niech zaśnie.

Strzeliłem do niewłaściwego chłopca. Z kapitanem przy komendzie bylibyśmy uratowani. Znowu pech. Gdy szczęście nie sprzyja, nadchodzi czas umierania.

– Jeszcze przez chwilę posłucham, o czym mówią, a później zaczniemy szukać innej drogi wyjścia. Nie ma sensu tego odkładać. To może zająć kilka dni – mruknąłem.

– Innej drogi? – nie zrozumiał Janick.

– Klan Maaterenditu zawsze miał w swych twierdzach wyjścia awaryjne. Często magiczne, ale nam wystarczy zwyczajne – wyjaśniłem. – Na ogół wiodły z tych najlepiej strzeżonych części podziemi.

– Ale my nie mamy klucza do magazynów drugiej strefy, o których pan mówi – zaprotestował.

Jego przeobrażenie jeszcze nie było całkowite, ale szybko się uczył.

– System ochrony środkowej hali nie działa – powiedziałem tylko.

– Pan także wyczuwa magię?

– Nie – odpowiedziałem krótko i wstałem, żeby posłuchać, co robią warty wystawione

przez sierżanta w sąsiednim tunelu.

Magii nie wyczuwałem w ogóle, ale umiałem wyciągać wnioski z obserwacji zachowania innych ludzi. W środkowym magazynie pierwszej strefy Janick podszedł aż do linii zamku strzegącego wejścia do głębszych podziemi i oglądał go długo i uważnie; w innych miejscach zachowywał bezpieczny dystans. Nie zawahał się przed dotknięciem dysku z reliefem. Biorąc pod uwagę jego ostrożność, wiele mi to powiedziało, a teraz potwierdził prawdziwość moich domysłów.

W korytarzu panował spokój, wartownicy trzymali się pod ścianami. Bardziej wyczuwałem ich obecność, niż mogłem dostrzec. Spojrzałem z ukosa na Janicka. Twarz oświetlała mu świeczka, patrzył na mnie taksującym wzrokiem. Stałem w ciemności, więc nie wiedział, że go obserwuję. Dopiero po chwili uświadomiłem sobie, gdzie widziałem takie spojrzenie. U ludzi zajmujących się owadami. Entomolodzy przyglądali się w ten sposób swoim najcenniejszym eksponatom przed dołączeniem ich do zbioru.

NIEBEZPIECZNA AUDIENCJA

Bamegi siedział w fotelu, który był chyba dziesięć razy mniej wygodny, niż na to wyglądał. Dysproporcja była tak duża, że efekt musiał być zamierzony. Nie zaskoczyło go to w siedzibie Varatchiego. Użył techniki mentalnej, której nauczył się przez lata, odsunął na bok nieprzyjemne odczucia. Dopiero w przypadku gdyby fizyczny dyskomfort przekraczał pewną granicę, poza którą mógłby zagrozić życiu lub zdrowiu, znów by go zauważył. Tej umiejętności nie posiadał, czytając książki, przyswoił ją sobie na podstawie doświadczenia. W ten sposób żyło się łatwiej.

Varatchi nadal nie nadchodził, choć jego wysłannicy, których ninja napotkał w powrotnej drodze do miasta, kładli wielki nacisk na pośpiech. Czas płynął. Bamegi wstał z fotela i podszedł do stolika z napojami, który jakiś czas temu przywiózł służący. Lód w porcelanowej miseczce zdążył się już częściowo rozpuścić. To oznaczało, że nieobecność Varatchiego nie była zaplanowana. Lód w obecnej porze roku był trudny do zdobycia nawet dla człowieka na jego stanowisku. Ninja przez chwilę oglądał stojące na stoliku butelki, a potem nalał sobie soku jabłkowego, zaś do mniejszej szklaneczki szczodłą porcję bursztynowej przepalanki pachnącej winogronami. Alkohol wypił jednym haustem, by potem pomału rozcieńczać go w żołądku łyżkami soku. Po długiej, mokrej podróży, która pozbawiła go wszystkich zasobów ciepła, tego właśnie potrzebował.

Stanął obok fotela, lecz nie siadał, wrócił myślami do minionych tygodni. Zadanie, które otrzymał, było o wiele trudniejsze, niż wydawało się z początku. A mimo tego, dzięki przezorności i częściowo dzięki szczęściu, które sprzyja tylko dobrze przygotowanym, prawie doprowadził je do końca. Prawie. Tego słowa nie uznawał. Koniasz nawet w podziemiach pozostawał wyzwaniem, a Bamegi wiedział, że dostać go w ciemnych korytarzach nie będzie łatwo. Tę możliwość jednak utracił, dostał bowiem od klienta nowe zadanie. Zaniepokoił się. Użył słowa klient, inaczej niż Ferusi, który mówił o Varatchim jako o ich panu. Tylko że to właśnie Varatchi uniemożliwił mu pokonanie Koniasza. Bamegi wstrzymał bieg myśli i dokładnie zastanowił się nad swoją niechęcią i rozgoryczeniem. Skąd się brały? Nie zdarzyło mu się to po raz pierwszy, był pionkiem na szachownicy w grze rozgrywanej przez królów. Dlaczego tym razem tak mocno to odczuwał?

Odpowiedź zaskoczyła go. Podziwiał przeciwnika i nie uważał za słuszne, żeby miał

zostać zwyciężony dzięki zwyczajnej przewadze liczebnej. To łamało zasady rozgrywanego między nimi pojedynku. Powinien to być bój mężczyzny przeciwko mężczyźnie. Tak naprawdę fakt, że Bamegi miał ze sobą swoich ludzi, również nie był fair. On i Koniasz. Koniasz i on. Tylko tak to powinno wyglądać.

Zrozumiał, że tego tajemniczego człowieka podziwiał już od chwili, gdy przeczytał jego dossier. Zaczął go podziwiać, kiedy zorientował się, jak za pomocą dezinformacji, kłamstw i strzępków prawdy ukrywa się przed tymi, którzy go poszukują.

Drzwi się otworzyły, Bamegi trwał nadal w zamyśleniu, jakby tego nie zauważył.

– Widzę, że sam się pan obsłużył – powiedział szorstko Varatchi.

Ninja spojrział na niego, odstawił szklankę i uklonił się.

– Tak, Ekscelencjo. Spragniony nie mógłbym wypełniać pana rozkazów wystarczająco skutecznie.

Varatchi nie zmienił nieprzeniknionego wyrazu twarzy. Podeszedł do stolika i zaczął sobie przygotowywać koktajl. Żadnego sługi w saloniku nie było. Spotkanie w najwyższym sekrecie, ocenił Bamegi.

– Niech mnie pan zaznajomi z sytuacją – zażądał Varatchi, przebijając w karafkach.

Bamegi zauważył, że ruchy przeszło sześćdziesięcioletniego mężczyzny są pewne i dokładne. Najchłodniej jak tylko zdołał, opisał ich poszukiwania i śledzenie Koniasza na terenie bagien aż do momentu uwięzienia go w podziemiach.

– Kapitan Gudsbirg przejął dowództwo nad operacją, gdy Koniasz był zapędzony pod ziemię wraz z dwoma pozostającymi przy życiu towarzyszami. Trzeci był albo ciężko ranny, albo martwy. Nie mogłem tego dokładniej stwierdzić.

Varatchi napił się, zakręcił szklanką, mieszając napój, i spojrział na oświetlone lampami ściany.

– Ile czasu według pana zajmie Gudsbirgowi dostanie Koniasza? – zapytał.

– Nie wiem, panie – odparł Bamegi.

Varatchi patrzył na niego przez dłuższą chwilę, zanim zapytał:

– Nie wie pan?

– Możliwe, że kapitan Gudsbirg nie zdoła wyeliminować Koniasza – odparł Bamegi z przesadną obojętnością.

– Zdaje mi się, że nie zgadza się pan z moimi rozkazami, panie! – na ostatnim słowie Varatchi położył nacisk.

– To są rozkazy, ekscelencjo, pana rozkazy. Wykonuję je, nie osądzam – Bamegi, mówiąc to, zaniechał ukłonu, którego zaniechać nie powinien.

– Czy sądzi pan, że kapitan Gudsbirg nie dostarczy mi Koniasza żywego lub martwego? – Varatchi wrócił do oświadczenia Bamegiego.

– Tak, Ekscelencjo – odparł ninja bez wahania. – W ostatnich tygodniach, śledząc Koniasza, straciłem kilku bardzo dobrych wojowników, którzy wiedzieli, z kim mają honor. Koniasz jest typem, z którym Gudsbirg nigdy w życiu się nie spotkał. Samotnik, przyzwyczajony do walki z przeważającymi siłami. Kapitanowi bardzo potrzebne będą posiłki. O ile nie są mu potrzebne już teraz.

– Ilu ludzi stracił? – zapytał Varatchi, który doskonale zrozumiał aluzję.

– W czasie pierwszego ataku czterech, panie – odparł szorstko Bamegi.

– A pan dostałby Koniasza? – zapytał Varatchi. – Zostało was pięciu, jak mniemam.

– Zaczynam go poznawać, zaczynam rozumieć. A to jest pierwszy krok ku temu, żeby zwyciężyć takiego przeciwnika.

Drugi człowiek cesarstwa uważnie obserwował rozmówcę. Niewielu powiadało go o nieprzyjemnych sprawach tak lekko i bez obawy. W Bamegim nie wyczuł nawet cienia strachu.

– A co w sprawie hrabiego Lumbi? – Varatchi przeszedł do drugiego zadania, jakie wykonywali dla niego ludzie Bamegiego.

Właśnie dlatego musiał rozdzielić siły.

– To wariat, szaleniec w pełnym znaczeniu tego słowa. Żyje w zaniedbanej siedzibie rodowej, przebywa z nim tylko stajenny, też nie całkiem normalny. Stwierdziliśmy, że hrabia zabił wszystkich swoich służących z wyjątkiem tych, którzy uciekli. Prawdopodobnie krewnych również. Niezameżną siostrę i matkę.

Varatchi przytaknął. O wszystkim tym wiedział już od dawna. Zawsze zlecał ludziom zadania w taki sposób, żeby pokrywały się częściowo lub miały ze sobą coś wspólnego. Mógł wtedy łatwiej znaleźć punkty, w których coś nie zostało wykonane tak doskonale, jak tego wymagał.

– Ale od czasu do czasu myśli jaśniej – ciągnął Bamegi. Meldunek Gaspru był szczegółowy. – Przeprowadził z sobą jakąś dziewczynę, żeby mu gotowała. Od tego czasu wygląda trochę lepiej, wydaje się, że dopóki ktoś troszczy się o to, by go nakarmić, nie umrze z głodu. Jak na razie zostawia ją przy życiu.

Varatchi napił się, Bamegi zrobił to samo. Łód w szklance wojewody zadzwonił cicho. Zdawało się, że chłodny, szklany dźwięk przyciągnął do pomieszczenia zimny powiew z korytarza. Służący zapomniał zamknąć szyber w kominie jednego z licznych pieców, a gdzieś na zewnątrz, z dala od luksusu i wygód, zerwał się zimny wiatr. Varatchi podszedł do

kominka, z leżącej na gzymsie inkrustowanej szkatułki wyjął długą zapalną wykonaną specjalnie dla jego potrzeb i jednym ruchem zapalił ją o kamienną obmurówkę. Przez chwilę przyglądał się chemicznie zabarwionemu płomieniowi, potem przyłożył go do starannie ułożonego stosu drewna. Stał bez ruchu do chwili, kiedy odezwało się głośnie trzaskanie ognia.

– Czy jest coś jeszcze o Lumbim? – zapytał, nie odwracając się.

– Tak. Hrabia Lumbi poszukuje człowieka, od którego pozyskał ten miecz. Można przypuszczać, że chce go zabić.

Dopiero teraz Varatchi wrzucił dopalającą się zapalną w płomienie.

– Kto to jest? – spojrzał na Bamegiego z zainteresowaniem.

Takiej wiadomości od swoich informatorów nie otrzymał. Ninja byli kosztowni, potencjalnie niebezpieczni nawet dla niego, ale równocześnie sprawni. Służyli po prostu jako doskonałe narzędzie, z którym należało ostrożnie się obchodzić.

– Wysoki, szczupły, zbiera książki, dobrze uzbrojony, blizny na twarzy – Bamegi zacytował opis, którym posługiwał się Lakel Lumbi.

Varatchi zakręcił płynem w szklance, dźwięk lodu był już ledwie słyszalny.

Czy go jeszcze widać? – pomyślał Bamegi.

Niektóre rzeczy można stwierdzić jednym ze zmysłów, ale innym już nie.

– Co pan o tym sądzi?

Varatchi uporczywie przyglądał się szklance, jakby to w niej kryła się odpowiedź na postawione pytanie.

– Myślę, że hrabia dostał tę zabawkę właśnie od Koniasza.

– Mhm.

Nie wydawało się to zbiegiem okoliczności, jak się na pierwszy rzut oka mogło zdawać, ale raczej logiczną konsekwencją wydarzeń. Koniasz interesował się magicznymi artefaktami, handlował nimi i na pewno je kolekcjonował. A ten tak interesujący i użyteczny miecz był mu obojętny.

– Czego jeszcze dowiedzieli się o tej broni? – kontynuował szorstko Varatchi.

Nie był dziś w dobrym humorze, prawdopodobnie niektóre plany nie poszły po jego myśli, osądził Bamegi.

– Mogę to panu zreferować sam, ale gdyby zechciał pan zapoznać się ze szczegółami, byłoby lepiej, żeby wysłuchał pan ludzi, którzy obserwowali Lumbiego – zaproponował.

– Dlaczego?

– Ten miecz to artefakt magiczny i niełatwo wyrazić o nim opinię. A ja na pana

ewentualne pytania nie zdołam odpowiedzieć.

Varatchi kiwnął głową. Bamegi był absolutnym profesjonalistą, jego doskonałość niemal zaczynała drażnić arystokratę.

– Dobrze – zgodził się.

Ninja opuścił salon i za chwilę wrócił w towarzystwie Gaspru oraz oczu i uszu Jego Ekscelencji – otyłego Faynisha.

– Ci dwaj nieprzerwanie śledzili hrabiego Lumbi. Darnet i Varnet zapewniali im zaopatrzenie i załatwiali różne sprawunki.

Varatchi nie zmieniał wyrazu twarzy, tylko sposób, w jaki bawił się szklanką, zdradzał zniecierpliwienie. Przykazał wprowadzić ninja, żeby stwierdzili, jakie właściwości ma ten miecz, ale wiele sobie po tym nie obiecywał. Wyglądało jednak na to, że czegoś się dowiedzieli.

– Żeby wyrobić sobie zdanie, musieliśmy obserwować Lumbiego w akcji – zaczął Bamegi.

Varatchi nawet nie przytaknął. Stwierdzenie było trywialne.

– Włócząc się po mieście, zabił trzech ludzi. Praktycznie bez powodu, wszyscy trzej byli uzbrojeni, za każdym razem ich sprowokował.

Dowódca ninja mówił jednostajnie, jakby czytał z niewidzialnej książki. Faynisch wyglądał na niespokojnego i rozglądał się niepewnie. Na miejscu Gaspru mógł równie dobrze stać kamienny obelisk.

– Na podwórzu swego zamku zabił siedemnastu.

– To bardzo dużo. Jak to możliwe? – Varatchi nie ukrywał zdziwienia.

Bamegi odwrócił się do Gaspru.

– Sami mu ich sprowadzaliśmy, panie – odpowiedział postawny ninja prawie niechętnie. – Jednym zapłaciliśmy za zabicie Lumbiego, innym nakłamaliśmy, że ma tam skarby. Paru musieliśmy załatwić sami. Tych, którzy wybrali się do zamku, gdy hrabia był na swoich wycieczkach. Razem przyprowadziliśmy ich siedemnastu.

Varatchi, nie zmieniając wyrazu twarzy, pochwalił w duchu działania ninja. Były sprytne i równocześnie bezwzględnie prowadzące do celu.

– I co stwierdziliście?

– Panie Faynisch? – zachęcił go Bamegi.

– T-tak – zająknął się grubasek i zaczął grzebać w swoich notatkach.

Później, uświadomiwszy sobie, że ich nie potrzebuje, bo wszystko ma w głowie, zostawił je w spokoju.

– Przy pomocy, hm, innych ludzi zebrałem jak najwięcej informacji o złoczyńcach, których posyłał mi hrabiemu Lumbi do ukarania.

Varatchi pozwolił sobie na uśmiezek, zauważalny tylko dla bardzo dobrego znawcy ludzkich twarzy. Faynisch potrzebował usprawiedliwienia, żeby zaakceptować metody konieczne do wykonania przydzielonego zadania. Dobrze wiedzieć na przyszłość.

– Znam ich nazwiska, wiek, u niektórych tylko w przybliżeniu, bo nie byli pewni, a wynikało to tylko z ich życiorysów, które opowiadali ludziom, hm, pana Bamegiego.

Varatchi spojrzał na ninja pytająco.

– Moi ludzie z każdym spędzili trochę czasu, gościli ich, popijali z nimi i tak dalej, żeby wyciągnąć jak najwięcej szczegółów – wyjaśnił Bamegi.

Niezauważalne przesłuchanie, jak to nazywano, opierało się na użyciu również innych technik, od lekkiej hipnozy i łagodnych narkotyków po oddziaływanie specjalnymi truciznami. Jeden z przepytanych zmarł podczas zabiegów Darneta i Varneta, dawka ekstraktu z bylin okazała się za mocna. O tym jednak lepiej było nie informować Varatchiego.

– Teraz pan – wojewoda zwrócił się do Gaspru. – Na szczegóły będzie czas później.

Ninja kiwnął głową, zwierając w pięść prawą dłoń, zdeformowaną wskutek długoletniego treningu tak, że wielkością i kolorem przypominała głowicę kamiennej maczugi.

– Lumbi jest wyśmienitym szermierzem – zaczął na swój niespieszny sposób. – Chyba najlepszym, jakiego kiedykolwiek widziałem. Pomiędzy tymi, których zabił, był tylko jeden mogący się z nim równać. Nazywał się Dietrich Vorn.

Varatchi poszukał w pamięci. To nazwisko nie było mu obce.

– Zwycięzca imperialnego turnieju wojskowego – zareagował przygotowany Faynisch.

Varatchi zmierzył go niezadowolonym spojrzeniem i zakłopotany młodzik przestąpił z nogi na nogę. Varatchi sam przypominałby sobie tego człowieka.

– Ten Vorn był dla niego prawie równorzędnym przeciwnikiem – podjął Gaspru. – To był dobry pojedynek. Obaj walczyli ciężkimi, bojowymi mieczami, ale byli tak szybcy, jakby używali specjalnej pojedynekowej broni – w głosie ninja pojawiło się uznanie. – Lumbiemu udało się w końcu zranić przeciwnika. Zaciął go w bok i jeszcze w przedramię. Vorn mocno to odczuł, zaczęły go opuszczać siły i uświadomił sobie, że słabnie. Poszedł na całego, a Lumbi to przyjął. Bili się tak, jak żaden porządny szermierz nie walczy. Liczyła się tylko brutalna siła. Stal przeciw stali. Z początku wyglądało na to, że zniszczą dobre klingi, ale za czwartym czy piątym cięciem Lumbi przeciął miecz Vorna tak samo łatwo, jak to robił z innymi. I to był koniec.

Gaspru przejechał ręką po gardle. Nastąpiła cisza.

– Zbadaliśmy później ten przecięty miecz Vorna, Wasza Ekscelencjo – wtrącił szybko Faynisch. – Wyglądało to... – stracił nagle wątek.

Na złamanych mieczach zupełnie się nie znał.

– Żadnego normalnego uszkodzenia nie było, wyglądało to, jakby się miecz w pewnym miejscu zmienił w lód i Lumbi gładko go rozciął – sprecyzował rzeczowo Gaspru.

– Niech pan teraz poda szczegółowy wykaz zabitych – powiedział Bamegi do Faynisch.

Młodziak przez chwilę nerwowo grzebał w trzech zwiłkach pergaminu, a potem jeden z nich ostrożnie rozłożył na stole. Zwyczajny papier byłby w takich okolicznościach wygodniejszy, ale Faynisch uważał, że pisze nie tylko dla siebie, lecz także dla innych i to musi przetrwać przez stulecia. Chyba dlatego użył pergaminu najwyższej jakości.

– Do każdego nazwiska człowieka zabitego przez hrabiego dodałem informacje, które uzyskaliśmy – wyjaśniał.

Varatchi doświadczonej spojrzeniem przejrzał pieczołowicie wykonaną tabelkę.

– A według jakiego klucza są zestawieni?

– Teraz według dwóch kluczy, wykonałem bowiem dwie tabelki. Ehm, pan Gaspru nie pozwolił zrobić inaczej.

Faynisch miał wyraźny problem z tytułowaniem Gaspru „panem”. Bamegi był pewny, że gdyby zobaczył go przy PRACY, nazywałby go na pewno nawet Waszą Wysokością, jeśli miałoby mu to uratować życie.

Varatchi przez chwilę studiował drugą przedłożoną mu listę.

– Nazwiska na czołowych miejscach są w przybliżeniu te same, ale porządek trochę się różni – skomentował głośno swoje spostrzeżenie.

– W pierwszej tabelce ludzie są zestawieni według ich umiejętności szermierczych – wyjaśnił Gaspru. – W drugiej, według trudu, jaki musiał sobie zadać Lumbi, żeby przeciąć ich broń.

Varatchi długo w ciszy studiował obie tabelki. Ninja razem z Faynischem wykonali wspaniałą robotę i nie obawiali się podczas niej myśleć, ocenił w duchu. Faynisch nerwowo przestępował z nogi na nogę i rozglądał się po wnętrzu, do którego na ogół nie miał wstępu. Gaspru wyglądał nadal na obojętnego, czy nawet znudzonego, a Bamegi bez namysłu przygotował sobie drugiego drinka. Potrzebował go, zatopione bagnisko zmieniło się w śmiertelną pułapkę, z której ledwie uciekli.

– Nehrowi Zapeckiemu nie złamał miecza? – zapytał Varatchi po dłuższej przerwie,

zakłócaney tylko trzaskaniem ognia w kominku.

– Nie, panie. Właściwie tak, ale dopiero po tym, jak go śmiertelnie zranił. Przesiekł mu żebra, myślę, że naruszył też płuca. Zapecki zdołał jeszcze się osłonić, ale już był umierający. Wtedy Lumbi przeciął jego miecz.

Gaspru oznajmił to obojętnie, bez zaangażowania.

– Nehr Zapecki miał według waszych zapisów pięćdziesiąt siedem lat – stwierdził Varatchi.

– Tak, panie. Sprawdziłem to niezależnie od informacji pochodzących od ludzi, hm, pana Bamegi, u krewnych ofiary – oświadczył dumnie Faynisch.

– Był weteranem. Służył w armii trzydzieści lat. Przeżył wyprawę de Głowa – Varatchi przeczytał wybrany fragment życiorysu żołnierza.

– Był dobry, faktycznie dobry. Ale wiek go trochę spowolnił – zaczął wyjaśniać Gaspru. – Poza tym w kampaniach odniósł kilka ran. Lewą nogę i bok miał zdrętwiałe, to przesądziło o jego losie. Na Lumbiego nie wystarczył. Ale przed dwudziestu laty może dałby mu radę.

– Wdowiec, jego żona była o ćwierć wieku młodsza od niego. Oczekiwał narodzin pierwszego wnuczka, gdy jego najmłodsze dziecko miało piętnaście lat – kontynuował Varatchi ze sceptycyzmem. – Jego też zwabiliście do zamku pokusą skarbu?

– Nie, panie – wmieszał się do rozmowy Bamegi. – Darnet i Varnet pracują bardzo dobrze. Chcieli tam wysłać Zapeckiego i dlatego przekonali go, że to Lumbi porwał jego córkę.

Varatchi z uznaniem pokiwał głową. Niewielu miał ludzi, którzy do wykonywanych zadań wnosili tyle pomysłowości. Bezwzględnej, praktycznej pomysłowości.

Bamegi napił się i obojętnie rozmyślał, kiedy – nie czy, ale właśnie kiedy – usłyszy zarzut, że skazaną na śmierć córkę Zapeckiego – ninja nie pozostawiali niepotrzebnych świadków – uratował i kazał wypuścić.

– Broń, która sprawiła Lumbiemu najwięcej kłopotów, oczywiście po Zapeckim, należała do Vorna – głośno przeczytał z tabelki Varatchi. – A Vorn został pozbawiony stopnia w armii z powodu serii przestępstw – dodał półgłosem, jakby sam do siebie.

Już sobie przypomniał, dlaczego tak dobrze pamięta to nazwisko. Nie tylko z powodu zwycięstwa Vorna w turnieju, ale i z powodu jego ekscesów, od torturowania wziętych w niewolę nieprzyjaciół, co było często akceptowane, a zawsze tolerowane, aż po akty przemocy wobec kobiet. Zabił, a ściślej mówiąc, zamordował kilka prostytutek oraz trzy swoje małżonki, z których jedna pochodziła z bardzo bogatej rodziny mieszczańskiej i to mu

definitywnie złamało karierę. Ze względu na wcześniejsze zasługi nie został stracony, lecz skazany na więzienie, z którego później uciekł.

Varatchi zauważył ponadto, że wśród sześciu przeciwników, których miecze najdłużej stawiały opór broni Lumbiego, nie było nikogo w wieku poniżej czterdziestu dwóch lat. Interesująca sprawa, gdyż szermierze w tym wieku uważani są zwykle za starych.

Druga tabelka nie była tak jednoznaczna.

Właściciel trzeciego najodporniejszego miecza nazywał się Hid Vucky i w rankingu szermierzy zajmował dalekie miejsce. Krótka notatka na jego temat informowała, że miał pięćdziesiąt lat i zajmował się stręczycielstwem.

– W przeciwieństwie do pozostałych, ta notatka jest bardzo skąpa – oświadczył Varatchi.

Gaspru popatrzył na Faynischa i z pogardą wzruszył ramionami.

– Faynisch nie mógł uwierzyć informacjom uzyskanym przez naszych ludzi – zabrał głos Bamegi. – Vucky był maniakiem. Alfonsem znęcającym się nad kobietami i dziećmi i cieszył się, gdy o tym mówiono. Szaleniec, ale innego typu niż Lumbi. Właśnie dzięki swemu okrucieństwu utrzymał się tak długo na powierzchni. Na ulicy wygadywano o nim najróżniejsze historyjki.

– Lumbi z jakiegoś powodu grał z nim w kotka i myszkę, on nie był dla niego żadnym przeciwnikiem – dodał Gaspru.

Varatchi nadal wodził wzrokiem po wykazie. Powoli zaczynał wyławiać z niego sens.

– Ten miecz odbija osobowość swego właściciela. Żywi się nim – powiedział poruszony Varatchi. – Stal jest tym odporniejsza, klinga tym ostrzejsza, im osobowość właściciela jest twardsza, okrutniejsza, bardziej nieludzka! Największy opór stawiali mu sadyści. Lumbi musiał prześcignąć ich w okrucieństwie.

– Ale Zapecki nie był sadystą, panie. Tylko wyśmienitym żołnierzem, który służył w armii trzydzieści lat. Twardy chłop, ale nikt nie powiedział o nim złego słowa.

– Nie znali go dobrze – odparł Varatchi na uwagę Bamegiego. – Na wojnie ludzie dopuszczają się okrucieństw, za które gdzie indziej czekałaby ich szubienica.

Jeszcze raz przeczytał oba wykazy od początku do końca.

– Im starszy był przeciwnik, bardziej doświadczony, twardszy, a głównie okrutniejszy, tym niebezpieczniejszy i bardziej śmiertelny był miecz w jego rękach! – Varatchi rozejrzał się triumfalnie.

– Tak, panie! Tak to jest! – wykrzyknął Faynisch.

– Coś w tym jest – potwierdził Bamegi.

– Może chodzi o twardość. Zdecydowanie i twardość wywodzą się najczęściej właśnie z okrucieństwa. Ale istnieją inne czynniki, które mogą uczynić człowieka naprawdę zdecydowanym. To trudniejsza droga i niewielu ją wybiera.

Miecz nie interesował go za bardzo, większość myśli poświęcał czemuś, a ściślej komuś innemu.

– Vornowi niewiele zabrakło do zwycięstwa, a był bestią w ludzkiej skórze – ciągnął po chwili Varatchi. – Zaś Vucky, który był miernym szermierzem, też opierał się Lumbiemu bardzo długo. Dobra robota – stwierdził zadowolony. – Wiemy wszystko, czego trzeba.

– Teraz mu ten miecz zabierzemy? – zapytał Faynisch z nadzieją i ciekawością.

– Nie, dlaczego? – Varatchi popatrzył na Faynicha jakby zdumiony jego głupotą. – Wiemy, gdzie broń się znajduje, a trudno byłoby odebrać ją hrabiemu. Co więcej, Lumbi poszukuje Koniasza. Wystarczy go śledzić i może dowiemy się o mieczu czegoś więcej, a przy okazji znajdziemy i Koniasza... jeśli ucieknie z podziemi, jak się pan obawia. – Spojrzał na Bamegiego.

Ten tylko kiwnął głową. Śledzenie zwariowanego hrabiego było zadaniem niebezpiecznym, podczas którego zapewne ktoś zginie. Nie dał jednak poznać po sobie, że ma wątpliwości.

– Po coś jeszcze was tu przywołałem – Varatchi przeszedł do kolejnej sprawy, zatrzymał się, popatrzył na Faynicha i Gaspru, a później na drzwi. Obaj zrozumieli, że ich obecność nie jest już pożądana.

– Do Krachtiburga dotarły dwa następne oddziały moich ludzi – ciągnął Varatchi, kiedy tylko zostali sami. – Ale miasto ma status niezawisłego i ludzie w moich barwach nie mogą tu operować jawnie.

Bamegi wiedział, że Varatchiemu wystarczyłaby krótka rozmowa z dwoma czy trzema najwyżej postawionymi przedstawicielami władz miejskich i uzyskałby oficjalne pozwolenie na każdą akcję. Ale w ten sposób nie mógłby jej ukryć przed innymi arystokratami.

– Chcę, żeby pan wraz ze swymi ludźmi wyjaśnił ostatecznie sprawę znikania ludzi z tego miasta. Dziś zgłoszono zaginięcie kolejnej osoby.

Bamegi kiwnął głową. Nie przypuszczał, żeby tajemniczy porywacze nagle zaprzestali działalności. Miał też przecucie, że przypadkiem na nich natrafił. Na wyszkolonych ludzi, którzy, wmieszani między karawany kupieckie, bronili tajemnicy swego ładunku w sposób profesjonalny i z maksymalnym zaangażowaniem. Uznał ich wtedy za grupę Koniasza.

– Chcę także wiedzieć, kto jest odpowiedzialny za masowy grób znaleziony na farmie za miastem. Mimo wszelkich starań o utajnienie tej sprawy wyciekają na zewnątrz

niepokojące wieści. Jeśli niczego wystarczająco szybko nie stwierdzicie, a znikanie ludzi jest teraz priorytetem, podzucimy miejscowym jakiegoś kozła ofiarnego. Załatwi to nowo powołany główny śledczy Konwentu. Ja jednak chciałbym znać prawdę. Możliwe, że porwania mają coś wspólnego z tymi zabójstwami.

Bamegi znów tylko kiwnął głową. Szczątki znalezione we wspólnym grobie były niestety tak zmasakrowane, że bez wzbudzenia paniki nie można było wezwać krewnych celem identyfikacji.

– To wszystko – Varatchi zakończył audiencję.

– Rozumiem, panie. – Bamegi odstawił szklanekę na stół i skłonił się lekko. Wydawało się, że ogląda przy tym podłogę, ale w rzeczywistości nie spuścił oczu z arystokraty.

– I niech pan powie majorowi Debussiemu, żeby przyszedł. Oczekuje w przedpokoju – rzucił Varatchi, gdy ninja zamykał już drzwi. Sięgnął po pióro i kałamarz, żeby napisać list do Ferusiego, dowódcy klanu Godetu, aby oprócz posiłków, o które prosił Bamegi, przysłał do Krachtiburga kolejnego człowieka, najlepszego wojownika klanu, Kareta Taneba. Varatchi napisał pierwsze zdanie i spojrzął na drzwi, za którymi zniknął Bamegi. Będzie miał robotę dla Taneba. Niektóre narzędzia są przydatne tylko do jednorazowego użycia. Potem mogą być niebezpieczne również dla mistrza, który nimi pracuje.

DYLEMAT PRZYWÓDCY

Liana obudziła się wcześniej niż zwykle. Troski i świadomość, jak wiele rzeczy musi załatwić, nie pozwoliły jej spać. Wskoczyła z łóżka, wsunęła nogi w drewniaki i zaspana, jeszcze w półśnie, ruszyła do paleniska. Wystarczyło podłożyć dwie czy trzy trzaski, skrzesać kilka iskier i kuchnia zaczęła grzać. Pojawienie się ognia pobudziło do życia kamienie magiczne. Wydawało się, że ostatnio reagują bardziej leniwie, ale nie należało to do spraw, nad którymi powinna łamać sobie głowę. Dorzuciła do ognia kilka polan, żeby zyskać trochę światła, i przesunęła na płytę garnuszek z wodą. Potem ściągnęła nocną koszulę przez głowę i zastanawiała się przez moment, czy skoczyć na górę i przygotować sobie kąpiel. Pokręciła głową. Końce włosów połaskotały ją po wrażliwych od chłodu piersiach. W końcu zaczęła się szybko ubierać. Chciała być na targu w momencie pojawienia się pierwszych sprzedawców, żeby mieć jak największy wybór. Potrzebowała suszonego mięsa, zielonych jabłek, ziemniaków, mąki dobrej jakości. Wszystkiego, co można było zabrać ze sobą w długą drogę. Na skutek ostatnich wydarzeń trzeba było niekiedy długo poszukiwać żywności zdatnej do dłuższego przechowywania. Ludzie robili zapasy na wypadek kolejnych dziwacznych akcji Konwentu. Na szczęście już się uspokoili. Zanim się ubrała, woda w garnuszku zawrzała. Otworzyła okno, do środka wpadło zimne powietrze, jego przesycona wilgocia, rześka woń zmieszała się z zapachem kawy.

Wypiła, stojąc przy oknie i patrząc na niechętnie ustępującą ciemność. Sądząc z tego, ile wody przybyło na bagnach, w górach na północy musiało padać już od kilku dni, a teraz wyglądało na to, że chmury zamierzają zrzucić swoje brzemię również na miasto. Pomyślała, czy na mężczyznę, który tu z nią kilka razy popijał kawę, też pada deszcz. Chociaż nigdy nie podróżowała daleko, wiedziała, że ziemia jest wielka i nawet jeśli w jednym miejscu szaleje burza, to w innym może spokojnie świecić słońce. Odstawiła garnuszek, jak zawsze pozwoliła sobie na jeden łyk więcej, niż powinna. Na wargach czuła drobinki kawy. Zdarzało się to tak często, że przywykła.

Narzuciła na ramiona pled i cicho zeszła po schodach. Stara Rosemary już nie spała, wystarczyło do niej zastukać i zanim Liana otworzyła wszystkie zamki, kobieta czekała już na korytarzu gotowa zamknąć je za nią. Liana sprawdziła, czy ma w kieszeni pod suknią pieniądze, i zdecydowanym krokiem wyszła wprost we wstający świt. Mimo że jeszcze nie

padało, zauważyła, że glina na skraju ulicy, gdzie nie sięgał bruk, rozmiękła i zmieniła się w błoto. Szybko przeszła na drugą stronę i w ostatniej chwili nie zdecydowała się pójść skrótem. Na przejście ciemną uliczką było jeszcze zbyt wcześnie, głównymi arteriami natomiast poruszali się już pierwsi przechodnie. Zauważyła drobnego, zgarbionego człowieka o lasce, idącego jej naprzeciw. Odsunęła się, żeby zrobić mu miejsce. Ruch w cieniu raczej wyczuła, niż spostrzegła, ale nic już nie mogła zrobić. Silne ramię wciągnęło ją w boczną uliczkę. Zanim zdążyła krzyknąć, ręka w skórzanej, pachnącej olejem rękawicy zakryła jej usta.

– Mam ją.

O mało nie zadławiła się kneblem, stawy zatrzeszczały, gdy ktoś nielitościwie wykręcił jej rękę, na nadgarstkach poczuła powróż, kątem oka dostrzegła lekką dwukólkę z otwartą skrzynią. Tam ją wsadzą, zrozumiała. Koniec.

– Jeszcze nogi, Vit – przypomniał mężczyzna, który ją trzymał, i obrócił kobietę na bok.

Dla niego była tylko łatwą do manipulowania szmacianą lalką. Dzięki zmianie położenia zobaczyła jego towarzysza. Gdyby ich zawczasu spostrzegła, uciekłyby, gdy była jeszcze daleko. Ale oni się ukrywali, czekali na nią. Ta myśl spowodowała atak strachu. Drugi mężczyzna związał jej nogi i złapał za kostki. Teraz czekała ją droga do skrzyni, a później... Miała nadzieję, że zabiją ją szybko, choć za bardzo w to nie wierzyła. Zrobiło się jej tak niedobrze jak jeszcze nigdy w życiu, wiedziała jednak, że nie może wymiotować. Uduśliłaby się. Nagle mężczyzna puścił jej nogi. Wydawało się, jakby przytłaczał go własny ciężar, zbyt duży jak na jego możliwości. Osunął się niespodziewanie na ziemię. Za nim pojawił się zgarbiony starzec. Tylko że nie był to starzec i nie był już zgarbiony. Poznała Łasicę, w rękę trzymał sztylet z wąską klingą. Może nawet nie sztylet, tylko dużą igłę naostrzoną w formę doskonałego grotu. Kolor stali zniknął pod warstwą czerwonej krwi.

– Do diabła! – zaklął drugi napastnik. Odepchnął ją, aż upadła koło wózka.

Sama nie wiedząc jak, przeturlała się w bok i leżała w kałuży, patrząc na tych dwóch szykujących się do walki. W nocy musiało jednak padać, pomyślała bez sensu. Z rosy kałuże nie powstają.

Łasica wydawał się o połowę mniejszy od swego przeciwnika. Może zresztą nie tylko wydawał się, lecz był. Napastnik pod prostą bluzą miał broję. Był prawie tak wysoki jak Koniasz, ale o wiele mocniej zbudowany.

– Zabiłeś Garta – warknął. – Zaboli cię za to, obiecuję. Łasica zdawał się nie słyszeć jego pogroźek. Schował broń do pochwy, doskonale zlewającej się z fałdami spodni na udach, i wyjął spod płaszcza małą metalową kuszę.

– A może nie? – powiedział sucho i wyćwiczonym ruchem z biodra wystrzelił do opancerzonego przeciwnika.

Metal zachrząścił, mężczyzna stęknął, pochylił się, a później ze zdumieniem na twarzy znów wyprostował.

– To musi być robota chaabskich kowali – ocenił jego kolczugę Łasica. – Nie przypuszczałem, że bydlęta rzeźne, takie jak ty, są tak dobrze wyposażone.

Tym razem pewność siebie Łasicy wyglądała na udawaną. Woda w kałuży była zimna i już dobrała się Liamie do skóry. Będę musiała się przebrać i nie zdążę na początek targu, złąka się. O ile przeżyję, uściśliła natychmiast swoją myśl.

Świsnęła klinga wyciągnięta z pochwy umieszczonej na bocznej ścianie wózka, napastnik trzymał w ręku miecz, który wydał się kobiecie dwumetrowej chyba długości.

– To faktycznie wielki kawał żelaza – powiedział z uznaniem Łasica.

Duży i mały ruszyli jednocześnie i w mgnieniu oka byli przy sobie. Laseczka Łasicy rozłożyła się, uwalniając srebrzyście błyszczące ostrze. Uniknął ciosu miecza przeciwnika dzięki nagłemu skróceniu dystansu, ale wielkolud był szybszy, niż się wydawało i kolejny atak Łasica odparł tylko zasłoną, co przypłacił złamaniem klingi. Napastnik miał zakrwawioną twarz, Liama nie zauważyła, jak został trafiony. Przy następnej próbie uniku Łasica zainkasował jednak cios pięścią w pierś. Żebra aż zatrzeszczały, co dosłownie zmroziło Liame. Jej obrońca upadł, ale złamanego miecza nie wypuścił z ręki i szybko uderzył ułomkiem w łydkę przeciwnika. Zaraz potem przeturlał się, próbując uniknąć kopniaka. Zranienie nogi nie zatrzymało napastnika, po chwili wahania rzucił się naprzód z mieczem wzniesionym nad głowę. Leżący Łasica uniósł się, wspierając na łopatkach, i kopnięciem wzmocnionym siłą całego ciała trafił olbrzyma w podbrzusze. Celował w genitalia, zrozumiała Liama, ale nie trafił dokładnie. Zyskał jakieś pół oddechu, a potem obaj nagle tarzali się po ziemi, tworząc jeden przeplataniec.

Liama słyszała sapanie, głuchy odgłos uderzeń pięści, od czasu do czasu charkot, a potem podwójne chrupnięcie, przypominające odgłos łupania orzechów włoskich, dopiero za trzecim chrupnięciem dostrzegła rękę Łasicy uzbrojoną w duży kamień. Znów usłyszała chrupnięcie, twarz mocarza zmieniła się w mieszaninę zdartej skóry, mięsa i odłamków kości. Jeszcze raz zacharczał i powoli, jakby niechętnie, opuścił głowę na ziemię. Obaj leżeli bez ruchu, spleceni ze sobą.

Przestała się martwić, że nie zdąży na początek targu, przestała bać się, że ją zabiją, chciała tylko, żeby ktoś znalazł ją w ślepych zaułku, do którego została wciągnięta.

Wieczność chyba trwało, zanim Łasica poruszył się i wyczołgał spod ciała leżącego

nieruchomo nieprzyjaciela.

– Nie cierpię wagi ciężkiej, za każdym razem kosztuje mnie to pięć lat życia – wymruczał i zemdłał.

Wielkolud poruszył się. Rozejrzał się niepewnie, wyglądało na to, że źle widzi. Liamę zmroził atak strachu. Wszystko na nic, zaraz wstanie i oboje zabije. Ale Łasica podniósł rękę i niespiesznym uderzeniem znów pozbawił go przytomności. Pomogły mu w tym cztery złożone razem metalowe pierścienie.

– Musimy go przesłuchać. – Łasica niepewnie stanął na nogach. – Przewieziemy go do pani domu, dopóki nie ma tu ludzi.

Najpierw wyciągnął jej knebel z ust, potem przeciął więzy. Ręce trzęsły mu się tak, że zadrasnął się nożem, ale nie skomentowała tego, a on nawet nie zauważył.

Władowanie wielkoluda do skrzyni przypominało koszmar senny. Był cięższy, niż przypuszczali i gdyby nie zaradność Łasicy, nie daliby sobie rady. W końcu, gdy nad zamroczonym, zakneblowanym mężczyzną zamknęło się wieko, stali przez chwilę oparci o mur, łapiąc oddech.

– Chyba będziemy musieli użyć wielokrążka, wózek nie przejdzie przez drzwi – powiedziała, chcąc zagłuszyć uciążliwą ciszę i zapach śmierci.

Nie rozumiała, jak do takiej sytuacji w ogóle mogło dojść. Albo rozumiała. Czy nie było logicznym wyjaśnieniem, że nie poddała się losowi i zatroszczyła o innych?

– Ale skrzynia przejdzie, a ma uchwyty na drążki specjalnie do noszenia. Dobrze to wymyślili – odpowiedział Łasica. – Chodźmy, lepiej, żeby nas tu nikt nie zobaczył.

Pół godziny później siedziała wraz z Łasicą i trzema innymi mężczyznami w pracowni, a wielkolud stał przywiązany do filara. Grzała dłonie o dzbanek gorącego wina z cukrem i trzęsła się nieustannie, mimo że wcale nie było zimno.

– Tego zabitego już znaleźli, gromadzą się tam ludzie – oznajmił im od drzwi kolejny mężczyzna wchodzący do pracowni. Był to Menivol, jeden ze starszyzny, przełożony sąsiedniego czworoboku.

Kiedy Każewicz ogłosił ją swym następcą, Menivol jako jeden z nielicznych nie wypowiedział żadnej opinii na ten temat i Liama nie wiedziała, po czyjej jest stronie. Najprawdopodobniej po swojej własnej.

– No, widać, że naprawdę było tak, jak nam mówiono – oznajmił Menivol, wszedł i zamknął za sobą drzwi.

Liamą chciała zaprotestować, że przecież nie kłamała, ale powstrzymało ją spojrzenie Łasicy. To, że Menivol w końcu przyznał im rację, choć z początku miał wątpliwości, nie

było w tej chwili ważne.

– O co w tym wszystkim właściwie chodzi? – zwrócił się do więźnia u słupa.

Zanim go przywiązali, ściągnęli mu kolczugę i zostawili tylko tunikę sięgającą do połowy ud. Łasica uparł się, żeby ściągnąć mu również buty i spodnie. W lewym bucie, w specjalnie wszytej pochwie, znalazł potem nóż z wąską klingą. Żadnych przedmiotów mogących świadczyć o tym, dla kogo pracuje jeniec, nie znalazł. Liama oparła się o jeden z filarów, żeby się tak nie trząść. Ten człowiek był wielki i silny, mimo potwornie porozbijanej twarzy w ogóle nie okazywał strachu. Ignorował obecnych w pomieszczeniu, uparcie obserwując Łasicę.

– Dlaczego pan próbował porwać Liamę? – zapytał Menivol, gdy nie dostał odpowiedzi na swoje pierwsze pytanie.

Łasica pokręcił tylko głową.

– Tak to na nic. Nazwisko, funkcja. – Stał przed więźniem.

Był o tyle od niego drobniejszy, że wyglądało to aż groteskowo. Liama zauważyła, że praktycznie jest tak samo poszkodowany jak jego niedawny przeciwnik. Lewą rękę musiała mu włożyć do temblaka.

– Gdyby mnie nie oślepiła krew z tego pierwszego draśnięcia, inaczej by to wyglądało – warknął jeniec.

Wąska, świeżo powstała szrama ciągnęła mu się poziomo przez całe czoło.

– Chyba tak – zgodził się Łasica – ale i tak miałeś szczęście, mierzyłem w oczy. Nazwisko, funkcja – powtórzył.

Olbrzym nawet nie drgnął.

– Nie będę próbował wytluc tego z ciebie. – Łasica wzruszył ramionami po chwili milczenia. – Chyba nawet nie mam na to dość sił. Z mojej strony jest to czysto handlowy interes, ona – spojrzał na Liamę – mnie wynajęła. Będę ci zadawał pytania i za każdym razem, gdy nie odpowiesz, utnę ci jeden palec. Dziesięć razy nie odpowiesz, skończyłem, dalej pytać nie będę. To rozsądna umowa, jak sądzisz? Ja się wykażę staraniami, nie pobrudzę sobie rąk krwią, no może trochę, a ty będziesz kryty przed swoimi przełożonymi.

Mężczyzna nie spuszczał z niego oczu, jakby próbował sprawdzić, na ile poważnie mówi, na ile może mu zawierzyć.

Liama zachwiała się. Wiedziała, że ludzie pokroju Koniasza mają swoje ciemne strony, których wolałaby nie znać. Ale Łasica wyglądał inaczej, wydawał się jakby bardziej umiarkowany i nie tak niebezpieczny, a teraz ją zaskoczył. Przecież wyszedł zwycięsko z brutalnej bijatyki, podczas której jednego napastnika zabił od tyłu, bez skrupułów, a drugiego,

po tym jak mu nie wyszedł atak z zaskoczenia, stłukł do nieprzytomności. Ale sam przy tym o mało co nie zginął... i to z jej powodu. Albo dla pieniędzy? Nie rozumiała go, nie rozumiała takich ludzi.

– A jeśli odpowiem, co ze mną zrobisz? Zabijesz mnie? – zapytał więzień.

Łasica pokręcił głową. Liama zmusiła się do tego, żeby nie obserwować tylko ich dwóch, ale spojrzeć również na pozostałych. Wszyscy słuchali zafascynowani i równocześnie przestraszeni.

– Nie, za to mi nie zapłacono – odpowiedział spokojnie mniejszy mężczyzna. – Zostawię cię tym dobrym ludziom, którymi tak się interesujesz.

– A oni mnie zabiją. – Jeniec skrzywił się sarkastycznie.

– Tego nie wiem. Powiedziałbym, że tak byłoby z ich strony najmądrzej. Ale to chyba najbardziej zależy od niej – wskazał na Liameę. – Nazwisko, funkcja?

– Dziesiątnik Keck. Oddział specjalny Jego Wysokości.

– A więc elitarna jednostka cesarska – gwizdnął z cicha Łasica.

– Byliśmy elitą, jednak przed tą akcją połowę ludzi posłali gdzieś indziej. Na ich miejsce przyszła kupa nowicjuszy i nie szło to najlepiej.

– Porywaliście ludzi, dlaczego? – kontynuował Łasica.

Dziesiątnik wzruszył mocarnymi ramionami.

– Nie wiem. Przyjechaliśmy tu z nowym dowódcą. Podobno ściśle tajna misja. Porucznik przyniósł listę ludzi, których trzeba było jak najdyskretniej złapać i przekazać dalej. Szło jak po maśle, dopóki nie zniknął cały oddział porywaczy.

Keck zamyślił się.

– Porucznik się przestraszył – ciągnął dalej. – Za żadną cenę nie chciał dopuścić, żeby się o nas ktoś dowiedział. Dlatego przenieśliśmy się w inne miejsce, zatarliśmy za sobą ślady i siedzieli cicho jak mysz pod miotłą. To było głupie, powinniśmy ruszyć na tych, którzy załatwili naszych ludzi. Ale tajemnica przede wszystkim. Jestem tylko dziesiątnikiem. – Wzruszył ramionami. – Potem nastąpiło zamieszanie z Konwentem, a nasz porucznik o mało nie narobił w portki. W końcu wszystko wróciło do normy. Stary chciał się dowiedzieć, czy się o nas, a właściwie o tych, co zniknęli, ktoś nie wypytuje. Wyszło z tego nazwisko tej kobiety. – Wskazał na Liameę. – Urzędasy miejskie nie zajmowali się tymi sprawami, chyba mieli zakazane przez górę.

– No ale dlaczego łapaliście tych ludzi i gdzie ich wywoziliście, tego się od ciebie nie dowiem, prawda? – podsumował Łasica.

– Nie, nawet za wszystkie palce.

– To by było na tyle. – Łasica popatrzył po pozostałych.

– Nie będzie go pan dalej wypytywał? Może by jeszcze coś powiedział! – odezwał się z niezadowoleniem jeden z przysłuchujących się mężczyzn.

Łasica sięgnął na półkę i podał mu dłuto.

– Jest twój, masz tu bardzo odpowiedni przyrząd do prowadzenia przesłuchania.

Mężczyzna wyjąkał coś i cofnął się. Ludzie popatrywali jeden na drugiego, nie wiedząc, co robić dalej. Menivol nad czymś rozmyślał.

– Słyszeliście, co mówił, nie możemy tu zostać. Mam nadzieję, że to was przekonało – Liama zdołała wreszcie przemówić.

Głos jej nie zadrżał i to był zdrowy objaw.

– Nie powinniście o tym rozmawiać w jego obecności – przypomniał im Łasica. – Chyba że chcecie go od razu zabić.

Powiedział to tak obojętnie, że aż zadrżała. Jego słowa zupełnie nie pasowały do tej pracowni, pachnącej świeżym drewnem, żywicą i innymi przyjemnymi aromatami. To tylko zły sen, to musi być zły sen! – krzyczała część jej duszy. Ale druga potwierdzała, że to ponura rzeczywistość. Ich dotychczasowe życie zniknęło bezpowrotnie, musieli bardzo się starać, żeby nie zginąć.

– Zamkniemy go w składzie – zdecydowała, zanim ktokolwiek zdążył podać inną propozycję. – Odprawdźcie więźnia – skinęła na dwóch mężczyzn.

Wyglądało na to, że taka decyzja sprawiła wszystkim ulgę.

– Może pan tak zrobić, żeby nie uciekł? – zapytała Łasicę.

Uśmiechnął się ubawiony i kiwnął głową:

– Oczywiście, madame.

– Dalej będziemy radzić w większym gronie. Dobrze by było, gdyby brali w tym udział inni starsi – zwróciła się do Menivola.

Ten chwilę się zastanawiał, potem kiwnął głową i wstał.

– Obejdę ich.

Liama uświadomiła sobie, że właśnie definitywnie awansowała na przywódcę.

*

Łasica wrócił pierwszy, przez chwilę byli w pracowni sami.

– Dlaczego mnie pan śledził? – zadała mu pytanie nie na czasie. – Musiał pan tam stać całą noc.

– Przedstawia pani dla mnie wartość dziesięciu tysięcy złotych – wyjaśnił. – To jest

warte odrobiny wysiłku.

– A więc dla pieniędzy.

Otrzymała odpowiedź na jedno z wielu nurtujących ją pytań.

– Prawidłowo. – Rzucił jej rozbawione spojrzenie, ale szybko spoważniał. – Musi pani zniknąć z miasta jak najszybciej. Najlepiej już dziś. Polują na panią, a zniknięcie dwóch ludzi ich nie powstrzyma. Wiedzą, że nie mogą się już trzymać w cieniu.

Chciała zaprotestować, ale zatrzymał ją ruchem ręki.

– Polują na panią, a to w następstwie doprowadzi ich do tutejszych. Będą panią przesłuchiwać szczegółowo, bardziej szczegółowo niż ja. Może mi pani wierzyć.

– Ale ja muszę tu zostać, boję się, że nie zdecydują się beze mnie! Że zostaną! – obstawała przy swoim.

Łasica pokręcił tylko głową.

– Trzy rodziny są już przygotowane do odjazdu, to powinno zmobilizować pozostałych. Pozornie zniknie pani już dziś. Stworzymy fałszywe wrażenie, że już z kimś pani wyjechała. Z kochankiem, przyjacielem. Że coś panią wystraszyło. Zniknięcie zgłosimy oficjalnie, to jeszcze lepiej zadziała – powiedział z namysłem. – Tymczasem odjedzie pani z tymi trzema rodzinami. Poczekać w dobrze wybranym punkcie poza miastem. A ja do was za jakiś czas dołączę. Najdalej za trzy dni. Prędzej czy później ktoś zorientuje się, że dwa dodać dwa jest cztery, i będzie koniec. Tych, którzy tu wtedy zostaną, nic nie uratuje. Zgadza się pani? Pomogę na takich warunkach. Ja też nadstawiam karku, nawet jeśli za pieniądze.

Uśmiechnął się filuternie i w tym momencie jeszcze bardziej przypominał małego drapieżnika podobnego do kota.

Po chwili namysłu kiwnęła głową.

POWRÓT CZARODZIEJA

Janick siedział w ciemności i badał struktury materializujące się z nicości wszędzie wokół niego. Czy mógłby je widzieć pomimo tylu godzin spędzonych w ciemności? Może widzi linie mocy dzięki temu, że rozwija się jego talent, pobudzony specjalną dietą? A może koncentracja mocy jest tu tak wysoka, że dostrzegał ją nawet on, człowiek o trzy stulecia opóźniony w stosunku do okresu panowania magii? Nie domyślał się, ale to go nie powstrzymywało przed rozglądaniem się z ciekawością. Dopiero gdy od ciągłego kręcenia głową rozboleła go szyja, stwierdził, że kierunek, w jakim się obraca, nie ma nic wspólnego z obrazami rejestrowanymi przez mózg. Z jednej strony poczuł ulgę, z drugiej uzmysławiało mu to, do jak nieznanymi, dalekimi od doświadczeń życia codziennego obszarów trafił.

Kawałek dalej siedział Koniasz oparty o ścianę. Dopiero niedawno Janick dostrzegł go w ciemności, a ściślej mówiąc – dostrzegł jego mózg. W starych księgach pisano, że trucizna Dwichera działa właśnie na mózg. Z przewodu pokarmowego dostawała się do krwi i stopniowo docierała do głowy, gdzie się koncentrowała i gdzie aktywowała się jej magiczna natura. Zafascynowany Janick patrzył, jak z magicznego, z trudem rozpoznawalnego obłoczka tworzy się skomplikowana struktura, mocno zakotwiczona w szarej korze mózgowej. Czytał kiedyś o tym, ale nie przypuszczał, że zobaczy to na własne oczy. Przeglądał w duchu poszczególne widziane w księgach diagramy, przyprawiające go dawniej o ból głowy. Teraz rozumiał, co oznaczają. Wicker i pozostali byli prymitywami, którzy używali posiadanych przez siebie instrumentów umożliwiających wpływ na innych tylko do najprostszego wyrządzania szkód. Tak jakby młotem kowalskim usiłowali wykonać delikatną robotę złotniczą. Albo jeszcze gorzej. To oni otruli mieszkańców Czervenki, pozbawiając ich prawie całej inteligencji i wyuczonych umiejętności tylko po to, żeby znaleźć sobie kryjówkę. Ale trucizna Dwichera umożliwia o wiele więcej. Janick pogrzebał w pamięci, ściślejsze tłumaczenie starego terminu brzmiało być może preparat Dwichera. Jeśli da radę, jeśli zdoła przeprowadzić cały skomplikowany proces do końca, to przekształci szczupłego zabójcę w doskonałego sługę, wspaniałe narzędzie, które będzie posłuszne tylko jednemu człowiekowi. Właśnie jemu.

Janick głęboko odetchnął i siłą woli, podsycaną wpływem linii mocy, zaczął pomału i ostrożnie przekształcać samoczynnie powstającą w mózgu Koniasza strukturę w kształt

oznaczony liczbą porządkową jeden. Pewien stary foliał, którego tytuł zgubił się w pomroce wieków, nazwał tę formę Delikatnym Zakotwiczeniem. Trwało to tak długo, że nie spostrzegł, w którym momencie przemiana dobiegła końca, i nadal pozostawał pod wpływem wewnętrznego widzenia.

Z tego bezcielesnego stanu wytrącił go odgłos, którego nie zdołał zidentyfikować. Z ciemności wynurzyło się kilka żarzących się punkcików, odezwał się trzask, pojawił się ogieniek tak słaby, że zdołał oświetlić tylko palce, które podsycaly płomyki drobnymi iskrami. Poświata stopniowo nasilała się, Janick zamrugał piekącymi oczami. Wzrok, przyzwyczajony wreszcie do dziwnego światła, pozwolił mu rozpoznać sylwetkę szczupłego zabójcy. Sylwetkę z błyszczącymi oczami. Błyszczały od magii czy był to tylko odbłask? Tego nie wiedział. Równocześnie zauważył, że w żółtym świetle płomieni znikły prawie wszystkie oznaki obecności mocy. Zamknął oczy, żeby sprawdzić, czy są tu nadal. Były, ale zauważenie ich kosztowało go o wiele więcej wysiłku. Skupiając się maksymalnie, zdołał dostrzec tylko najsilniejsze linie i dwa lub trzy źródła ukryte głęboko pod ziemią. Linie i źródła, te słowa znał z ksiąg. Początkowo ich nie rozumiał, a teraz bez doświadczenia był w stanie przypisać im właściwy sens. Umiejętność manipulowania mocą była bardzo logiczna i równocześnie niebezpiecznie intuicyjna, punkty oparcia i niektóre prawidła, może aksjomaty, skrywały się w splotach struktur i objawiały tylko w formie trudno zauważalnych wskazówek.

Otworzył oczy, gdy poczuł promieniowanie ciepła. Płomyczek zmienił się przez ten czas w prawdziwy niewielki ogień, szczupły zabójca siedział na kawałku drewna i obserwował go z zainteresowaniem. Janick uświadomił sobie, że nie wie, jak długo tak mu się przyglądał ani ile czasu właściwie upłynęło. Musi zwracać uwagę na ten trans, powodujący zanurzenie się w świecie magii. Mógł okazać się dla niego niebezpieczny.

Z tunelu, w którym ukrywali się żołnierze, dobiegł cichy szmer. Od dawna już nie próbowali przedostać się poza zamki magiczne, ale ognista poświata zaniepokoiła wartowników.

Skupił uwagę na twarzy mężczyzny przed sobą, szukając pierwszych oznak działania czaru, a równocześnie wczesnych objawów zatrucia toksynami. Niczego takiego jednak nie dostrzegł oprócz błyszczących oczu w twarzy, której wciąż się bał. Jak ktoś mógł odnieść tyle ran i pozostać zdrowy i normalny? Po co w ogóle wdawał się w sytuacje przynoszące tyle bólu? Co będzie, jeśli preparat Dwichera nie podziała na niego? Może Janick powinien go najpierw wypróbować na rannym żołnierzu? Błąd, ale zaraz pojawił się inny diagram, inny czar. Było ich tyle, a on rozumiał z nich bardzo mało. Walczył z paniką, która załała go, jak

fala przyływu zalewa głazy leżące na brzegu. Widział przecież strukturę czaru i udało mu się ją przekształcić według swojego zamiaru, uspokoił się. Teraz potrzebował czasu, niczego innego. Pomimo tego odwrócił wzrok, żeby nie stawiać czoła spojrzeniu mężczyzny przed sobą. Uświadomił sobie, że obok jego nogi błyszczy pusta ampułka po neutralizatorze preparatu Dwichera, a nieco dalej, na granicy cienia i ciemności, leży druga, po preparacie. Podczas drzemki albo transu wypadły mu widocznie z kieszeni. Jeszcze bardziej się przestraszył. Co będzie, jeśli się pomylił, sam się otruł, a szczupłemu zabójcy podał neutralizator? Mało brakowało, a nie opanowałyby się i sięgnął po antidotum, bo nieco oczywiście zostawił na wszelki wypadek. Potem przypomniał sobie, że neutralizator powinien być użyty wcześniej niż trująca substancja magiczna. Później już nie zadziała. Na pewno się nie pomylił, to tylko nerwy. Na pewno zrobił wszystko jak trzeba, na pewno. Janick, wkładając w to całą siłę woli, spojrzał obojętnie na szczupłego zabójcę i odszedł na bok w ciemność, jakby chciał się wysikać. Wszystko w porządku, musi tylko poczekać i nie może zwrócić jego uwagi. O wiele spokojniejszy powrócił do ognia.

Szczupły zabójca zabrał się tymczasem do pracy i zaczął przygotowywać pochodnie oraz trzy świece, raczej ogarki, które zabrał zabitym. Teraz cierpliwie wytwarzał dalsze pochodnie z drewna rozbitych mebli i odzieży martwych ludzi.

– Długo nie wytrzyma, ale lepsze to niż nic – mruknął. – Trudno przebijać się przez podziemia bez jakiegokolwiek światła.

Trudno? Janickowi wydawało się to niemożliwe.

– Myśli pan, że naprawdę znajdziemy tajny korytarz? – zapytał.

– Z twoją pomocą, na pewno tak – padła odpowiedź.

– Kiedy chce pan wyruszyć?

– Jak tylko z tym skończę. Możemy iść i kilka kilometrów, choć mam nadzieję, że nie będzie tak źle.

Janick zamknął oczy i sprawdzał, czy istnieje jakaś inna droga, dostępna tylko dla niego. Czy zdołałby dostać się na górę pomimo żołnierzy? Uważał, że po miesiącu ćwiczeń być może tak. A więc nie ma drogi. Czy pomogłoby mu, gdyby wydał swego towarzysza? Nie był pewny, a co więcej, zużył na niego bardzo cenną substancję, więc straciłby nie tylko magiczny specyfik, ale także zaczarowanego, wiernego jak pies zabójcę.

– Przed taką wyprawą musimy porządnie wypocząć, nadal czuję się zupełnie wykończony – powiedział.

– Oczywiście.

Odpowiedź usłyszał, gdy już zamykał oczy. Zastanawiał się przez chwilę, czy nie

kryje się w niej sarkazm, a potem skupił się na wewnętrznych zmysłach, aby pozyskać moc.

Niezbyt mocny zapach dymu zaczął go naraz dusić, a blask płomienia przenikał nawet przez zamknięte powieki. Spostrzeżenia zmysłowe cofnęły się i jak złota żyła pojawiła się przed nim główna linia mocy przechodząca przez środek sali, znikająca w następnej. Główny pokład mocy dla całego systemu, domyślił się. Zasilany z któregoś z podziemnych źródeł, jak przypuszczał. Próbował dostać się do świata zwykłych ludzi poprzez trudno dostrzegalne struktury wypełniające okoliczną przestrzeń, przechodził od głównych linii do słabszych i następnie do tych ledwie dostrzegalnych, aż w końcu ujrzał znajomą strukturę obłoczku Dwichera formującą się wokół mózgu szczupłego zabójcy. Teraz musiał się skupić aż do granicy własnych możliwości, żeby móc rejestrować go wystarczająco wyraźnie. Przeobrażał się nadal, świadczyły o tym delikatne ruchy zakończeń mikroskopijnie małych linii, szukających swoich odpowiedników, żeby się z nimi połączyć i uformować początkową część czaru. Wiedział, że dalszą transformację będzie musiał inicjować siłą woli. Na razie nie wiedział dokładnie, kiedy ani jak powinien tego dokonać. Miał tylko nadzieję, że instynkt i informacje zgromadzone w ciągu poprzednich studiów teoretycznych podpowiedzą mu sposób działania, tak jak to miało miejsce kilka razy przedtem. Tymczasem musi tylko cały proces ostrożnie przyspieszać.

Im bardziej się jednak starał, tym silniejsze miał uczucie, że coś się przeciwstawia jego usiłowaniom. Jakby przeciwko czarowi zaczęła działać inna siła, próbująca go znieść. Była bardzo słaba i w sumie nie miała szans powodzenia, jednak cały czas hamowała ewolucję struktury. Nie miał pojęcia, skąd się wzięła. Księgi informowały, że czar postępuje tym wolniej, im człowiek jest starszy i bardziej doświadczony. Wydawało mu się to szczególnie.

W końcu upewnił się jednak, że mimo utrudnień zmiany następują zgodnie z jego zamiarem, i otworzył oczy, żeby wrócić do realnego świata.

Ogień już tylko migotał, a szczupły zabójca drzemał. Niedokończona pochodnia leżała przed nim na ziemi. Jego zmęczenie mogło być wtórnym objawem magicznego zatrucia. Niewiele brakowało, a Janick krzyknęłyby głośno z radości. Podobnego uczucia nigdy jeszcze nie doznał. Uczucia godnego zwycięzcy, triumfatora? Może na takiego czeka cały świat? Jak na razie tylko w jego wyobraźni i przy zachowaniu dużej ostrożności. Zmusił się do przybrania zatroskanego wyrazu twarzy. Trzeba być ostrożnym, przykazywał sobie, najpierw przekonać się, że naprawdę zyskuje władzę nad towarzyszem, dopiero potem może cieszyć się z sukcesu. Hipnoza już raz podziałała na szczupłego zabójcę. Jeśli spróbuje jeszcze raz, nie będzie zbyt ryzykować, zdecydował się na kolejny ostrożny krok. Mimo to serce zaczęło mu bić szybciej.

– Niech mi pan poda... nie, podaj mi wodę – powiedział spokojnie.

Szczupły zabójca ocknął się z drzemki, rozejrzał się nieco zdezorientowany i posłusznie podał mu manierkę z wodą, którą wydobył z zapasów. Janick pociągnął łyk, a potem jeszcze jeden. Do tej pory musiał oszczędzać wodę, żeby im wystarczyła na dłużej, i miał sucho w ustach.

– Napiję się jeszcze, i tak nam wystarczy – oznajmił dobitnie i wypił jeszcze kilka łyków.

Jego towarzysz tylko kiwnął głową na znak zgody.

Zadowolony Janick oparł się o ścianę, napięcie go opuściło. Teraz nie może tylko zbyt mocno naciskać. Stopniowo zaszczepi w mężczyźnie swój autorytet i zainicjuje takie zmiany struktury, które będą odpowiadać poszczególnym diagramom, jakie zapamiętał.

– Chodźmy, niepotrzebnie tu siedzimy – odezwał się nagle szczupły zabójca.

Janick drgnął, ale zaraz się uspokoił. Po pierwsze, czar nie rozwinął się jeszcze w pełni, po drugie, nie chodziło mu o bezmyślnego wykonawcę poleceń, jakich Wicker miał pełno we wsi, ale o sługę – niewolnika, który również wykona każdy jego rozkaz, ale użyje do tego wszystkich swoich umiejętności.

– Nie, jeszcze trochę odpocznijmy – oznajmił zdecydowanie.

Nie było żadnego protestu.

Przez cały dzień, wnioskując z odgłosów aktywności żołnierzy obecnych w pozostałych magazynach, obserwował rozwój czaru. Za każdym razem szło mu lepiej i dostrzegał więcej szczegółów. Przeprowadził też własny przegląd zapasów, które zdobyli. Głównie po to, żeby upewnić się, czy szczupły zabójca czegoś nie przemilczał. Stwierdził, że w jednej z manierek jest gorzalka, a nie woda, za to tej ostatniej mają więcej, niż mu powiedziano. Wahał się przez chwilę, ale później stwierdził, że nie ma się co spieszyć, a o tym, co trzeba zrobić, zdecyduje sam.

Nakazał, żeby szczupły zabójca rozniecił ogień, i wygodnie rozparł się na swoim miejscu. Nigdy jeszcze nie był tak zadowolony. Popijając, obserwował towarzysza, bardziej milkliwego niż zazwyczaj. Stopniowo zaczynał uważać go za sługę. Ze spokojem, który brał się nie wiadomo skąd, słuchał niespokojnych, stłumionych przez echo rozmów żołnierzy. On nie był zdenerwowany. Jutro po prostu stąd odejdzie. Brudną robotę wykona za niego marionetka siedząca naprzeciwko przy ognisku.

– Wiesz, jak to działa? – zapytał.

– Jak co działa? – odpowiedź wywołała na jego twarzy uśmiech zadowolenia.

Ten człowiek był przedtem tak aktywny, że sama jego obecność miała nieoczekiwany

wpływ na wydarzenia. A jeśli coś nie szło po jego myśli, potrafił zawsze jakimś zagadkowym sposobem zmienić sytuację na swoją korzyść. A teraz był bierny, reagował tylko na bodźce zewnętrzne, zagubił przyrodzoną inteligencję.

– Ten czar i jednocześnie trucizna – wyjaśnił zadowolony Janick. – Jeszcze nie do końca rozumiem, jak to działa, ale wierzę, że dojdę do tego. Interesuje cię to?

– Przecież zajmowałem się takimi sprawami, dlatego tu jestem – otrzymał odpowiedź zgodną z prawdą.

Ogień stale migotał, a kierunek, w jakim odpływał dym, świadczył o tym, że istnieje stały, chociaż bardzo słaby ciąg powietrza. Wystarczało to do wymiany starego powietrza na świeże i chroniło ich przed uduszeniem się.

Janick łyknął solidnie, alkohol przyjemnie grzał żołądek.

– Ten czar sam w sobie jest bardzo delikatny, prawie zachowawczy – zaczął z zadowoleniem. – Mógłby najwyżej powodować ból głowy, może lekką amnezję. Właśnie na połączeniu z materiałem, do którego jest dostosowany, polega geniusz tego, kto go wymyślił.

– Zakryjcie ten otwór porządnie, pada tutaj! – przerwał mu ostry okrzyk, niezniekształcony nawet echem. Aż do nich dobiegało pluskanie wielkich kropeł deszczu, któremu zaczęło towarzyszyć trzaskanie kulek lodu. Słaby płomień ogniska zatrzepotał, wydawało się, że zgaśnie, lecz ustabilizował się.

– Podnieście ten daszek, bo się udusimy!

Krople wody i grad bębniły po naciągniętej skórze lub może płótnie. Dźwięk rozprzestrzeniał się w podziemiu tak, jakby znajdowali się we wnętrzu ogromnego bębna. Janickowi to nie przeszkadzało, znajdował się w miejscu suchym i wygodnym, jego prześladowcy mieli o wiele gorzej.

– To jest proces związany z wymazywaniem pamięci – podjął wykład. – Gdybym nie sterował czarem, skończyłbyś tak jak wieśniacy Wicker. Pierwszych musiał zabić, bo przedawkował i nie potrafili więcej niż trzyletnie dziecko. Potem nauczył się lepiej używać preparatu Dwichera, choć wtedy jeszcze bez użycia magii, mógłbym się o to założyć. W końcu otrutym zostawało tylko tyle inteligencji, żeby mogli wykonywać proste polecenia. Ale ja jestem lepszy niż Wicker i wszyscy inni razem. Uświadamiasz to sobie? – Janick skupił uważne spojrzenie na szczupłym zabójcy.

– Uświadamiam, wszystko na to wskazuje.

Potwierdzenie wywołało uśmiech na twarzy czarodzieja.

– A więc czar związany z trucizną będzie stopniowo usuwał jedną warstwę pamięci za drugą, a ja będę do ciebie mówił. Poczucie utraty pamięci i własnego ja jest podobno rzeczą

potworną i człowiek robi wszystko, żeby pozostała mu jakaś osobowość. Wytworzysz ją sobie z tego, co ci powiem. Kiedy tak się stanie, usunięte warstwy pamięci wrócą, tylko że już do twojej zmienionej osobowości. Będziesz mój.

Janick zamilkł i z zadowoleniem napił się jeszcze.

– Słabsi ludzie podobno wariują. Nie sądzę, żeby tobie się to przydarzyło.

– Chyba nie – odpowiedział po chwili szczupły zabójca. – Nie uważam się za człowieka słabego.

– Dołóż do ognia, zdaje się, że robi się chłodniej. I spójrz, co się dzieje w korytarzach – rozkazał Janick.

Jego nowy sługa dorzucił do ogniska dwie nogi od wielkiej szafy i wstał, żeby przeprowadzić kontrolę. Gdy zajrzał do lewego korytarza, prowadzącego do przestrzeni zajętej przez żołnierzy, obok niego przeleciała strzała. Mimo to bez protestu sprawdził dwa pozostałe korytarze.

Janick kiwnął głową z zadowoleniem. Przy pomocy hipnozy praktycznie nie było możliwe zmusić kogokolwiek do świadomego ryzykowania życiem. A dzięki wyrafinowanemu podstępowi szczupły zabójca posłuchał rozkazu bez względu na okoliczności.

Czarodziej potrząsnął manierką. Sądząc po bulgotaniu, miał jeszcze co pić.

– Czy to nie wspaniałe, genialne? – rozpyływał się nad swoim sukcesem. – Mój głos w procesie tracenia pamięci będzie wytwarzał twoje nowe ja, stanie się podstawą twojej nowej osobowości. Wyprowadzę cię z ciemności, w której nie będziesz wiedział, kto jest kim, zmienię cię, wyciągnę na powierzchnię i zostanę twoim panem. Dobrowolnie i wiernie będziesz mi służył aż do śmierci.

Fakt, że nawet teraz zabójca nie zaprotestował, napełnił Janicka szczęściem. Udało mu się. Zwyciężył. Skupił się na linii mocy, obłoczek Dwichera stopniowo zmieniał się w zbliżony do kryształu wielościan. W wielu miejscach pozostały chaotycznie splątane włókna mocy. Wyglądało to tak, jakby coś przeszkodziło im w transformacji. Janick bez namysłu dopomógł zmianie, powstał kolejny diagram numer dwa. Kosztowało to trochę wysiłku, ale okazało się wykonalne.

– A tak się tego bałem – mruknął do siebie.

To było lepsze od dobrego jedzenia i picia, lepsze od złota brzęczącego w kieszeni. To była moc i on jej posmakował.

– Chcesz się o coś zapytać? Możesz – pozwolił szczupłemu zabójcy wielkodusznie.

– Jak mnie otrułeś?

– Zatruję wodę w zdobyczej manierce. Tę, którą już wypiliśmy.

– No, to musiałeś użyć antidotum – stwierdził jego towarzysz.

Janick wskazał na drugą szlifowaną kryształową ampulkę. Preparat Dwichera był bardzo lotną cieczą. Według ksiąg każdy, który miał z nim styczność, był w niewielkim stopniu podtruty i dlatego zawsze musiał użyć antidotum.

Szczupły zabójca przytaknął.

– Tak myślałem. Na reliefie znajduje się znak antidotum przeciw czarowi. Nazwy czaru nie zdołałem przeczytać.

– Jak możesz widzieć w półmroku z takiej odległości? – nie pojmował Janick.

– Przeszukałem cię, kiedy spałeś. Bolała mnie głowa, a przed oczami stawały mi wspomnienia, o których w ogóle nie myślałem. Przyszło mi do głowy, że mnie otrułeś. W pewnym sensie oczekiwałem tego, ale nie sądziłem, że zrobisz to przy użyciu antidotum. Zwykle antidota działają za cenę drastycznych skutków ubocznych, więc na ich użycie decydują się tylko bardzo twardzi ludzie. A ty do nich nie należysz.

Uśmiech na ustach Janicka zgasł, obserwował twarz mężczyzny z panicznym przestrawieniem. Oczodoły, nos i wszystkie jego blizny oraz rany wypełniał cień. Nie przypominał człowieka, raczej twór wyciosany przed wiekami z brzydkiego, twardego kamienia.

– Trochę go tam jeszcze zostało – dodał szczupły zabójca.

Janick wiedział, co powoduje ten środek. Spowalnia rozwój struktury czaru, który nie może zadziałać tak szybko i dokładnie, jak powinien.

– To ci nie wystarczy, musiało zostać strasznie mało! – prawie krzyknął.

– Chyba nie – zgodził się z powagą szczupły zabójca. – Naprawdę zostało tam zaledwie kilka kropel. Ampulkę wytarłem kawałkiem materiału i połknąłem go. Może zyskam tym sposobem trochę czasu.

Wstał.

– Chodźmy, spieszę się.

– Siadaj – zawołał Janick dobitnie. – Usiądziesz i będziesz czekał.

Mężczyzna, zamiast go posłuchać, podszedł bliżej.

– Tylko udawałem, że twoja hipnoza na mnie działa. Nie jesteś w tym taki dobry, jak sobie wyobrażasz. Albo przeceniasz jej możliwości.

Spanikowany Janick sięgnął po nóż, ale powiew powietrza i następujący tuż po nim ból obalił go na ziemię. Nawet nie zdążył wyciągnąć ostrza z pochwy.

– Ty, ty mi rozbiłeś nos! – wyjąkał, trzymając się za twarz. Palcami wyczuwał

pokruszoną chrząstkę i cieknącą krew.

– Tak. Boli cię?

Szczupły zabójca popatrzył na kostki lewej ręki. Janick pojął, że nie dostał pięścią, ale grzbietem dłoni.

– Tak, cholera. Dlaczego to zrobiłeś?

– Bo chcę, żeby bolało. Żebyś się gorzej koncentrował i nie wymyślał żadnych głupstw.

Janick przeklął się w duchu za pychę i zbytnią pewność siebie. Gdyby trzymał język za zębami, nic takiego nie mogłoby się stać. Teraz będzie musiał czekać kilka godzin, może jeden czy dwa dni, nie miał pewności, aż czar zacznie porządnie działać. Na hipnozę nie mógł już liczyć.

– Nigdy się stąd nie wydostaniesz beze mnie! Tajne korytarze będą oznaczone przez magię, zostaniesz tu na wieki!

Potrzebował czasu, nie mógł umrzeć teraz, gdy miał wszystko w zasięgu ręki! Pragnienie wszystkiego, co mógł uzyskać, pomagało mu przezwyciężyć strach.

– Tu masz niestety rację – zgodził się szczupły zabójca, w chwilę później przerzucił Janickowi przez głowę pętlę i lekko ją zacisnął. Bez pośpiechu chwycił go za rękę i nagle Janick leżał na plecach, jego wręcz agonálny krzyk wywołał alarm w obozie nieprzyjaciół. Uświadomił sobie dopiero teraz, że szczupły zabójca błyskawicznie założył mu dźwignię na ramię. Główka kości tylko na moment wyszła z torebki stawowej i z trzaskiem wróciła na swoje miejsce. To jednak wystarczyło, żeby stracił władzę nad całym ciałem. Zrobiło mu się niedobrze, przekręcił się na kolana i wymiotował na własne ręce.

– Zabiję cię kiedyś za to – charczał wściekle, wpatrzony w zawartość swego żołądka.

Odór gorzałki mieszał się z wymiocinami.

– Dlaczego? Przecież zostanę twoim posłusznym narzędziem. Mądry człowiek troszczy się o swoje narzędzia. Idziemy, nie mam czasu.

Targnięcie za powróż poderwało Janicka na nogi. Przy pierwszym kroku spostrzegł, że nogi ma związane w kostkach i może tylko dreptać.

Może zdołałby się zemścić jeszcze teraz, coś mu zrobić, zaszkodzić magicznie, myślał. Niestety, żadne tak błyskawicznie działające zaklęcie nie przychodziło mu do głowy. Na razie, upewnił sam siebie. Kolejne pociągnięcie za powróż podcięło mu nogi, niekontrolowany upadek spowodował uderzenie kolanami o ziemię.

– Nie jesteś tak dobry, żebym nie zauważył, że usiłujesz czarować. Nie próbuj tego. Nie wcześniej, aż każę ci to robić. Następnym razem będzie cię to więcej kosztować. Bierz

pochodnię i idziemy.

Janickowi nie pozostało nic innego, jak posłuchać i z sercem w gardle pójść tunelem wiodącym ku zamkniętym magazynom drugiej strefy. Miał nadzieję, że ochrona składu południowego jest naprawdę uszkodzona przez upływ czasu, jak to ocenił już wcześniej. Szczupły zabójca był tego pewny albo zdecydował, że nie ma innej możliwości, więc nawet nie zwolnił, mijając linię zamka. Przeszli tunelem łączącym i nadal żyli.

– Teraz musimy znaleźć awaryjny korytarz ucieczki – dostał kolejną instrukcję.

– Nie będzie ci łatwo, kiedy zostaniesz moim niewolnikiem. A to się wkrótce stanie. Już teraz pamięć cię opuszcza. – Janick odwrócił się do swego pogromcy. Miał nadzieję, że tylko tymczasowego.

Szczupły zabójca nie fatygował się odpowiedzią, tylko rozglądał po pustej przestrzeni składu, kiepsko oświetlonego jedyną pochodnią.

– Tam są schody na dół – wskazał. – Z pewnością do magazynu trzeciej strefy. Przejdziemy tędy?

Janicka zaskoczyło to pytanie. Facet był naprawdę zdecydowany zawierzyć swoje życie jego decyzjom.

Szurając spętanymi nogami, przysunął się do wejścia na schody. Spojrzał w dół i natychmiast cofnął się z przestachem. W głowie migotał mu ogień i przez kilka chwil nie widział nic oprócz oślepiającego blasku.

– Nie – pokręcił głową – tędy nie przejdziemy. Moc jest niesamowicie skoncentrowana. Musieli tam chować coś bardzo ważnego – dodał, gdy nieco przyszedł do siebie.

– Magazyn trzeciej strefy, tego można było oczekiwać – wzruszył ramionami szczupły zabójca. – Musimy spróbować znaleźć wyjście awaryjne. Jeśli będzie mi się wydawało, że nie szukasz go wystarczająco starannie, wiesz, co cię czeka.

W jego ręce błysnął nóż.

Janick nie wiedział, ale pytać nie chciał. Wystarczyła mu wyobraźnia. Obszedł z bliska wszystkie ściany, a później został zmuszony, aby przepatrzeć każdy metr kwadratowy podłogi. Nic jednak nie znalazł. Nic namacalnego, odkrył tylko magiczną, pomału rozpadającą się strukturę, utrzymującą się resztkami mocy. Nawet po całych wiekach nadal wyznaczała wstęp do korytarza ucieczki. Zachował szczególną uwagę, żeby nie dać po sobie poznać, że coś zobaczył. Najchętniej usiadłby teraz, ale pierwsze niepowodzenie nie zniechęciło szczupłego zabójcy, który szybko ruszył na dalsze poszukiwania. Janick musiał za nim podążać. Łowca artefaktów był zacięty, wytrwały, ale był też tylko zwyczajnym

człowiekiem. Bez zdolności manipulowania mocą nie miał szansy wydostać się na zewnątrz. Ta analiza uspokoiła Janicka i bez oporów poszedł za nim na kolejny przegląd.

– Tu coś jest. – Koniasz zatrzymał się przed zamaskowanym korytarzem i zaczął ostrożnie opukiwać podłogę trzonkiem noża. Przesuwał się systematycznie, odcinek po odcinku, zbliżając się do ukrytego przejścia. Nagle kolejne stuknięcie zabrzmiało głucho i Janick drgnął mimo woli. Jak do tego, cholera, doszedł? Czarodziej nie pojmował, ale nadal silił się na obojętność. Stukanie rozlegające się w tunelu wzbudziło czujność żołnierzy, aż tutaj dobiegał odgłos ożywionych rozmów wartowników stojących w tunelu przy zamkach.

– Jest – mruknął w końcu z zadowoleniem szczupły zabójca i zaczął skrobać nożem zanieczyszczoną szparę. – To droga ewakuacji, nie powinna być niczym zabezpieczona.

Pochylił się do samej ziemi, Janick słyszał ciche zgrzytanie kamyczków poddających się twardej klindze.

Czy nie powinien spróbować go teraz zabić? Przyszło mu to do głowy, gdy patrzył na zgięte plecy przed sobą. Ten pomysł nie wiadomo dlaczego wystraszył go. Byłaby to głupota, odrzucił go szybko. Unicestwiłby tylko w ten sposób swego przyszłego niewolnika.

– Tak, jest. – Szczupły zabójca odwrócił się i spojrzał na Janicka, jakby jakimś sposobem zdołał odczytać jego myśli, ale nie powiedział nic więcej.

Wsunął nóż w szparę, mechanizm zabezpieczający trzasnął, później nacisnął dłońmi krawędzie odkrytego kwadratu. Musiał użyć całej siły, żeby wejście się poddało. Z głośnym protestem kamienia trącego o metal kwadrat obrócił się wokół centralnie położonej osi i odkrył widok na wąski, ciemny korytarz.

– Żadnej magii, uczciwa praca kamieniarska – pochwalił szczupły zabójca, ale Janick nagle zorientował się, że to nieprawda.

Wyglądało to tak, jakby obrót drzwi powodował równoczesne otwarcie stawideł i napełnienie starych, uśpionych struktur wodą z ukrytego rezerwuaru mocy. Podświadomie cofnął się, na ile pozwoliła mu lina.

– Tam są czary, czyhają na nas. To z pewnością jest niebezpieczne – oznajmił z nieskrywanym strachem.

Ale uczucie, że stoi przed lasem obnażonych ostrzy mierzących w jego serce, szybko ustąpiło i okazało się, że zagląda po prostu do starego korytarza, w którym gubi się światło.

– Zajrzymy do środka – oznajmił szczupły zabójca zgodnie z najgorszymi obawami Janicka. – Idź.

Janick niechętnie posłuchał, pod nogami zaskrzypiał mu prastary kurz. Kurz liczący setki lat, uściślił w myśli. Pochodnia oświetlała nierówne ściany wykute w wapieniu.

Obróbką powierzchni nikt się nie przejmował.

Tam, gdzie dawni kopacze natrafiali na obszary, w których skała stawiała większy opór, omijali je i korytarz tracił stały profil. W jednym miejscu zabójca zatrzymał się i z uniesioną pochodnią przyjrzał stropowi, skupiwszy się zwłaszcza na rozpadlinie w skale.

– Sucha, sądzę, że ciągle jeszcze jesteśmy wyżej niż powierzchnia wody.

Janick aż się zatrząsł na myśl o tym, że korytarz mógłby ich zaprowadzić pod wodę. Obniża się? Nie miał pewności.

– Idziemy dalej – usłyszał po chwili rozkaz, którego się obawiał.

Po piętnastu krokach w ciemności zabłysło coś białego. Janicka podniosła na duchu nadzieję, że doszli już do wyjścia. Pięć metrów dalej przyszło rozczarowanie. To nie było światło dzienne, tylko coś jasnego na podłodze. W miarę jak się zbliżali, z ciemności ustępującej przed światłem pochodni wyłaniał się jakby dywan utworzony z dużych okrągłych lub niespotykane wydłużonych, albo też dziwacznie poskręcanych białych kamieni. Niektóre leżały w skupiskach przypominających trochę... Janick zdrewniał. To nie były kamienie, ale szczątki ludzkie, całe szkielety lub ich części.

Szczupły zabójca popchnął go od tyłu.

– Chodźmy dalej, chciałbym obejrzeć te kości.

Janick posłuchał, choć najchętniej zawróciłby i uciekł. Z własnej woli nigdy by tu nie włąził.

– Poświeć, żeby lepiej widział – otrzymał kolejny rozkaz.

Szczupły zabójca przepchnął się obok niego i zaczął uważnie badać szczątki.

– Żadne zwierzę nigdy się tu nie dostało, kości leżą tak, jak upadły ciała. Tkanki zetlały, nie doszło do mumifikacji. To dziwne, biorąc pod uwagę, że tu jest sucho. Może to z powodu tego, co ich zabiło – podsumował swoje spostrzeżenia.

Sięgnął do stosu, jedna z klatek piersiowych nie wytrzymała i z suchym chrzęstem rozpadła się na dwie kupki równo rozłożone po obu stronach kręgosłupa.

– Popatrz. – Szczupły zabójca wskazał na kolumnę kręgow. – Kości ma połączone jakąś metalową siatką!

Podniósł fragment kręgosłupa, w świetle pochodni błysnęły metalowe druty, niepojętym sposobem wplecione w strukturę kości.

Janick również uważał to za niezwykle interesujące, ale walka ze strachem, wpływem ciasnej przestrzeni i świadomością podnoszącej się powierzchni wody, która mogła ich zalać, wyczerpywała jego siły.

– W żebrach też mają metal – szczupły zabójca skomentował wyniki dalszego

przeгляdu. – Powiedziałbym, że tych ludzi było bardzo trudno zabić. Ale widocznie okazało się to możliwe.

Nadal bez skrępowania grzebał w ludzkich szczątkach. Po chwili wydobył z nich miecz. Janick nie znał się na broni, ale i jemu wydał się szczególny. Krótki i zbyt mocny, taki jak broń wykonana z brązu, znajdowana niekiedy w mulistych płycznach rzecznych lub na polach podczas głębokiej orki.

– To nie jest stal i do szermierki niezbyt się nadaje – powiedział szczupły zabójca z namysłem, obracając miecz w ręce i sprawdzając jego wyważenie.

Nagle otworzyły się drzwi do innego świata, ostrze klingi owinęła moc gotowa siać spustoszenie.

– Rzuć to! – krzyknął Janick.

Szczupły zabójca szczęściem posłuchał go natychmiast. Młody czarodziej, wstrzymując oddech, przyglądał się, jak struktury czaru ukryte w materiale miecza znów zwijają się, gasną i znikają. Za chwilę już ich nie widział, choć wiedział, że nadal tam są.

– To by nas zabiło. Ten miecz, znaczy. Chyba mogą się nim posługiwać tylko wybrani – stwierdził w końcu.

To, czego właśnie był świadkiem, zszokowało go, do tej pory nie wyobrażał sobie, że magia może mieć tak niszczycielski i błyskawicznie aktywowany potencjał. Po całych stuleciach...

Szczupły zabójca nie oponował, kiwnął tylko głową.

– Wygląda na to, że byli naprawdę dobrze wyposażeni, ale im to nie pomogło. To musiało być coś więcej niż zwyczajna potyczka. Idziemy dalej. Może dowiemy się, co ich zabiło – zarządził.

Janick nie pojmował, skąd zabójca czerpie przekonanie, że ta dziwna rzecz nie zabije również ich samych. Może wiedział więcej, niż ujawniał, a może było mu wszystko jedno. Znajdował się przecież pod wpływem trucizny. Ta możliwość nie była po myśli Janicka.

Badając szczątki, stracili zbyt dużo czasu, pochodnia pomału się dopalała. Przeszli przez pokład kości i po kilkadziesiąt kroków dotarli do czegoś, co początkowo wyglądało na koniec korytarza, jednak okazało się kolejnymi obrotowymi drzwiami, tym razem zaopatrzonymi w zamek w formie stylizowanej czaszki. Z kluczem wsuniętym do reliefu. Szczupły zabójca uważnie obejrzał magiczny zamek i otworzył drzwi. Janick wstrzymał tylko oddech, ale nic nieoczekiwanego się nie stało. Tym razem nie chodziło o mechanizm, drzwi obracały się na niewidocznej osi bez żadnego oporu i bezdźwięcznie, ich odwrotna strona była gładka jak lustro.

– Założę się, że dają się otworzyć tylko od środka – zauważył szczupły zabójca. – Awaryjna droga jednokierunkowa. Wrócimy, przygotujemy się i spróbujemy szczęścia drugi raz, gdy na zewnątrz będzie światło dzienne. Teraz moglibyśmy przeoczyć wyjście na powierzchnię.

Janick dobrze wiedział, że jego towarzysz nie zdradził mu wszystkich swoich spostrzeżeń, ale jak na tę chwilę jego plan się sprawdzał. Zyskiwał czas, a czas działał na jego korzyść. Dostrzegli już poświęcone ogniska, które zostawili w magazynie, kiedy szczupły zabójca zatrzymał się, upuścił pochodnię i obiema rękami złapał się za głowę. Czarownik widział, jak zaciska szczęki, żeby opanować atak bólu. Zaczynała się następna faza, zakrzyknął w duchu i skupił się. Strach utrudniał mu koncentrację, ale w końcu wypatrzył rozwijającą się strukturę Dwichera. Zmierzała ku fazie trzeciej i wyraźnie zaczynała mieszać się z mózgiem. Teraz musiał ostrożnie neutralizować słaby wpływ antidotum i dopilnować utworzenia właściwego kształtu. Proces utraty pamięci i osobowości definitywnie się zaczął.

– Chodźmy do sali, tam będzie nam wygodniej niż tutaj – zaproponował ostrożnie Janick.

Szczupły zabójca przytaknął, nadal trzymając głowę w dłoniach i potykając się, poszedł dalej.

Przy ognisku upadł na ziemię, zwinął się w kłębek i pozostał w tej pozycji. Janick nie wiedział, czy ból jest wynikiem działania czaru, czy świadczy o tym, że coś źle poszło. Skoncentrował się więc na poprawianiu struktury i zostawił sprawy swojemu biegowi. Nic innego mu nie pozostawało.

Gdy skończył i wrócił ze świata mocy do rzeczywistości, stwierdził, że szczupły zabójca siedzi i cicho klepie jakąś litanie. Choć starał się podsłuchać, co recytuje, nie zdołał go zrozumieć. Czy myślał, że jakaś sentencja ochroni go przed magią? Chyba nie, był na to zbyt wykształcony.

Albo chwycił się brzytwy jak wszyscy tonący? Janickowi nic innego nie przyszło do głowy. Po mękach zmagania się z powodzią, po wypiciu i z wymiotowaniu wódki oraz laniu, które dostał, zaczęły mu się kleić oczy. Potrzebował odpoczynku. Nie wiadomo, co przyniosą następne godziny czy dni, doszedł do wniosku. A czas pracuje dla niego, nie ma się gdzie spieszyć.

Obudził się i ujrzał szczupłego zabójcę zakładającego niewielki tornister. Dwie ostatnie pochodnie leżały przy dopalającym się ognisku, woda i resztki ich skromnego wyposażenia zniknęły. Janick przyjrzał się twarzy towarzysza. Żadnych śladów działania preparatu Dwichera, chyba tylko nieco głębsze bruzdy i bardziej zapadnięte oczy. Może przy

dziennym świetle coś będzie widać? Naraz ciemność zaczęła działać mu na nerwy. Ciemność, ciągle ciemność, pogłos echa, dym drażniący płuca, migotanie ogniska. Czy w ogóle wydostanie się jeszcze na powierzchnię? Zobaczy niebo? Chciał krzyczeć, ale to by mu chyba nie pomogło. Na pewno nie. Jeśli pokona strach, jeśli oddali zły los, otrzyma wszystko, o czym marzył. To była tylko próba, nic więcej.

– Co pan zamierza zrobić? – zapytał.

Nie zdecydował się niczego nakazywać szczupłemu zabójcy, nie wcześniej, niż będzie zupełnie pewny, że czar działa.

– Uciekać – brzmiała zwięzła odpowiedź. – A ty ze mną. Jesteś mi potrzebny na wypadek, gdybyśmy natknęli się na jakieś dalsze magiczne zapory.

– A dlaczego uciekać? – Janick nadal nie rozumiał. Czyżby trucizna nie działała i szczupły zabójca odzyskiwał zdrowe zmysły?

– Bo otworzyłem wstęp do magazynów pierwszej strefy. Kiedy to zauważą, zaczną nas gonić.

– Jak to? – zająknął się Janick, w tym samym momencie coś metalicznie brzęknęło.

– To moje pułapki, po ciemku łatwo je przeoczyć. Już tu idą. Ruszajmy!

Jednym pociągnięciem postawił Janicka na nogi i pchnął w stronę korytarza ucieczki.

– Uciekajmy!

Bardziej niż rozkaz popędził go kuksaniec w plecy. Szczupły zabójca zmuszał go do pośpiechu, trzymając się tuż za nim.

– Tam są! – usłyszał czyjś krzyk, schylając się w wejściu do wąskiego korytarza.

– Poczekaj chwilę, mam jeszcze jedną strzałę – zatrzymał Janicka rozkaz.

Obejrzał się i spostrzegł szczupłego zabójcę, jak z pochodnią w zębach zakłada strzałę i naciąga łuk.

– Uwaga! Strzela! – zabrzmiało ostrzeżenie, dwóch najszybszych prześladowców przypadło do ziemi.

Ten, który ich ostrzegł, sam nie wziął sobie tego do serca i nadal stał. Brzęknęła cięciwa i zwałił się na ziemię, ściskając przestrelone udo.

– Nigdy nie nauczę się strzelać, celowałem w głowę – odezwał się szczupły zabójca, a Janick nie zdołał odgadnąć, czy to nie ten typ wisielczego humoru, jaki odczuwa się przed śmiercią.

– Idziemy!

Obaj mężczyźni już wstali i biegli, głęboko pochyleni. Z dużych tuneli łączących poszczególne magazyny wybiegali inni prześladowcy, wolniejsi, kryjący się za okrągłymi

tarczami. Tu im się nie przydadzą, pomyślał Janick, potykając się, lecz biegnąc naprzód.

– Stać, do diabła, stać, chłopcy. Nigdzie nam nie uciekną! – ryczał ktoś.

– Są rozjuszeni, zabiłem jednego. Lepiej będzie, jak się pospieszysz – posłyszał Janick. Ruszył żwawym biegiem. To był zły sen, szczupły zabójca zwariował, czarodziej był tego pewny. Przebiegając węższą częścią korytarza, rozciął sobie czoło o wypukłość muru i upadł na kolana, boleśnie je tłukąc. Za plecami słyszał sapanie uzbrojonych ludzi, za szyję trzymała go pętla, krew ciekła mu do oczu.

– Szybciej, już zaraz tam będziemy.

– Gdzie?! Cholera! – krzyczał Janick i zataczając się, biegł dalej.

Ciemność, czemu tu, do czorta, jest taka pieprzona ciemność! – wymyślał. Pod nogami z trzaskiem pękały stare kości.

– Przy drzwiach – usłyszał, a pociągnięcie za linę dało mu do zrozumienia, że ma się zatrzymać.

Odwrócił się, ujrzał stłoczone, zbliżające się cienie, w oczy zaszczytał go dym z pochodni, dźwięk uderzającego o kamień metalu niósł zapowiedź zbliżającego się przelewu krwi. Ilu żołnierzy ich goniło? Dziesięciu? Zginą tu, pod ziemią, w wąskim korytarzu, z którego nie było ucieczki.

Zginąć w podziemiach bez słońca. Był bardziej przestraszony, niż to uważał za możliwe.

– Zamykam drzwi, cofnij się – nakazał szczupły zabójca.

To ich nie zatrzyma, tam jest dziesięciu chłopów, przepchną nas, chciał krzyknąć i uciekać dalej, ale pętla nie pozwoliła. Starannie dopasowana płyta kamienna wskoczyła na swoje miejsce. Janick zatrząsł się, na potylicy, przedramionach, na całym ciele wyskoczyła mu gęsia skórka, czuł, że włosy dosłownie stają mu dęba. Zwykłe zamknięcie drzwi obudziło siły, których moc wymykała się ludzkiemu pojęciu. Na gładkim początkowo kamieniu stopniowo pojawiał się stylizowany wizerunek czaszki.

– I teraz można to otworzyć tylko z tej strony – stwierdził zadowolony zabójca, chowając do kieszeni klucz z reliefu.

Janick ciągle nie mógł przyjść do siebie przy takiej koncentracji mocy w bezpośredniej odległości i cały się trząsł. Był pewny, że coś się musi stać. Moc oczekiwała uwolnienia, jak wysoka fala przyływu uderzająca na wybrzeże. Ktoś zabębnił w drzwi, a później nadeszło uderzenie. Janick aż krzyknął, gdy dosięgło go odbicie czaru rzuconego przez struktury rozmieszczone wokół magazynu.

– Oni są martwi, wszyscy w tym korytarzu są martwi – powiedział cicho, gdy wróciła

mu przytomność umysłu.

– Też bym tak powiedział – zgodził się szczupły zabójca, a Janick nie usłyszał triumfu w jego głosie. – Chętnie popatrzyłbym, co ich zabiło, ale myślę, że to niepotrzebne ryzyko. A oprócz tego mam niewiele czasu, no nie, panie czarodzieju? – zwrócił się do Janicka, a ten aż się skurczył.

Mógł go zabić, ten wysoki szczupły mężczyzna mógł go zabić tak łatwo, jak ktoś inny strzeliłby palcami.

– Idziemy.

W IMIENIU CESARZA

Bamegi zatarł ręce i wykonał całą serię izometrycznych ćwiczeń, służących rozgrzaniu i rozluźnieniu mięśni. Od pewnego już czasu obserwował starą budowlę. Wzniósł ją dawno temu cech płatnerzy, który ze względu na postęp w wytwarzaniu broni utracił swoje znaczenie w mieście i wyniósł się gdzieś indziej. Miało to miejsce przed dziesięciu laty. Od tego czasu okazała budowla, z obszernym placem ogrodzonym wysokim murem, stała pozbawiona właściciela i niszczała. Jednak kilka tygodni temu nabył ją jakiś nieznajomy kupiec, wyremontował mur, bramę i zamieszkał. Bamegi interesował się tym miejscem z powodu kilku istotnych informacji i doskonale przeprowadzonego ataku, dzięki któremu wyeliminowali oddział wojska, mający za zadanie dostarczać tutaj porwanych ludzi. Zdobyte informacje tworzyły ponurą i krwawą mozaikę, która wydawała się raczej niewiarygodną historią wyjętą z legend niż rzeczywistością. Ale Bamegi zwykł wierzyć własnemu osądowi i nie miał złudzeń. Rzeczywistość nazbyt często bywała gorsza od starych historii.

Miał nadzieję, że tą akcją zakończy coraz mniej czyste prace dla Varatchiego i będzie mógł wrócić do domu. Już i tak wiedział za dużo o intrygach swego zleceniodawcy.

Bramy pilnowało dwóch ludzi. Pomimo straży doświadczonemu ninja nietrudno byłoby dostać się na dziedziniec, ale cel, dla którego Varatchi ich przysłał, został ukryty w budynku. Udało im się wprawdzie zdobyć stare plany, jeszcze z czasów budowy, ale żadnych nowszych. Budynek mógł być z dziesięć razy modernizowany. Nie wiedzieli też, ilu ludzi pilnuje rozległego, ogrodzonego terenu. Nie mieli niestety czasu na kilkudniowe obserwacje, na jakie zasługiwała tak poważna operacja.

Bamegi po raz ostatni rozejrzał się po okolicy i trzykrotnie zahukał, doskonale naśladując głos sowy. Ten ptak zamieszkiwał okolice miasta i często przylatywał do ogrodów, gdzie obfitość myszy zapewniała mu bogatą zdobycz. Otrzymał cichą odpowiedź. Darnet i Varnet byli gotowi do akcji. Do pracy w ciemności, wymagającej ścisłej koordynacji, bliźniacy byli najlepsi. Bamegi usłyszał tylko szelest. Przez mur przeskoczył ciemny cień. Ninja tak świetnie posługiwał się rakami do wspinaczki, że wydawało się, jakby umiał latać. Głośniejszy chrzęst żwiru pod nogami, charkot ledwie na granicy słyszalności. Równie dobrze mogła Bamegiego oszukać wyobraźnia.

Czekał cierpliwie, ogród i dom pozostawały ciemne i ciche. Sowa znów zahukała.

Teren był czysty.

Bamegi ruszył zwinnie, choć bez przesadnego pośpiechu. Nie przełaził przez mur, ale przez bramę, która przy jego pewnych ruchach nawet się nie zachwiała. Po drugiej stronie lekko zeskoczył na szarą powierzchnię wysypanej żwirem dróżki. Natychmiast wyczuł śmierć, w chwilę później spostrzegł dwa nieruchome ciała odciągnięte na bok. Bliźniacy użyli ostrzy, w powietrzu czuć było krew.

Z ciemności między drzewami wynurzył się Gaspru, Bamegi poznał go tylko po sposobie poruszania się, światła było za mało, żeby mógł rozróżnić szczegóły. Zbliżył się powoli do podwładnego i ścisnął mu ramię na znak, że akcja rozwija się według początkowego planu. On i Kuzbos powinni przeniknąć do budynku przez dach, Gaspru miał działać z zaskoczenia przy głównych drzwiach. Bliźniacy zabezpieczali ogród.

Nie padało już od kilku godzin, ale trawa nadal była mokra, a z drzew co chwilę spadały całe kiście dużych, ciężkich kropel. Niedostatek światła przenikającego do ogrodu od strony dobrze oświetlonej ulicy powodował, że poruszanie się wśród wysokiej trawy i chwastów było uciążliwe. Bamegi bardziej polegał na dotyku niż wzroku. Wreszcie spostrzegł prostokąty światła przesączającego się przez źle dopasowane okiennice. Pomogło mu to zorientować się w położeniu i bez problemów dotarł do muru pokrytego grubym tynkiem łuszczącym się przy dotyku.

Ostrożnie obszedł dom, żeby dotrzeć do jego tylnej części, gdzie znajdowała się przybudówka ułatwiająca dostęp na drugie piętro. Zanim dotarł na miejsce, niewidoczne dotąd chmury rozstały się na chwilę i księżyc rozświetlił ciemność srebrzystą poświatą. Bamegi dostrzegł w półcieniu belkę wystającą z muru jakieś siedem metrów nad sobą. A nieco wyżej nad nią znajdowało się okienko umożliwiające wejście na strych. Wyćwiczonym ruchem zrzucił z lewego ramienia linę z pętlą, rozwiązał taśmę, którą była związana, i zwolnił odpowiednią ilość zwojów, żeby zapewnić swobodny lot kotwiczki. Ocenił odległość i cofnął się o dwa kroki. Księżyc zasłonił już delikatny, lecz szybko ciemniejący obłok.

Bamegi pozwolił linie prześlizgnąć się między palcami, rozłożył kotwiczkę i rzucił ją ukośnie do góry. Usłyszał szelest odwijającego się sznura i ledwie słyszalny odgłos, z którym groty kotwiczki wbiły się w drewno. Nie puścił liny, ciągnął ją coraz mocniej. Trochę się ześlizgnęła, ale potem trzymała już pewnie. Księżyc zniknął na dobre i Bamegi znalazł się w ciemności. Wspiął się, usiadł na belce i ostrożnie wciągnął za sobą linę. Jakiś przechodzący tędy przypadkiem patrol nie mógł zauważyć, że ktoś dostał się do wnętrza.

Wejść do środka było już łatwo, tym łatwiej, że z dołu, przez szpary w podłodze, przenikało światło. Bamegi szybko się zorientował w położeniu. Centralną część domu

zajmowała wolna przestrzeń, podtrzymywana konstrukcją z belek. Niewielkie pokoje przylegały do murów dookoła budynku, stropy, widoczne blisko pod nim, tworzyły podłogę strychu. Nie domyślał się, dlaczego dawni płatnerze życzyli sobie właśnie tak urządzić swoją siedzibę, ale dla niego było to wygodne.

Ostrożnie przesunął się po belkach do miejsca, skąd miał wgląd na dół. Spostrzegł Kuzbosa, leżącego na jednej z belek pierwszego piętra. Obok niego poruszały się dwa szczury. Przesunął się nieco dalej, żeby uzyskać lepszy widok. Pomieszczenie, a raczej sala wyraźnie musiała kiedyś służyć jako miejsce przeznaczone na uroczyste okazje. Nowy mieszkaniec pozostawił długie, ciężkie stoły bezładnie poodsuwane pod ściany i stworzył tylko mały kącik do pracy w pobliżu kominka, w którym palił się ogień, sądząc po migoczącej poświacie na podłodze. Do jednego z drewnianych filarów przywiązany był człowiek. Zwisał bezwładnie w więzach, widocznie musiał tam tkwić już długo i miał za sobą ciężkie chwile. Bamegi skupił wzrok na postaci siedzącej przy stole, tyłem do kominka. Nie było łatwo zidentyfikować kogokolwiek, patrząc z góry.

Mężczyzna pisał coś w księdze, źle mu to szło, strony były pełne kleksów.

– Dołóżcie do ognia, cholera, zimno tu – powiedział, zrobiwszy kolejnego kleksa. Z miejsca ukrytego przed wzrokiem Bamegiego wyłonił się chłop w kaftanie z metalowymi naramiennikami i wypełnił polecenie. Bamegi usłyszał, jak huczy w kominie ukrytym gdzieś w ciemności.

– A co z winem? Powinniście postarać się o jakieś wino.

– Nie jesteśmy twoimi służącymi – padła szorstka odpowiedź.

– Tajność, zasrana tajność. Do moich prób potrzebuję lepszych warunków! – wymyślał mężczyzna, ale wstał i pokuśtykał w mrok, dokąd, tego Bamegi nie widział.

Ninja zaczął ostrożnie schodzić na dół, z belki na belkę, bardziej podobny do kota niż do człowieka. Zawisał na samych końcach palców, zeskakiwał tak lekko i ostrożnie, że czynił nie więcej hałasu niż biegające wokół szczury.

Dwóch i trzech, pokazał mu na palcach Kuzbos, gdy znalazł się na niższej kondygnacji, skąd miał lepsze warunki obserwacji. Wciąż jednak znajdowali się o dobre pięć metrów za wysoko jak na bezpośredni atak z góry. Teraz i Bamegi widział wszystko. Dwóch krzepkich mężczyzn w niezwracających uwagi, wygodnych ubraniach. Miecze nie mieli, tylko sztylety i noże przy pasach i w pochwach na łydkach. Przy drzwiach wejściowych, przy osobnym ogniu, siedziało jeszcze trzech. Bamegi, nie spiesząc się, starannie wszystko obejrzał. Ci dwaj poruszali się inaczej niż zwyczajni żołnierze, z większą pewnością siebie. Gdy jeden z nich wyciągnął spod stołu butle i pewnym cięciem noża odrąbał jej szyjkę, ninja

wiedział już, z kim ma do czynienia. Byli to górale, najemnicy, których cesarz z upodobaniem werbował do swojej gwardii osobistej. Świetnie walczący wręcz i bronią, za swoje umiejętności otrzymywali godziwą zapłatę i służyli głównie cesarzowi. Ich zręczność i umiejętność posługiwania się specjalnie ukształtowanymi nożami przypominającymi maczety była przysłowiowa. Okrucieństwo także.

Pismak przykolebał się z ładunkiem butelek, które sapiąc, rozstawił na stole. Miał długie, siwe włosy, niechlujny zarost i chodził tak głęboko pochylony, że Bamegi nie widział dokładnie jego twarzy. Nie chciał rozpocząć akcji, dopóki nie będzie zupełnie pewny. Popatrzył na Kuzbosa i napotkał jego spojrzenie. Gestem wskazał na szczury harujące przed nimi. Kuzbos kiwnął głową, wyciągnął miecz i jednym pewnym ruchem strącił zwierzęta na dół płazem. Z piskiem spadły na blat stołu, jeden przy upadku złamał sobie kręgosłup i włókł za sobą tylne nogi, drugi rzucił się do ucieczki. Ułamek sekundy później ostrze góralskiego noża wcięło się w drewno, szczurzy łeb potoczył się na podłogę. Zwierzę miało pecha, uciekało zbyt blisko jednego z mężczyzn.

– Ścierwa! – Gryziپیórek spojrział w górę i pogroził pięścią. – Powinniście coś z nimi zrobić, bo nas zeżrą żywcem! Już ze trzy dni do nich nie strzelaliście.

Bamegi skurczył się. Zobaczył wystarczająco dużo. Sądząc po dużym nosie i blisko osadzonych oczach, był to niewątpliwie Hadrian Blatvovic, człowiek, który według Varatchiego mógł się ukrywać w mieście. Żeby tylko ci dwaj nie zaczęli rozprawy ze szczurami już teraz. Chyba zdziwiłoby ich to, co spadłoby z góry.

– Jutro, czarodzieju – zapewnił jeden z mężczyzn. – Ale powinieneś zrobić coś z tym swoim chłopem, bo ci do jutra zemrze. Albo go zabij, albo daj mu pić.

Blatvovic zaklął niezrozumiale, przykuśtykał do więźnia i dał mu kilka łyków z dzbana.

– Jutro znów spróbuję, dziś już późno – zdecydował.

– Albo wychłęptałeś za dużo wina – skrzywił się jeden z mężczyzn.

– Idę się odlać – oznajmił Blatvovic i poszedł do tylnej części domu, której nie było widać z góry.

Mężczyzna, który zabił szczura, bez słowa poszedł za nim. Osobisty strażnik, pomyślał Bamegi. Mimo że pilnowali go już prawdopodobnie od dłuższego czasu, nadal robili to w sposób profesjonalny. Rutyna ich jeszcze nie zubożyła. Z tego wynikało, że gdzieś powinni spać jeszcze dwaj. Prawdopodobnie w którymś pokoju obok. W sali znajdują się ci, którzy mają służbę, pozostali odpoczywają i tak na zmianę. Komuś bardzo zależało na bezpieczeństwie Blatvovica.

Bamegi wyczuł uporczywy wzrok Kuzbosa i skinął głową. Nie odwoła akcji. Wrócił do obserwacji. Zacznie Gaspru, a potem ich kolej. Wszystko musi przebiegać bardzo szybko, inaczej dojdzie do krwawej masakry.

Bamegi przygotował sobie około dwumetrową linę, przełożył ją w połowie długości przez belkę, na obu końcach zrobił węzły, żeby wygodnie się trzymać. Gdy zeskoczy, zmniejszy z ich pomocą prędkość opadania i będzie mógł spaść z mniejszej wysokości. Kuzbos zrobił tak samo. Teraz już tylko czekali, ich serca biły powolnym, prawidłowym rytmem. Skupiali uwagę na sytuacji pod nimi. Niczego więcej zaplanować nie mogli.

Trójka koło ognia układała się do spania, dwóch, którzy zostali przy Blatvovicu, towarzyszyło mu, popijając.

Ale nie tyle, żeby miało to istotny wpływ na ich koordynację.

Spokojną ciszę przerwało energiczne stukanie do drzwi. Nikt nawet nie drgnął, nikt się nie przestraszył. Wszyscy byli weteranami. Górale popatrzyli po sobie, a potem na Blatvovica, który wyglądał na zaciekawionego. W ich rękach pojawiły się nagle miecze, których Bamegi przedtem nie widział. Chyba były oparte o stół. Żołnierze wstali i utrzymując stały dystans między sobą, podeszli do drzwi. Jeden odsunął wielką zasuwę, drugi pomалу otwierał.

Z ciemności wtargnęła do wnętrza wilgoć i szum deszczu, a w chwilę później pojawiła się sylwetka żebraka zalanego wodą.

– Pomocy, umieram – zaskrzeczał mężczyzna i uzupełnił prośbę dławiącym kaszlem.

Wszedł do wnętrza. Jeden z żołnierzy zastąpił mu drogę i z uniesionymi rękami starał się wzbronić wejścia dalej. Chory żebrak próbował go odepchnąć i żołnierz upadł na podłogę. Nie było to zamaszyste uderzenie, ręka żebraka nie poruszyła się więcej niż na szerokość dłoni, ale odgłos gruchotanych kości klatki piersiowej usłyszeli wszyscy. Naraz powstało ogólne poruszenie. Bamegi skoczył w dół z końcami liny w dłoniach. Gaspru wywinął się przed ostrzem, które powinno przebić mu pierś, prawie klęcząc, przedramieniem lewej ręki zablokował prawą dłoń przeciwnika z mieczem i uderzył pionowo pięścią, całą energię koncentrując w jednym miejscu. Mięśnie brzucha nie wytrzymały, pięść przeniknęła do wnętrza ciała.

Bamegi spadał z mieczem nad głową, przygotowany na jedno decydujące cięcie. Stojący tyłem góral wyczuł jednak jego obecność i w ostatnim momencie zasłonił się przed zaskakującym atakiem ratunkową septymą. Bamegi ściągnął cięcie, próbując sztychu, jednak w wypadzie ledwie uniknął cięcia z obrotu. Ale w tym momencie ninja trzymał już trójgłaniasty nóż do rzucania i ruchem przedramienia cisnął go w przeciwnika. Ten ze

znakomitym refleksem odbił nóż, ale stracił przy tym tempo potrzebne do wyprowadzenia ataku. Bamegi zaatakował wprost z ziemi i udało mu się po markowanym pchnięciu ciąć przeciwnika w pierś. Góral nie miał kolczugi i jego koszula szybko zaczęła nasiąkać krwią. Ninja wiedział, że mężczyzna jest już skazany. Rana bardzo go osłabi i spowolni. W tym momencie skrzypnęły drzwi, ozwały się alarmujące okrzyki, tupot nóg na schodach, odgłos dobywanych mieczy. Nie wyszło im tak, jak planowali. Albo, albo. Bamegi znów zaatakował, zmuszając przeciwnika do ustąpienia na bok, otrzymał przy tym cięcie przez ramię, które jego kolczuga wytrzymała. Dzięki temu dostał się aż do stołu, przy którym siedział zszokowany Blatvovic. Jednym ruchem przyciągnął go do siebie.

– Stójcie! Pracujemy dla cesarza! – ryknął.

Taką możliwość rozważał przedtem z Varatchim, który uważał, że lepiej będzie posłużyć się imieniem cesarza niż jego własnym. Żołnierze zbiegający ze schodów zawahali się i stanęli. Bamegi spostrzegł, że Gaspru przyciska do ziemi ostatniego z trójki żołnierzy i trzyma go za gardło. Kuzbosa nigdzie nie widział.

– Ale my tu jesteśmy nie tylko po to, żeby chronić tego bękarta. Mamy go zabić, gdyby go złapał ktoś inny – wykrzywił twarz góral, z którym Bamegi przed chwilą walczył.

– Możesz go spokojnie zabić, oszczędzisz mi roboty – zakpił ninja.

– A opłaca ci się z tego powodu umrzeć? – wmieszał się do rozmowy Kuzbos.

Zabił swego przeciwnika i stał teraz blisko za góralem z przygotowanym mieczem. Zbliżył się do niego, kryjąc się za przewróconym stołem.

– Opłaca ci się umrzeć z powodu błędnych rozkazów? Wszyscy pracujemy dla tego samego człowieka i dla cesarstwa – Bamegi nawiązał do pytania Kuzbosa i wyjął rulonik opatrzony wyraźnie widoczną pieczęcią Jego Cesarskiej Wysokości.

Góral przez chwilę starannie oglądał podany mu znak, potem popatrzył na otwarte drzwi, w których zjawili się właśnie bliźniacy, następnie na schody, gdzie stali jego koledzy obudzeni napadem.

Siły były wyrównane, rozumiał, że w razie walki obie strony poniosą krwawe straty.

– Nie wiem, czy to prawda, co mówicie, ale umierać z powodu posranych rozkazów albo jakiejś pieprzonej gierki politycznej nie zamierzam. To była parszywa służba. Znikam. A wy jak? – Odwrócił się do swoich ludzi, kątem oka nadal obserwując Bamegiego.

Żaden z jego towarzyszy nie odpowiedział, odwrócili się tylko i poszli do pokoju. Żeby spakować manatki, domyślił się dowódca ninja.

– Zabiliście mi brata – powiedział góral, patrząc na Bamegiego i Kuzbosa. – Jeszcze się zobaczymy.

Bamegi wyczuł, że w domu jest już o wiele mniej ludzi. Góral rzucił mu ostatnie spojrzenie i nic więcej nie mówiąc, wyszedł w ciemność.

Później, gdy ninja prowadził drżącego ze strachu Blatvovica do Varatchiego, rozmyślał nad dalszym losem żołnierzy, którzy nie uciekli i zdecydowali się wrócić do oddziału. Przeczuwał, że nic dobrego ich nie czeka. Za dużo wiedzieli. Tak samo jak on.

DROGA DO ZAPOMNIENIA

Janick przecisnął się przez wąski otwór między korzeniami lipy, które wyłamały istniejące tu poprzednio kamienne drzwi, dobywając ostatków sił, odczołgał się nieco dalej i upadł bezwładnie na mokre liście. Marsz przez podziemia był jedną męką. Zaraz na pierwszym odcinku korytarza natknęli się na ślady dawnych walk. Gorsze od gruzowisk, przez które musieli przelazić, i zawałów, które przekopywali, okazały się poskręcane i porozrywane linie mocy, sięgające prawie do realnego świata, których musiał unikać. W niektórych pozostały tylko ślady magii, inne ożywały, gdy znajdował się w ich pobliżu, jakby nadal oczekując na zdobycz, na niepożądanego gościa. Szczupły zabójca nie wyczuwał niczego i niemiłosiernie poganiał Janicka, dając mu tylko czas niezbędny do wyeliminowania zagrożenia. Młody czarodziej nie miał właściwie pojęcia, jak tego dokonał, wyczerpany fizycznie i psychicznie, bardziej polegał na intuicji opartej na latach studiów niż na logicznym rozumowaniu. Jeśli przeżyje, będzie musiał wszystko przeanalizować. Wszystko, czego w ciągu minionych godzin doświadczył. Obiecał to sobie, leżąc z twarzą zanurzoną w butwiejących liściach. Myśl o magii uspokoiła go, jak wielokrotnie przedtem, i dodała sił. Na potylicy czuł chłodne krople deszczu. Trzeba trochę odpocząć, a potem się zobaczy. Zamknął oczy.

Ocknął się, słysząc jęk, zrozumiał, że zatrucie szczupłego zabójcy osiągnęło kolejną fazę. Był zbyt wyczerpany, żeby poczuć zadowolenie. Następnie dało się słyszeć ciche mamrotanie. Usiłował rozpoznać poszczególne słowa tej litanii, ale wyłowił tylko kilka imion. Liama, Krystyna, Bonsetti, Annemari, Aelin, Kowalski i inni. Po każdym następowało kilka minut niezrozumiałego monologu. Szczupły zabójca bronił się przed wpływem trucizny i magii, słusznie przypuszczając, że utrata pamięci jest sprawą o kluczowym znaczeniu. Głośno przepowiadał swoje wspomnienia, może imiona kobiet, z którymi spał, albo mężczyzn, których zabił. Przynajmniej tak się Janickowi wydawało. Walka o zachowanie wspomnień mogła mu dać tylko trochę czasu, nic więcej.

Szczupły mężczyzna po jakimś czasie zamilkł, wstał i ruszył z boczem pod górę w tym mniej więcej kierunku, z którego przyszli podziemiem.

– Hej, niech mnie pan tu nie zostawia – zawołał Janick, bojąc się, że zostanie na bagnach sam.

Szczupły zabójca odwrócił się i Janick zobaczył, jak wyraźne ślady zostawiły na jego

twarży dni spędzone w podziemiach. A głównie trucizna wraz z czarem. Oczy zapadły się głęboko i można było w nich prawie zobaczyć poblask magii niszczącej jego osobowość, twarz wydłużyła się, uwypuklając kształt czaszki, skóra przybrała pergaminowy odcień. Preparat Dwichera nie działał przecież w taki sposób. A może działał?

– Zapomniałem o tobie – mruknął szczupły zabójca i zawrócił. Janick zrozumiał, że zrobił błąd, że powinien raczej milczeć. Próbował uciekać, ale mężczyzna był zaskakująco szybki i w mgnieniu oka złapał go za szyję, wbijając palec pod staw żuchwy. Janick jęknął, nie sądził, że tak łatwo można wywołać aż taki ból. Szczupły zabójca musiał mieć zamiast palców stalowe kolki.

– Powiedz mi, dlaczego nie powinienem cię teraz zabić? – zapytał cicho.

Gdyby jego usta nie były tak blisko, Janick nie usłyszałby tego szeptu, krople deszczu były głośniejsze.

– Powstrzymaj to zatrucie, a zostawię cię przy życiu – zaproponował szczupły zabójca.

– Nie zdołam, nie mam antidotum. Bez niego nie da rady!

– Ile mi zostało czasu? Jak mogę spowolnić działanie trucizny? Powiedz mi, co we mnie widzisz.

Ból naciskanej szczęki wprost paraliżował Janicka.

– Mów – równocześnie z wyszeptanym rozkazem ucisk nieco się rozluźnił, ale Janick za to poczuł ostrze przyłożone do gardła.

Zrozumiał, że znalazł się na rozdrożu. Jeśli zadowolony szczupły zabójca, ocali życie. Jeśli nie, jego stygnące ciało zostanie na skraju lasu.

Powiedział mu wszystko, co wiedział i co zobaczył. Jak niechętnie rozwija się struktura czaru, jak jej musi stale pomagać. Człowiek, który dosłownie trzymał jego życie na ostrzu noża, słuchał, nic nie mówiąc.

– Już raz, używając substancji, w której znajdowała się magia, popadłem w stan prawie katatoniczny. Niemal utraciłem osobowość. Czy nie jestem dzięki temu odporniejszy? – zapytał.

Gdyby Janick słyszał w jego głosie nadzieję na pozytywną odpowiedź, okłamałby go. Jednak szczupły zabójca chciał usłyszeć prawdę.

– Każde jądro osobowości jest dla czaru przeszkodą. Jeśli chorował pan na schizofrenię, która ustąpiła, albo stworzył pan jakieś osobne ja wewnątrz swego podstawowego, to czar będzie musiał działać dłużej, zanim dostanie się do samego rdzenia – wyjaśnił Janick. – Ale to tylko kwestia czasu, działania preparatu Dwichera nie da się tym sposobem powstrzymać – w jego głosie nieświadomie pojawiła się ulga.

– Jak wszedłeś w posiadanie takiej trucizny?

– Pochodzi z zasobów klanu, wielki mistrz zawsze ją miał, jeszcze z czasów, gdy pracował dla cesarza. Nigdy nie zdradził, jak ją pozyskał, możliwe, że od kogoś kupił. Nic więcej nie wiem, naprawdę.

– Myślę, że więcej się od ciebie nie dowiem – zgodził się szczupły zabójca, nacisk ostrza na gardło zwiększył się.

– Niech mnie pan nie zabija! – krzyknął Janick. – Powiedziałem wszystko.

Potem znów leżał wśród liści, na skórze czuł krew płynącą z płytkiej, powierzchownej rany. Tamten nie zabił go, ale czy dlatego, że sam tak zdecydował, czy spełnił jego rozkaz? Młody czarodziej nie wiedział, nie chciał jednak kusić losu po raz drugi. Nie chciał też stracić z oczu swego pierwszego niewolnika, a przede wszystkim nie chciał zostać zupełnie sam wśród niebezpiecznych bagien.

W półmroku zachmurzonego dnia, wyczerpany, potykając się, poszedł za swoim człowiekiem. Nie wiedział, czy jest poranek, wieczór czy południe. Światło utrzymywało się na stałym poziomie, a przez gęstą warstwę chmur nie było widać śladu słońca. Deszcz padał nieustannie, raz większy, raz mniejszy. Kiedy Janick pojął, dokąd idzie szczupły zabójca, pomyślał, że naprawdę zwariował. Wracał do wjazdu do podziemi! Nie mógł mu w tym przeszkodzić, ale sam nie chciał dać się złapać. Zatrzymał się na skraju polany i przyglądał się, jak Koniasz bez śladu obawy zmierza ku dwóm wartownikom stojącym przy drewnianej konstrukcji wznoszącej się nad wjazdem do magazynów Maaterenditu. Zbudowano na niej prostą kładkę z kilkoma zwisającymi linami. Służyła do transportu ludzi w obie strony.

Janick rozejrzał się ostrożnie ze swej kryjówki. Wyglądało na to, że na straży zostali tylko ci dwaj, inni byli w podziemiach. Szczupły zabójca podszedł do żołnierzy, Janick nie widział dokładnie, co się wydarzyło. Jego przyszły niewolnik wskazał ręką na jednego z wartowników, a ten natychmiast padł na ziemię martwy. Drugi miał się wprawdzie na baczności, lecz nawet z daleka widać było, że nie ma najmniejszego zamiaru walczyć. Chciał uciekać.

Szczupły zabójca coś do niego powiedział, żołnierz bez namysłu skoczył na jedną z lin i zjechał w dół. Szczupły zabójca wyjął nóż, szybko przeciął liny, a konstrukcję odepchnął na bok. Włożył do plecaka trochę żywności z zapasów żołnierzy, resztę zrzucił żołnierzom, zabrał miecz zabitego i bez zwłoki odwrócił się, by odejść. Janick przykurczył się szybko, żeby nie zostać dostrzeżonym. Zrozumiał, że zatruty mężczyzna nie zwariował, tylko chronił odwrót, żeby nie mieć problemów w drodze przez bagna.

Janick po chwili wahania ruszył za nim. Po pierwszym kilometrze pojął, że szczupły

zabójca nie kieruje się do Malanska, ale wraca do Krachtiburga. Czy znał tam kogoś, kto mógł mu pomóc? Możliwe, ale młody czarodziej był pewny, że tak daleko nie dojdzie. Czar rozwijał się i z minuty na minutę niszczył osobowość. Czarodziej powinien trzymać się blisko ofiary, żeby w stosownym momencie wyprowadzić ją z ciemności i wcisnąć do mózgu instrukcje, które uczynią z niej niewolnika.

Droga była chyba jeszcze gorsza niż przebijanie się przez podziemia. Szczupły zabójca szedł bez odpoczynku, bez względu na porę dnia czy nocy, orientując się w terenie jakimś cudownym sposobem i przystawał tylko po to, żeby wymamrotać swoją litanie. Janick trzymał się z tyłu, chwając się z wyczerpania i słabości, ale wiedział, że nie ma innej możliwości. Bez przewodnika utopiłby się w bagnie, a poza tym powinien trzymać się w pobliżu szczupłego zabójcy. Struktura czaru coraz bardziej zbliżała się do kształtu ostatniego diagramu, który widział w księgach. Janick nie chciał stracić szansy.

Pod wieczór drugiego dnia pojawiły się przed nimi zarysy Krachtiburga. I choć to wydawało się niemożliwe, chmury jeszcze bardziej pociemniały, a ich postrzępione końce prawie obejmowały najwyższe wieże miejskie. Z bagien podniosła się gęsta mgła, do tego nieustannie padało. Janick miał uczucie, że nigdy nie przestanie lać. Wszystko było nasiąknięte wodą, poznaczone śladami zgnilizny i pleśni. Paznokcie u rąk przybrały szary kolor i obawiał się, że odpadną przy lada dotknięciu.

Woda dochodziła teraz aż do resztek starych obwałowań miejskich. Gdyby nie brnący przed nim, półprzytomny człowiek, Janick zrezygnowałby i został w którejś z licznych kałuż. Ale musiał iść dalej i dalej, w końcu zamiast błota poczuł pod nogami twardy bruk miejski. Tymczasem ściemniło się, ulice ziały pustką. Pogoda i późna godzina zagoniły wszystkich do domu, spotkali tylko jednego człowieka, nisko pochylonego, z kapturem nasuniętym głęboko na głowę. Szczupły zabójca, potykając się, szedł dalej, chyba zanikały resztki jego osobowości. Janick przyspieszył, żeby być bliżej niego. Czując twardy bruk, zaczynał wierzyć w powodzenie przedsięwzięcia i przygotowywał się powoli do wcisnięcia w mózg towarzysza niewolniczych instrukcji. Gdy przechodzili koło niezastłoniętych, oświetlonych okien, w padającym świetle widział, jak bardzo twarz szczupłego zabójcy została naznaczona cierpieniem. W księgach czytał, że utrata osobowości jest bolesna, a dotknięci nią ludzie zachowują świadomość aż do końca. Janick nie czerpał przyjemności z cierpienia innych, ale jeśli miało to służyć jego celom, było konieczne. Moment triumfu zbliżał się, pozostawało tylko kilka ostatnich, korekcyjnych zmian diagramu Dwichera. Szczupły zabójca zapomniał już, dokąd i po co idzie, chodził po mieście coraz bardziej chaotycznie. Może zaczęłyby już słuchać rozkazów, ale Janick nie zamierzał ryzykować. Wierzył, że rozpozna właściwy

moment.

Wreszcie szczupły zabójca zatrzymał się na małym placyku pod lampą, której potoki wody spadającej z nieba jakimś cudem nie zalały, i rozejrzał się niepewnie. Janick aż krzyknął z radości, bo ten moment nadszedł. Nagle z ciemnej uliczki wynurzył się przechodzień, młody czarodziej szybko się skurczył i patrzył prawie osłupiały ze zdumienia. To nie było możliwe, ale pojawił się sobowtór szczupłego zabójcy! Czy to wynik działania magii, której do końca nie rozumiał? Nie wyczuwał jej? Jednak zaraz się uspokoił. To był ktoś inny, też wysoki, z mieczem u pasa. Nie wyglądał tak nędznie jak szczupły zabójca, jego płaszcz, chociaż nasiąknięty wodą, wydawał się czysty. Nieznajomy powoli wszedł w krąg światła i odrzucił kaptur. Na jego twarzy widniało szaleństwo lub coś, co było do niego bardzo zbliżone. Spojrzał na szczupłego zabójcę i uśmiechnął się. Uśmiechnął? Chyba tak, Janick nie był pewny. Grymas, jaki zobaczył, dosłownie go zmroził. Co za monstra się tu spotkały? Jedno stworzył sam, ale to drugie? Co będzie, jeśli zniszczy jego niewolnika! Przez chwilę rozmyślał, czy nie powinien się wtrącić, ale nieznajomy roztaczał wokół siebie aurę, która napępiała czarodzieja przerażeniem. Aurę śmierci? Spróbował użyć wewnętrznych zmysłów magicznych, ale nie uzyskał wyraźnego obrazu. Czar obejmujący mózg szczupłego zabójcy wchodził jakimś sposobem w interakcję z obecnością nieznajomego i wynik próby przedstawiał chaos przyprawiający o ból głowy.

– Będziemy walczyć – oznajmił nieznajomy.

– Walczyć – powtórzył szczupły zabójca, którego twarz odzyskała nieco wyrazu. – Tak. Dlaczego? – zapytał.

– Ktoś mnie o to prosił. Podobno pozyskałeś księgi, które ci się nie należą... – zaczął nieznajomy i wzruszył ramionami. – Właściwie to nieważne. Będziemy walczyć, żeby sprawdzić, kto jest lepszy, kto przeżyje.

– Kto przeżyje. Zostanie przy życiu, a więc warto o to walczyć – zgodził się szczupły zabójca.

Wyglądało na to, że bada tę myśl na wszystkie strony, jak jubiler dopiero co oszlifowany diament.

– Ale nie tutaj, za dużo tu ciekawskich oczu, ktoś mógłby nam przeszkodzić.

Deszcz przybrał na sile i krople wody rozpryskujące się na głowach i ramionach obu mężczyzn tworzyły w świetle lampy migoczącą aurę.

W ręce nieznajomego pojawił się nagle sztylet z wąskim ostrzem o długości przedramienia dorosłego mężczyzny. Zobaczył mnie, jęknął w duchu Janick. Nie przypuszczał, żeby udało mu się uciec. Ale mężczyzna odwrócił się na pięcie i

nieoczekiwanie rzucił broń w ciemność za swymi plecami. Zabrzmiał wyraźny wydech, odgłos paznokci drapiących tynk ściany, a potem głośnie chlupnięcie, z jakim ciało upadło w kałużę. Nieznajomy poszedł po swoją broń, a gdy wrócił z cienia, ostrze było znów błyszczące, bez jednej plamki.

– Mam tu blisko konia, chodźmy – powiedział do szczupłego zabójcy, który bez protestu poszedł za nim.

Janick usiadł na ziemi w kałuży i oparł się plecami o mur. Jego plany zostały obrócone wniwecz. Bez instrukcji wtłoczonych do mózgu szczupły zabójca stanie się bezwolną ruiną istoty ludzkiej, tułającą się, gdzie oczy poniosą. Może powinien pójść za nimi?... Spróbować doprowadzić dzieło do końca? Ale mogli go wtedy zabić, jeden albo drugi. Powinien być zadowolony, że przeżył drogę przez bagna i to spotkanie. Ale... tyle sobie obiecywał po szczupłym zabójcy. Zmęczenie w końcu zwyciężyło. Nie był w stanie wstać. Dalej siedział w tym samym miejscu, pozwalając, żeby krople deszczu spadały mu na głowę. Potrzebował odpoczynku, potrzebował zjeść coś w ciepłe i wrócić do pełni sił. Dopiero potem zdecyduje, co dalej.

JESTEM LAKEL LUMBI

Klinga noża pękła, zniechęcona Fresz odrzuciła zniszczone narzędzie pod ścianę. Całymi dniami próbowała przepiłować jedno z ogniw łańcucha, a równocześnie starała się wydłubać z muru żelazne kółko, do którego był przymocowany. Nie udawało się ani jedno, ani drugie. Gdyby chociaż ten gruby młodzik, obserwujący podwórze z dachu stajni, rzucił pilnik. Gdyby jej pomógł! Za każdym razem, gdy Lumbi odjeżdżał, krzyczała o pomoc. Z początku przyglądał jej się, poznała to po jego postawie, później jednak przestał zwracać na nią uwagę.

– Przecież to niesprawiedliwe! Dlaczego to się musiało przydarzyć właśnie mnie? – Zabrzęczała łańcuchem w napadzie bezsilnej wściekłości i żalu.

Nadgarstki miała pokryte ropiejącymi wrzodami od ciągłej, upartej walki z okowami, słabła, traciła siły, bo Lumbi zapominał często o zaopatrzeniu ich w żywność. Gdyby nie deszcz, dawno by umarła z pragnienia.

– Czemu? – Pokręciła głową i ukryła twarz w dłoniach.

Pląkała. Nie pamiętała, kiedy ostatni raz tak się rozszlochała, ale kilka minionych dni beznadziejnych zmagañ z oporną materią i brakiem sił miało na nią wyniszczający wpływ. Robi przecież wszystko, żeby się uratować, dlaczego więc ma umrzeć?

Trupy, z którymi dzieliła mieszkanie, dawno już nie wywoływały w niej strachu. Jej wrogiem było zimno, brak jedzenia i sam Lumbi. Czasem wracał z wypraw do miasta we wrogim nastroju. Ukrywała się wtedy, przemykając z miejsca na miejsce, starając się za wszelką cenę nie brzęczeć łańcuchem. Lumbi, będąc w stanie niepoczytalności, szukał kogoś, kogo mógłby pozbawić życia. Pewnego razu, wiedziony żądzą krwi, zabił konia w stajni. To rozwścieczyło go jeszcze bardziej i wybiegł z terenu zamku. Co stało się dalej, Fresz się nie domyślała. Nie znalazł jej wtedy tylko dzięki temu, że natarła łańcuch olejem i owinęła go pociętym obrusem oraz resztkami draperii. W swoim codziennym stanie półszaleństwa zauważał jej obecność, jednak trzymał się od niej z dala i tylko czasem żądał, żeby coś ugotowała.

Ale chwile, w których dało się z nim rozmawiać, były coraz rzadsze i krótsze. Większość z nich zaczynała się od tego, że siadał do czytania wybranych urywków ze swego dziennika. Zapisywał w nim bez żadnych zahamowań wszystkie swoje postęпки i Fresz, wcale sobie tego nie życząc, stała się świadkiem rozwijającej się spirali zdarzeń, która doprowadziła

go do szaleństwa. Już jako mały chłopiec był nienormalny. Pewnego razu przeczytał na głos zapis o tym, jak okaleczył prosię przeznaczone na ubój. Dokładnie opisywał, jak było bezradne, gdy połamał mu wszystkie nogi, i jak długo umierało, gdy mu je następnie uciął. Użył do tego sztyletu, podarunku od swego dziadka. Wspominał o nim często, jakby był dla niego czymś ważnym, i wyróżniał go jako szczególne narzędzie ROBOCZE.

Fresz w ogóle nie chciała słuchać, ale jego cichy głos ze staranną dykcją docierał wyraźnie do najdalszego nawet kąta, jaki miała do dyspozycji. Bała się zatkać sobie uszy, żeby jej przypadkiem nie zaskoczył. Najgorsze było, gdy wracał do wspomnień o zabójstwie pierwszego człowieka. Zapisał dokładnie, jak pastwił się nad bezsilną ofiarą. Potem następował opis dotyczący kary, jaką ojciec nałożył na niego za to zabójstwo. Fresz rozumiała konieczność kar, lecz w całej tej rodzinie kryło się coś perwersyjnego, nienaturalnego, bo to, czego doświadczył Lumbi, mogło wykrzywić psychikę każdego człowieka. Dla niego stało się impulsem do tego, żeby nigdy nie znaleźć się w pozycji słabszego, zdanego na łaskę innych. Lubił zapis o swojej karze, często do niego wracał. Za każdym razem czytał następnie o tym, jak zabił ojca. Obdarł go żywcem ze skóry. Fresz nie przypuszczała, żeby stary Lumbi był jednym z kościotrupów dotrzymujących jej towarzystwa. Spoczywał zapewne na dole w grobowcu rodzinnym.

Zauważyła, że już nie płacze, że wśród tych ponurych wspomnień wróciła choćby częściowo do równowagi. Umrze, przestała wierzyć, że uda się jej uciec. A jej śmierć będzie karą za zły uczynek. Musi przecież być jakaś sprawiedliwość, inaczej świat byłby dla niej zbyt niezrozumiały. Lumbi złapał ją, bo zamierzała okraść człowieka, który jako jedyny od dłuższego czasu był dla niej dobry. Rozważała przez chwilę tę myśl, aż jej się spodobała. Kradzież była w porządku, nie miała innej możliwości przeżycia niż złodziejstwo. Ale nie powinna próbować powtórnie okraść szczupłego mężczyzny, który ją schwytał, a mimo tego pozostawił w jej rękach łup i jeszcze kupił zupę. Może gdyby udało się naprawić błąd, może... odrzuciła tę ewentualność. Nie, umrze, ale wiedziała przynajmniej, dlaczego znalazła swoje miejsce w świecie. Miejsce zatracenia.

Poprzez szum deszczu dobiegło ją skrzypienie bramy. Była już wyćwiczona, ten dźwięk oznaczał niebezpieczeństwo. Lumbi wracał do domu. Sprawdziła ogniwa łańcucha – wszystkie były starannie owinięte – i rzuciła się do okna. Na podwórzec wjeżdżał koń, na którym siedziało dwóch jeźdźców. Pośrodku placu zsiadli i klepinięciem odgonili zwierzę, które samo ruszyło do stajni, gdzie czekał już stajenny, jedyny służący, jaki pozostał. On też musiał się ostatnio chować przed swym panem. Z dachu stajni patrzył gruby młodzik, wizyta nie uszła jego uwagi.

Padalo coraz mocniej, ale wygladalo na to, ze mezczyznom na podworcu to nie przeszkadza, zupełnie nie zauwazali strug lejacej sie z nieba wody.

Skad tam jest tyle swiatla? – pomyslala naraz.

Wysludala przez okna swego wizenia codziennie i do oswietlenia podworza juz przywykla. Zauwazyla, ze na wysokich slupach z lanego zelaza zawieszono sześć lamp olejnych, rozpraszajacych ciemność deszczowej nocy i zmieniajacych ja w pozbawioną kolorów szarość. To byl efekt starań stajennego, albo raczej grubego mlodzika i jego towarzyszy. Chcieli chyba dokładnie widziec, co dzieje sie na podworzu. Zupelnie nie rozumiala, co sie tu wlasciwie ma wydarzyc, dlaczego tajemniczy obserwatorzy nie chca jej pomoc i co obserwuja na podworzu. Miala wrazenie, ze znalazla sie na jakimś strasznym przedstawieniu, ktore chętnie ogladala. Tak jak wtedy, gdy udalo sie jej zajac miejsce między widzami i zobaczyc wystepy wędrownych trup co pewien czas zjezdzajacych do miasta. Teraz miala przecucie, ze nadchodzi finał, po którym wszyscy beda martwi.

Lumbi zdjal plaszcz i odrzucil go na mokry bruk, jego przeciwnik zostal w plaszczu. Zaczeli krzac wokol siebie w dziwnym, powolnym tancu pozbawionym prawidel. Nie zauwazyla, kiedy to zrobili, ale obaj trzymali w rekach broń – sztylet i miecz. Taniec przedluzal sie. Przypominali jej dwa zmęczone pajaki pod koniec lata, kiedy opuszczaly je juz sily. Lumbi skoczyl pierwszy, wiele razy widziala, jak przybliza sie powoli do przeciwnika, by nagle zaskoczyc go przedkim wypadem ukoronowanym dwoma, trzema blyskami klingi. Zazwyczaj na ziemi lezal potem umierajacy lub martwy czlowiek. Tym razem jednak ataki trafialy w próznie. Przeciwnik unikal ciosow w pozornie wolnym tempie.

Przez szum deszczu uslyszala okrzyk zadowolenia. Umiala juz rozpoznac nastroje Lumbiego, wlascnie dal wyraz zadowoleniu z tego, jak dobrego ma przeciwnika.

Zatoczyli kolejne koło, krople wody odbijajace sie od kling poblyskiwaly w swietle lamp, wytwarzajac wokol walczacych zludną aureole swiatla.

Naraz obaj skoczyli do ataku. Fresz, wstrzymujac oddech, obserwowala wirujace klingi, krótkie i dlugie ostrza uderzajace o siebie. Znów nic, obaj przeciwnicy rozdzielili sie. Fresz oczekiwala, kiedy zabrmi ten przerazliwy dzwiek oznaczajacy, ze metal nie wytrzymal sily strasznej broni Lumbiego. Na razie nic takiego nie zaszlo, szalony szermierz walczyl normalnie i nie staral sie wykorzystac swoich atutow.

Lumbi skoczyl w kolejnym wypadzie, jego miecz mignal kaskliwym blyskiem, ale tylko po to, zeby sprowokowac przeciwnika do kontrataku. Taką fintę tez sobie zapamiatala. Robil to juz wielokrotnie, w wiekszosci przypadków z sukcesem. Teraz tez mu sie udalo i przeciwnik odpowiedzial ciecieniem oraz próbą pchnięcia. Fresz chciala odwrócic sie od okna,

żeby nie widzieć, jak Lumbi dobija ofiarę, gdy nagle scena zmieniła się, odbiegając od tego, co następowało zawsze do tej pory. Adwersarz Lumbiego powinien zwalić się na ziemię z bokiem rozciętym sztyletem, ale zamiast tego szermierze zwarli się ciało przy ciele. Patrzyła dalej i, mimo że nie rozumiała tego co widzi, wyczuwała uporczywe wysiłki obu mężczyzn, walkę o uzyskanie przewagi, zachowanie równowagi, znalezienie luki w obronie przeciwnika. Lumbi cofnął się nagle, starając się zyskać bezpieczny dystans błyskawicznym odskokiem, połączonym ze skłonem tułowia w tył, ale atakujące ostrze zdążyło dosięgnąć jego piersi.

To nie był okrzyk zadowolenia, ale ryk zranionego zwierzęcia. Ból nie spowodował spadku aktywności arystokraty, odwrotnie, rozpoczęła się nowa faza walki. Lumbi zadawał wściekle ciosy, wymierzone w broń przeciwnika, na przemian z mocnymi pchnięciami, brutalną siłą uderzeń przeplatał błyskawicznymi fintami i klinga przeciwnika zaczęła śpiewać łabędzią pieśń, niszczone przez czar tkwiący wewnątrz broni szalonego hrabiego. Fresz zawsze próbowała wytłumaczyć sobie, dlaczego miecze walczących z Lumbim za każdym razem pękają. Tym razem trwało to długo, dłużej niż kiedykolwiek przedtem.

Naraz przeciwnik hrabiego poślizgnął się, zdołał jeszcze, padając, odbić błyskawiczne cięcie w korpus, ale Lumbiemu udało się wytrącić mu przy tym miecz z ręki.

To był koniec. W tym momencie Fresz go poznała. To ten człowiek, który był dla niej dobry, a ona go okradła.

Świat okazał się jeszcze bardziej niesprawiedliwy i okrutny, niż to uważała za możliwe. On jednak nie poddawał się, poderwał na kolana, rzucając przy tym sztyletem. Zrobił to tak szybko, że zdawało się, iż trafił. Hrabia jednak jakimś cudem odbił ostrze. Teraz jego przeciwnik był bezbronny. Nie chciała patrzeć na jego śmierć, ale musiała, nie potrafiła odejść od okna.

Lumbi zaśmiał się triumfalnie, włożył sztylet do pochwy i ujął swój miecz oburącz. Trzymając go nad głową, powoli zbliżał się do przeciwnika. Ze sztywności jego ruchów i faktu, że bezbronny przeciwnik nadal klęczał, Fresz poznała, jak bardzo obaj są wyczerpani. Już widziała ten nadchodzący moment, świst bezlitosnej stali, po którym zostanie na ziemi stygnące ciało. Wstrzymała oddech, miecz zaczął opadać, w daremnym geście obronnym wyciągnęło się przeciw niemu nieuzbrojone ramię. Nie zauważyła, co się potem stało, tylko tyle, że Lumbi upadł do przodu, na swego przeciwnika, i nie wstawał. Nie była pewna, ale wydawało jej się, że woda ściekająca z ciał obu mężczyzn zabarwiona jest krwią.

Nadał padało, niekończąca się ulewa, zacierająca różnicę między wodą a powietrzem, nie traciła na sile. Fresz nie odchodziła od okna, chociaż była cała mokra. Nic się nie działo, obaj przeciwnicy nie poruszali się, zgasła jedna lampa, po niej druga i trzecia. Już nie

rozdzieliła leżących, widziała tylko ciemny kontur, który wspólnie tworzyli. Bezruch tej sceny zakłóciły ostrożne kroki, a raczej odgłos rozchlapywanej wody. Ktoś się zbliżał. Musiał to być gruby młodzik, tak jakoś wyobrażała sobie, że to on. Powoli, z wahaniem, chwiejnie. Bardzo ostrożnie, ze sztyletem w dłoni zbliżał się do miejsca pojedynku, co kilka kroków zatrzymywał się i rozglądał. Gdyby nie była śmiertelnie przestraszona, wydałby się jej śmieszny.

Potrafiłaby mu ten sztylet ukraść, tak niepewnie i nieumiejętnie go trzymał. Czwarta lampa zgasła w momencie, gdy doszedł do zabitych.

Nie widziała nic w ciemności, usłyszała tylko sieknięcie i odgłos rozchlapującej się wody, gdy młodzik upadł na zalane podwórze.

– Aaaa! – krzyknął krótko.

Lumbi przeżył i zabił go.

Na podwórzu panowała już taka ciemność, że nie było sensu dalej się przyglądać. Uciekła do swojej najlepszej kryjówki, sprawdzając przy tym, czy łańcuch nie leży w miejscu, w którym hrabia mógłby się o niego potknąć. Była zmęczona. Nadzieja ją opuściła, chciała tylko, żeby to wszystko się skończyło.

Lumbi wszedł na górę, słyszała, jak otwiera drzwi. Powiew zimnego powietrza pozbawił ją resztek ciepła. Tłukł się po ciemnych komnatach, przewracał krzesła i stoły, jak za każdym razem, gdy był pogrążony w najgłębszym szaleństwie. Natknął się na stół z dziennikiem. Był przymocowany do podłogi śrubami, nie dało się go przewrócić. Krzesło też było przyśrubowane. Słyszała, jak zmęczony Lumbi siada, słaba poświata uświadomiła jej, że zapalił świecę. Nie wiedziała, czy to tylko jej wyobraźnia, czy naprawdę słyszy szelest kartek jego przerażającego dziennika. Nie chciała słyszeć niczego, niczego.

– Nazywam się Lakel Lumbi – powoli zaczął czytać pierwszy zapis.

Aż się zachwiała. To nie był jego głos. Ten mężczyzna nie wymawiał słów tak starannie, mówił o wiele wolniej, jakby z wielkim trudem.

Kartki znów zaszeleściły.

– Lakel Lumbi – powtórzył niepewnie. – Dnia czternastego kwietnia trzysta siedemdziesiąt szóstego roku zabiłem nauczyciela szermierki – mechanicznie czytał dalej. – Jestem Lakel Lumbi – oznajmił, gdy skończył opis pojedynku, po którym młody hrabia sfingował wypadek, aby zabić nauczyciela. Strony znów zaszeleściły.

– Dziś dostałem sztylet od dziadka. To bardzo piękna, stara broń. Ojciec nie chciał mi jej zostawić, ale dziadek postawił na swoim. Podoba mi się. Jest w nim szczególna siła, czuję ją.

To był cały pierwszy zapis, uświadomiła sobie. Nie został napisany na kartce książki, ale wlepiony do niej.

– Jestem Lakel Lumbi – powtórzył mężczyzna i Fresz doszła do wniosku, że musi być ranny albo chory.

Nazwisko wymawiał tak, jakby było zaklęciem, jakby mogło mu pomóc.

– Dziś udusiłem swoją siostrę. Podobało mi się, jak trzymałem ją za szyję, a ona wytrzeszczała na mnie oczy i usiłowała oderwać moje ręce od swego gardła. Była bardzo słaba. Jestem Lakel Lumbi.

– Nie jesteś Lakel Lumbi, nie jesteś, nie jesteś, nie jesteś! – nie wytrzymała i wybiegła z ukrycia, ogniwa łańcucha głośno brzęczały, mimo iż były owinięte.

Jak najszybciej dobiegła do mężczyzny i zrzuciła ze stołu gruby dziennik pełen opisów śmierci.

– Ty nie jesteś Lakel Lumbi, nie jesteś! – krzyczała w kółko.

– No to kim wobec tego jestem? – zapytał ją mężczyzna.

Miał pustkę w oczach, dostrzegała w nich tylko ból.

– Jesteś tym, który mi podarował – tylko chwilę wahała się nad właściwym słowem – podarował dwanaście złotych, siedem srebrnych i sześć miedziaków. I jeszcze zapłaciłeś za moją zupę. Jesteś łaskawy, dobry, nie jesteś mordercą jak Lumbi – starała się odpowiedzieć na pytanie, ale uświadamiała sobie, jak rozpaczliwie mało o nim wie.

– Znam kilka nazwisk – powiedział zamyślony, na jego twarzy nadal widać było boleść – ale nie wiem, co oznaczają. Koniasz, Annemari, Aelin, Kowalski, Krystyna, Hammond. Muszę być którymś z nich. To boli być nikim.

Trząśł się, jakby znalazł się u kresu sił.

– Dowiemy się, obiecuję – usiłowała go uspokoić. – Czy możesz mnie uwolnić od tego łańcucha? Pomogę ci.

– Mogę – odparł, ale nie ruszył się z miejsca.

– No to zrób to, do cholery – jej kruche opanowanie pękło.

Wstał, ze zgrozą zobaczyła, że przyniósł ze sobą miecz. Miecz Lumbiego. Bez zastanowienia złapał go oburącz i ciało leżący na podłodze łańcuch, klinga wbrew wszelkim oczekiwaniom wytrzymała i czysto przecięła grube, żelazne ogniwo.

– A teraz śpij, jutro zobaczymy, kim jesteś – wypowiedziała upragnione życzenie.

Jakby czekał na jej rozkaz, położył się na podłodze, a miecz wypadł mu z ręki. Zostawiła go tak, przyniosła tylko kilka koców i starannie przykryła śpiącego. Potem usiadła wygodnie obok niego i zaczęła rozmyślać nad tym, co dalej. Najmądrzej byłoby uciec. Ale

pomógł jej już dwukrotnie, a teraz sam potrzebował pomocy. Tylko jak ona, mała słaba dziewczyna, może pomóc wielkiemu mężczyźnie wyraźnie tracącemu rozum? Uciec...

POLOWANIE TRWA

Bamegi opierał się o mur przy kominku, wystawiał twarz ku ciepłym płomieniom i czekał. Tym razem Varatchi nie przyjmował go w swojej pracowni, lecz w wielkiej sali, która nigdy nie była przytulna. Pomieszczenie o gołych, surowych ścianach z błyszczącego granitu, ozdobionych tylko brązowymi, kanciastymi uchwytami na lampy, już na pierwszy rzut oka sprawiało wrażenie, że nikogo się tutaj nie wzywa dla przyjemności. Dawny architekt zaprojektował podłogę z marmuru. W odróżnieniu od granitu nie był taki śliski, gdy pokrywała go krew.

Varatchi przechadzał się przed kominkiem w tę i z powrotem i przy każdym nawrocie zatrzymywał się na chwilę, zwrócony plecami do ognia. Jego drewniany, wyściełany fotel był, oprócz prostego stolika dla pisarza, jedynym meblem w całej sali.

Bamegi złożył już meldunek, zwięzły, lecz wyczerpujący, jak to miał w zwyczaju. Wiadomości, które przekazał, nie przypadły do gustu zleceniodawcy. Sprawy skomplikowały się jeszcze bardziej. Bamegi trochę nierealnie rozmyślał, czy Varatchi nie każe zgładzić takiego posła, ale doszedł do wniosku, że nie. Akcja wprawdzie nie powiodła się tak, jak to sobie wyobrażali, jednak to, czego od nich żądał, zostało wykonane.

Drzwi się otworzyły, lokaj w zielonej liberii wszedł na dwa kroki do sali i głośno oznajmił:

– Kapitan Gudsbirg w towarzystwie sierżanta Tleda na rozkaz Jego Ekscelencji.

Odstąpił na bok, żeby zapowiedziani mogli wejść. Bamegi wiedział, że wezwany został tylko kapitan, dowódca oddziału, który miał ująć lub zlikwidować Koniasza. Wystarczyło jedno spojrzenie, żeby zrozumieć, dlaczego kapitan potrzebuje towarzystwa swoich podwładnych. Przynieśli go na noszach, obandażowana noga i zlana potem twarz świadczyły o tym, że walczy ze skutkami zranienia i towarzyszącą mu gorączką.

Dwóch ludzi w brudnych, przemoczonych mundurach położyło nosze z rannym przed fotelem Varatchiego, zgarbiony pięćdziesięciolatek stanął na baczność w pewnej odległości. Wszyscy zostawiali na podłodze mokre ślady i roztaczali woń butwienia i torfu. Bamegiemu wystarczyło przymknąć oczy, aby poczuł się, jakby znów przebywał na ponurych i dzikich Brunatnych Bagnach.

– Czy pan może mówić, kapitanie? – zapytał Varatchi.

– Tak, panie – padła odpowiedź.

Mógł mówić, ale ninja nie sądził, żeby był całkowicie przy zdrowych zmysłach. Wyraz twarzy Varatchiego był pełen rezerwy, zapewne taki sam był jego nastrój.

– Ujął pan Koniasza? – padło podstawowe pytanie.

Bamegi znał już odpowiedź. Wyczytał ją z twarzy starszego sierżanta.

– Nie, panie.

– Dlaczego? – W tym jednym słowie kryło się tyle groźby, że pisarz skulił się instynktownie.

– Zranił mnie, większą część moich ludzi zabił i zniknął w podziemiach.

– Ilu pan miał ludzi, kapitanie? – głos Varatchiego ciął jak nóż, w jego doskonałej modulacji skrywała się wściekłość.

Przypominał wulkan przed wybuchem.

– Czterdziestu pięciu, panie – brzmiała odpowiedź. Nagle wyraz napięcia zniknął z twarzy kapitana. Zemdlął.

Varatchi uważnie przyglądał się nieprzytomnemu.

– Zrobił, co w jego mocy. Niestety, to nie wystarczyło.

Nie powiedział tego do siebie, ale ze względu na obecność słuchaczy. Nie chciał, żeby potem gadano, że źle traktuje tych, którzy służą mu do ostatniego tchu, pomyślał Bamegi.

– Sierżancie, czy może pan uzupełnić zbyt zwięzły meldunek kapitana?

Siwowłosa mężczyzna podniósł wzrok, w jego oczach widoczne było zmęczenie minionymi dniami. On też był u kresu sił.

– Tak, panie.

Pisarz zanurzył pióro w kałamarzu i pochylił się nad stolikiem. Bamegi z przymrużonymi oczami słuchał meldunku sierżanta. Mówił prosto, ale rzeczowo, w jego słowach skrywała się groza, jaką wzbudził w nieprzyjaciołach jeden zaledwie wojownik.

– Gdyby nie dotarły posiłki, zostalibyśmy tam, panie, i zginęli z głodu i pragnienia – zakończył sierżant.

Twarz Varatchiego nie zdradzała niczego, ale ninja wiedział, że życie tych, którzy go rozczarowali, w ogóle nie obchodziło wojewody.

– To chyba czarodziej? – zapytał Varatchi, nie zwracając się konkretnie do nikogo.

– Nie, panie – zareagował sierżant, który nie zorientował się, że nie jego zapytano. – Tylko że on o tym przeklętym podziemiu dużo wiedział, orientował się w nim bardzo dobrze. Tak zwiódł moich ludzi, że pognali za nim wprost ku zgubie.

– Ilu was zostało? – zapytał jeszcze Varatchi.

– Pięciu, panie. Kapitan, ja, chłop, którego Koniasz zmusił do zjechania po linie na dół. Ma przypalone ręce i nogi i nie nadaje się do służby. I jeszcze te dwa chłopcy, co mnie posłuchali, jak ich usiłowałem zatrzymać, żeby za nim nie biegli.

– A gdzie jest Koniasz? Czy złapał go major Debussi? Debussi dowodził posiłkami, które Varatchi wysłał po interwencji Bamegiego. Kiedy kapitan nie dał rady, Varatchi poszczuł na wilka samotnika wyższą szarżę, pomyślał ninja. W rzeczywistości jednak daleki był od tego, żeby nie doceniać Debussiego i jego ludzi. Byli pancerną pięścią Varatchiego. Dokładniej mówiąc, jego licząca pięciuset ludzi jednostka konnych lub spieszonych żołnierzy, zdolna do szybkich manewrów na własnych nogach albo w siodle, była grotem, pięścią, stalowym młotem, który rozbijał ogniska oporu szybciej, niż przeciwnicy zdążyli zebrać siły.

– Nie wiem, panie – odparł sierżant.

Była to mądra odpowiedź, bez względu na to, czy kłamał, czy mówił prawdę.

Varatchi gestem zwolnił zmęczonych żołnierzy. Zanim zdążyli wyjść, odźwierny zameldował majora Debussiego. Wszedł przysadzisty mężczyzna w płaszczu spiętym pod szyją, swobodnie narzuconym na ramiona, co jeszcze bardziej uwydatniało szerokie naramienniki. Metal kolczugi błyszczał w świetle lamp jak coś żywego.

Stal nierdzewna, stwierdził ze zdumieniem ninja. Albo ją Debussi oliwił w każdej wolnej chwili, albo dysponował naprawdę specjalną zbroją. Stawiał raczej na to drugie. Przed drzwiami zostawił miecz, ale krótką broń, sztylet i nóż, miał przy sobie. Szlachcic niższej rangi, bez majątności, służący swemu panu, ocenił Bamegi.

Debussi podszedł do fotela i ukląkł na jedno kolano. Nagolennik, a nosił tylko jeden, metalicznie stuknął o marmur. Potem wstał i zasalutował. Energicznie i bez jakichkolwiek dworskich ceregieli.

– Major Debussi – zameldował się oficer. Bamegi słuchał zwięzłego meldunku.

– A więc nie złapał go pan – stwierdził na końcu Varatchi.

– Nie, nawet nie nawiązaliśmy z nim kontaktu – potwierdził Debussi. – Zniknął na bagnach.

Pisarz, odźwierny i sługa, który przyszedł z kolejnymi wiadomościami, zdrętwieli w oczekiwaniu na wybuch gniewu.

– Przeszukaliśmy okolicę. Padało, teren był trudny do przebycia, ale w kilku miejscach znaleźliśmy ślady. Świadczyły o tym, że ze wzgórza zeszło dwóch mężczyzn. Jeden wysoki, drugi niższy, który szedł za tym pierwszym. Sądząc ze znalezionych przez nas śladów, kierowali się do miasta, do Krachtiburga.

– Sądząc ze śladów, które znaleźliście?! – wybuchnął wreszcie Varatchi. – Cała akcja była przygotowywana i planowana przez ponad dwa lata i miała na celu pochwycenie lub chociaż zlikwidowanie jednego, konkretnego człowieka! A jedyne, czego się dowiaduję, to informacja, że najprawdopodobniej ruszył do miasta, wiedząc, że wszyscy go tam szukają! Kpiny sobie ze mnie robi? Wy wszyscy robicie sobie kpiny?!

Varatchi krzyczał teraz na każdego z obecnych, aż z wściekłości wystąpiły mu żyły na szyi. Było to jednak lepsze dla wszystkich zgromadzonych w sali, niż gdyby pozostał lodowato spokojny, osądził Bamegi, patrząc na rozwścieczonego arystokratę. Wtedy za niepowodzenie ktoś zapłaciłby życiem.

– Deszcz padał, teren był trudny. Jestem zadowolony, że w ogóle znaleźliśmy jakieś ślady. To był najlepszy wyczyn tropicieli, jaki kiedykolwiek widziałem – powiedział Debussi z minimum dyplomatycznego, czy nawet towarzyskiego taktu.

Co najdziwniejsze, jego bezpośredniość uspokoiła Varatchiego.

– Gdy tylko dostanę rysopis, w ciągu dwóch dni ściągnę z tego miasta wszystkich ludzi choć trochę do niego podobnych – major przedstawił swoją koncepcję poszukiwań Koniasza.

Bamegi jeszcze raz popatrzył na oficera. Z jego żołnierskiej bezwzględności i prostolinijności emanowała siła. Zdołałby przewrócić metropolię do góry nogami, a potem jeszcze na lewą stronę. Ciekawe, czy to by wystarczyło.

– Nie. Krachtiburg jest niezawisłym miastem. Coś takiego wzbudziłoby obawy i protesty wielu ludzi. Nie jest mi to teraz potrzebne – Varatchi odrzucił pomysł. – Ale niech pan będzie gotowy, majorze. Jeszcze za wcześnie na pana i pana ludzi.

– Chcę teraz wysłuchać meldunku Faynischa i wszystkich, którzy śledzili Lumbiego – zwrócił się do sługi szykującego się do przekazania mu wiadomości.

Zgarbiony mężczyzna tylko przytaknął ze smutkiem i skinął na odźwiernego, który wprowadził kolejnego człowieka. Bamegi znał go z widzenia, był to jeden z ludzi kierujących siecią informatorów Varatchiego. Nazywał się Hernand i oprócz tego, że pracował dla swojego pana, więcej niż dobrze zarabiał na handlu cennymi informacjami, które posiadał z racji swej funkcji. Robił to jednak na tyle sprytnie, że Varatchiemu zbytnio to nie przeszkadzało.

– Co z Lumbim? Wszystko wskazuje na to, że Koniasz wrócił do miasta – arystokrata zwrócił się do szefa swoich szpiegów.

Jeden ze sług bez rozkazu dołożył do kominka. Robił to tak starannie i z takim strachem, żeby nie zwrócić na siebie uwagi, że płomienie początkowo nie zauważyły nowej

porcji materiału.

Hernand westchnął. Bamegi zorientował się, że informacja, jaką ma dla swojego pana, nie jest dobra.

– Człowiek, który śledził Lakela Lumbiego, został zabity – zaczął oględnie Hernand.

To nie był dobry wstęp, ocenił Bamegi, patrząc na Varatchiego, którego spojrzenie zaczęło twardnieć. To, co najgorsze, powinno zostać wypowiedziane na początku.

– Ktoś go przebił sztyletem. Sądzę, że sztylet został rzucony.

– Koniasz? – Varatchi wbił wzrok w Hernanda, a Bamegiemu wydało się, że szef szpiegów stawia czoła czemuś wręcz namacalnemu. – Znany jest z umiejętności zabijania na odległość.

– Nie... nie wiem – Hernandowi nie udało się zachować ani odrobiny pewności siebie.

– Lumbiego znaleźliśmy na podwórzu zamku. Martwego, z rozprutym brzuchem. Jego broń zniknęła.

Wściekłość Varatchiemu przeszła, teraz był lodowato spokojny. Tak przejawiał się jego najniebezpieczniejszy nastrój. Bamegi wiedział o tym, wiedzieli też wszyscy obecni.

– Gdzie jest Faynisch? Żądam pełnego meldunku! – odezwał się szorstko Varatchi.

– On też nie żyje, znaleźliśmy go martwego, leżącego na Lumbim. Wygląda na to, że poszedł zobaczyć, co się stało, i zabił go ten człowiek, który przeżył w pojedynku. Też sztyletem. Zniknęły zapiski Lumbiego i dziewczyna, którą trzymał w zamku na łańcuchu.

Varatchi milczał i myślał. Hernand jakimś zagadkowym sposobem zmniejszył się tak, że zamienił się w człowieka zgarbionego aż do ziemi.

– Koniasz jest tutaj. Coś go tu trzyma, gdyby chciał zniknąć, w ogóle nie wracałby do miasta – oznajmił dobitnie Varatchi. – Hernand – zwrócił się do szefa szpiegów. – Nie przeszkadza mi, że zarabiasz pieniądze na boku. Nawet to, że naruszasz przy tym prawo. Ale przeszkadza mi, jeśli nie potrafisz wypełnić swoich zadań. Masz jeszcze jedną szansę. Koniasz jest w mieście, a ja chcę go dostać. Żywego lub martwego. Możesz użyć wszelkich środków, byleby nie wywołały niesnasek dyplomatycznych. Nie życzę sobie, żeby którykolwiek z moich ludzi zamieszany był w brudną robotę. Użyj najemników albo jeszcze lepiej jakimś sposobem wmieszaj do tego Konwent i Afronziego. Masz na to tydzień. Ani dnia więcej.

Varatchi nie groził, ale jasne było, co czeka Hernanda w razie niepowodzenia.

– Będę musiał negocjować z radą miejską – oznajmił szef szpiegów po chwili desperackich przemyśleń. Na czole wystąpiły mu tymczasem krople potu.

– Nie w moim imieniu.

– Rozumiem, panie.

– Debussi, pan sprawi, że do twierdzy czarodziejów na bagnach nikt nie wejdzie, kiedy wiadomość o jej odkryciu rozejdzie się między ludźmi. Później chcę pana widzieć tutaj, będę miał dla pana nowe zadania. Przejmie pan dowództwo nad nowymi oddziałami, które wkrótce przybędą.

Bamegi wysłuchał serii rozkazów, którymi Varatchi zasypywał swych ludzi. Właściwie cała akcja opłaciła mu się, nawet jeśli nie złapał Koniasza. Odkrycie starego magazynu, zwłaszcza jeżeli zostało w nim kilka rzeczy, równało się pozyskaniu wielkiego skarbu. A oprócz tego ujawnienie specjalnych oddziałów cesarza porywających ludzi też miało swoje znaczenie, nawet jeśli nie wiadomo było, o co chodzi.

– Bamegi?

Ninja, mimo że przez cały czas, kiedy Varatchi wyrzucał z siebie rozkazy, miał zamknięte oczy, wiedział, że został w pomieszczeniu sam tylko ze swym zleceniodawcą.

– Chcę, żeby był pan obecny przy przesłuchaniu Blatvovica. Jest pan w całą sprawę zaangażowany od początku, pana spostrzeżenia były słuszne. Nie chcę, żeby nam coś umknęło.

Ninja przytaknął. Potrzebował się wyspać, a nie trawić noc na torturowaniu jakiegoś szaleńca. Jeszcze gorsze było to, że w ten sposób zostanie niejako wpleciony w najtajniejsze zakamarki intryg Varatchiego.

ŻYWY LUB MARTWY

Liana siedziała na koźle, pozostawiając powożenie Łasicy. Chmury zdecydowały się powstrzymać na chwilę swój ciężki ładunek i po raz pierwszy od kilku dni przestało padać. Początkowo planowała, że wyjedzie już wczoraj, jak chciał Łasica, ale nie zdążyli nawet na wczesny poranek. Zatrzymało ich mnóstwo drobiazgów i przeszkód, wydawało się jej, że przez ostatnie dwa dni ani na chwilę nie przestawała mówić. Nieustannie kogoś przekonywała, uspokajała, dodawała odwagi albo odwrotnie, łagodziła złość najbardziej zdenerwowanych. Wszystkich oczywiście nie przekonała. W pierwszej turze odjeżdżało w końcu sześć wozów. Dwie rodziny z jej czworoboku i po jednej z pozostałych. Jednak kolejni ludzie wyprzedawali już swój majątek i szykowali się do wyjazdu. Liana miała nadzieję, że ruszą w drogę jak najszybciej. Nalegania Łasicy i nerwowość, objawiająca się coraz większą ostrożnością, ją też w końcu zaraziły. Może stało się tak dzięki informacjom uzyskanym od zatrzymanego żołnierza. Właśnie sensacyjna relacja o tym, jak łapali ludzi i odstawiali ich gdzieś dalej, przekonała pozostałych.

– Prr – Łasica zatrzymał zaprząg, żeby nie najechać na wóz przed nimi. Liana wraz z rodziną Mapuszi przyłączyła się do karawany kupców handlujących trzciniowymi matami, którzy z powodu złej pogody uznali sezon za przedwcześnie skończony. Pozostałe wozy przyłączyły się do innych karawan kupieckich, w których zaoferowano im miejsca.

– Niech pani potrzyma – powiedział Łasica, oddał jej lejce, zeskoczył z wozu i poszedł obejrzeć biały papier przybity do drewnianej bramy.

Nagły deszcz spowodował, że ulice natychmiast opustoszały, ludzie chowali się pod arkadami lub wbiegali do domów. Liana naciągnęła na głowę kaptur i ciasniej zapięła płaszcz wokół ramion. Jechała na wozie sama. Miała bardzo mało rzeczy i udzieliła miejsca manatkom Mapuszi.

Łasica przez chwilę studiował papier, potem rozejrzał się i jednym ruchem zdał go z drzwi. Wóz przed nimi wreszcie ruszył i Liana potrząsnęła lejcami. Ale Łasica siedział już obok niej.

– Niech pani spojrzy. – Podał jej zmoczony arkusz.

To nie był papier, lecz droższy, bardziej trwałe pergamin. Ostrożnie rozwinęła go na kolanie. Zobaczyła portret, знаła tę twarz. Z nieprzyjemnym uczuciem, zmieniającym się z

każdym słowem w przekonanie, że jest bardzo źle, czytała na głos tekst pod rysunkiem:

Poszukiwany żywy lub martwy. Za jakiegokolwiek informacje prowadzące do ujęcia tego człowieka wyznaczona jest nagroda w wysokości dziesięciu tysięcy złotych. Ponadto dla uczciwego obywatela tytuł Zasłużonego dla Imperium. Dla wszystkich pozostałych darowanie dotychczasowych win i kar z wyjątkiem zbrodni przeciw cesarzowi. Uwaga, poszukiwany jest uzbrojony i niebezpieczny, nie starajcie się go zatrzymywać. Czarodziej, morderca, pederasta, podpalacz, rabuś. Często występuje pod nazwiskiem Koniasz.

Podpisani byli główny śledczy Konwentu Afronzi Nubus i główny radny miasta Krachtiburga Alfred Creпки.

– Co to znaczy? – Liama zwróciła się do Łasicy.

– To znaczy, że go nie złapali i z jakiegoś powodu myślą, że nadal jest w mieście. A bardzo by chcieli go dopaść. Już te pieniądze są wielką pokusą, ale darowanie wszystkich win włącznie z zabójstwem... Uznali go za czarodzieja, żeby akcję mógł zainicjować Konwent.

Wóz pomału trząsał się na bruku, a Łasica myślał.

– Na jego miejscu natychmiast bym zniknęła, ten portret jest znakomity – oceniła Liama.

Oberwanie chmury zmieniło się w prawie przyjemną mżawkę i ulice stopniowo znów się zaludniały.

– Ja też – odparł Łasica. – Dlaczego myślą, że ciągle tu jest? Co by go tu mogło trzymać?

Ta uwaga spowodowała, że Liamie mocniej zabiło serce. Nie, ten rozdział był zamknięty. Miała nadzieję, że już Koniasza nie zobaczy. I żałowała tego. Skupiła się na ważniejszych sprawach.

Co będzie, jeśli Konwent znów ogłosi blokadę miasta? Co, jeśli wpadną w pułapkę?

W drogę wyruszyło czternastu dorosłych i piętnaścioro dzieci. Wierzyła już, że zdołają uciec, że są uratowani, a tu znów niebezpieczeństwo.

– Blokady z jego powodu nie ogłoszą, nie zatrzymałaby go – powiedział po dłuższej przerwie Łasica. – Nie jedzie na wozie tak jak my. W nocy przelezie przez obwałowania i rozplynie się niby dym na wietrze.

Trochę to uspokoiło Liame, ale nie za bardzo. Rozglądała się nieustannie, jednak nie dostrzegła niczego niezwykłego, prócz tego, że na co drugim rogu wisiało ogłoszenie:

Poszukiwany żywy lub martwy.

– Ktoś na to wydał niezłe pieniądze – uznał Łasica, krzywiąc się.

Jego listy gończe tak nie zaniepokoiły.

Zakręt, koła rozchlapały głęboką, ciągle powiększającą się kałużę, otworzył się widok na barierę oznaczającą granicę miasta. Była otwarta i, o dziwo, nie stali przy niej celnicy ani żołnierze gwardii miejskiej. Liama odetchnęła z ulgą, Łasica popatrzył na nią porozumiewawczo. Udało się, byli uratowani.

Wozy pomału posuwały się do przodu, przejechały obok opuszczonej budki, służącej do wypisywania kwitów celnych i handlowych, a potem pierwszy wóz, który wjechał na niską fałdę terenu, zatrzymał się i woźnica wysiadł. Liama popatrzyła na Łasicę, który wrzucił tylko ramionami, zahamował wóz i oboje ruszyli piechotą naprzód. Zobaczyli linię żołnierzy otaczających miasto. Jeden od drugiego o dziesięć metrów, rząd zaczynał się i kończył w mglistym oparze.

Od tej linii wracało ku miastu kilka wozów, które próbowały przejechać i widocznie im się to nie udało.

Czekali. Liama zrozumiała, że jej nadzieje obróciły się wniwecz. Przegrała, za długo to trwało.

– To są oddziały Varatchiego – poinformował ich woźnica jednego z powracających wozów. – Rada miasta poprosiła go o pomoc przy schwytaniu niebezpiecznego czarodzieja. – Kupiec splunął przy tym słowie. – Bez pozwolenia innych arystokratów nie mogą wejść do miasta, ale podobno tak też pomogą. Nikt nie może wyjechać. Zły czas dla handlu. Nie ma co z nimi dyskutować. – Machnął ręką. – To wojsko Varatchiego. Nie lubią gadania po próżnicy.

Liama przelknęła ślinę. Strach wrócił natychmiast, przynosząc ze sobą starą znajomą kluchę w gardle utrudniającą oddychanie.

– Powołali tysiąc żołnierzy tylko po to, żeby złapać jednego człowieka? – Nie mogła w to uwierzyć. – Zamknęli całe miasto?

– Jest ich jeszcze więcej, z pięć tysięcy – poprawił ją Łasica. – I nie chodzi tylko o jednego człowieka. Chodzi też o was. – Kiwnął w kierunku Liamy i wozów z tyłu. – To będzie gra o wysokie stawki, a my widzimy na razie tylko kilka kart.

Liame opuściły nagle wszystkie siły. Tyle starań, a teraz wszystkich ich złapią i zabiją. Była tego pewna.

Droga powrotna wlokła się w nieskończoność. Po co w ogóle wracać, mogła usiąść na bruku i czekać, aż ktoś przyjdzie, zabierze ją nie wiadomo dokąd i zabije. Wozy z czworoboków nie jechały już w składzie karawan, wracały, trzymając się razem. Dzieci

wyczuły ponury nastrój dorosłych, milcząc, siedziały stłoczone między pakunkami z oczami rozszerzonymi ze strachu. Chmury obniżyły pułap, ulice zatoneły w lodowatej mgle, która aż paliła w płucach przy oddechu.

W końcu dotarli do pierwszego z czworoboków, w którym mieszkała jedna z rodzin mających emigrować.

– Nic nam już nie pomoże, prawda? – zwróciła się do Liamy kobieta pomagająca zejść z wozu pięcioletniemu dziecku.

Liama nie odpowiadała, uświadamiając sobie z gorzką ironią, że nawet teraz ludzie jej ufali. Dali się wprawdzie namówić do ucieczki, ale zachowali w sercach nadzieję, że to ich właściwie nie dotyczy. Że chodzi o jakieś kardynalne nieporozumienie, które z czasem się wyjaśni. Tę nadzieję zniszczyła obecność wojska otaczającego miasto.

– Nie wiem – nie zdobyła się na lepszą odpowiedź.

Łasica popędził konie i dalej pobrnęli przez białą mgłę, aż dotarli do jej czworoboku. Wóz Mapuszi przyjechał wcześniej, wysiadająca Liama nie musiała niczego wyjaśniać mieszkańcom obserwującym nieoczekiwany powrót. Jej przyjaciółka zdążyła już to zrobić. Patrzyła, jak trzymając w ramionach dziecko zawinięte w becik, spieszy do domu długim korytarzem. Ktoś już otwierał bramę stajni po drugiej stronie ulicy. Chowano tam wozy i trzymano duże zwierzęta. Kobieta zadrżała z zimna.

– Odstawię wóz i przyjdę do pani, ustalimy, co dalej – rzekł Łasica.

Chwilę potrwało, zanim zrozumiała, co ma na myśli, wszystko docierało do niej poprzez grubą warstwę otepienia. Kiwnęła głową, w drodze powrotnej zrozumiała, że Łasica się nie poddał, że spróbuje ją jakimś sposobem wydostać z miasta. Jednak nie zależało jej na tym. Nie bez ludzi, których kochała. Popchnęła drzwi i weszła do kuchni. Jaśniejsze miejsca na ścianach ukazywały, gdzie wisiały obrazki i inne ozdoby. Myślała, że już nigdy tu nie wróci. Odwróciła się do pieca, żeby rozpałić ogień, pod ścianą za jej plecami coś zachrobotało. Mysz. Że też tak szybko objęły kuchnię w posiadanie? Ale to nie była mysz. Na stołeczku siedziała mała, wychudzona dziewczynka, patrząca na nią z przestrawieniem, a w kącie, częściowo schowany za otwartymi drzwiami, kulił się Koniasz.

Popatrzyła na dziewczynkę, potem na niego, oboje byli materialni, nie zniknęli.

– Co pan tu robi? – zapytała.

Nie odpowiadał. Nie zauważał jej, oczy wbijał w jakiś punkt daleko przed sobą, poruszał wargami, ale nie wydawał żadnego dźwięku.

– Co tu robicie? – powtórzyła, odwracając się do dziewczyny.

– Powiedział, że mam go tu przyprowadzić. Podobno pani go zna – odpowiedziała. –

Jest otruty. Stracił pamięć i strasznie cierpi z tego powodu. Proszę, niech mu pani powie, kim jest i wszystko, co pani o nim wie. Musi to usłyszeć.

Pozbawiona wyrazu twarz mężczyzny skrzywiła się boleśnie, widziała, jak zapada się w sobie. Dziewczyna doskoczyła do niego, wcisnęła mu przed oczy cienki zeszyt, wyraźnie długo noszony w kieszeni.

– Czytaj, czytaj! – krzyknęła szybko.

– Nazywam się Koniasz – posłuchał jej. – Do Krachtiburga przyjechałem szukać książki zwanej „Nucleus”, która powinna być najlepszym wykładem na temat magii, jaki kiedykolwiek napisano. W mieście mam kilku partnerów handlowych...

Koniasz czytał mechanicznie, ale oczy wyglądały na żywsze niż przedtem. Liama pojęła, że czyta swoje własne notatki napisane wcześniej, że stracił pamięć. Słuchając go, wyciągnęła z jakiegoś zakamarka zapomnianą resztkę kawy i zaczęła gotować wodę w popękany imbryku, którego nie było sensu zabierać. Jakies naczynia też zostały. Koniasz stale czytał. Przygotowała dwa kubki gorącego napoju i jeden podała dziewczynie. Przyjęła go z wdzięcznością, niepewnie się przy tym uśmiechając i patrząc na nią tak, że Liamie ścisnęło się serce. Jakby oczekiwała od niej, że wszystko załatwi i doprowadzi do porządku.

– Pomoże mu pani, prawda? – upewniała się dziewczyna.

– Ja? – powtórzyła niepewnie Liama.

– Kocha go pani przecież, nie? Inaczej nie napisałby tam, że mam go do pani przyprowadzić! – wyrzuciła z siebie.

– W kieszeni mam obie ampułki, w których były magiczne substancje. Trucizna i antidotum – Koniasz dotarł do ostatniej strony swych notatek.

Wydawało się, że pisanych ołówkiem słów nie czyta, że zna je na pamięć.

– Emblemata na pieczęciach już gdzieś widziałem. Gdzieś w Krachtiburgu, ale nie przypominam sobie gdzie. Myślę, że stopniowo zaczynam tracić pamięć. Muszę pisać tak, żeby Janick się nie dowiedział. Mógłby mi zabrać notatki. Liama mogłaby mi pomóc. O magii i manipulowaniu mocą wie sporo, chociaż stara się to ukrywać. To prawdopodobnie dziedzictwo jej rodu. Liama mieszka w czworoboku, warownym domu na północnym skraju miasta. Te ampułki są moją jedyną nadzieją na ratunek. Gdzieś to widziałem, ale za żadne skarby nie mogę sobie przypomnieć...

– Podaj mi te ampułki – powiedziała dziewczyna. Koniasz posłusznie sięgnął do kieszeni i wyjął dwie małe, kryształowe buteleczki.

– Tu, na zatyczkach, widać coś jak trójlistek wyrżnięty z kamyka lub ułożony z kryształków – pokazała Liamie, która aż zadrżała na ten widok. Niektóre rzeczy po prostu

wracają, nawet po wiekach, nieproszone, nieoczekiwane. Nigdy nie znikają ze świata.

Wydawało się, że wraz z ciszą na jego twarz powróciła boleść.

– Niech mu pani powie wszystko, co o nim wie i tylko prawdę! – zachęciła ją dziewczyna. – Lumbi, który mnie więził, miał taki dziennik. Odmną grubą księgę, w której zapisywał wszystko, co zrobił, a były to naprawdę potworne rzeczy. On... – wskazała na Koniasza. – Nie mogłam go od tego odciągnąć, myślał, że czyta o sobie. Musi mu pani powiedzieć prawdę, bo inaczej zginie, rozumie pani? Stanie się kimś innym.

Liana przytaknęła, choć tylko mętnie domyślała się, o czym mowa. Przysiadła obok Koniasza i wzięła go za rękę, dziewczyna patrzyła na nią wyczekująco. Musiała się przymusić do odwrócenia wzroku od kryształowych ampułek trzymanyh w dłoni. Popatrzyła mu w oczy. Były puste, takie puste.

– Spotkałam cię na targu – zaczęła ostrożnie. – Wyglądałeś na dużego, niebezpiecznego chłopca. Ale nie okrutnego. Spodobałeś mi się i dlatego właśnie ciebie wybrałam.

Mężczyzna, nie domyślała się, ile w nim pozostało z człowieka, którego nie tak dawno poznała, rozluźnił się i chciwie słuchał, jakby chciał każde słowo złowić, zanim jeszcze zostanie wypowiedziane.

– Byłeś jakiś taki beztroski, zadowolony z siebie, rozglądałeś się wokół, cieszyłeś się światem. Zaoferowałam ci mieszkanie, a ty zainteresowałeś się nim, domyślając się, że mam w tym jakiś ukryty cel. Ja natomiast bałam się, że pomyślisz, że siebie też ci oferuję. A później, gdyby rzeczy potoczyły się inaczej...

Liana zapomniała, że dziewczyna też słucha, i opowiadała dalej.

– To wszystko? Więcej pani nic o nim nie wie? – pytanie przerwało ciszę i Liana uświadomiła sobie, że przed chwilą skończyła.

– Nie wiem. Wszystko, co wiedziałam, właśnie mu powiedziałam. Jak się nazywasz?

– Fresz.

– Nie będę cię pytała, czy jesteś głodna. Skoczę do głównej spiżarni, tu nie zostało nic do jedzenia. Czytaj mu albo opowiadaj, dopóki nie wrócę, dobrze? – dodała, widząc, że Koniasz znów zaczyna popadać w stan katatonii.

Fresz kiwnęła tylko głową.

– Ktoś widział, że tu przyszliście? – zapytała Liana już w drzwiach.

Przypomniała sobie portrety z napisem *Poszukiwany żywy lub martwy*.

– Nie, uciekliśmy z zamku przedwczoraj w nocy, do rana spaliśmy w zburzonym domu na skraju miasta. Pani domu przez cały dzień szukałam sama. Potem padało i była

mgła. Myślę, że nikt nas nie widział. Byłam bardzo ostrożna. Weszliśmy do środka przez mur. Z pomocą takiego przyrządu do wspinaczki, który mu kazałam wziąć ze sobą, kiedy opisał mi, jak pani dom wygląda.

Liam zaciśnęła usta i kiwnęła głową. Koniasz posłuchał małej dziewczynki... bo żadnych własnych myśli nie miał.

Poszła do spiżarni i szybko wróciła. Na korytarzu spotkała Łasicę. Nie zdążyła mu nic powiedzieć, razem weszli do kuchni.

– Rany! – powiedział tylko, patrząc na jej gości, i gwizdnął cicho.

– Otruli go – wyjaśniła natychmiast Liama.

– I zaczarowali. – Obie kobiety popatrzyły na siebie.

– Z początku jeszcze mówił, teraz już nie – wyjaśniła Fresz.

– Myślę, że nie byłoby dobrze, żeby wiedziało o nim więcej ludzi – powiedział sucho Łasica. – Za jego głowę wyznaczono nagrodę, a pieniądze mogą zmienić człowieka. Zaoferował mi więcej – dodał, widząc spojrzenie Liamy. – Czy ja też mogę dostać kawy? Zmokłem i zmarzłem na kość.

Liam podała mu kubek i nalała prosto z imbryka. W tym momencie na schodach dały się słyszeć kroki. Ktoś zastukał i pojawił się Glaven, starosta jednego z czworoboków. Tego, w którym mieszkały rodziny, które spróbowały dziś wyjechać.

– Bądź zdrowa – przywitał ją i przesunął się, żeby mógł wejść jego towarzysz.

Liam знаła go tylko z widzenia, nazywał się Pandor i należał do dawnej klikki Każewicza.

– Mówiłem już z naszymi ludźmi. Myślę, że jesteśmy na straconej pozycji. Znajdą nas albo jedni, albo drudzy. Konwent albo porywacze.

– Lub też nie – powiedział naraz Pandor, wskazując na Koniasza. – To jest ten chłop z ogłoszeń.

Glaven nie rozumiał, o czym jego kompan mówi, ale Liama zorientowała się od razu.

– Widnieje na nich nagroda dziesięć tysięcy złotych – wyjaśnił Pandor.

– Pieniądze nam nie pomogą, musimy uciec z miasta – zwróciła uwagę Liama, położywszy rękę na ramieniu Fresz, szykującej się do wścieklej odpowiedzi, i dała jej znak, żeby odsunęła się od niej i mężczyzn. Łasica opierał się o ścianę, w obu rękach trzymał kubek z kawą. Nie patrzył na nikogo z obecnych i nikt nie zwracał na niego uwagi.

– Zrobię jeszcze kawy. Na razie napij się mleka. – Liama podała Fresz dzbanek. – A jemu daj szklanekę wina, lubi je, na pewno dobrze mu zrobi.

– Pieniądze zawsze pomagają – nie zgodził się Pandor. – A tam jest jeszcze napisane,

że ten, który przyczyni się do jego ujęcia, zostanie człowiekiem zasłużonym dla imperium. To coś znaczy. Chybaby nas wtedy zostawili w spokoju.

– Dlaczego mieliby to zrobić? Na pewno za tym wszystkim stoi cesarz albo inny magnat. Inaczej rada miejska już dawno szukałaby uprowadzonych ludzi, a nie starałaby się tego tuszować – powiedziała Liama, nalała wina do szklanki i podała ją Fresz. Wydawało się jej, że na nią Koniasz reaguje najbardziej.

– Nalej mi też – polecił jej Pandor.

– To moje wino, a ty nie jesteś moim gościem – zbyła go Liama. – Ten człowiek został otruty magiczną substancją. Jeżeli go prześlemy urzędnikom, będziemy podejrzani o to, że jesteśmy czarodziejami. I będziemy mieli krew na rękach, bo oni go zabiją.

– To morderca, pederasta i nie wiadomo co jeszcze – wykrzywił się Pandor. – A ty z nim spałaś.

Liama obserwowała, jak Koniasz pije wino i przygląda się szklance, potem skinęła głową, jakby coś postanowiła, i pomału, bez oznak złości, podeszła do Pandora. Zatrzymała się przed nim, trzasnął policzek, siła uderzenia aż odwróciła starszemu głowę.

– Ty suko. – Próbował rzucić się na nią, lecz Glaven zastąpił mu drogę.

– Nie będziemy się tu bili! Obraziłeś ją! Odejdź! Odwrócił się ku Liamie.

– Pandor być może ma rację, a nam nie wolno porzucać pochopnie jedynej możliwości, która może pomóc. My, wszyscy starostowie, przedyskutujemy, jak z nim postąpić, i prześlemy naszą decyzję pozostałym. Ze względu na czar, którym według ciebie został otruty, zavezwiemy do rady Każewicza, mimo że nie jest już starostą. Zna się na przypadkach dawnej magii lepiej niż inni. Gdzie się spotkamy?

Liama uświadomiła sobie, że nadal ma autorytet, który zdobyła w minionych dniach. Pytanie tylko, ile z niego zostanie po kolejnym zgromadzeniu.

– Możemy zostać tutaj, kuchnia jest wystarczająco duża. Ale Pandor będzie stać na korytarzu.

Glaven potwierdził.

– To dobrze, im mniej ludzi go tymczasem zobaczy – wskazał Koniasza – tym lepiej. Zaraz wszyscy tu będą.

– Mówi o nim, jakby był rzeczą! – powiedziała z rozgoryczeniem Fresz, gdy zostali sami.

– Tak to wygląda. – Liama nie oponowała. – Pomożesz mi z jedzeniem? Wszyscy jesteśmy głodni, a musimy być silni.

– Pani się nigdy nie poddaje, prawda? – powiedział po pewnym czasie Łasica.

– Nic innego mi nie pozostaje – odparła cicho. Zauważyła, że nie jest już tak zdesperowana jak przed chwilą. Jakikolwiek działanie było lepsze niż topienie się w beznadziejności. A pokonywanie przeszkód sprawiało, że była zadowolona i wstępowały w nią nowe siły.

– Będą go chcieli wydać, przegłosują panią. Łasica miał rację.

– A nam to nic nie pomoże. Teraz rację miała ona.

*

Godzinę później jej duża kuchnia była przepelniona. Oprócz zaproszonych starostów i Każewicza nikt inny nie miał do niej wstępu, ale ludzie zorientowali się, że coś się dzieje, i ciągle kręcili się po korytarzu. Zasepiony Pandor, stojący pod drzwiami, nikogo jednak nie wpuszczał.

– Czy on naprawdę jest otruty? I zaczarowany? – zapytał Każewicza Glaven.

Starzec spojrzał z ukosa na puste kryształowe ampułki leżące na stole. Fresz właśnie kończyła krótką opowieść, w której pozbawionemu pamięci mężczyźnie kolejny raz przekazywała wszystko, co o nim wiedziała, a on jak za każdym razem słuchał z bolesnym napięciem.

– Teraz moja kolej, ale muszę z tym chwilę poczekać, dobrze? – Liama spojrzała na dziewczynę.

Ta kiwnęła głową.

– Ale jak najszybciej, proszę. Zawsze mu to trochę pomaga. Na chwilę.

Liama przytaknęła i poświęciła uwagę zgromadzeniu.

– Każewicz? Wszystko w porządku?

– Zamyśliłem się – odparł starzec. – Tak, ten człowiek jest otruty trucizną Dwichera, która działa w połączeniu z czarem. To właśnie nasi przodkowie wyrabiali ją kiedyś i sprzedawali. Z powodu magii musieliśmy się przesiedlić, z powodu magii nęka nas jedna przeciwność losu...

– Odpowiedz na pytanie – zatrzymała go Liama, nadal zajmując się Koniaszem.

Starzec spojrzał na nią wrogo, ale posłuchał.

– Z tego, co widzę, czar jest aktywowany prawidłowo, więc została mu jego inteligencja i umiejętności. Ale nie wciśnięto mu jeszcze instrukcji niewolniczej, jeszcze nie został zorientowany. – Każewicz milczał przez chwilę. – I zdaje się, że w fazie końcowej coś w nim w jakiś sposób stawia stały opór.

– A czy ty zdołałbyś to wszystko przeprowadzić? – zapytał Glaven.

– Przy pomocy dalszej dawki trucizny Dwichera, chyba tak.

– Zróbmy tak, żeby to nas słuchał, a potem przekazemy go władzom – zaproponował Pandor. – Mógłby być użyteczny i potem. Dopóki go nie stracą.

Liana wyczytała z twarzy pozostałych starostów, że przegrała. Wszystkim podobało się takie rozwiązanie.

– Możesz to zrobić teraz, zaraz? – zabrzmiało kolejne pytanie do Każewicza.

– Muszę przejrzeć stare księgi, przeszukać tajny magazyn, znaleźć truciznę i antidotum wraz z kryształem, który użyczy mi zdolności wywierania wpływu na czar. Jest mi potrzebny, nie jestem czarodziejem. Jakiś czas to zajmie.

– Będziemy głosować – Pandor kuł żelazo pólki gorące. Przestraszona Fresz popatrzyła na Lianę, jakby od niej wyglądała ratunku. Liana objęła ją tylko uspokajająco.

– Musimy czekać. I mieć nadzieję.

*

Patrzyłem na nieznanne twarze otaczających mnie ludzi. Dwie kobiety, jedna z nich to właściwie dziewczyna, czterech mężczyzn. Nie, pięciu, tego piątego z początku nie dostrzegłem, nie rzucał się w oczy. Starzec o pomarszczonej twarzy położył przede mną na stole kryształową ampułkę ze szlifowaną zatyczką zalaną ołowiem. Pozostałym obecnym rozdał podobne ampułki, choć nie takie same.

– Podam ci ampułkę, a ty wypijesz to, co w niej jest, rozumiesz mnie? – zapytał.

Rozumiałem i potwierdziłem to.

Jeden z mężczyzn spróbował odebrać mi miecz, który trzymałem na kolanach, ale chwyciłem za rękojeść i spojrzałem na niego. Dał spokój. Wydawało mi się, że chciał to zrobić już kilka razy wcześniej, ale nie byłem tego pewny.

– A więc teraz ostrożnie wyciągnę zatyczkę i dam ci ampułkę – starzec przygotowywał mnie na dalsze działania.

– Nie robiłbym tego, Każewicz – powstrzymałem go. – To jest piekielnie lotne, powinniście zażyć antidotum wcześniej, zanim otworzycie flaszeczkę. Co więcej, kiedy ja wezmę twoje antidotum, dla ciebie nic nie zostanie.

Szczęka mu opadła, wytrzeszczył oczy.

– Jak to możliwe! Nastąpił rewers! On wrócił! Wspomnienia, moja osobowość, wszystko wracało do mnie falami. Pionowymi ścianami wody trzydziestometrowej wysokości, walącej czasem w wybrzeże i niszczącej wszystko, co im stanie na drodze. Tylko że we mnie niczego nie niszczyły. Wypełniały jedynie puste miejsca, zagospodarowywały się

w strukturze mojej świadomości, w mojej duszy.

– Wypijesz to, po prostu wypijesz truciznę! – Starszy mężczyzna rzucił się na mnie z nożem w ręce. Nazywał się Pandor, przypomniało mi się. Nie wstając, podciąłem go, przycisnąłem do podłogi nogą stołka. Krawędzią siedziska naciskałem mu na krtań, przeciwko ciężarowi mego ciała nie mógł nic wskórać. W drugiej ręce trzymałem ampułkę, którą tak natrętnie chciał we mnie wmusić.

– Ja nie wypiję, ale ty chyba tak – zaproponowałem mu. Nie zdołał niczego powiedzieć, charczał tylko. Wydarzenia, które zaszły w czasie, gdy byłem pod wpływem czaru, powracały do mnie najwolniej. Na uporządkowanie myśli potrzebowałem czasu, ale nie wyglądało na to, że będę go miał.

– Musi go pan zabić lub gdzieś zamknąć. Natychmiast sprowadziłby tutaj całe miasto – wyrwał mnie z tych rozmyślań pan Łasica.

Pandor charczał już znacznie słabiej. Wstałem.

– Zostanie zamknięty. Żaden z was nie powie, że mnie widział. Jeśli to zrobicie, podpiszecie na siebie wyrok śmierci. To nie ja was zabiję, ale lord Varatchi. Poszukuje i mnie, i was, więc zabiłby dwie muchy za jednym pacińciem. Rozumiecie?

Rozumieli.

– Zamkniecie go w pomieszczeniu bez okna i przyniesiecie mi klucz. – Popatrzyłem na starostów po kolei i odczekałem, aż wszyscy przytakną.

– Dopilnuję tego. – Pan Łasica ruszył się ze swego miejsca. Wraz z Pandorem i Łasicą szybko odeszli także pozostali. Nie zatrzymywałem ich. Potrzebowałem trochę czasu.

Fresz patrzyła na mnie jak na zjawę, Liama wyczekująco. Sięgnąłem po otwartą butelkę, wziąłem sobie z półeczki czystą szklanekę i wszystkim nalałem wina. W koszyku z produktami żywnościowymi, który Liama jakiś czas temu przyniosła, ukrywała się nadal pusta ampułka po antidotum. To przypomniało mi się na końcu, teraz wiedziałem już, że moje wspomnienia są kompletne.

– Pomożesz nam? Nam wszystkim? – zapytała. Duże, rozszerzone ze strachu oczy, poważny wyraz ust, siateczka drobnych zmarszczek, świadczących o tym, że kiedyś chętnie się śmiała, latami noszona na nadgarstku bransoletka, podkreślająca kształt ręki. Kobieta godna podziwu.

– Uratowałeś mnie przed piekłem – powiedziałem cicho. – Zrobię wszystko, czego zażadasz.

– Chcę, żebyś nas stąd wydestał, wszystkich, którzy się na to zdecydują.

– Dobrze. Umowa stoi. Podniosłem szklanekę w toaście.

– Ja też ci bardzo pomogłam – odezwała się dziewczyna.

Nazywała się Fresz, przypomniałem sobie.

– Tak, to prawda. Jestem twoim dłużnikiem. – Kiwnąłem głową z uśmiechem. – Dam ci wszystko, czego będziesz sobie życzyć, w granicach moich możliwości.

– Muszę to przemyśleć – rzekła z powagą.

Sprytna dziewczynka.

– Chciałbym jednak zacząć spłacać długi dopiero, kiedy wezmę prysznic, ubiorę się w coś suchego i najem się. Byłoby to możliwe? – spojrzałem na Liamę.

– Myślę, że da się zrobić.

– A więc, czy damy mi wybaczać? – Złożyłem im ukłon, wykonywany zazwyczaj na balu debiutantek, i z mieczem w ręce ruszyłem po schodach na górę do łazienki.

WILK NA ŁOWACH

Zaraz za drzwiami łazienki zdjąłem ubranie, bandolier z nożami zawiesiłem na kranie, miecz i sztylet, zdobyte na Lumbim, położyłem na obrzeżu wanny i zanurzyłem się w szybko napływającej wodzie. Na dole zgrywałem pewnego siebie, ale było odwrotnie. Trzęsły mi się ręce i nie mogłem przestać myśleć o jednej tylko rzeczy. Żeby to, co przeszedłem w ostatnich dniach, nigdy się nie powtórzyło. Może to dobrze, że magia zniknęła z naszego życia. Powiedziałem im, że wróciłem z piekła, i mówiłem to ze śmiertelną powagą, chociaż inni może tego nie rozumieli. Sięgnąłem po mydło i zauważyłem przy tym emblemat, jaki tworzyły płytki ceramiczne pokrywające zbiornik wody. Znajdował się także na kranie, a wiedząc już, czego szukać, ujrzałem go również w innych miejscach. Dawni przodkowie tego ludu byli dumni ze swych umiejętności i chętnie używali tego symbolu. Stylizowany, kryształowy trójlistek złożony z niewielkich kamieni szlachetnych. Trudno go było zauważyć pośród wielu krzywych linii ornamentu. Znak firmowy rodu, czy raczej tylko którejś z jego gałęzi, którego członkowie mieli magię we krwi i potrafili z nią dokazywać straszliwych rzeczy. Straszliwych...

Zauważyłem, że z nosa kapie mi krew, rozplývając się w gorącej wodzie różowymi plamami. Może byłoby mi lepiej, gdybym umarł, na pewno tak. Będąc pod wpływem czaru i trucizny, musiałem wyteńczyć wszystkie siły woli, żeby nie spaść na dno, żeby nie stać się niewolnikiem na resztę życia. Teraz nagle tej woli mi zabrakło. Otarłem nos i zanurzyłem się cały, żeby zmyć brud także z włosów. Miałem przed sobą mnóstwo pracy, zadanie do wykonania. Byłem dłużnikiem, a nikt inny oprócz mnie nie mógł nawet wyobrazić sobie, jak wielkie jest to zobowiązanie.

*

Wcześniej, niż poruszyła się klamka, wiedziałem, że ktoś wejdzie. To Liama przyniosła suche ubranie. Nasze oczy spotkały się. Badała mnie, oceniała, próbowała odgadnąć, co jeden człowiek może zrobić przeciw nieprzyjaznemu losowi, przeciwko sile całego imperium. Uśmiechnąłem się tylko. To znaczy, próbowałem się uśmiechnąć, lecz nie starczało mi na to sił.

- Przyniosłam panu suche rzeczy. – Położyła je na ławce.
- Dziękuję – skinałem głową.

Przyglądała mi się jeszcze przez chwilę, zanim odeszła. Smutno i prawie z żalem. Pomyślałem, że wie coś jeszcze o truciznie Dwichera, ale nie zdecydowałem się zapytać. Niektórych rzeczy lepiej nie wiedzieć. Zwłaszcza kiedy człowiek ma przed sobą coś, na czym musi się całkowicie skupić. Jeszcze kilka ostatnich, rozkosznych chwil w gorącej wodzie i wylazłem z wanny. Włożyłem czystą koszulę i bieliznę od Liamy, ale tylko to. Spodnie, kurtka, opaski, kamizelka, to wszystko służyło mi do noszenia i ukrywania broni. Wygoda była sprawą drugorzędną. Nową koszulę też nakładałem niechętnie, wiedziałem, że szybko wrócę do starej, pod jej kołnierzykiem ukryty był mały nożyk. Człowiek musi czasem zadać śmiertelny cios, żeby obronić się skutecznie, a ja już raz tym nożykiem zabiłem.

Na samym końcu przypiąłem do opaski miecz i sztylet Lumbiego. Instynktownie starałem się jak najmniej dotykać obu sztuk broni. Było w nich coś nieprzyjemnego, co już wcześniej skłoniło mnie do pozbycia się miecza. Teraz znów go miałem. Przyglądając się obydwóm egzemplarzom, stwierdziłem, że odpowiadają sobie i na pewno wykonano je w tej samej pracowni płatnerskiej. Jak wielki wpływ wywierał sztylet na Lumbiego, że od dziecka się z nim nie rozstawał? Dlaczego tak się starał pozyskać jego większy odpowiednik?

*

Wróciłem do kuchni, przywitał mnie badawczy wzrok pana Łasicy i zapach jedzenia unoszący się z patelni. Koło pieca krzątała się Liama, trochę niepewnie sekundowała jej Fresz. Widać było, że dużo w swym życiu nie ugotowała.

– Zjawił się pan akurat na czas, jestem głodny jak wilk – oznajmił Łasica.

Na stole przed nami stanęła misa zupy, wszyscy otrzymali miseczki i łyżki.

– Chleb jest twardy, musiałam go pożyczyć. Mięso będzie gotowe za chwilę – powiedziała Liama.

Fresz także usiadła do stołu i złapała za łyżkę.

– Jak wilk? – powiedziałem. – Mój żołądek zapewne myśli, że już od dawna nie żyję.

Naczynia zadźwięczały, pierwszą porcję jadłem powoli i w milczeniu, musiałem zwracać uwagę, żeby nie połykać jedzenia za szybko.

– Co się wydarzyło? Dlaczego jeszcze pan tu jest? – zadałem mu pytanie.

Łasica zaczął mówić, spokojnie i bez pośpiechu, w sposób oszczędny, każde słowo miało swoje miejsce i wagę. Cała sytuacja zaczęła mi się przedstawiać jak partia szachów rozgrywana na kilku szachownicach, w której zbite figury mogą wracać do gry, wieże i gońce udają pionki, a do rozgrywki wciągnięci są nawet ci, którzy w szachy w ogóle nie umieją grać.

– Dla pana osobiście bardzo nieprzyjemne jest to, że Konwent, choć sędzę, że w rzeczywistości Varatchi, zarządził ogólne poszukiwania pańskiej osoby. Nie może pan ufać nikomu. Oferują za pana pieniądze, nowe życie i nadzieję na lepsze jutro. Temu trudno się oprzeć – zakończył monolog.

– A panu mogę zaufać? – zapytałem.

Fresz i Liama popatrzyły na mnie ponuro, pan Łasica uśmiechnął się.

– Mnie tak, bo zaoferował mi pan o wiele więcej pieniędzy. Ma pan nadal ten drugi czek?

Kiwnąłem głową.

– No to może mi pan dowierzać, to oczywiste. – Pan Łasica rozjaśnił się w szerokim uśmiechu.

Miał szczególne poczucie humoru i podobał mi się.

– Chciałbym, żeby pan zrobił w moim imieniu kilka przechadzek. Pokazywać się na ulicy na razie nie chcę – powiedziałem. – I będzie pan musiał zachować ostrożność.

– Tak przypuszczałem.

Przyszedł czas, żeby zabrać się do roboty.

MASZYŃKA DO MIĘSA

Afronzi nerwowo wodził oczami po ponurym otoczeniu. Kat pracował miechami, oczekując z wrodzoną cierpliwością, aż żelazo rozżarzy się do czerwoności, Varatchi siedział na przyniesionym krześle, na stoliku przed sobą miał kielich z winem, arkusz papieru i pióro wraz z kałamarzem. Pisarza nie wezwał, a Bamegi sądził, że wie dlaczego. Informacje, które zamierzali uzyskać od Błatvovica, arystokrata uważał za więcej niż ważne, za bardzo niebezpieczne. Ze względu na konieczność zachowania ścisłej tajemnicy nie chciał stracić zaufanego, wykwalifikowanego sługi, który od lat doskonale wypełniał obowiązki. To rodziło pytanie, jak dalece lord ufa Afronziemu i jemu samemu.

– Powiem wam wszystko, wszystko od razu, teraz – ryknął znów Błatvovic.

Głos miał już ochrypli, a jego krzyk przeszedł w sapanie. Główny śledczy Konwentu drgnął. Był tu oficjalnie, bo sala tortur należała do Konwentu. W rzeczywistości wolałby się znajdować w jakimkolwiek innym miejscu, ale nie mógł. Rozkazy Varatchiego były jednoznaczne.

Bamegi odwrócił wzrok od nieotynkowanych ścian, częściowo pokrytych pleśnią. Już od dawna żaden z inkwizytorów Konwentu nie rozłożył tu swoich przyborów i nie rozpałił ognia, podziemne pomieszczenie nasiąkło wilgocią.

Błatvovic i tak by mówił, o tym nikt nie wątpił. Varatchi chciał tylko, żeby mówił prawdę, a dla człowieka, który wręcz upajał się bólem innych, nie istniała lepsza motywacja niż jego własne cierpienie.

– Możemy zaczynać – mruknął kat do wszystkich i do nikogo. Błatvovic znów krzyknął, tym razem całkowicie niezrozumiale.

– Zabierajcie się do roboty – rozkazał Varatchi i napił się, obserwując przy tym ze znużeniem zardzewiałe pierścienie tkwiące w murze, rozpadający się drewniany but używany do miażdżenia palców nóg, żelazną maskę z dziwacznie wydłużonym nosem służącą do męczenia żarem i dymem. W zapomnianym już żargonie inkwizytorów nazywana była maską ogniową.

Bamegi wiedział, że ból można zadawać sposobami bardziej wyrafinowanymi i równocześnie skuteczniejszymi niż przy użyciu tych starych, prymitywnych narzędzi. Jednak wiedział też, że najważniejszą rzeczą przy torturach jest doprowadzenie przesłuchiwanego do

właściwego stanu, a do tego zabytkowe przyrządy nadawały się najlepiej.

Kat powoli zbliżał się do Blatvovica, którego ręce i nogi tak naciągnięto, że ledwie mógł się poruszyć. Na przekór obecnym wyobrażeniom o mistrzach fachu katowskiego, był starym, chudym mężczyzną, którego mięśnie i ścięgna wyraźnie odznaczały się pod pergaminowo cienką skórą. Bez pomocnika napracował się rzetelnie, przywiązując śmiertelnie przestraszonego więźnia, czego dokonał wyłącznie dzięki sporemu doświadczeniu. Twarz miał pokrytą potem od żaru ognia albo od trudu, jaki zadał sobie poprzednio. Bamegi stawiał na to drugie. Stary cierpiał wyraźnie na jakąś chorobę, niepozostawiającą mu już zbyt dużo czasu na tym świecie. Teraz bez pośpiechu, jak cieśla wypróbowujący jakość drewna, przytknął rozżarzony koniec żelaza do przedramienia Blatvovica.

Związany mężczyzna miotał się kurczowo, od sklepienia odbił się dziki ryk. Kat pochylił się nad nim, żeby sprawdzić, czy nie przegryzł sobie języka, i szybkim ruchem wsadził mu do ust knebel.

– To mimoza, mógłby sobie zrobić coś złego – mruknął, patrząc na wojewodę. – Jak przyjdzie czas, wyciągnę mu to.

Kolejne ukąszenie gorącego żelaza wypadło nieco wyżej. Bamegi z kamienną twarzą obserwował torturowanego i w żaden sposób nie dawał po sobie poznać, że zauważa zainteresowanie Varatchiego. Osobiście nie lubił takich metod, ale nie on tu decydował.

– Wiele więcej nie wytrzyma, panie – kat ocenił stan więźnia. – Tak jak mówiłem, to mimoza.

– Wyjmijcie mu knebel – nakazał Varatchi. Siedział w miejscu, z którego mógł patrzeć Blatvovicowi w oczy.

– Teraz będę cię pytał, a ty będziesz odpowiadał. Prawdę, bo inaczej wypróbuję na tobie nie te drobiazgi – pogardliwie wskazał na pozostałe nagrzewające się żelaza – ale to, coś sam robił innym. Czy to jasne?

– Tak, tak, panie!

Blatvovic potakiwałby do końca świata, gdyby go Varatchi nie powstrzymał gestem. Bamegi odetchnął głęboko. Odór starej pleśni zastąpił teraz smród przypalonego mięsa. Dymu prawie nie było czuć, komin ciągnął znakomicie, a kat używał węgla najwyższej jakości.

– Sądziłem, że cesarz kazał cię zgładzić – zaczął Varatchi.

Dobrze pamiętał zakończony niepowodzeniem pokaz umiejętności magicznych Blatvovica, jaki im zaprezentował w krypcie cesarskiego więzienia. Oraz niezadowolenie

Jego Wysokości, swego stryjecznego brata, z powodu przegranego zakładu.

– Nie kazał, Wasza Ekscelencjo. Nie kazał, zlitował się nade mną i zażądał, abym pokazał, jak go miłuję i jak wiernie chcę mu służyć – przemówił Blatvovic.

Afronzi, który tortury obserwował z nieudawaną obojętnością, nagle się zdenerwował. Bamegi też nie miał ochoty dowiadywać się o interesach cesarza więcej, niż było to konieczne. Ale był już wplątany w brudne sprawy Varatchiego, więc było mu wszystko jedno.

– Więc dostałeś jakieś zadanie – przerwał mu Varatchi. – Mów zwięźle albo oddam cię katu. Jakie?

Stary kat podszedł do ognia i znów włożył żelazo w płomień. Po uwadze arystokraty spojrzął na więźnia z niechęcią. Praca wyczerpywała go. Wyglądało na to, że był już od pewnego czasu w stanie spoczynku, zanim go tu przywołano. To przekonało Bamegiego, jaką wagę będzie przywiązywał Varatchi do utajnienia informacji uzyskanych w wyniku tego śledztwa.

– Miałem znaleźć rodzinę, z której pochodził człowiek zabity podczas tego nieszczęsnego pokazu. Tę, która stale wymykała mi się z rąk – przeszedł do rzeczy Blatvovic.

– Masz na myśli człowieka, którego zabiłeś, żeby z pomocą jego krwi dostać się do magii? – uściślił Varatchi.

Afronzi drgnął i w ostatniej chwili wstrzymał się przed powiedzeniem czegoś. Sprawa była poważna, cesarz zaplątany w zabawy z czarami. Taka informacja, o ile dostałaby się do wiadomości publicznej, mogła zostać wykorzystana przez któregoś z magnatów. Mogła spowodować wstrząs polityczny, a nawet zawieruchę wojenną. Afronzi znalazł się tu zapewne z tego powodu, żeby Varatchi teraz jeszcze mocniej mógł trzymać go w garści. Wystarczyłoby, żeby napomknął cesarzowi, że główny śledczy Konwentu słyszał to oskarżenie, a Afronzi zostałby starty z powierzchni ziemi wraz z ludźmi, z którymi w ciągu ostatnich pięciu lat zamienił choć jedno słowo.

– Jak nazywał się ten człowiek? – pytał dalej arystokrata.

– Ron Michovec, ale później stwierdziłem, że kłamał. W Krachtiburgu, skąd według mojego śledztwa pochodził, nikt o takim nazwisku nie mieszka i nie mieszkał.

Pytanie po pytaniu, odpowiedź po odpowiedzi, wystarczyło, żeby Varatchi spojrzął na kata, a związany mężczyzna cały się trząsł. Dla Bamegiego było jasne, że mówi prawdę, czystą prawdę. Pomału potworna układanka stawała się coraz wyraźniejsza.

Blatvovic przyjechał w tajemnicy do Krachtiburga wraz z cesarskim oddziałem do zadań specjalnych. Miał stwierdzić, która rodzina jest tak związana z magią, że jej krew jest

nasycona mocą. Szalony czarodziej, który w rzeczywistości nie posiadał żadnych talentów magicznych, tylko żądę posiadania mocy i skłonność do sadyzmu, przystąpił do działania najprostszym i na nieszczęście prawdopodobnie jedynym możliwym sposobem.

Żołnierze łapali dla niego ludzi, a on sprawdzał, czy w ich krwi nie ukrywa się moc. Czy ból zadawany torturami nie otwiera jakimś sposobem drogi ku magii.

Blatvovic, mówiąc o tym, cały się rozjaśniał, zapominając, że teraz to on jest oddany na pastwę kata.

Bamegi uświadomił sobie, że stracił swoją kamienną twarz. To, co opowiadał przywiązany do stołu grubas, było potworne. Takie pomysły mogły się zrodzić tylko w zupełnie zdegenerowanym umyśle. Nigdy nie zdoła o tym zapomnieć.

– Wszystko szło gładko – ciągnął więzień, gdy otrząsnął się z entuzjazmu wywołanego wspomnieniami. – Opracowałem plan, zgodnie z którym mieli łapać ludzi i po kilku dostarczać na farmę poza miastem, gdzie zamieszkałem. To stanowiło część tajemnicy. O tym, co z nimi robiłem, mogło wiedzieć tylko kilku ludzi. Miejsce wybrałem dobre. Czasem, mimo wszystkich środków ostrożności, ktoś krzyknął. W mieście, wśród domów, mogłoby to zwrócić uwagę. Jedna kobieta uciekła, dogonili ją dopiero moi strażnicy na koniach.

Varatchi i Afronzi słuchali z uwagą, kat drzemał oparty o mur. Bamegi pomyślał, że nie powinien się nigdy znaleźć tu, w Krachtiburgu. Nic już nie będzie takie jak dawniej. Napotkał wprawdzie Koniasza, człowieka, z którym warto było się zmierzyć, ale dopadł go też koszmar, którego się nie pozbędzie do końca życia. A ten koniec mógł nadejść już niebawem.

– A później zaginęła grupa porywaczy – zachmurzył się Blatvovic. – I od tej pory już nic nie szło według planu.

– Jak zaginęła? – chciał uściślić Varatchi.

– Nie wiem – nerwowo odparł Blatvovic. – Po prostu pięciu żołnierzy wyruszyło pewnego dnia polować na ludzi i żaden nie wrócił. Nie znaleziono żadnego trupa, nikt się o nic nie pytał. Jakby nigdy nie istnieli. To przstraszyło Orsego, dowódcę ludzi, którzy dla mnie pracowali. Tajemnica była ważniejsza od sukcesu. Tak przynajmniej według Orsego brzmiały rozkazy cesarza. Ale ja myślę...

– Mów dalej o tym, co się działo. Nie interesuje mnie, co sobie myślisz – przerwał mu Varatchi.

– Orse zmusił mnie do opuszczenia farmy i przeniesienia się do miasta. Przez dwa dni siedziałem w jednym pokoju i nie mogłem się nigdzie ruszyć, dopóki nie upewnił się, że nikt nas nie śledzi. Później jakiś czas trwało, zanim znaleźliśmy stosowny dom za miastem, a ja

mogłem wrócić do pracy. Stworzyłem nowy plan porywania ludzi, dlatego że Orse chciał, żebyśmy operowali na samym końcu w dzielnicy, w której komando zniknęło. Wszystko komplikowało się jeszcze bardziej z tego powodu, że trupów już nie można było zakopywać, ale trzeba je było wywozić poza miasto. Aż w końcu przyszli pana ludzie i wszystko się skończyło.

Varatchi popatrzył na Bamegiego.

– Kto zlikwidował pięciu żołnierzy jednostek specjalnych tak, że nie pozostał po nich żaden ślad?

– Inne komando? Komando, które miało za zadanie uzyskać dowody przeciw cesarzowi? Czarodzieje? Ludzie, których łąpał Blatvovic? – ninja spokojnie przedstawił kilka możliwości.

– Jakie dalsze zadania dostałeś od cesarza? – Varatchi znowu zwrócił się do Blatvovica. – Co dokładnie ci powiedział? Przypuszczam, że rozmawialiście ze sobą.

Bamegi wiedział, że czeka go długa noc. Jego zleceniodawca zdecydował się powtórzyć całe przesłuchanie. Poszukiwał śladów, luk, które im za pierwszym razem umknęły. Chciał wiedzieć więcej, przeniknąć w głąb na podstawie drobiazgów, symptomów, drobnych niezgodności. A gdy skończy z tym potworem, będzie prawdopodobnie kontynuował śledztwo, przesłuchując żołnierzy. Bamegi już ich o kilka rzeczy z grubsza wypytał i wiedział, że to przesłuchanie nie będzie łatwe. Każdy z nich wiedział tylko tyle, ile było niezbędne do pełnienia obowiązków. Temu, który zaplanował i zorganizował całą operację, naprawdę zależało na utrzymaniu tajemnicy. Jeden oddział łąpał ludzi, drugi ich przewoził, a trzeci pomagał Blatvovicowi w jego potwornościach. Tajemnica, tajemnica za wszelką cenę.

ZŁY CZŁOWIEK

– Dobre wiadomości? – zapytała Fresz, patrząc na mnie niecierpliwie, podczas gdy czytałem list przyniesiony przez pana Łasicę.

Właściwie to nie był list, ale zwięzły wykaz. Spojrzałem na nią, prawie podskoczyła na miejscu. Noc i dzień, które spędziła zamknięta w domu, wyraźnie dłużyły się jej bez końca, mnie zaś odwrotnie. Mógłbym odpoczywać jeszcze trzy razy dłużej. Na to jednak nie mogłem sobie pozwolić. Na to nie mogli sobie pozwolić również oni.

– Tak, popatrz sobie. – Podąłem jej papier.

– Nie umiem czytać. – Wzięła pismo i popatrzyła na mnie z urazą.

– To się naucz – odparłem i zacząłem kroić kolejny kawałek mięsa na cienkie plasterki.

Głodny już dawno nie byłem, ale wydawało mi się, że rozsądnie będzie najść się na zapas. Fresz przyjrzała się Łasicy i Liamie, której w końcu podała wiadomość.

Długo jeszcze po nastaniu świtu pod nisko sunącymi chmurami panowała ciemność. Zauważyłem, że dwie niewielkie lampy olejowe oświetlają pomieszczenie o wiele lepiej niż dziesięć tysięcy świec rozświetla wielką salę. Kolejne małe ulepszenie magiczne, które miejscowi uważali za normalne.

– Nie mogę ręczyć za swoich ludzi, oferują za dużo miodu. Przyjdź, kiedy sytuacja się uspokoi, wyrównamy rachunki – przeczytała Liama na głos. – Co to znaczy? – Popatrzyła na mnie.

– To znaczy, że pan Brahm nie może pomóc, bo nie może polegać na swoich podwładnych, ze względu na nagrodę wyznaczoną za pana Koniasza – wyjaśnił Łasica. – Dlaczego uważa pan to za dobrą wiadomość? – teraz on zapytał.

– To znaczy, że na Brahmie mogę polegać i pozostaje tylko jeden kandydat na człowieka, który zamówił u Lumbiego moje zabójstwo. Zanim dojechalismy do zamku, powiedział, że do tego, żeby mnie odszukać i zabić, namówił go człowiek, który miał coś wspólnego z naszym handlem wymiennym. Księgi za miecz. A to mógł być albo Schantil, bo u niego przechowywałem miecz, a poza tym wiedział, co chcę z nim zrobić, albo Brahm. To on pośredniczył w kontaktach z Lumbim.

– W czym nam pomoże fakt, że mamy o jednego sprzymierzeńca mniej? – nie

pojmwowała Liama i znów spojrzała na mnie tym szczególnym spojrzeniem, które mnie denerwowało.

– Wiem, kto jest moim nieprzyjacielem, wiem, przeciw komu mam wystąpić. Schantil dobrze mnie zna, zrobi wszystko, żeby uratować życie. A ja mu zaoferuję interes. Albo pomoże mnie i pani ludziom, albo nakarmię go jego własnymi jądrami, a potem powieszę na kiszkach. Będzie wiedział, że nie żartuję.

Pan Łasica zrobił poważną minę, Fresz pełną żądy zemsty, a Liama zszokowaną.

– Niech mnie pan do niego przerzuci – zwróciłem się do Łasicy. – Nie mogę się teraz pokazywać na ulicach.

– Jak? Na pewno będzie miał wokół siebie całą armię – zauważył.

To prawda. Dopóki nie znajdą mojego trupa, będzie się bał pójść bez ochroniarzy nawet do kibla.

– Znam jego przyzwyczajenia, jego dom i jego samego też dobrze znam. To nie będzie taki twardy orzech do zgryzienia. Wystarczy, jeśli dostawi mnie pan na jego teren.

Kiwnął głową.

Na chwilę wszyscy zamilkli, bębnienie kropel w okno brzmiało jak przypomnienie o czasie, który upływał nam wszystkim. Później nadeszła ciemność, ostatnie resztki kruszącego się, sypkiego zbocza nad niezgłębioną przepaścią, chrząszcze z diamentowymi żuwaczkami pozerające moje myśli. Drgnąłem. Ponowne wspomnienie tego okresu, gdy byłem pod wpływem preparatu Dwichera, było przerażające, wystarczyła chwila i zlałem się potem. Wstałem i przeszedłem się po kuchni. Trochę pomogło.

– Zrobię kawę – zaoferowała się Liama.

Wstrzymałem ją gestem i zabrałem się do tego sam.

Nieustannie musiałem coś robić albo chociaż o czymś rozmyślać. W chwilach odpoczynku ciągle wracały do mnie wspomnienia z tego czasu, gdy byłem pod wpływem czaru. Miałem uczucie, że gdyby trwały zbyt długo, zwariowałbym. Miałem nadzieję, że z czasem to minie.

Tym razem wybrałem sposób przyrządzania kawy praktykowany na południu. Do niewielkiej ilości wody sypie się dużo kawy i gotuje gęstą jak kasza mieszankę tak długo, aż zacznie się wspinać po ściankach garnka. Wymagało to skupienia, pewnej ręki i dobrego wyczucia chwili, o ile kawa miała być doskonała. A ta była, pochwalilem się w duchu, popijając napar w towarzystwie pozostałych.

– Ludzie Schantila zawsze kupują żywność raz na tydzień u tego samego człowieka w mieście. Bo tak im łatwiej – zacząłem wyjaśniać mój plan, który sam mi się pojawił w

głowie. – Kilka razy doręczyłem w ten sposób wiadomość dla Schantila. Wóz jego ludzi zajeżdża na podwórze handlarza, przez chwilę się dogadują co za ile i zaczynają ładować. Zawsze kręci się w pobliżu kilku innych kupujących. A ze względu na blokadę miasta będzie tam dziś na pewno większy ruch niż zwykle.

– Jak się tam dostaniecie? Nikt nie może was zobaczyć! – powiedziała szybko Liama.
– Każdego wysokiego podejrzewają, że jest panem.

Na miejsce musiałem się dostać teraz, a nie w nocy. Spojrzałem na pana Łasicę.

– Ta dwukółka, w której chcieli panią odwieźć – załatwił problem w mgnieniu oka i popatrzył na Liamę. Szybki plan, dobry plan. Czasem się to sprawdza, czasem nie.

Prędko dopiłem swoją kawę, parząc sobie usta, do których wepchnąłem kilka kawałków twardych piernikowych placuszków, które znalazły się na stole nie wiadomo skąd, i obaj z Łasicą wyszliśmy na podwórze. Wkrótce potem leżałem już w drewnianej skrzyni, podskakując na nierównym bruku. Skrzynia była kiepsko wykonana i przeciekała. Z drugiej jednak strony, miałem świeże powietrze. Stale lało i z powodu bębnienia kropel o wieko nie słyszałem nic z rozmów prowadzonych w pobliżu. Łasica stawał to tu, to tam i gawędził z jakimiś ludźmi.

Skrzynia nareszcie się otworzyła.

– Jesteśmy na miejscu – usłyszałem syknięcie. – Wziąłbym jeszcze worek ziemniaków, jak dam radę go zabrać – krzyknął do kogoś z tyłu.

Stanął blisko tylnej części wozu nakrytego plandeką, pozostało mi tylko przeleźć.

– Momencik, ktoś idzie – zatrzymał mnie, z długiego rękawa jego płaszcza przeciwdeszczowego wystawał czubek sztyletu.

W słabym świetle wstającego dnia, pod pokrywą ołowianych chmur, nikt nie zauważyłby broni, gdyby nie wiedział, gdzie została ukryta. Używa sztyletu, nie noża, dobrze wiedzieć.

– Teraz, tylko szybko – ponaglił mnie.

Wsparłem się o krawędź skrzyni, wyskoczyłem na zewnątrz, obiema nogami odbiłem się od ziemi i wpadłem do wozu. Wylądowałem miękko w środku kupy jarzyn. Seler, marchew, pietruszka, Schantil starał się żyć zdrowo, albo raczej skupywał wszystko, co jeszcze w Krachtiburgu można było dostać.

– Pomogę panu, szybciej to pójdzie – usłyszałem pana Łasicę. – Też chcę kupić, dopóki jeszcze został jakiś towar.

Na moich nogach wylądował ciężki worek z kartoflami. Mój towarzysz dobrze się spisał, potrafił szybko reagować na każdą sytuację i obrócić ją na swoją korzyść. Więcej od

niego nie mogłem wymagać.

Leżałem obłożony prowiantem, przez plandekę przeciekała woda, jechałem sam naprzeciw armii Schantila i czułem się dobrze. W myślach podzieliłem jego dom na części, które znałem, i te, w których nigdy nie byłem. Starłem się wyobrazić sobie wygląd tych nieznanych pomieszczeń. Ilu ludzi do swojej ochrony wynajął Schantil po tym, jak próbował mnie zabić? I dlaczego to w ogóle zrobił? Może też maczał palce w najęciu zabójców z Saxpolis, ale ten pomysł odrzuciłem. Nie zdążyłby.

Wszystkie rozmyślania tak mnie zajmowały, że poczułem się znów normalnym człowiekiem. Prawie normalnym. Żadnych wspomnień o rozpadającej się osobowości.

Zatrzymaliśmy się, skrzypienie bramy, wymyślenia służącego na woźnicę, chrzęst żwiru pod kołami, nasilające się bębnienie deszczu, tupot ludzi uciekających pod dach, kilka burzliwych uderzeń ulewy i powolne uspokajanie się pogody.

Wóz stał zwrócony w kierunku domu. Wstałem, na czworakach przelazłem przez worki, odsunąłem płachtę, poprzez kotłowaną drobnych kropel nic nie widziałem. Lepszej aury nie mogłem sobie wymarzyć. W chwilę później kucałem już pod wozem między przednimi kołami.

Ci próżniacy nawet nie wyprzęgli koni, zostawili je na deszczu. Miałem nadzieję, że ochroniarze okażą się tak samo niedbali jak służba.

– Do roboty, cholera! Chcecie, żeby wszystko przemokło? – usłyszałem, kiedy tylko deszcz trochę zelżał.

– Odejdź! My tu pilnujemy! Bóg wie co tam przywieźliście! – Wielkie buciory odsunęły od wozu buty robocze.

– Szef zapyta, czy sprawdziliśmy ładunek.

Słyszałem, jak grzebie w prowiantach i od czasu do czasu nakłuwa któryś z worków.

– W porządku, chłopcy, bierzcie się za to. Poczekajcie jeszcze chwilę. Już nie było mi zimno, już nie trapiły mnie niedobre obrazy. Wspomnienia szaleństwa i jego echa ustąpiły. Powietrze przyjemnie chłodziło płuca, na koniuszkach palców czułem kropelki unoszące się w powietrzu, wilgoć zintensyfikowała zapach koni. Warto żyć. Warto.

Wyślizgnąłem się spod wozu, podążając za dwoma służącymi taszczącymi worki. W jednej ręce nóż do rzucania, w drugiej sztylet. Miecz zostawiłem w pochwie, długa klinga nie była dogodna do zabijania na korytarzach.

Dwójka tragarzy poszła prosto przez duży przedsionek do piwnicy i spiżarni, a ja skręciłem w lewo, wchodząc po trzech schodach do składu drewna, skąd można było przejść wprost do kuchni.

Przy piecu stała stara kobieta, którą pamiętałem z dawien dawna, trzech chłopów rznąło w karty przy stole, przed każdym stał solidny dzbanek, z którego unosiła się para i woń goździków oraz cynamonu. Grzane wino tak wcześnie rano. Pijacy. Napiliśmy się...

Dwa kroki, zanim spostrzegł mnie siedzący przodem do mnie.

– Co to...

Nie dokończył gry, przeszkodził mu w tym nóż w piersi. Zanim uderzył głową o stół, już trzymałem drugiego za włosy, dwójkę treflowych dam i treflowych królów zalała krew. Powinien uważać, mając tak marne karty.

Trzeci odskoczył od stołu, strach w oczach, usta otwarte do krzyku. Na miecz nie było czasu, użyłem magicznej strzały, trafiła go z cichym „plop” i zanim umarł, była już z powrotem na swoim miejscu.

Głucha gospodyni nadal pracowała przy krojeniu warzyw. Było ich mnóstwo, powinno jej to zająć sporo czasu. Rozejrzałem się i zobaczyłem klapę w podłodze. Schantil opowiadał mi kiedyś, że lód wytrzymuje mu w lodowni aż do lipca. Poszło łatwo, jednego po drugim przywlokłem do klapy i zrzuciłem w ciemność, z której wiało chłodem. Jeszcze krew. Wytarłem stół jedną z licznych ścierek wiszących na wieszaku i było po wszystkim. Kuchnia jak cacko. Kobieta dalej kroїła warzywa. Po cóż miałbym jej przeszkadzać?

Wszedłem na schody, domyślając się, że kolejni strażnicy będą stali albo między piętrami, albo przed schodami, w hali oddzielającej część handlową i prywatną od reszty rezydencji. Schody trzeszczały jak prawie każde schody. Wchodziłem jak najostrożniej, z plecami przy ścianie.

Na podeście między piętrami nikogo nie było. Wyżej posuwałem się na czworakach, a po ostatnich stopniach wręcz pełzałem, żeby jak najdłużej pozostać w ukryciu. Znudzony strażnik przechadzał się w tę i z powrotem, za każdym razem zatrzymując się przy oknie i wyglądając na padający deszcz. To okno już od dawna było wypaczone i nie dawało się dokładnie zamknąć. Sknera, jakim był Schantil, nie kazał go jeszcze naprawić. Osiem kroków tam, dziewięć z powrotem, pięć oddechów w zamyśleniu i widok na deszcz. Koleś różnił się od tych trzech na dole, raczej awanturników niż profesjonalistów. U pasa wisiał mu miecz, ubrany był w długą kolczugę, sięgającą do połowy ud, wysokie buty. Z lewej cholewy wystawała rękojeść z drzewa orzechowego, ukształtowana tak, aby dobrze leżała w dłoni. Osiem kroków, dziewięć, osiem, obrót, przy trzecim kroku wstałem, wstrzymując oddech, przy piątym powoli wyszedłem z klatki schodowej. Bez pośpiechu, płynnie, żeby się nie odwrócił. Przy siódmym kroku zmienił rytm, zaczął odwracać się na czubku buta. Skoczyłem, złapałem go za prawą rękę w chwili, gdy obejmował rękojeść sztyletu, a równocześnie

uderzyłem ramieniem z całej siły. Ani za wysoko, ani za nisko. Chciał walczyć, ale czegoś takiego nie przewidział. Masa mego ciała i szybkość, jakiej nabrałem w doskoku, spowodowały, że uderzył w okno, które się otworzyło, a on wypadł na zewnątrz. Nawet nie ryknął, spadając. Wychyliłem się, chcąc rzucić w niego nożem, ale leżał spokojnie sześć metrów niżej z głową w kałuży i nie wyglądało na to, żeby mu to przeszkadzało. Wobec tego zamknąłem okno.

To już czterech. W ogrodzie patrolowali oczywiście inni, ale przy odrobinie szczęścia nikt go nie zauważy jeszcze przez jakiś czas. Ilu będzie w przedpokoju? Do gabinetu Schantil nikogo nie wpuści. Przy załatwianiu interesów i negocjowaniu z klientami lubił prywatność. Jeden? Nie, raczej dwóch, po jednym z każdej strony, żeby było symetrycznie.

Zatrzymałem się przed dwuskrzydłowymi drzwiami. Otwierały się do środka. Szkoda, nie mogłem wejść niepostrzeżenie. Zamknąłem oczy, dobyłem miecza i zacząłem oddychać tak, żeby nie słyszeć dźwięku powietrza wpadającego do płuc. Cisza, niecałkowita wprawdzie, odgłos na granicy słyszalności, nic pewnego. Jednego byłem już pewny. Byli tam, więcej niż jeden. Wdech, kopnąłem pod klamkę, drewno pękło, drzwi otworzyły się szeroko. Wszedłem do środka z mieczem trzymanym oburącz. Chłop w pstrym kabacie i kapeluszu na głowie, z mieczem w ręce, już na mnie ruszył. Klingi zetknęły się, gdy sparował moje cięcie z dołu, ale było ono tylko fintą. Zanim zdążył zaatakować, głęboka rana w szyi pozbawiła go życia. Dwie ręce zawsze są szybsze od jednej. Obróciłem się w kierunku zadanego cięcia, padając równocześnie na kolano. Drugi był przygotowany lepiej, niż przypuszczałem, jego pchnięcie podbiłem ponad ramię w ostatniej chwili. Odbiłem się zakroczną nogą i z niskiej pozycji pchnąłem go w udo pod skraj kolczugi, a później pociągnąłem miecz do góry, rozcinając mu mięśnie aż do kroku. Pochylił się i odsłonił kark. Klinga świsnęła, głowa zadudniła po podłodze. To nie miało znaczenia, trzask wyważanych drzwi Schantil usłyszał na pewno, chyba że był całkowicie pochłonięty pracą.

Stanąłem i przez chwilę łapałem oddech, deszcz nadal bębnił w okna. Lubię deszcz, właściwie lubię też słońce, wiatr, burzę. Lubię życie. Za sobą zostawiłem sześciu martwych ludzi. Stanęli mi na drodze, a wykonywali tylko swoje obowiązki. Niedobrze. Lubię życie.

Wszedłem bez pukania, krew skapywała z miecza na dywan. Dopiero teraz poczułem ból w szczęce. A więc nie podbiłem tego pchnięcia całkowicie.

– Dobrego dnia ci życzyć nie będę – pozdrowiłem Schantila.

Siedział za stołem nad księgami i pismami od swoich partnerów, z piórem w ręce, jego twarz wyglądała jak twarz człowieka umierającego. Prawidłowo.

– Ty? – udało mu się powiedzieć.

– Ilu ludzi nająłeś do ochrony? – zapytałem. Usiadłem na stole, celowo rozlewając atrament na jego wykazy. Tylko stęknął. Musiałem wyprowadzić go z równowagi, szybko zmusić do myślenia o swoim losie.

– Trzy zmiany po siedmiu ludzi na każdej. Jeden pilnuje ogrodu, trzech parteru, a trzech jest tu na górze.

– Było – poprawiłem go. – Czy możesz tego jednego z ogrodu jakoś zawołać do środka?

– Mogę kogoś po niego posłać.

– Więc zrób to. Ale najpierw wciągniemy zwłoki do twojego pokoju.

– Nie – chciał zaprotestować.

Popatrzyłem na niego i zamilkł. Pozwoliłem mu trudzić się z jeszcze krwawiącymi trupami, które musiał położyć na własnym łóżku. Bładł przy tym i łapał się za serce. Nie chciałem, żeby umarł na zawał, więc w końcu mu pomogłem.

– Jeszcze dywan – przypomniałem.

Razem go zwinęliśmy. Grube, luksusowe dywany mają tę zaletę, że nie przesiąka przez nie nawet dwa razy po siedem litrów krwi.

– No a teraz zawołaj tego chłopca, który pilnuje frontowego ogrodu, i powiedz swojemu asystentowi, żeby do tych pozostałych wysłał należność za kolejne dwa dni i wiadomość, że już nie muszą przychodzić do roboty. Niebezpieczeństwo minęło. Tak mu powiesz, gdyby był za bardzo ciekawy.

Wahał się, dobrze wiedział, że później będzie zupełnie zdany na moją łaskę. Podszedłem do barowego stolika dla klientów i ściągnąłem z niego obrus. Luksusowy, ozdobiony koronkami, musiał kosztować majątek, choć może nie zawrotny. Do oczyszczenia klingi nadał się doskonale. To definitywnie załamało Schantila.

W momencie gdy nadszedł wezwany dzwonkiem asystent, stałem w kącie schowany za szafą, a kiedy później zjawił się ostatni ze strażników, opierałem się o biblioteczkę i przeglądałem zasady prawa handlowego jednego z maleńkich państweczek leżących na zachodnim wybrzeżu. Schantil niczego nie lekceważył, starał się wykonywać swoją pracę najlepiej jak mógł.

– Gdzie Vakez i Hersvi? – chciał wiedzieć ochroniarz. Kapelusz miał przemoczony, na lśniącem parkiecie zostawały za nim kałuże wody. Schantil tylko wytrzeszczał na niego oczy.

– A Bruce? Gdzie oni wszyscy są, do cholery?! – irytował się dalej i rzucił na mnie krótkie spojrzenie.

Włożyłem książkę na miejsce. Mogłaby ulec uszkodzeniu.

– Nie żyją – oznajmiłem.

Myślał wolno. Na początku zrobił niepewną minę, później podejrzliwą, aż wreszcie dotarło to do niego.

– Ty! – Wyciągnął miecz.

Należał do tych tańszych i nie bardzo umiał obchodzić się z bronią. Nie pojmowałem, jak mógł myśleć, że mnie dostanie, jeśli właśnie zabiłem jego kamratów, choć trzech z nich byli o wiele lepiej od niego wyszkoleni. Ruszył ku mnie, zamachnął się, a później z osłupieniem obserwował sztylet, który wbiłem mu w pierś. Powoli położył mi na ramieniu rękę z mieczem, który po chwili zabrzączał na podłodze za moimi plecami.

– Nie wiedziałem, że ktoś może być taki szybki – powiedział i umarł.

Nie miałem zamiaru go zabijać, był ostatnim ze strażników, wystarczyło zamknąć go w jakiejś piwnicy, dwa dni by wytrzymał. Za błędy się płaci.

– Najpilniejsze sprawy zostały załatwione – zwróciłem się do Schantila. – Przejdźmy do interesów i związanych z nimi pytań. Najpierw wyjaśnij mi, dlaczego chciałeś mnie zabić i dlaczego wybrałeś do tego taki podły sposób, jak napuszczenie na mnie Lumbiego. Zadowolająca odpowiedź jest warunkiem koniecznym do kontynuowania rozmowy.

Schantil siedział w fotelu jak skołowaciały i ciężko oddychał. Strach dusił go jak stukilogramowy ciężar złożony na piersi. Nalałem do szklanki wody z karafki i postawiłem przed nim. Wypił ją bez protestu.

– Z powodu interesów – wyrzucił. – Zarządzam dla ciebie ogromnym kapitałem. Trzy czwarte z tego, czym operuję, należy do ciebie! – prawie mnie oskarżał. – Zawsze inwestowałem go jak najlepiej, twoje zyski zawsze były wyższe niż u konkurencji.

– Chciałeś przywłaszczyć sobie te pieniądze? – przerwałem mu zaskoczony.

Schantil był bardzo bogaty i nadal się bogacił. Jego talenty powodowały, że nic nie mogło wstrzymać tego procesu.

Nie rozumiałem zupełnie, jak pieniądze stały się dla niego pokusą, nawet gdyby było ich dużo.

– Nie – pokręcił głową, patrząc przy tym na karafkę z winem.

Podaliśmy mu ją, a on sobie nalał.

– Nie pragnąłem ich dla siebie, chciałem nimi tylko obracać, żeby zarabiała. Twoje ostatnie decyzje były nietrafne, zamroziłyby kapitał na całe lata. Ja chciałem, żeby był w obiegu, żeby pracował! Tak powinno być!

Na chwilę zapomniał o strachu, mówił z przekonaniem i żywo gestykulował. Nie chciał pieniędzy, tylko obrotu nimi, zrozumiałem.

– Nie pozwalałeś się przekonać. Spać przez to nie mogłem, męczyło mnie wyobrażanie sobie, ile możliwości marnuję, ilu intratnych kontraktów nie mogę zawrzeć. W końcu zdecydowałem się ciebie zabić.

Ostatnie słowo wyszeptał.

– A dlaczego rękami Lumbiego?

– On był moją ostatnią szansą, nie wiedziałem, jak sobie poradzić. Gdy mi po raz pierwszy wyjaśniłeś, czego ode mnie żadasz, posłałem po zabójców do Saxpolis. Oferowałem dwadzieścia tysięcy. Jednego zabiłeś, a drugi zniknął, jak się później dowiedziałem.

Mówił monotonna, jak człowiek, który oczekuje, że wkrótce zostanie za swe błędy stracony.

– Nie mogłeś zdążyć. – Nie wierzyłem, że zdołałby ściągnąć w tak krótkim czasie dwóch najemnych zabójców aż z głównego miasta imperium. – Musieli mnie odnaleźć, a ja byłem tu zaledwie cztery dni.

– Mogłem. – Wzruszył ramionami. – W interesach szybkość jest równoważna z zyskiem, czasem wielokrotnym. Stworzyłem prywatną linię kurierską ze stacjami konnymi po drodze. A jeździec w siodle zmieniający konie jest o wiele szybszy. Koszty za to przedsięwzięcie zwróciły mi się praktycznie natychmiast, a później już tylko zarabiałem.

– Jeśli zaoferowałeś im swoje konie, to pokazałeś na siebie palcem – zauważyłem.

Odpowiadał natychmiast, obawiając się mojej reakcji na milczenie. Pogodził się z losem, zrezygnował.

– Załatwiłem to przez pośrednika. Człowieka, który pasożytuje na kurierach, nie domyślając się, że wiem o tym. Nie miał pojęcia, że w tym przypadku pracuje dla mnie, i zrobił wszystko, żeby przejazd tych dwóch zachować w tajemnicy.

Schantil był utalentowany bardziej wszechstronnie, niż do tej pory przypuszczałem. Może tak musiało być, skoro cieszył się takimi sukcesami w interesach.

– Zawołaj służącego, uspokój go, że wszystko wróciło do normy. I daj im coś do roboty, żeby na chwilę wyszli z domu – zażądałem. – Jednego służącego zostaw, gdyby i on odszedł, mogłoby to wzbudzić podejrzenia. Zostaw też dwóch, trzech swoich gońców.

Przez chwilę myślałem, co jeszcze powinienem zarządzić.

– Powiedz też, że oczekujesz wizyty człowieka, który chce pomówić o handlu szybko psującym się towarem. Niech go bezzwłocznie zaprowadzą na górę.

Schantil uznał, że to ostatnie chwile jego życia. Zaczęły mu się trząść ręce i krew odpłynęła z twarzy. Nalałem mu solidną porcję alkoholu i zmusiłem, żeby wypił jednym haustem. To mu pomogło.

Przeszedłem do prywatnego gabinetu kupca, zlecając, żeby został na miejscu przeznaczonym do rozmów z klientami. Drzwi zostawiłem otwarte, ale zasłoniłem okna i nie zapalałem żadnej lampy. Dzięki temu siedziałem w mroku i nawet gdyby ktoś mnie przypadkiem dostrzegł, zauważyłby tylko zarys postaci. Za to ja widok miałem dobry. Schantil przydzielił zadania personelowi sprawniej, niż oczekiwałem. Ledwie skończył, pojawił się zgodnie z planem pan Łasica. Czas wybrał znakomicie.

Rozejrzał się, zanim wszedł do środka, podejrzliwie przyjrzał się gołemu parkietowi pod nogami i wszedł. Głęboko odetchnął, zapach, jaki poczuł, wyraźnie nie przypadł mu do gustu. Wyszedłem z ukrycia.

– Więc udało się panu. Spokój na wszystkich ścieżkach – skonstatował, gdy mnie spostrzegł.

– Trzeba usunąć jedne zwłoki z ogrodu. Pod oknem, koło którego przechodził pan po schodach. A w lodowni jest kolejnych trzech. Mogą tam zostać, ale trzeba załatwić to tak, żeby nikt ich przez dzień czy dwa nie znalazł.

– Nie ma problemu – kiwnął głową.

– Coś dobrego do jedzenia, najlepsze wino z twoich mizernych zapasów – powiedziałem do Schantila. – Czeka nas długa noc.

Podczas bytności służącego pozostawałem w ukryciu w gabinecie. Łasica, grając rolę handlarza łatwo psującym się towarem, siedział spokojnie w fotelu.

Drugą szklankę Schantil nalał sobie sam i mimo że była tylko w połowie napełniona, solidnie pochłapał przy tym stół. Obserwowałem, jak popija małymi łyżkami, i starałem się go ocenić. Stał się nałogowym graczem, uzależnionym od zarabiania pieniędzy poprzez spekulacje i machinacje. Nie chodziło mu o pieniądze, ale o samą grę. Stała mu się tak droga, że nie mógł się bez niej obejść, i dlatego nie można mu było zawierzyć, jak zresztą każdemu innemu narkomanowi.

– Idę załatwić się z tym trupem na zewnątrz i zaraz wracam – oznajmił pan Łasica i zbiegł po schodach na dół.

– Potrzebuję łodzi – oznajmiłem Schantilowi.

– Łodzi? Znajdujemy się wewnątrz kraju! Najbliższa przystań jest na brzegu Jeziora Brunatnego, a to jezioro wewnętrzne! – nie pojmował.

– Potrzebuję łodzi rybaków z bagien. Tych długich, smukłych, chwiejnych czółen o małym zanurzeniu, które łatwo przepłyną przez trzciny. Wszystkie, jakie są, i to szybko. I we właściwym miejscu – uściśliłem.

Czekał, co będzie dalej.

– Jeśli dostanę je w ciągu jednego dnia, pozostawię cię przy życiu.

Nadzieja targnęła nim jak uderzenie młotem. Po rezygnacji i pogodzeniu się z losem jego reakcja wydawała się jeszcze mocniejsza. Właśnie tak to zaplanowałem.

– Dlaczego miałbym ci ufać? – zapytał z przesadną obojętnością.

Bardzo chciał, żebym go przekonał, a on mógłby uwierzyć, że mówię prawdę.

– Nigdy cię nie okłamywałem.

– Ale teraz możesz, po tym jak próbowałem cię zabić.

– Mógłbym – zgodziłem się. – Ale nie robię tego, co niepotrzebne.

– Nie możesz mi już ufać.

Analizował swoją sytuację tak samo jak przy prowadzeniu interesów.

– Myślę, że będę w stanie ci zaufać. Poluje na mnie cesarz, Konwent, Varatchi... właściwie to jedno i to samo. Jeśli mi pomożesz, będziemy jechać na jednym wózku. Jeżeli mnie złapią, dlatego że mnie wydasz czy z innego powodu, postaram się opowiedzieć im mnóstwo rzeczy. O tobie.

– I wtedy zgładzą mnie razem z tobą – natychmiast pojął moją wypowiedź. – Nawet jeśli cię nie zdradzę, później i tak dowiedzą się, kto ci pomógł. Nie mam zbyt wielu szans.

Tę uwagę zostawiłem bez odpowiedzi. On też nie dał mi wielu szans.

– Masz u mnie duży dług. – Wzruszyłem ramionami, oglądając się za oczekiwany jedzeniem i piciem.

Znów byłem głodny. Po dniach spędzonych na bagnach ciągle nie mogłem najeść się do syta. Napelniałem wprawdzie żołądek aż do granicy pęknięcia, ale dla ciała było tego wciąż za mało.

– Czy możesz tak to rozegrać, żeby żadne ślady nie prowadziły do mnie? Chyba dasz radę.

Milczał, zastanawiał się.

– Jeśli przeżyjesz, pozwolę ci obracać moimi pieniędzmi.

Dosłownie jęknął z pełnym entuzjazmu zaskoczeniem.

– Ale teraz żądam większych zysków, o osiem procent wyższych niż dotąd. Wszystkie interesy muszą być załatwiane szybko, żeby można było w przypadku wojny przetransferować złoto do innych banków.

– To niemożliwe, już i tak poruszałem się na granicy dopuszczalnego ryzyka!

Uśmiechnąłem się, choć nikt nie nazwałby uśmiechem mojego wyrazu twarzy. Były na niej widoczne minione lata i usiłowania ludzi, którzy starali się ją rozbić. Schantil odchylił się w fotelu, jakby oczekując natychmiastowej śmierci. Siła osobowości, siła uśmiechu.

– Jeśli nie będziesz zarabiał dla mnie tyle, ile żądam, pewnego dnia wrócę i nakarmię cię twoimi własnymi jajami. Twój ludzie nie zdołali mnie zabić, Lumbi nie zdołał, a i cesarz też nie da rady. Wrócę, wiesz przecież, że nigdy cię nie okłamywałem.

Strach mieszał się w nim z ostrożnością i, co ciekawe, z pożądlivością.

– Czy ty ogóle jesteś człowiekiem? – westchnął.

Nie odpowiedziałem, patrzyłem tylko, jak owa pożądlivość i podniecenie wyzwaniem zaczynają brać w nim górę.

– Wezmę się za to, dam sobie radę! Jestem najlepszym handlowcem na świecie, potrafię załatwić wszystko i na wszystkim zarobić! – powołał się na fundament swego życia.

– Zdobędę te łodzie, nikt mnie nie powstrzyma, a później będę odkładał dla ciebie żądane procenty.

– Umowa stoi. – Wzruszyłem ramionami.

Jak na zawołanie rozległo się stukanie do drzwi, schowałem się znowu do ciemnego gabinetu. Weszła służąca z tacą pełną jedzenia, za nią podczaszy z butelkami wina i piwa. Pochód zamykał pan Łasica.

– Muszę jak najszybciej porozmawiać z wieloma ludźmi, panowie – zabrał głos Schantil, gdy zostaliśmy sami.

Ciągle jeszcze był pełen obaw, ale i wiele pewniejszy niż przedtem.

– A nie chciałbyś pozwolić sobie na krótką zwłokę i coś zjeść?

– Może pan zacząć bez śniadania, nam to nie będzie przeszkadzało – oświadczył pan Łasica. – Wyniesiemy to stąd gdzieś indziej.

Wkrótce siedzieliśmy za stołem, usunąwszy z niego najpierw wszystkie rachunki, umowy i inne dokumenty, opychaliśmy się mięsem, tłustymi pierogami, słodkimi plackami i obserwowali, jak Schantil goni swoich ludzi do roboty. Przypominał pająka tkwiącego w środku wielkiej sieci, do którego zbiegają się wszystkie nitki. Błyskawicznie zatrudnił wszystkich swych gońców, potem asystentów i wkrótce negocjował z ludźmi, których nigdy nie widziałem w jego otoczeniu, spekulował towarami zupełnie niezwiązanymi z tematem – od gliny garncarskiej poprzez zboże do marmuru na wykładziny ścienne. Gdzieś pośród tego wszystkiego plątały się inne niezwiązane z niczym pozycje, jak maty trzcinowe, ryby, harpuny i... czółna rybackie. Operował na wielką skalę, tysiące i dziesiątki tysięcy złotych odmieniane były na wszystkie sposoby. Z pasją zapisywał na papierze sumy, błyskawicznie je od siebie odejmował, dodawał i zmieniał z pomocą współczynników, które brał z własnoręcznie sporządzonego notatnika handlowego. To, co najważniejsze, partytura kompozytora-finansisty tworzyła się jednak w jego głowie. Stopniowo zaczynałem rozumieć,

o co mu chodzi. Używał ogromnej wiedzy, nabywanej przez całe życie, doświadczenia i intuicji, celem analizy ekonomiki całego Krachtiburga i okolicy.

– Kupować złoto? Teraz, kiedy jest tak drogie? – oponował przeciw jego zaleceniom jeden z klientów. – Nawet w kramach złotników?

– Tak, wszystko – powtarzał uparcie Schantil. – Niech pan się spieszy. Po południu obniżę prowizję.

– Będzie pan miał stratę.

– Ale pan nie. Pański zysk zależy od ilości zakupionego przez pana złota, w granicach sumy, jaką ma pan do dyspozycji. A ceny rosną, niech pan o tym nie zapomina.

To wystarczyło, żeby mężczyzna dosłownie wybiegł.

Ugryzłem kawałek udźca indyczego. Kucharz dobrze się spisał. Albo mięso zostało przyprawione sosem orzechowym, albo ptak tuczył się na specjalnej diecie.

– Co pan zrobił z trupami w lodziarni? – zapytałem, jako że pan Łasica uporał się ze swym niełatwym zadaniem nieoczekiwanie szybko.

– Zabiłem klapę gwoździami, łebki odciąłem i zamazałem brudem. Gospodyni wyjaśniłem z wielkim trudem, bo jest głucha jak pień, że na dole są szczury i żeby tam nie wchodziła, dopóki nie wrócę. Powiedziałem jej, że Schantil najął mnie do tego.

Proste i zadowalające rozwiązanie, kiwnąłem głową z uznaniem.

– O jedenastej zacznie pan wyprzedaż naszych rezerw złota – usłyszałem głos Schantila. – Klienci zjawiają się już wcześniej, ale do tej pory będzie pan robił odwrotnie, będzie pan chciał kupować. Na niby.

Ten człowiek był starszy niż jego poprzednicy i albo znał Schantila tak dobrze, że wierzył jego ocenie sytuacji, albo było mu wszystko jedno.

– A co mam brać w zamian za złoto? Weksle? Czeki? Gotówkę?

– Towary. – Schantil pokręcił głową. – I niech je szybko wysyłają do magazynu.

Nie byłem handlowcem, ale zdawałem sobie sprawę z nieuniknionego chaosu, jaki powstanie w wyniku tych posunięć. Osławiona giełda krachtiburska będzie musiała zadać sobie mnóstwo trudu, żeby to przetrwać.

– Myślę, że przed nim już nie ma drogi powrotnej – zwróciłem się półgłosem do pana Łasicy. – Z tego wszystkiego się nie wyplącze, nawet gdyby chciał. Będzie musiał doprowadzić sprawę do końca.

Po długim śniadaniu, połączonym z wczesnym obiadem, Łasica odszedł załatwiać inne sprawy, a ja zostałem sam. W którejś z krótkich chwil, kiedy Schantil z nikim nie rozmawiał, wręczyłem mu papier z dalszymi żądaniami. Później w gabinecie studiowałem mapę

Krachtiburga i moje dokładne mapy Brunatnych Bagien. Nie wiedziałem, ile czasu zostawią nam Varatchi i Konwent. Miałem nadzieję, że dwa dni. Trzy, byłoby znakomicie. W to jednak nie wierzyłem i koncentrowałem się na wbiciu sobie do głowy jak największej ilości szczegółów, które mogły się w przyszłości przydać.

Po południu chmury zniżyły się jeszcze bardziej, a ja zacząłem przygotowywać się do odejścia, żeby korzystając z ciemności, wrócić do czworoboku i pomóc Liamie w ewakuacji. Jeśli nie znajdę ich w pełnej gotowości, to i tak już niewielkie szanse jej ludzi jeszcze się pomniejszą.

Spróbowałem wyłączyć się na chwilę, zatrzymać myśli tłoczące się uporczywie do głowy, żeby chociaż na moment odpocząć i poszukać innego, łatwiejszego sposobu ratunku, który być może przeoczyłem.

Nagle przestałem mieć świadomość tego, kim jestem, czym jestem, stałem w pustce, a pod nogami znikwały resztki piasku dzielącego mnie od upadku w wieczną nicość. Uratował mnie ból. Ścisnąłem blat stołu tak silnie, że połamałem sobie paznokcie i koniuszki palców zaczęły krwawić. Właściwie nie tyle uratował, co przebudził. Zasnąłem i koszmarne wspomnienia znów wróciły. Oddychałem jak po długim biegu, ręce mi się trzęsły, na potylicy i czole czułem zimny pot. Miałem nadzieję, że po jakimś czasie koszmary nie będą mnie nawiedzać tak często. Wolałbym już nie spać w ogóle.

EXODUS

Za oknami praktycznie było już ciemno. Dzięki niskim chmurom i nieustannie padającemu deszczowi noc zapadła wcześniej. Właśnie to było mi potrzebne. Podniosłem kołnierz kurtki, kapelusz nasunąłem na czoło, bez pożegnania przeszedłem koło Schantila i opuściłem jego dom. Poświęcił mi raczej symboliczne machnięcie ręką, podpuchniętymi oczami studiował jakieś bazygroły leżące przed nim na stole. Każdy robi to, co do niego należy.

Na zewnątrz krople deszczu zaczęły natychmiast bębnić po rondzie kapelusza, a zimne powietrze pomogło mi przestać myśleć o budzącym grozę koszmarze sennym. Szedłem szybko, przechodniów omijałem z dużym wyprzedzeniem, aby się z nimi nie zderzyć. Większość lamp już zgasła. Dla nich też było za dużo wody w powietrzu albo latarnicy zdecydowali, że w taką pogodę uczciwi ludzie siedzą w domu, a nieuczciwi nie zasługują na to, aby z ich powodu moknąć. Słuszny pogląd.

Dotarłem do czworoboku Liamy. Wszędzie było ciemno, z wewnętrznego podwórza dobiegały głosy kilku ludzi, niezrozumiałe z powodu szumu deszczu. Zainstalowana za dnia platforma ładunkowa, służąca do transportu dużych przedmiotów z czworoboku na zewnątrz, podciągnięta była do góry. Ściekały z niej z pluskiem strugi wody. Zastukałem do drzwi, prawie natychmiast otworzyła mi stara Rosemary i od razu usłyszałem gwar ożywionej dyskusji trwającej wewnątrz. Zapewne w kuchni.

– Ja znam bagna – wykrzykiwał ktoś. – To prawda, że zdołam dostać się daleko kanałami, ale na drugi brzeg nie trafię nawet przez przypadek. Utkniemy gdzieś pośrodku! To czółna rybackie, wąskie, o małej ładowności. Nie nadają się do przeprowadzki!

– Chyba wymyśliłaś to wszystko po to, żeby nas stąd usunąć i zagrabić nasz majątek!

Stałem w drzwiach i odetchnąłem nieświeżym powietrzem wydychanym przez innych. Człowieka dyskutującego z Liamą dotąd nie widziałem albo nie zapamiętałem. Starostowie przyszli wszyscy, był nawet Każewicz. Wyglądali na zirytowanych i zasepionych, wystarczył rzut oka, żeby stwierdzić, że wszyscy są przeciw Liamie. Czekałem, aż mnie dostrzegą. Jeden z nich zwrócił na mnie oczy i zastygł nagle. Dyskusja cichła, jeden po drugim spoglądali na mnie ze strachem i nienawiścią. Wrogość wobec Liamy przenosiła się na mnie, to ja byłem tym złym człowiekiem, który przyniósł im przeciwności losu, strach przed zmianami i niebezpieczeństwo. Przynajmniej tak to odczuwali.

– Miałem nadzieję, że łodzie będą już załadowane, a wy przygotowani do wyruszenia o pierwszym brzasku – powiedziałem cicho. – Wszyscy, którzy się w nich mieszczą. Pozostali umrą tutaj.

W korytarzu pojawił się ktoś nadchodzący z zewnątrz. Sądząc ze sposobu poruszania się, był to pan Łasica.

– Łodzi mamy dosyć, nasz dostawca dobrze się spisał. Słuch musiał mieć czuły jak ryś, mówiłem prawie szeptem.

– Nie popłyniemy, nie na tych łodziach – powiedział z uporem niski, brodaty mężczyzna.

Kilku pozostałych równocześnie kiwnęło głowami.

– To bardzo głupio z waszej strony. – Wzruszyłem ramionami.

Znów szeptałem, zmuszając ich do zachowania ciszy.

– Ktoś na was poluje, ktoś poluje na waszą krew, na wasze życie. Nie jesteście dla niego ludźmi, tylko środkiem do osiągnięcia magii, surowcem przeznaczonym do zużycia.

Milczeli. Nie rozumiałem ich.

– Czyżbyście nie słyszeli, co mówił jeniec? Prześladowca stopniowo wszystkich was zameczy, wypije waszą krew, zje wasze ciała i kości przemielone na proch! Czy jesteście takimi głupcami?

Podniosłem głos aż do krzyku.

– Nie są głupi – zatrzymała mnie osamotniona Liama. – Tylko że do tych długich, wąskich łodzi zmieści się jeszcze mniej niż do wozu. Prawie nic. Nie chcą zostawiać tu wszystkiego – broniła ich stanowiska.

– Nie jesteśmy bogaci, to, co mamy, jest dla nas cenniejsze, niż się panu zdaje.

Odetchnąłem głęboko.

– Tak cenne, że dla majątku pozwolicie pomordować własne dzieci? – zapytałem najuprzejmiej jak mogłem.

– To trudne. Boimy się. Niektórzy twierdzą, że bagien nawet na łodziach nie da się przebyć. Nie umiem, nie zdołam ich przekonać.

Popatrzyła na mnie i wtedy zrozumiałem, jak jest zdesperowana. Wyczerpana, zdeprymowana, bez nadziei na przyszłość.

– Woda sięga aż do skrajnych domów miasta, musi jej być dobrze ponad metr więcej niż zwykle – przypomniał pan Łasica.

Kuchnia była przepelniona, w każdym kącie ktoś siedział czy tylko kucał, ludzie stali pod ścianami. Jedni patrzyli na mnie z nienawiścią, inni odwrotnie, spuszczaali wzrok.

Powietrze coraz bardziej gęstniało, wypełnione zapachem, który mokrzy ludzie zawsze wnoszą do niewielkiego pomieszczenia.

– Utopimy się tam – powiedział któryś z mężczyzn.

Wyobraziłem sobie rozczłonkowany teren bagien, naturalne zapory, przemieszczające się wraz z wodą, nieoczekiwane prądy, porywy wiatru, fale powodziowe schodzące z gór. Próba przepłynięcia tamtędy przedstawiała duże ryzyko, może raczej grę *va banque*, którą podjąłby tylko zahartowany hazardzista. Ale jeszcze gorzej byłoby zostać na miejscu. Zostać, znaczyło zginąć.

– Co zdecydowała rodzina Mapuszi? – zapytałem Liamę o jej przyjaciółkę. – A Getzner? – przypomniałem sobie nazwisko starszego pana opiekującego się wnukami, który wspierał Liamę od samego początku, o czym wiedziałem od Łasicy. – Oni też się poddali?

– Nie – pokręciła głową. – Znów przepakowują rzeczy, żeby zabrać tylko to, co najcenniejsze i najpotrzebniejsze.

– To dobrze. Wyruszymy z nimi. Pomożemy im przenieść rzeczy i przenocujemy wprost nad wodą, żeby wypłynąć jak najwcześniej. Możliwe, że żadnej rezerwy czasowej już nie będzie – rzekłem.

Otworzyła usta, jakby chciała mnie przekonać, że to ja powinienem przekonywać ją, ale zrozumiała, że to na nic.

– Idziemy – powiedziałem szorstko.

Zapanowała zupełna cisza, miałem wrażenie, że obecni przestali oddychać.

Liana skinęła głową i poszła na chwilę do swego pokoju, zaraz wróciła, niosąc niewielki plecak. Rzeczywiście niedużo ze sobą zabierała.

Wychodząc z kuchni, zdałem sobie sprawę, jak bardzo jest przepełniona strachem i niezdecydowaniem.

Po chwili staliśmy już przed domem, grupka ludzi ze skromnym wyposażeniem. Niemowlak Mapuszi kilka razy zapłakał, ale matka zakryła mu głowę, chroniąc go przed wodą, i wkrótce się uspokoił.

Szliśmy przez noc bez światła, na pamięć; pod butami chlupała woda. Nikt nic nie mówił, rodziny trzymały się razem, pomagając sobie wzajemnie. Często obejmowali się, żeby dodać sobie sił. Przy drugim czworoboku dołączyła do nas kolejna rodzina, przy trzecim ostatnia.

– To ci, którzy zdecydowali się najwcześniej – wyjaśnił mi szeptem Łasica.

Posługując się mapą, wytypowałem u Schantila trzy przystanie, pan Łasica zdecydował się później wykorzystać tylko dwie. Postawiliśmy na ziemi lampę tak, żeby z

miasta nie była widoczna, i zapaliliśmy ją.

Trzy rodziny oraz Liama i Fresz musiały się rozdzielić pomiędzy cztery łodzie. Już samo to było bardzo przykre, wszyscy jeszcze mocniej uświadamiali sobie, jak bardzo niepewna jest ich przyszłość. Zauważyłem naraz, że zamiast paczki trzymam w rękach śpiące dziecko. Sam nie wiedząc, jakim sposobem wziąłem je od jednej z kobiet.

– Nie zapomnijcie o wahadłach, przy silnym prądzie pomogą wam utrzymać równowagę – przypominałem sobie coraz to nowe praktyczne rady dotyczące ich podróży. – Czy każda łódź je ma?

– Ma – odpowiedział pan Łasica.

– Przez pierwsze dwa dni musicie płynąć bez zatrzymywania się, za wszelką cenę, to kwestia życia i śmierci.

Mężczyźni mrukliwie przytakiwali. Rozsiewałem wokół swoje mądre rady i zastanawiałem się, jak bym się czuł, będąc na ich miejscu. Podziwiałem ich męstwo. Oni ryzykowali nie tylko swoim życiem, ale życiem swoich najbliższych, których kochali i którzy polegali na nich. Zdecydowali się uciekać, zaufali mi i teraz musieli z tym żyć. I umierać.

Śpiące dziecko zapiszczało żałośnie, kiedy matka wzięła je ode mnie i przycisnęła do piersi.

– W drogę ruszajcie od razu, jak tylko odróżnicie powierzchnię wody od gruntu. Jest też absolutnie konieczne, żebyście przed odpłynięciem zniszczyli wszystkie łodzie, które udało się nam zgromadzić.

– Wątpię, czy zostało ich w mieście więcej niż dwie lub trzy, rozpytywałem się o nie – oznajmił pan Łasica.

Stał z boku, poza zasięgiem lampy, i był praktycznie niewidoczny.

– Może najlepiej byłoby zniszczyć je teraz, gdybyście musieli naprawdę się spieszyć – zaproponowałem.

– Może jeszcze ktoś się zdecyduje – powstrzymała mnie Liama.

Miała rację.

Czekaliśmy, ponura, deszczowa noc zmieniała nas w grupę prawie niematerialnych duchów, nasze głosy były przytłumione, słabe.

– Prawie bym zapomniał – powiedziałem z zakłopotaniem.

Z sakwy przeznaczonej na najważniejsze dokumenty, którą miałem przytwierdzoną pasami na gołym ciele, wyjąłem czek na okaziciela, opiewający na dziesięć tysięcy złotych, i podałem go panu Łasicy.

Bezwłocznie zwinął go w rulonik i schował do małego lakierowanego futerału.

- Co to jest? – chciała wiedzieć Fresz.
- Ciągle jeszcze nie umiesz czytać – postanowiłem jej dokuczyć.
- Jest pan obrzydliwy.
- Prawidłowo.

Ktoś się zaśmiał. Rozluźnienie napięcia chociaż na chwilę może przytłumić strach tkwiący w człowieku.

– Z pierwszym brzaskiem – przypomniałem jeszcze raz. – I jeszcze jedno – zatrzymałem się, gotowy już do odejścia. – Liam, trucizna Dwichera i czar? Ma to jakiś późniejszy wpływ? Czy powinienem zwracać na coś uwagę?

Odgłos spadających kropel zmienił rytm, gdy Liama pokręciła głową.

– Nie wiem dokładnie. Słyszałam tylko, że ludzie, którzy byli otruci, mimo wyleczenia umierali wcześniej, niż powinni, podobno niektórzy oszaleli.

Wcześniej, niż powinni?

– No, myślę, że nie mam się czym martwić – głośno wypowiedziałem tylko część swoich refleksji. – Pójdę obejrzeć okolicę, sprawdzę, czy wszystko w porządku, i wrócę.

– Zatrzymaj się w czworobokach, proszę, jeszcze raz spróbuj ich przekonać, żeby uciekali. Proszę – Liama starała się mnie namówić.

Musiałem się upewnić, że w mieście jest spokój, że nikt nie domyśla się naszej ucieczki i nie przygotowuje ataku. Za wszelką cenę chciałem pomóc tym, którzy zdecydowali się pozostać przy życiu.

– Nie, zrobiłem już dla nich wszystko – odparłem szorstko.

Deszcz nasilił się i opuścił za mną kurtynę.

Na skraju miasta było tak spokojnie, jak można było tego oczekiwać w zimną, deszczową noc. Natomiast w pobliżu czworoboku panował ruch, którego odgłosy górowały nad szumem deszczu. Pod ścianami twierdz mieszkalnych, niewidoczne dla kogoś, kto by się ich tam nie spodziewał, stały skromne bagaże, do których co chwilę przybywał nowy pakunek.

Gdy niezauważony wszedłem do środka, przywitał mnie panujący wszędzie cichy odgłos przygotowań do wyjazdu. Nie ukrywałem się, może wiedzieli, kim jestem, a może na kilka godzin przed odejściem z domu było im wszystko jedno. Przez chwilę rozmyślałem, dlaczego w końcu się zdecydowali i w jaki sposób to zrobili. Nie powiem, żebym się z tego nie ucieszył. Widziałem już w życiu zbyt wielu umierających niewinnych ludzi. Może przekonało ich właśnie to, że na samym końcu nikt już nikogo nie przekonywał. Wiedziałem, że załatwią to beze mnie, pan Łasica i Liama wykonali w ciągu dnia dobrą robotę, każdy

wiedział, co go czeka, gdy zostanie. Przed skontrolowaniem okolicy chciałem zamienić kilka słów z jednym konkretnym człowiekiem. Kaźwiczę zastałem gotowego do wyjścia, z pojemnym plecakiem na ramionach. W jednej ręce trzymał wiosło i lampę, drugą prowadził małego chłopca, pewnie jednego ze swych licznych wnuków.

Drgnął wyraźnie, gdy wyłoniłem się przed nim z zasłony deszczu. Nawet gdyby chciał mi coś zrobić, nie zabiłbym go. Ten chłopiec miał większe szanse na przebycie bagien wraz z nim.

– Pan? – sapnął przestraszony.

– Co jeszcze może mi pan powiedzieć o truciznie Dwichera i tym czarze, który o mało co by mnie zabił? – chciałem wiedzieć.

Zrozumiał, że żadne bezpośrednie niebezpieczeństwo mu nie grozi, i po usłyszeniu mojego pytania uspokoił się.

– Poważnie chce pan to wiedzieć? Jakby to była dla niego chwila triumfu.

– W przeciwnym razie nie pytałbym o to.

– Pożre to pana za życia. Po kawałku, podczas odpoczynku, podczas snu, podczas spokojnych rozmyślań, coraz częściej będzie do pana wracać to, co pan już przeszedł, i będzie coraz gorzej! Będzie pan wolał skończyć ze sobą, niż dalej to znosić – zakończył zwycięsko.

– A da się jakoś tego pozbyć? – wypytywałem go nadal ze spokojem.

Przypuszczałem, że powie mi, że nie, ale pomyliłem się.

– Da. Byli tacy ludzie, którzy przeżyli i pozostali zdrowi. Ludzie silnego ducha, umiejący medytować, filozoficznie nastawieni do siebie i do świata, ale pan taki nie jest i nigdy nie będzie! Pan jest tylko nędznym gwałtownikiem, podrzynaczem gardeł.

Prawie splunął na zakończenie.

Zdażył już zapomnieć, że namówił swego syna, żeby w jego interesie dopuścił się zabójstwa. Bardzo wygodna taka krótka pamięć. Filozofowie umieli medytować, w źródłach historycznych czytałem o kilku osobistościach z takim nieformalnym tytułem. Ale w większości uznanie zyskiwali po sześćdziesiątce lub siedemdziesiątce. Jeśli później umarli, trudno by było wykazać, że było to skutkiem otrucia, a nie z przyczyn naturalnych. Pozwoliłem Kaźwiczowi iść, stwierdziłem, że wokół panuje spokój, i poszedłem pomagać tym, którzy tego potrzebowali.

NINJA

Bamegi siedział na stole w swej ulubionej pozycji, ze skrzyżowanymi nogami i zamkniętymi oczami, nie myśląc o niczym. Zadawał się postrzeganiem wszystkiego, co działo się w pobliżu. Afronzi i Hernand spoczywali w kącie na fotelach i dyskutowali z ożywieniem. Jechali na jednym wózku, stało się to za sprawą ultimatum Varatchiego: szef szpiegów Hernand nie złapał Koniasza, a Afronzi musiał w imieniu Konwentu zorganizować oddział wojska, który mógł w razie potrzeby natychmiast wkroczyć do akcji. Przeciw uciekinierom albo przeciw, tym ludziom, na których tak długo bez powodzenia polował Blatvovic. Samozwańczy czarownik pozostawał wciąż w izbie tortur. Śmiertelnie przestraszony, ale, o dziwo, nadal żywy.

Kolejny człowiek obecny w pomieszczeniu, wyraźnie zmęczony, przemoczony na wskroś, roztaczał wokół siebie zapach konia, na którym niedawno siedział. Kurier, bardzo szybki kurier. Tylko raz spojrzął na Bamegiego i obaj wiedzieli już doskonale, z kim mają przyjemność. Goniec należał do klanu ninja Haeren i wyglądało na to, że wrócił skądś z północy. Varatchi spletał swe intrygi w wielu miejscach.

Teraz rozmawiał właśnie za zamkniętymi drzwiami z trzema przedstawicielami rady miejskiej. Bamegi nie musiał wyęźać słuchu, żeby pomimo masywnych drzwi zrozumieć, o czym mowa. Relaksował się z zamkniętymi powiekami i jego mózg skoncentrował się na wrażeniach słuchowych. Trzej rajcy żałośnie błagali Varatchiego, żeby w jakiś sposób powstrzymał szaleństwo, które opanowało giełdę i niszczyło majątki handlowców, głównie najbogatszych mieszkańców miasta, niczym jakaś zdumiewająca zaraza.

– Wszystko to jest wynikiem obecności armii, Wasza Ekscelencjo! Jeśli zakaze pan handlu, to zamrozi pan stan obecny i później wszystko wróci do normy! Inaczej cały Krachtiburg straci swoją pozycję. Przystaniemy być uznawanym centrum handlowym.

– Nie mogę – odpowiadał niewzruszenie Varatchi.

Uprzejmie, a nawet starając się być miłym, powoływał się na niezawisłość miasta i na to, że on jako imperialny arystokrata jest ostatnim, który zdecydowałby się naruszyć dekrety cesarza. Bamegi wiedział, że go ta rozmowa irtuje, a przedstawiciele miasta zabierają mu czas. Wojewoda nadal zachowywał jednak twarz. Od momentu, gdy dowiedział się, że w sprawę wplątany jest cesarz, zwracał jeszcze większą uwagę na to, żeby w akcji na terenie

Krachtiburga nie brali udziału jego podwładni.

Bamegi przypuszczał, że prędzej czy później przyjdzie kolej na niego. Raczej prędzej. Varatchi był klientem klanu, jego rozkazy były prawem. Ale polować na ludzi, zwyczajnych ludzi, torturować ich, kobiety i dzieci, bez różnicy tylko po to, żeby się okazało, czy mają jakieś specjalne zdolności, czy ich krew jest nasycona magią... Pozwolił myślom odpłynąć i znów stał się pustym naczyniem, przez które wydarzenia jedynie z wolna przepływały.

Czas mijał, do pokoju wchodzili kolejni ludzie, co chwilę nowi. W większości spieszyli do Afronziego i Hernanda. Świeżo upieczony główny śledczy Konwentu i szef szpiegów zdawali sobie sprawę, że ich stanowiska podobne są do stołeczka ustawionego na samym szczycie gigantycznego, chwiejącego się stosu, toteż starali się jak mogli. Tylko niektórzy z przybywających byli wpuszczani do Varatchiego, większość kierowała się do tych dwóch. Przyszła kolej na kuriera ninja. Poszedł wprost do wojewody. Gdy zaledwie dziesięć minut później odchodził, Bamegi, nie otwierając oczu, wiedział, że kurier dokładnie go obejrzał. Zyskał przy tym niezbyt wyraźne uczucie obecności kogoś należącego do tego samego klanu co on. Z jakiego powodu, nie umiał powiedzieć, ale nie wątpił w to. Świat się zmieniał, a on razem z nim. Pomyślał, że może naprawdę stanie w końcu przeciw Koniaszowi, przeciw samotnemu wilkowi. Wtedy okaże się, który z nich jest lepszym wojownikiem, lepszym człowiekiem. Jeśli chodziło o to drugie, to Bamegi zaczynał sądzić, że odpowiedź zna od dawna, a wynik pojedynku też tego nie zmieni.

Ostatni wezwani odeszli, ruch się uspokoił, nastąpiła cisza. Cisza przed burzą, pomyślał Bamegi.

Skrzypnęła klamka, dobrze nasmarowane zawiasy cicho zaszeleściły, parkiet zatrzeszczał. Tak cicho, że usłyszał go tylko Bamegi.

– Panowie Hernand, Afronzi i Bamegi – odźwierny wywołał nazwiska.

Pierwsi dwaj wstali, ninja nawet nie drgnął.

– Już go macie? Już go znaleźliście?

Niecierpliwy Varatchi, który przez kilka godzin załatwiał nudne, ale konieczne sprawy, sam się do nich pofatygował.

– Nie, panie. – Podłoga zaskrzypiała pod odsuniętym krzesłem, gdy Hernand szybko się wyprostował.

Szef szpiegów silił się na ton odpowiedni do jego funkcji, ale nie zdołał ukryć obaw.

– Blatvovic mimo swych poszukiwań nawet nie zbliżył się do celu, a żołnierze nie mają pojęcia, kto zlikwidował cały oddział porywaczy! Nie szukali ich, tłumaczyli się koniecznością utrzymania tajemnicy.

– Protokoły przesłuchań?

– Tutaj są, panie.

Bamegi siedział dalej nieporuszenie; domyślał się, co nastąpi.

Papiery szeleściły, gdy Varatchi je przeglądał. Ninja wyczuwał jego koncentrację, szybkość, z jaką przebijał się przez gąszcz godzinami spisywanych zeznań.

Drzwi od przedpokoju, w którym dwóch ludzi stale trzymało wartę, otworzyły się. Olej, zimne powietrze i wilgoć, wyczuł Bamegi. Wszedł żołnierz, najpewniej wartownik z bramy wiodącej na teren rezydencji albo z głównego wejścia.

Nikt inny nie zwrócił na niego uwagi.

– Hernandzie, kto jest twoim najlepszym człowiekiem? – zapytał zamyślony Varatchi.

– Fric Hubsner, panie. Brak mu oglady, brudny burak. Ale dobrze mu idzie.

– Niech pan go każe przyprowadzić.

– Ehm, panie, nie jesteśmy sami.

– Przyprowadzić, powiedziałem. Czego chcesz? – szczerknął Varatchi do stojącego w drzwiach żołnierza.

– Na zewnątrz czeka goniec, prosto od cesarza, panie. Niesie wiadomości dla pana osobiście. Nie mam rozkazu, żeby go wpuścić, więc stoi na zewnątrz.

Bamegi musiał docenić panującą tu dyscyplinę. Oprzeć się żądaniu kuriera cesarskiego? Ten żołnierz dobrze wiedział, kto jest jego przełożonym i kto decyduje o jego życiu lub śmierci.

Tymczasem Hernand wysłał gdzieś jednego ze swoich licznych gońców. Bamegi miał wyobrażenie o tym, jak sytuacja się rozwinie niebawem. Sięgnął do skrytki w rękawie i ujął w palce koniec linki do duszenia. Czysta robota była w takim pomieszczeniu najstosowniejsza.

– Prawidłowo – zareagował Varatchi. – Powiedzcie mu, że jestem w burdelu. Który jest najlepszy w mieście? – zapytał Afronziego.

– „Biała Lilia” – wyjąkał po chwili główny śledczy Konwentu.

– Czegoś się pan jednak dowiedział – ocenił kąśliwie Varatchi.

Papiery, które przed chwilą tak starannie przeglądał, spadły z szelestem na stół i ześlizgnęły się na podłogę.

– Zaprowadzicie go do „Białej Lili”. Pogadacie z właścicielem tak, żeby poseł myślał, że zabawiam się tam. Nie wolno mi przeszkadzać, jasne?

Kolczuga i stalowe ochraniacze zachrzęściły, gdy żołnierz się uklonił.

– Tak, panie.

– Jak się nazywasz?

– Gavon Midel.

Było jasne, po co Varatchi pytał o nazwisko. Jeśli dobrze wypełni rozkaz, jego kariera zyska nowy impuls, jeśli nie... żadnej kariery ani niczego innego nie będzie.

Żołnierz zaszalutował, bardziej wywalił drzwi, niż je otworzył, tak się spieszył.

– Gdzie jest Hubsner? – Varatchi zwrócił się z niezadowoleniem do Hernanda.

Bamegi poczuł wyraźny, przenikliwy zapach potu. Napływał z przedpokoju i nasilał się.

– Już tu jest – zauważył.

Westchnienie ulgi szefa szpiegów ozwało się głośniejsze niż ta uwaga.

– Rodzina, której członka ludzie Błatvovica poszli porwać tuż przed swym zniknięciem, nazywała się Każewicz – Varatchi wrócił do głównego tematu.

– Tak, panie, dokładnie tak – potwierdził gorliwie Hernand.

– A kobieta, która później interesowała się porwaniami, nazywała się Liama Klidmen – ciągnął dostojnik.

Nie zwracał uwagi na Hubsnera, który opierał się o drzwi i z palcem w nosie przyglądał się obecnym. Bamegi nadal trzymał swoją linkę w pogotowiu.

– Tak, panie. Ale nie widzę tu żadnego związku. Wróg zaatakował po prostu w tym momencie, równie dobrze mogłaby to być jakakolwiek inna rodzina z miasta – wyjaśniał gorliwie Hernand.

Wydawało się, że odzyskał grunt pod nogami, głos miał nieco pewniejszy. Dał znak Hubsnerowi, żeby się do niego zbliżył. Zapach nasilił się.

– Komando znika przed porwaniem członka rodziny Każewiczów, inny człowiek ginie, zanim zdoła porwać kobietę, która jako jedyna interesowała się porwaniami. A ta kobieta zbiegiem okoliczności mieszka w tym samym domu co Każewicz, głowa rodu? Wszystko to było w protokołach przesłuchań – głos Varatchiego brzmiał spokojnie, prawie obojętnie. – Dawniej nie byłeś idiotą, ale strach pomieszał ci w mózgu. Tacy ludzie nie są mi potrzebni.

Stęknienie, którego nie zapomni ten, kto je słyszał. Bamegi otworzył oczy. Źle odgadł zamiary Varatchiego, przypuszczał, że to on dostanie rozkaz zabicia Hernanda.

Szef szpiegów pochylił się, bez powodzenia usiłował zatkać rękami poziomą ranę brzucha, z której wypadały wnętrzności.

– A jak to wygląda u pana? – Varatchi zwrócił się do prawej ręki byłego szefa szpiegów.

Hubsner trzymał w ręce zakrwawiony, szeroki nóż, prawie maczetę, i z

zainteresowaniem przyglądał się umierającemu. Takiej broni nie mógł wnieść niepostrzeżenie nawet przy swoich rozmiarach, strażnicy musieli dostać wyraźne rozkazy.

– Panu też strach zaćmi mózg?

Hubsner dosyć niechętnie oderwał oczy od swego byłego przełożonego i spojrzał na Varatchiego.

– Nie, panie – odparł.

Odór krwi i rozplątanych wnętrzności wypełnił pomieszczenie, przytłumiając wszystkie inne zapachy.

– W porządku. Od tej chwili jest pan dowódcą moich szpiegów. Gdy przyjdzie pan do mnie jutro, nie będzie pan już śmierdział. Odchodząc stąd, niech pan przyśle tu kogoś, żeby zabrał tego śmiecia – Varatchi wskazał trupa Hernanda. – Ilu uzbrojonych ludzi ma pan do dyspozycji? – zwrócił się do głównego śledczego Konwentu.

Afronzi był blady i wyraźnie się trząsł. Zdawał sobie sprawę, że on też mógł teraz leżeć na podłodze.

– Stu, stu dwudziestu, panie – zdobył się na odpowiedź.

– To wystarczy. Tu jest adres, pod którym ukrywa się rodzina Każewiczów, wrogowie cesarstwa, czarodzieje.

– Wiecie, jaka jest wasza powinność. Hubsner, pośle pan z nimi kilku swoich ludzi, niech odszukają to miejsce. Żeby nie napadli na willę jakiegoś ważnego handlowca.

Nowy szef szpiegów zaśmiał się, jakby go takie wyobrażenie ubawiło, położył rękę na ramieniu nadal skamieniałego ze strachu Afronziego i wyprowadził go z sali. Wkrótce nadeszło trzech ludzi. Dwóch niosło worek i nosze, trzeci dwa kubły wody.

Bamegi zszedł ze stołu.

– Jakież rozkazy dla mnie?

Varatchi zmierzył go nieprzeniknionym spojrzeniem.

– Był pan na przesłuchaniu?

– Na wszystkich, panie. Jako obserwator, zgodnie z pana rozkazem.

Bamegi stał spokojnie i nieruchomo. Varatchi kiwnął głową, jakby coś zalegalizował.

– Rozkazy zostają bez zmian. Będzie pan obserwował Afronziego, do akcji nie będzie pan się mieszał, chyba że na mój bezpośredni rozkaz. To jest sprawa Konwentu. Może pan albo któryś z pana ludzi będzie musiał potem wystąpić jako świadek.

– Tak, panie.

A Z NIEBA PRYSKAŁA KREW

Ciemność, balansowanie na kopczyku szybko ubywającego piasku, którego ziarenka były wspomnieniami, myślami, a potem niepowstrzymany upadek w przepaść, niekończące się spadanie i piekło zupełnej utraty samoświadomości. Nie obchodzi mnie to, nic mnie nie obchodzi. Muszę z tym skończyć. Za wszelką cenę. Otworzyłem oczy, usta też, żeby krzyczeć, ale nie wydałem żadnego głosu. Po wielu godzinach gorączkowej działalności tylko na chwilę oparłem głowę o ścianę i zamknąłem oczy, żeby trochę odpocząć. Wystarczyło, żeby moja prywatna zmora, powołana do życia przez truciznę Dwichera, natychmiast wróciła. Wystarczyła jej chwila. Jeszcze słyszałem kroki ostatnich uciekinierów pospieszających ku bagnom i dostrzegałem światło ich lamp. Zostały tylko opuszczone domy.

Chciałem przeczekać do świtu, później podpalić czworoboki, żeby maksymalnie utrudnić śledztwo i poszukiwania, a wreszcie wyruszyć za nimi. Domostwa ludzi Liamy były wprawdzie kamienne, ale niektóre elementy poziome i wnętrza były drewniane. W przybudówkach na dworze też znajdowało się mnóstwo materiałów palnych. Miałem nadzieję, że to wystarczy na porządny pożar. Silniejszy powiew wiatru rzucił mi w twarz solidną porcję wilgoci. Wytarłem oczy rękawem i stwierdziłem, że trzymam w ręku sztylet. Nie przypominałem sobie, kiedy wyjąłem go z pochwy. W półśnie? Podczas prześladowającego mnie koszmaru? Czy chciałem przerwać go w ten sposób? Z przeciwnej strony, niż odeszli uciekinierzy, dał się słyszeć coraz głośniejszy odgłos kroków. Brzmiały jak marsz grupy, która nie umie maszerować. Rozlegały się też przytłumione przez deszcz rozkazy kogoś, kto nie miał doświadczenia w dowodzeniu.

– To nie tutaj, to powinien być duży, umocniony dom! – powiedział ktoś głośniejsz.

Prześladowcy dotarli do celu, wszystko jedno, kim byli. Nowo przybyłymi żołnierzami, bandą najemnych zabójców, czy też oddziałem Konwentu. Jeśli znajdą puste domy z piecami, w których dogasa ogień, zaczną natychmiast szukać uciekinierów, a ponieważ całe miasto było otoczone, szybko by się domyślili, którędy chcą uciekać. Pomyślałem przez chwilę. Na brzegu, przy dwóch prowizorycznych przystaniach, tłoczyła się właśnie setka ludzi. Ładowali do łodzi skromny dobytek, sadowili w nich dzieci i niecierpliwie czekali na świt, żeby spróbować ucieczki i zachować choćby cień nadziei na uratowanie życia. Ale świt przyjdzie dopiero za godzinę.

Napastnicy zbliżali się ukrytą w ciemności, niewidoczną gromadą, obramowaną syczącymi pochodniami. Deszcz przybrał na sile, płaszcze łopotały na wietrze.

Wyglądało na to, że moje problemy dotyczące efektów działania preparatu Dwichera zostaną rozwiązane w inny sposób. Chyba lepszy.

– Stać, to musi być gdzieś tutaj – dobiegło mnie syknięcie.

Zapiąłem ciasno kurtkę nałożoną na kolczugę, rutynowo sprawdziłem, czy wszystkie noże są na swoich miejscach.

– Jeszcze kawałek, kurewski deszcz – narzekał któryś.

Żołnierze, czy kto to był, ruszyli znowu naprzód. W świetle pochodni zobaczyłem długie piki, błyszczące na deszczu łuki, kilku z nich miało hełmy. Ciekaw byłem, czy ich łuki mają impregnowane cięciwy, żeby mogły strzelać w deszczu.

Byli już o dziesięć, piętnaście kroków. Gdyby wiedzieli, gdzie patrzeć, mogliby dostrzec ogniki lamp uciekinierów. Stałem przed otwartym wejściem do czworoboku.

– Ratunku! Napadli nas! – ryknąłem.

Szuranie wielu nóg i chrzęst zbroi świadczył, że wszyscy odwrócili się w moim kierunku.

– Poddajcie się, a będzie wam zapewniony uczciwy proces! – krzyknął ktoś spoza szeregu ludzi z pikami.

Uczciwy proces dla czarodziejów? Jak dotąd czekał ich tylko stos.

Nie odpowiedziałem, cofnąłem się do korytarza, zamknąłem drzwi i zacząłem zasuwając jeden rygiel po drugim.

Skończyłem, gdy najszybsi z nich zaczęli dobijać się do drzwi. Byłem pewny, że wejście wytrzyma. Wbiegłem po schodach na górę, na taras, a z niego na krużganek biegnący wokół całego czworoboku. Napastnicy kilka razy okrążyli budowlę, ale nie zdecydowali się na dalsze działania.

W świetle pochodni miałem całkiem niezły przegląd sytuacji.

– Otwórzcie i poddajcie się! – krzyczał jeden z napastników, w hełmie urozmaiconym obwisłym piórem. W ładny, słoneczny dzień byłby to elegancki dodatek, teraz jednak woda skapywała mu z ozdoby do oczu. Nie był ode mnie dalej niż o trzy metry.

Leżąc, wyrzałem przez mur, cichy i niewidoczny, wymierzyłem w twarz zwróconą częściowo do góry. Klak, strzała wyskoczyła, klak, z szarpnięciem powróciła do futerału. Mężczyzna upadł na ziemię.

– Mają łuki! – zajęczał któryś, fala napierająca na ścianę domu zaczęła się cofać.

– Przelećcie przez ten pieprzony mur! – zabrzmiał jękliwy rozkaz. – Kto nie posłucha,

będzie stracony za dezercję. Jesteście armią Konwentu! Do ataku!

Całkiem nieprzygotowani jednak nie byli. Przynieśli ze sobą kilka drabinek, czy raczej żerdzi, niektórzy usiłowali włączyć po ramionach kompanów. Pierwsi odważni już drapali się na górę. Uklęknąłem, dobyłem miecza i ująłem go oburącz. Wysoki chłop, który wydzwignął się na górę o własnych siłach, wstał. Skoczyłem, przebiegłem koło niego nisko pochylony, przeciągnąłem mieczem przez kolano, drugiemu wojakowi rozplątałem twarz, kolejnego ciąłem w szyję, jeszcze jednemu odciąłem ramię, którym desperacko usiłował się zasłonić, a ostatniego z pierwszej fali pchnąłem w bok z wypadu z poślizgiem.

Wrzask pełen bólu i strachu. Trzej z drugiej atakującej grupki, nie wiedząc, co przytrafiło się ich kamratom, rozglądali się zdezorientowani. Poderwałem się na nogi, najbliższy z nich zauważył mnie, prześlizgnąłem się pod jego mieczem, klinga uderzyła w zbroję, twardy kontakt ciała w ciało zmusił go do zrobienia trzech kroków w tył, chrupnęła rozszczępiona kość skroniowa.

Jeszcze stał na nogach, gdy trzymając się blisko niego, znów zaatakowałem.

Walczący zauważył, jak zaatakowałem po raz pierwszy, i krył się kontra, ale ja miałem już miecz w prawej ręce. Przeleciałem koło niego w dzikim piruecie, plecy do pleców, pchnąłem sztyletem do tyłu, w podbrzusze, i targnąłem ostrzem do góry. Nadal w ruchu, odbiłem kwartą cięcie mierzone w pierś, zrobiłem wypad, nie cofałem się, szedłem do przodu. Ostrze sztyletu zatrzymała dopiero kolczuga, ale oczekiwałem tego i moment wahania przeciwnika wykorzystałem do cięcia go w gardło. Kamienie pod nogami zrobiły się naraz bardzo śliskie, podczas moich błyskawicznych poruszeń chaotyczne krzyki stojących na dole ledwie do mnie docierały. Zrzuciłem zabitego na dół, spadając, obalił jednego z kamratów. Nie było czasu na przypatrywanie się. Instynktowny odskok w bok, zasłona sztyletem zwróconym klingą ku ziemi. Napastnik był cichy jak wąż, jadowite cięcie odbiłem w ostatniej chwili, a on natychmiast znów mocno zaatakował. Zdołał trafić mnie w ramię, ale ochraniacze i moja kość wytrzymały. W chwilę później trafiłem go pchnięciem wyprowadzonym o mgnienie oka wcześniej niż jego kolejny atak. Pomędzy ludźmi Konwentu byli również niebezpieczni zawodowcy.

– Atakujcie ze wszystkich stron! Ze wszystkich stron! Wielu ich tam nie ma! Ze wszystkich stron, do cholery!

Wyglądało na to, że łatwiejsza część właśnie się skończyła.

Oddychałem ciężko, noc nie wydawała mi się już zimna.

Na krążganek przedostało się naraz chyba z dziesięciu ludzi. Nie atakowali mnie w pojedynkę, ale po dwóch.

Szkoda, że było tu tak szeroko. Światło pochodni błyszczało na mokrej skórze i metalu ich zbroi.

Sztylet i miecz do pochew, ciężki nóż do rzucania w prawą rękę, wykrok, szybki dokrok wraz z obrotem tułowia. W powietrzu błysnęła stal, mężczyzna w skórze skończył na ziemi. W jego towarzysza wymierzyłem lewą rękę. Klak. Za nim stał kolejny napastnik. Drgnienie futerału, do którego wracała strzała, znów klak. Z minimalnym opóźnieniem rzuciłem nóż. Chybiłem, ale na szczęście trafiłem w skroń chłopca, który właśnie zląził z drabinki. Powrót strzały, kolejny nóż w rękę, strach na twarzy mężczyzny z mieczem, który sądził, że zdąży, i skoczył na mnie. Skopnąłem go na dół, zanim zrobił kolejny ruch, i spadł już umierający.

– Ma kuszę! Na niego!

Kuszę, phi. Ruszyłem ku dwójce trzymającej się wewnętrznej ściany tarasu. Bliższy mnie osłaniał się mieczem, a nie sztyletem. Chciał skrócić dystans i zrzucić mnie na dół, ale zrobiłem unik. Sam się nadział na mój miecz i z chlapnięciem zwałił się do niewidocznej w ciemności kałuży. Drugi natychmiast zaatakował, a z drugiej strony zbliżał się kolejny. Moje maksymalnie krótkie krycie, tuż po nim blok sztyletem i przeskoczyłem między nimi. Obrót, błysk zdążającej ku sobie stali. Źle ocenili odległość, obaj runęli na ziemię.

– Zastrzelcie go, do cholery!

Odwróciłem się akurat w momencie, gdy dał się słyszeć odgłos naciąganych cięciw. Kiedy oni się, cholera, dostali się na górę? Z pięciu metrów przestrzelał mnie na wylot pomimo kolczugi. Jedyna szansa... Ruszyłem ku nim, w ostatniej chwili odwróciłem się, usiadłem głęboko pochylony z głową między kolanami. Cięciwy brzęknęły, strzały zaświszczały, jedno, trzy, dużo uderzeń w plecy omal nie przyprawiło mnie o śmierć. Jedyne, co mogło mnie uratować, to pancerz z gloswitu, jaki miałem pod kolczugą. Bolało, piekielnie bolało, gdy wyskoczyłem ku łucznikom stojącym w dwóch rzędach. Pierwszych trzech upadło na ziemię. Przecinałem łuki razem z kończynami. Trzech zdążyło dobyć mieczy, ale nic im to nie pomogło.

– Na niego, cholera, na niego! – ryczał ktoś, czar chwili prysnął.

Już nie miałem gdzie uciekać, nieprzyjaciele tłoczyli się z obu stron krużganka, czekali na mnie na podwórzu i na ulicy. Ale ja nie chciałem jeszcze umrzeć, nie mogłem umrzeć, musiałem zyskać jak najwięcej czasu, musiałem walczyć. Niedaleko stąd oczekiwała świtu setka ludzi, mężczyzn, kobiet i dzieci. Mieli nadzieję, że dostaną szansę na przeżycie. Nienawidziłem tych, którzy skazali ich na śmierć, tych, dla których życie innych było tylko pozycją w wykazie strat; nienawidziłem ich wysłanników, sługusów wykonujących ich

niehumanne rozkazy, nienawidziłem zbrojnych, jakich miałem przed sobą.

Nieprzyjaciele sformowali szyk bojowy, ruszył na mnie plot pik, za którymi się chowali, żebym ich nie dosięgnął. Blok sztyletem, stalowy grot otarł się o mój brzuch, błyskawiczne cięcie w uchwyt piki, desperackie odbicie przedramieniem. Ostrze rozcięło mi grzbiet dłoni, ale już byłem poza lasem pik. Ludzie z oburęczną bronią, nieprzydatną w walce na bliską odległość, rzucali ją lub ustępowali i tak znalazłem się naprzeciw napastników uzbrojonych w miecze.

Otoczyli mnie, stal dźwięczała ze wszystkich stron. Musiałoby mi pomagać co najmniej pięciu ludzi tak dobrych jak ja, żebym zyskał szansę przeżycia. Pierwszy przeszedł przez moją zasłonę, ale nie starczyło mu siły, żeby przemóc związane żelazo. Zamiast kontrataku moja beznadziejna próba zyskania odrobiny miejsca, desperackie machnięcie przeciw wielu mieczom. Desperackie, bo już wiedziałem, że setka ludzi nie doczeka świtu.

Klinga na klingę, dźwięk metalu, wrzaski, moja daremna próba powrotu do postawy obronnej, pchnięcie w brzuch. Tępe i nieszkodliwe. Otaczający mnie ludzie mieli w rękach tylko ułamki broni. Miecz Lumbiego przebudził się, ja go przebudziłem.

Przebijałem się przez nich, zszokowanych i bezradnych, umierających w mgnieniu oka lub okaleczonych, bez zatrzymania znowu ruszyłem na las kling, przeszedłem przez niego jak przez masło. Miecz wyraźnie przystosował się do zdecydowania, woli walki przeciwników, do ich waleczności, odczuwałem to przy każdym zetknięciu się stali. Nie mieli już szans, nie domyślali się, z kim mają do czynienia, a ja przebijałem się przez nich, przez ich trupy naprzód i naprzód.

*

Obraz bitwy zmienił się nagle, bojowy ryk zastąpiły przerażone jęki, wrzawa bitewna przeszła w chaos. Niektórzy skakali z muru, inni nadal wspinali się na górę, szukali przeciwników, a potem spotykali coś, czego nie rozumieli, i umierali rozsiekani na kawałki. Powoli zaczęło się rozwidniać. Bamegi, stojący po drugiej stronie ulicy i obserwujący walkę, odniósł wrażenie, że deszcz nad domem, na który napadli żołnierze Konwentu, wydaje się gęstszy niż w innych miejscach. Później, gdy dosięgło go kilka kropel z pola walki, uświadomił sobie, że to nie woda, lecz krew.

W końcu na górze został tylko jeden człowiek. Nikt nie odważył się stawić mu czoła. Bamegi nadal stał spokojnie, wiedząc, że na tle ściany pozostaje niewidoczny.

Mężczyzna stał na krawędzi krużganka, w opuszczonych rękach trzymał miecz i sztylet. Z trudem utrzymywał równowagę, kiwał się w przód i w tył. Leżące na ziemi

pochodnie nie zgasły jeszcze mimo deszczu i oświetlały jego twarz. Przez chwilę Bamegi miał wrażenie, że wojownik nosi maskę, zrozumiał jednak, że jego twarz pokrywa krew. Mężczyzna wychylił się na ulicę jeszcze bardziej i spadł z muru, bezwładnie, jakby był nieprzytomny albo martwy. Błoto, jakie tworzył pas rozmięklej gliny wokół domu, głośno cmoknęło, gdy zwałił się w grząską kałużę.

– Nie żyje – oznajmił ktoś. – W plecach ma chyba z dziesięć strzał.

Z cienia stopniowo wynurzali się ci, którzy zdołali uciec.

– Chyba nie, ale dodajcie mu jeszcze kilka dla pewności.

– To nie może być człowiek.

Lecz Bamegi wiedział, że ten mężczyzna, Koniasz, bo nikt inny to nie mógł być, nie jest jeszcze martwy. Słyszał jego przerywany oddech, zdradzający krańcowe wyczerpanie minionym krwawym szaleństwem. Mimo tego stłumiony i cichszy niż oddechy zbliżających się żołnierzy. Otaczali go zacieśniającym się stopniowo kręgiem. Odległość zmniejszyła się do pięciu kroków, światło syczących pochodni pobłyskiwało na grotach założonych strzał.

– Teraz – zakomenderował któryś.

Mężczyzna podniósł się na kolana, machnął lewą ręką, zakreślając krótki łuk, z dłoni wyleciało mu coś przypominającego wirujący stalowy dysk. Zdumiewająca broń trafiła najbliższego łucznika, odbiła się od niego i poleciała dalej po obwodzie całego kręgu, wbiła się w ostatniego napastnika, przestała wirować i zmieniła się w strzałę. Nikt z trafionych nie utrzymał się na nogach, skończyli w błocie zabici lub ranni. Diabelska broń, ocenił Bamegi.

*

Wojownik leżał teraz w błocie na brzuchu, tam gdzie padł po swej desperackiej, ale udanej próbie obrony. Jego ręka poruszyła się i przypadkowo czy też umyślnie wyciągnęła w kierunku trupa, który został trafiony jako ostatni. Odezwało się ciche plop i śmiertelna broń zniknęła.

Spokój, jaki nastał po wrzawie bitewnej, wydawał się wręcz nierzeczywisty. Deszcz nadal padał, krople głośno rozbijały się o bruk, tępo dzwoniły o porzucane hełmy i pluskały po odzieży ludzi leżących na bruku.

Bamegi wiedział, że nie wszyscy żołnierze są martwi, ale nikt nie zbliżał się do leżącego mężczyzny otoczonego kręgiem zabitych i rannych.

Z ukrycia wynurzył się wielki Kuzbos i ostrożnie, z mieczem w ręce, ruszył ku wojownikowi. Bamegi gwizdnął cicho i zrobił gest wzbraniający. Rozkaz Varatchiego był jasny, byli obserwatorami. Ninja cofnął się, ten, którego poszedł zabić, nadal oddychał z

charkotem i zbierał siły. Bamegi znał przypadki, gdy ludzie zużyli w boju wszystkie siły i później, mimo że zwyciężyli, zmarli z wyczerpania.

– Hej! – ryknął ktoś z daleka. – Znaleźliśmy ich! Odpływają na łodziach!

– Wszyscy za mną! – krzyknął Afronzi ze swego ukrycia i ruszył naprzód. Inni podążyli za nim, ciszę przerwał tupot biegnących. Każdy z radością powitał rozkaz umożliwiający oddalenie się od nieśmiertelnego zabójcy. Co by było, gdyby przyszedł inny rozkaz, znów go zaatakować?

– Mamy ich! – krzyczał ktoś triumfalnie. – Mamy ich! Osamotniony wojownik, charcząc, wstał z błota.

Człowiekowi, który go właśnie mijał, strzelił w plecy ze swej zdumiewającej broni, a potem trafił jeszcze jednego, który oddalił się już na kilka metrów. W następnej chwili ruszył naprzód, najpierw krótkimi, stopniowo coraz dłuższymi i szybszymi krokami. W jednej ręce sztylet, w drugiej miecz. Bamegi zdążył spostrzec, że zabił dwóch biegnących na końcu. Potem zniknął w ciemności, skąd rozległy się krzyki.

– Co teraz? – zapytał Kuzbos, który już nie wrócił do kryjówki, tylko trzymał się w bezpiecznej odległości.

– Jesteśmy obserwatorami. – Bamegi wzruszył ramionami z kamienną twarzą. – Będziemy dalej wykonywać swoją pracę, czyli pójdziemy sprawdzić, co się dzieje.

*

– Mamy ich!

Nie, nie macie. Nie, dopóki jeszcze oddycham. Jak umrę, wtedy będą wasi, nie wcześniej.

Wstałem i w pierwszej chwili miałem wrażenie, że upadnę. Później zataczałem się, szedłem, w końcu biegłem, łapiąc oddech, wlokąc za sobą opuszczone ze zmęczenia ręce. Nawet nie wiedziałem, czy trzymam w nich broń. Kolejne plecy majaczące przede mną. Miecz nadal miałem. Runął na ziemię, nie wydając głosu.

Tych stu ludzi nie dostaną, nie wcześniej, niż moje ciało ostygnie.

Trójka przede mną. Usłyszeli mnie i odwrócili się. Jeden uniósł miecz, dwaj skamienieli. Równie dobrze mogliby się zasłonić gałązką świerkową. To już nie była szermierka, zabijałem jak rzeźnik w jatce. I spieszyłem dalej.

Nagle spadła na mnie nocna mara, skutek preparatu Dwichera. Opanowała mnie w biegu, na szczęście ocknąłem się, słysząc krzyki tych bękartów pędzących ku Liamie i jej ludziom.

Zadzwoniły miecze i zaraz po tym dał się słyszeć krzyk kobiet i płacz dzieci.

Nie sądziłem, żeby udało mi się jeszcze przyspieszyć. Już widziałem mętną wodę błyskającą w mdłym świetle wstającego dnia. Na jej powierzchni kołysało się kilka smukłych łodzi. Jedna próbowała właśnie odbić, ale mężczyzna w pancerzu przypominającym skórę krokodyla przeciął burtę mieczem. Kobieta z dzieckiem na rękach próbowała oddalić się od niego i wpadła do wody. Pan Łasica, stojąc w wodzie po kolana, walczył z dwoma napastnikami jednocześnie. Jeden z nich nagle upadł.

Posrańcy.

Nienawidziłem ich.

Wyciągnąłem rękę, wycelowałem, strzała wyleciała tak szybko, jak szybka i intensywna była moja sterująca nią myśl. Na jej drodze przypadkowo znalazł się inny zbrojny, ale przeleciała przez niego na wylot i trafiła tego, do którego mierzyłem.

Byłem już prawie u celu, pan Łasica uporał się z drugim przeciwnikiem, ale natychmiast miał przeciw sobie dalszych pięciu. Dotarłem do niego.

Jatka zaczęła się na nowo, wszystko poczerwieniało od krwi.

Potem klęczałem w wodzie, łapałem oddech i starałem się uspokoić serce grożące lada chwila wybuchem.

Liam, pan Łasica i mała Fresz wraz z pozostałymi patrzyli na mnie jak na widmo z piekieł. Bo i byłem widmem z piekieł.

– No odbijajcie, cholera! Na co czekacie?! Depczą nam po piętach! – wychrypiałem, gdy mogłem już mówić.

– Pan! – wskazałem na pana Łasicę. – Musi pan płynąć na czele i tych, którzy przeżyją, za wszelką cenę doprowadzić do Daska! Rozumie pan? On panu zapłaci drugi raz tyle co ja.

Rzucił mi długie spojrzenie, które nie do końca zrozumiałem, kiwnął głową i zabrał się do roboty. Straciliśmy kilka łodzi podczas walki na przystani i trzeba było zostawić część ładunku na rzecz ludzi.

– Pani popłynie z nim! – nakazałem Liamie.

– Nie, tu są moi ludzie, nie chcę przeżyć, jeśli oni zginą. Popłynę na końcu i będę ich poganiała.

Nie było sensu się kłócić, bo już pchała na wodę kolejną łódź, w której siedziała kobieta w ciąży, małe dziecko i wyrostek, jeszcze gołowąs. Jakies sześć metrów od brzegu widziałem całą flotyllę innych łodzi.

Bagna w czasie powodzi w okolicach Krachtiburga zmieniały się w jezioro. Ale tylko

pozornie. To oznaczało niebezpieczeństwo.

– No to ty wskakuj! – zwróciłem się do Fresz.

– Ja idę z Liamą, nie zostawię jej samej – broniła się ze strachem w oczach.

Rozumiałem ją. Woląa ryzykować życiem, niż zostać sama. Jej wybór. Wzruszyłem ramionami i spojrzałem w górę. Niebo nie było już czarne, ale szare. Nisko płynące chmury zaledwie kilkadziesiąt metrów ode mnie zlewały się z nieprzyjaznym obszarem Brunatnych Bagien. Punkt dla nas, będziemy mieli większą szansę zniknąć z oczu naszym prześladowcom. Zauważyłem, że wciąż klęczę, zanurzony po pas. Pewnie dlatego nikt mnie nie słuchał, ale do tej pory nie miałem dość sił, żeby wstać. Może teraz. Udało się.

Woda stopniowo zmywała krew z broni, którą nadal trzymałem w ręce. Wydawało mi się, że różowe plamy, szybko rozmywające się w mętnej wodzie, są jedynym żywszym kolorem w ponurej pustce wokół. Rękojeści miecza i sztyletu zaczęły mnie piec w dłonie, równocześnie wracały mi siły. Prawie nienaturalnie szybko. Moja nowa broń wzbudzała we mnie obawę, mimo to w głębi duszy pragnąłem użyć jej powtórnie. Chyba tak właśnie czują się zażywający opium. Albo ja, gdybym po tygodniach spędzonych na pustyni dostrzegł butelkę wina pochodzącego ze sławnej winnicy. Nie zapomniałem tego, co wydarzyło się w ciągu minionych minut, może godzin. Miecz i sztylet tworzyły komplet wykonany dawno temu przez znakomitego mistrza sztuki płatnerskiej z pomocą magii. Były to ekstremalnie śmiertcionośne klingi umożliwiające ich właścicielowi przejście do legendy. Ale jak to bywa na świecie, każdy kij ma dwa końce. Dzięki magicznej mocy przecinałem skutecznie klingi wrogów, ale na własnej skórze odczułem przy tym, jak miecz i sztylet zmieniają i niszczą osobowość właściciela, docierając aż do głębi umysłu. A moje ego, zatrute i uszkodzone preparatem Dwichera, okazało się bardzo kruche. Wiedziałem, że mogę zginąć, ale byłem zdecydowany umrzeć jako Koniasz, a nie jakieś mordercze monstrum. Czuję gorąco przenikające od rękojeści w głąb ciała. Czyż nie było to jedno i to samo?

Kolejna łódź odbiła od brzegu, zostały już tylko dwie. Fresz przypatrywała mi się, jakby na coś czekając.

Może stawiałem opór truciznie Dwichera, ale tej broni z przeszłości nie zdołałem się oprzeć. Musiałem przyznać, że tęsknię, nie mogąc się doczekać chwili, gdy znów zacznę walkę, gdy nakarmię krwią nieprzyjaciół wyczekujące ostrza. I samego siebie. Lumbi już jako dziecko dostał sztylet od swojego dziadka. Może to właśnie on wypaczył jego umysł, a przedtem umysły wszystkich właścicieli pochodzących z rodu Lumbich? A miecz... to osobny rozdział. Każda chwila, w której nim nie walczyłem, nie zabijałem, wydawała się stracona, pusta i bolesna. A tęsknota za dalszym przelewem krwi ciągle się nasilała. Nie zdołałbym

oprzeć się temu przymusowi w przyszłości...

Wyszedłem z wody, zbliżyłem się do wielkiego kamienia, wepchnąłem pod niego miecz i jednym ruchem złamałem niezwykłą, magiczną klingę. Sztyletu też nie chciałem zachować. Wyjąłem go z pochwy i po chwili wahania wrzuciłem w bagno, najdalej jak mogłem. Jeśli ktoś go przypadkowo znajdzie, to jego pech. Głęboko odetchnąłem. Przynajmniej tę sprawę miałem już za sobą. Poczułem ulgę.

– Możemy ruszać – zwróciła mi uwagę Liama. – Jesteśmy ostatni.

Spojrzałem na północ, od Krachtiburga oddalał się długi wąż smukłych łodzi, znikając we mgle. Na brzegu została tylko Liama, Fresz i ja. Ostatnim z obecnych był mały chłopiec, siedzący na ławce w naszej łodzi. Oczy miał błyszczące, wyglądał na wpół zszokowanego, ale w ręce trzymał wiosło, jakby był gotowy do pomocy.

Jego rodzice albo byli martwi, albo zgubili go w zamieszaniu, w przeciwnym razie popłynąłby z nimi; nie musiałem o to pytać.

Zacząłem szukać odpowiedniej dla mnie broni. Na trasie, którą przebiegłem, leżało ich dosyć.

– Panie? – zagadnęła mnie Fresz, podając mi podłużny pakunek ze zużytych koców.

Przyjąłem go nieco podejrzliwie i odkryłem miecz, z którym przyszedłem do Krachtiburga.

– Znalazłam go u Liamy, podobno jest pański.

Lumbi, gdy zabijał swoim mieczem, stawał się za każdym razem gorszy niż przedtem. Miałam nadzieję, że wróci pan do tego...

– Dzięki – wychrypiałem.

Wsadziłem miecz i sztylet do pochew, zczekałem, aż Liama i Fresz usadowią się w łodzi, odepchnąłem ją od brzegu i wskoczyłem do środka. Skończyła się walka, a zaczął się wyścig o życie.

POLOWANIE

Bamegi stał na granicy ziemi i brudnej, błotnistej wody bagiennej, obserwując ponury horyzont z wystającymi z rozlewiska drzewami i nielicznymi wysepkami. Scenerię uzupełniały strzępy mgły, czy może chmur, które na przemian to otwierały, to zamykały widok na miejsca położone dalej. Oprócz zabitych i rannych na prowizorycznej przystani zostało sporo toreb i pakunków, których uciekinierzy zapomnieli lub pozostawili z nadzieją, że z mniejszym obciążeniem będą mieli większe szanse. Ciała niewielu napastników, którzy dotarli aż tu, leżały w płytkiej wodzie. Ciężar zbroi utrzymywał je na dnie. Kilka metrów od brzegu tkwiła uszkodzona łódź z martwym człowiekiem przewieszonym przez dziób. W rękach wciąż ścisnął drąg, który miał mu pomóc dotrzeć wraz z załogą do bezpiecznego miejsca.

Bamegi zdążył już obejrzeć ślady, jego ludzie rozproszeni po brzegu przyglądali się, jak odciski stóp w ziemi i pozostałości po walce, które mogły wiele wyjaśnić, znikają rozdeptane przez kręcących się wokół żołnierzy gwardii miejskiej. Z oddziału Konwentu nie pozostało więcej niż dziesięciu, piętnastu ludzi. Może niektórzy z ocalałych postanowili skończyć ze swoim, jak się okazało, zbyt niebezpiecznym powołaniem.

Nikt nic nie mówił, Bamegi nie widział potrzeby, a inni nadal byli zszokowani krwawą zawieruchą, po której śladach stąpali. Ponurą ciszę przerwał odgłos kopyt końskich, ninja dostrzegł pięciu jeźdźców.

Z mgły snującej się ulicami wynurzył się Varatchi z asystą. Arystokrata był zachmurzony. Wilgotna, jesienna pogoda sprawiła, że barwy rodowe, zdobiące jego kabaty, wydawały się zszarzałe. We włosach błyszczały mu krople wody, przez co sporadyczne siwe kosmyki były wyraźniej widoczne.

– Co tu się stało? Doszło do bitwy? – zapytał.

Główny śledczy Konwentu, który zajął strategiczną pozycję w najmniej eksponowanym miejscu, przeżył walkę. Mógł dowodzić swymi ludźmi i posyłać ich na śmierć, pozostając w ukryciu. Teraz spojrzał na Bamegiego, jakby to on był za wszystko odpowiedzialny. Ale Bamegi w ogóle nie zareagował na pytanie Varatchiego. Cisza przeciągała się, Afronzi nie wytrzymał i stanął przed arystokratą w płaszczu, który pierwotnie był czerwony, a teraz umazany błotem, krwią i ludzkimi wnętrznościami. Przypominał

koguta, który uciekł z lisiej nory.

– Jeden człowiek? Koniasz? – z niedowierzaniem powiedział Varatchi, gdy główny śledczy Konwentu zakończył chaotyczną relację.

– Wygląda na to, że nauczył się używać miecza Lumbiego jeszcze lepiej niż sam hrabia – potwierdził Bamegi.

– Musimy odzyskać tę broń! – powiedział dobitnie Varatchi.

– To się chyba nie uda, panie – nie zgodził się ninja, podszedł do leżącego niedaleko głazu i wyciągnął spod niego złamany miecz. – Zniszczył go.

– Dlaczego? – Varatchi niemal krzyknął.

– Chyba nie pasował mu do ręki, a nie chciał, żeby walczył nim ktoś inny – wyraził przypuszczenie Bamegi, obserwując, jak jego zleceniodawca ogląda zniszczoną broń.

Po raz pierwszy, od czasu jak znał Varatchiego, zauważył na jego twarzy coś, co przypominało żal.

– Zetknął się pan z nim? Z Koniaszem?

Zanim Bamegi odpowiedział, nasłuchiwał przez chwilę. Spokój wczesnego poranka zakłóciło z początku niedosłyszalne, ale stopniowo coraz głośniejsze człapanie. Po obrzeżu bagna zbliżało się wielu ludzi. Sądząc z pobieżnego spojrzenia, jakim Varatchi zareagował na ten odgłos, wiedział, kto nadchodzi i nie okazywał zaniepokojenia.

– Zetknąłem się, panie – potwierdził Bamegi i szczegółowo, niczego nie przemilczając, zrelacjonował wszystko, co się stało.

– I pan go nie dobił!

– Dokładnie zgodnie z rozkazem, panie. Varatchi patrzył z wściekłością na stojącego przed nim mężczyznę i przez moment wyglądało na to, że popędzi konia i po prostu go stratuje. Ale opanował się. Powierzchnia wody zmarszczyła się pod ciężkimi kroplami, które jednak po chwili ustąpiły, zmieniając się w drobną mżawkę.

Pomiędzy drzewami, pozornie rosnącymi w wodzie, pojawił się pierwszy z nadchodzących. Bamegi poznał majora Debussiego maszerującego na czele swego oddziału.

– Wkrótce pojawi się cesarz, muszę powitać krewnego i wyjaśnić mu, co się tu właściwie stało. Niestety, nie będę mógł dowodzić operacją osobiście – zaczął Varatchi, kiedy wokół niego zbrali się oficerowie z Debussim na czele.

– Człowieka, który jest sprawcą tej masakry, chcę mieć żywego lub martwego. Chcę jego głowy. Żołnierz, który go zabije, dostanie nagrodę w wysokości pięciuset złotych, jego bezpośredni przełożony tyle samo, a oficer, do którego oddziału ten żołnierz będzie należał, tysiąc i awans. Oprócz tego chcę tych ludzi, którzy z nim uciekli. Mają być żywi i ma ich być

tak wielu, jak się to okaże możliwe. Mężczyźni, kobiety i dzieci. Za każdego żywego wypłacę dwadzieścia złotych. Za martwych nic.

Varatchi rozejrzał się, żeby zobaczyć, co żołnierze powiedzą na te niezwykle rozkazy. Nie zdarzało się dotychczas, żeby wykonywanie obowiązków wojskowych było nagradzane takimi kwotami.

Oficerowie milczeli i rozważali, co właściwie oznaczają polecenia ich najwyższego wodza, żołnierze z ożywieniem dreptali w miejscu. Mogli teraz zarobić więcej niż przez całe lata służby.

– Afronzi – Varatchi zwrócił się do głównego śledczego – niech pan wróci do Blatvovica i przesłucha go jeszcze raz. Nic mu się nie może stać, cesarz przyjeżdża właśnie z jego powodu. Ręczy pan za niego głowę.

– Czy ta oferta obejmuje także nas? – zapytał nagle Kuzbos.

Bamegi przyjrzał mu się w zamyśleniu. Pieniądze nigdy go nie interesowały, w klanie nawet ich nie potrzebował. Ale może chciał osiąść gdzieś na stałe, a może kogoś spłacić. Pomimo tego Bamegiemu nie wydawało się rozsądne zarabiać tym sposobem.

– Tak. Tysiąc dla tego z was, który przyniesie mi jego głowę, pięćset dla każdego, kto będzie w tym brał udział – po krótkim namyśle potwierdził Varatchi.

Bamegi uznał, że to sprytne oferować w tym przypadku obok zwyczajnego żołdu tak hojny dodatek, biorąc pod uwagę krwawe spustoszenie, spowodowane przez jednego tylko człowieka.

Do Debussiego przybiegł żołnierz, końcem pałki brutalnie popychając przed sobą drobnego, zgarbionego człowieka.

– Zna bagna, to jeden z najlepszych rybaków i przewodników karawan.

Debussi skłonił się Varatchiemu, który gestem dał znak, żeby zabrał się do pracy.

Mżawka utrzymywała się, chłodna i przenikliwa, ale nikomu nie przeszkadzała, nawet wydawało się, że nie zauważają niesprzyjającej pogody. Przypominali Bamegiemu sforę dzikich psów myśliwskich, żądnych krwi. Czyjej? Niedźwiedzia? To nie było właściwe porównanie. Raczej doświadczonego szarego wilka, który całe życie włączył się po górach i stepach, a jego drogę życiową zasłały szczątki tych, którzy ruszyli jego śladem.

– Poprowadzisz nas na bagna po śladach uciekinierów, i to zaraz – zwrócił się Debussi do rybaka.

– Nie da się, panie!

Żołnierz, który przyprowadził przewodnika, słysząc to, zwałił go w błoto.

– Nie da się, panie, naprawdę – zaklinał się rybak na kolanach. – Bagna są zalane,

bezpośrednie okolice zatopione, pewna sucha powierzchnia, jeśli jeszcze jakaś została, znajduje się daleko na północy.

– Potrzebne nam łodzie – stwierdził major, nawet nie patrząc na mężczyznę u swych stóp.

– Są tu jakieś, ale celowo zniszczone – poinformował natychmiast jeden z podoficerów przysłuchujących się rozmowie.

Bamegi wiedział, że w mieście nie zostało wiele łodzi zdolnych do pływania po płyciznach bagien. Ten, którego gonili, takich błędów nie popełniał.

– Naprawimy je albo zbudujemy nowe – rzucił zwięźle Debussi i natychmiast przydzielił swoim ludziom zadania.

Varatchi obserwował wszystko, ale wyraźnie myślał już o czymś innym.

– Garne, czy pan myśli, że dacie radę wyruszyć na piechotę? Bez obciążenia, bez łodzi? – zapytał Debussi szczupłego mężczyznę w niskich butach i ciasnych skórzanych spodniach. Nie nosił hełmu ani nagolenic, tylko kolczugę i skórzaną czapkę. Wyraźnie dowódca oddziału tropicieli.

– Tak, panie. Z przewodnikiem. Sądząc po tym, na ile drzewa wystają z wody, nie przybyło jej tak wiele. To mogłoby się udać. Z naszym specjalnym wyposażeniem.

Większość żołnierzy popatrzyła na tropiciela jak na wariata.

– Zabierajcie się więc do roboty i oznaczajcie nam drogę.

Jeden z żołnierzy wyciągnął z kieszeni pęk czerwonych wstążek i pokazał dowódcy. W chwilę później tuzin mężczyzn zaczął bez żadnych ponagień brodzić ku drzewu, do którego prowadziła pod wodą ścieżka obramowana kępami trawy. Garne przerzucił rybakowi pętlę przez głowę i nie zwracając uwagi na jego protesty, wprowadził do wody.

Bamegi spojrział na swoich ludzi. I oni chcieliby jak najprędzej wyruszyć. Rozkaz musiał im wydać osobiście, on był ich dowódcą. Nie Varatchi.

– Wolne łowy – oznajmił.

Spojrzeni na niego porozumiewawczo. Znali go i potrafili odczytać, co oznacza tym razem jego pozornie obojętny wyraz twarzy. Nie polecał im niczego, pozwalał samym podjąć decyzję.

Bliźniaki ninja spojrzeli po sobie i bez słowa ruszyli w szybko gęstniejącą mgłę, bez przewodnika, inną trasą niż żołnierze. Gaspru po chwili wahania poszedł za nimi.

Tylko wielki ninja, który swym pytaniem wywołał ofertę Varatchiego, wahał się.

– Kiedy wrócisz do klanu, zamelduj wielkiemu mistrzowi, że wszystkie drapieżniki są na polowaniu – powiedział do niego Bamegi.

Wiadomość do przekazania i równocześnie rozkaz. Bamegi chciał, żeby przywódca klanu Ferusi dowiedział się, że Varatchi zatrudnia dwa klany ninja i ma dla nich więcej pracy, niż są w stanie wykonać. Oznaczało to również, że sam Bamegi nie uważa swego powrotu za prawdopodobny.

Kuzbos kiwnął głową i bez słowa wszedł w mgłę, jakby dołączając do tropicieli. Bamegi wiedział jednak, że zatoczy szeroki łuk i wróci do domu.

– Czy mogę też ruszyć na łowy, panie? – zapytał Bamegi Varatchiego. – Czy ma pan dla mnie inne rozkazy?

Lord spojrział na niego podejrzliwie.

– Myślałem, że boi się pan Koniasza.

– Nie, ja tylko wypełniam rozkazy.

– O ile są po pana myśli?

Na to Bamegi nie odpowiedział. Zostali sami, żołnierze zajęli się budowaniem prowizorycznego obozu, który miał się stać bazą, punktem zbiórki rzemieślników i materiałów koniecznych do zbudowania łodzi czy chociażby prostych tratw.

– Niech pan dogoni Afronziego, zabije go i usunie jego zwłoki. W tym zamieszaniu łatwo da się to wytłumaczyć. Niech pan zabije również Błatvovica. Nie chcę, żeby zdradził cesarzowi, czego się od niego dowiedziałem. I niech pan zrobi to tak, żeby podejrzenie padło właśnie na Afronziego lub kogoś z jego najbliższego otoczenia. Główny śledczy Konwentu, który osobiście wymierzył sprawiedliwość, to wygląda w sam raz. Gdy pan zamelduje o wykonaniu tego zadania, może mi pan udowodnić, że nie boi się Koniasza.

Ninja skłonił się i ruszył biegiem do miasta. Varatchi obserwował go, dopóki nie zniknął między domami.

Później popędził konia i odjechał nieco dalej, ku szopie z okrągłaków służącej do krótkotrwałego przechowywania ryb. Zaledwie się przy niej zatrzymał, wynurzył się z ukrycia człowiek, po którego jakiś czas temu posłał. Nazywał się Karet. Varatchi widział go w akcji polegającej na symulacji walki, którą zarządził wielki mistrz ninja, żeby wybrać najlepszego do trudnego zadania.

– Kiedy Bamegi wróci z bagien, zabijesz go – rozkazał. – Ale przedtem dowiesz się, czy zlikwidował Koniasza. Wszystko, co będzie miał przy sobie, przyniesiesz do mnie.

Ninja przytaknął.

– I zrób to tak, żeby przestał wyobrażać sobie, że jest, najlepszy, żeby na końcu poczuł smak porażki, upokorzenia, rozumiesz?

– Doskonale, panie.

Varatchi zawrócił konia i podjechał do swej asysty, która posłusznie pozostała na miejscu. Teraz musiał już tylko przygotować się na spotkanie cesarskiego kuzyna, który wraz z Blatvovicem próbował go nabrać. Jeszcze nie wiedział, co zrobić z tym nowym faktem. Jakiś czas temu uzgodnili obaj, że zaniechają tej drogi prowadzącej ku magii, że nie będą próbowali wykorzystywać uzdolnień tego niezasługującego na zaufanie, sadystycznego szaleńca. Ale władca imperium w końcu zdecydował inaczej. To oznaczało, że Varatchi nie może mu w tej sprawie ufać. A właściwie zupełnie nie może mu ufać.

BUTWIENIE, ZGNILIZNA I SMRÓD

Prawie pół dnia nie padało, po całym tygodniu deszczu była to miła odmiana. Chmury nadal jednak wlokły się brzuchami tuż nad ponurą okolicą, mieszając się z oparem wstającym z mokradła. Nie przeszkadzało mi to, wręcz przeciwnie. Czym gorsza widoczność, tym lepiej. Gdyby tylko nie było tak zimno. Większość ludzi co chwilę kichała, dzieci były tak zmęczone, że nawet nie płakały.

Ciemność, upadek w nieznanne, strach, panika. Kim jestem? Czym jestem?

– Koniasz! – Fresz poszturchiwała mnie obcesowo.

– Dzięki – wymamrotałem i z pewnym trudem otworzyłem oczy. Byłem wyczerpany, a do tego swoją rolę odgrywały też liczne zranienia. Jeśli przez krótki nawet czas nic nie robiłem, zapadałem w sen lub stan nieświadomości i koszmar męczył mnie coraz bardziej. Mógłbym powiedzieć, że pozbawiał mnie sił bardziej niż praca fizyczna. Na szczęście pilnowała mnie Fresz. Tylko dwa razy nie zareagowała na czas. Raz krzyknąłem przez sen i zaalarmowałem wszystkich wokół, a za drugim razem wyciągnąłem nóż. Skoczyła do mnie i zepchnęła mnie do wody. Inaczej, w poczuciu strasznej straty, jaką poniosłem, byłbym się zabił i miał już w końcu wszystko za sobą. Tylko że nie wypełniłem jeszcze swojego zadania. Jeszcze nie...

Odetchnąłem głębiej i potłuczone żebra zaboląły piekielnie. Prawdopodobnie załatwił mnie tak ten przysadzisty chłop z rękami jak młoty. Udało mu się wytrącić mi broń i doszło do walki wręcz. Sądzę, że o to mu chodziło. Teraz odpoczywał, z wydłubanymi oczami, w bagnie między młodą topolą a kępą witek wierzbowych. Ale ja miałem złamane co najmniej dwa żebra, naderwane ucho i zdartą skórę z lewej połowy twarzy.

Łodzie płynące przed nami trafiły na mieliznę, my też w chwilę później poszorowaliśmy płaskim dnem o warstwę szlamu. Przez cały czas staraliśmy się trzymać tej trasy, którą płynęli poprzednicy, i natrafiliśmy na trzy osady zdeprymowanych i dezorientowanych uciekinierów. Stracili z oczu łódź Łasicy i nie wiedzieli, gdzie się kierować. Wybór kierunku zostawiłem Liamie, a sam martwiłem się tylko naszymi prześladowcami.

Dwaj młodzi mężczyźni natychmiast wskoczyli do wody, bez zwłoki przywiązali linę do pierwszej łodzi i zaprzęgli się do niej. Starzec z maczetą brodził przed nimi, wycinając

przejście przez płycizny lub wystające ponad powierzchnię płaszczyzny rozmiękłego błota. Ta część Brunatnych Bagien nazywana była po staremu Randskie Moczary. Przyglądałem się usiłowaniam wszystkich, którzy starali się przyczynić do jak najszybszego marszu łodzi naprzód. Nie pomagałem im, trzymałem straż.

Ostrożnie wygramoliłem się z łodzi, wspierając się na czymś w rodzaju włóczni, którą zrobiłem sobie ze sztyletu i kawałka zwykłej gałęzi bukowej. Noga spuchła mi przez ostatnie dwie godziny tak, że prawie nie mogłem zginać jej w kolanie. Muszę o niej pomyśleć, gdy już znów popłyniemy dalej, i trzymać ją w ciepłe. Tych dwóch walczyło tak, jakby czytali sobie wzajemnie w myślach. Dopiero później stwierdziłem, że byli to bliźniacy. Dostałem ich dzięki szczęściu i zaskoczeniu. Ale zapłaciłem za to rozciętym udem. Ktoś mógłby powiedzieć, że tyłkiem. Mój obrót okazał się po prostu za wolny.

Liama, widząc, jak kiepsko trzymam się na nogach, drgnęła i zamierzała ruszyć mi z pomocą. Dałem jej znak, żeby martwiła się o swoje sprawy.

Odszedłem jeszcze trochę dalej, zaciskając zęby, klęknąłem w wodzie i nasłuchiwałem z głową tuż nad powierzchnią. Jak na razie panował spokój, ale wiedziałem, że idą naszym śladem i zbytnio nie zostają w tyle. Ninja i żołnierze twardsi od podeszwy. Nikt jednak do tej pory do nas, znaczy do mnie, się nie zbliżał. Większość ludzi znajdujących się przed nami nadal miała szansę na ucieczkę.

– Druga łódź też jest już na wodzie – oznajmili wracający mężczyźni.

Kiwnąłem głową i nadal cierpliwie nasłuchiwałem. Dźwięki niosły się po wodzie i we mgle w sposób nieprzewidywalny, czasem można było usłyszeć prześladowców, będących jeszcze bardzo daleko.

Już miałem wrażenie, że coś słyszę, ale przeszkodziło mi chrapliwe rżenie. Był to starzec wycinający drogę. Widać było, że długo już nie wytrzyma, tak bardzo był wyczerpany. Od czasu do czasu splotował krwią i napadały go ataki duszności. Mimo tego wykonał ogromną pracę, a z każdą godziną zwiększał szansę swej synowej i jej dzieci na przeżycie. Mąż kobiety zginął, pomagając mi uporać się z trzema skurwysynami, którzy nas zaskoczyli i napadli z zasadzki. Dzielny chłop.

– No to weźmy się do roboty wszyscy razem i będziemy na drugiej stronie – mruknąłem.

Trzecia łódź miała najcięższy ładunek. Mój głos brzmiał słabiej, niż się spodziewałem, wszyscy spojrzeli na mnie z obawą.

– Teraz będzie już łatwiej, zobaczcie – dodałem bez przekonania i uśmiechnąłem się. Spróbowałem się uśmiechnąć. Fresz zachichotała.

– Niech pan tak nie robi, dzieci będą miały koszmary.

Wstałem i uczyniłem pieprzony pierwszy krok, a później jeszcze jeden. Mówią, że pierwszy krok jest najtrudniejszy, ale ja miałem wrażenie, że wciąż zaczynam od nowa. Same pieprzone pierwsze kroki.

– Jeśli tam będę wcześniej niż ty, nie zazdrość mi tego, młoda damo. – Zrobiłem groźną minę.

Liama zaśmiała się, nawet na twarzy młodej kobiety wlokącej się na końcu z niemowlakiem na chwilę pojawił się uśmiech.

W końcu pokonałem całą drogę. Kanał po drugiej stronie był szeroki i płytki, obramowany zwisającymi koronami lip. Wiódł we właściwym kierunku, a woda w nim była o wiele bardziej przezroczysta niż ta, którą sforsowaliśmy.

Przetoczyłem się przez burtę łodzi, plusnęły wiosła. Ulga.

Ciemność. Upadek. Koniec. Kim jestem?

– Koniasz!

Ocknąłem się z dłonią na trzonku noża. Fresz przyglądała mi się wielkimi, przestraszonymi oczami. Liama trzymała mnie za rękę. Wpadałem w trans nawet z otwartymi oczami, i to praktycznie w każdych okolicznościach, jeśli nie musiałem walczyć o każdy krok, o następny odcinek drogi przez bagna, o życie. Każdy moment spędzony w ciemnej głębinie koszmaru przerażał mnie bardziej, niż uważałem to za możliwe. Ale nie mogłem jeszcze wszystkiego zakończyć, byłem im coś dłużny. I oczywiście nie chciałem ich wstrzymywać. Jeszcze nawet nie wypłynęliśmy na wolne wody.

– Dobra – zacharczałem i odwróciłem się tyłem, żeby nie widzieli mojej twarzy.

Splunąłem do wody i obserwowałem, jak ślina powoli płynie wzdłuż trawiastego brzegu. Ułamałem gałązkę i wrzuciłem do wody. To nie był przypadek, tu rzeczywiście był prąd, chociaż bardzo powolny.

Wszyscy widzieli, że coś odkryłem, ale nie mieli pojęcia co. Otworzyłem torbę i wyjąłem z niej przemoczoną i pomiętą mapę. Długo na nią patrzyłem, mózg nie słuchał mnie tak jak dawniej, wydawało się, że jest tak samo zmęczony i zużyty jak całe ciało. Prąd wskazywał na jedyną możliwość. Żadne naturalne przeszkody w postaci naniesionej gliny czy grzbietów pagórków nie stały już w drodze na drodze. Po trwających wiele dni deszczach i towarzyszącej im powodzi woda mogła wyciekać tylko do rzeki odwadniającej północno-zachodni skraj Brunatnych Bagien, do Grutvicy.

Dotarliśmy dalej, niż sięgały moje nadzieje, wolność i życie były blisko.

Plusk, trzask złamanej gałęzi. Zacisnąłem zęby, mapa wyslizgnęła mi się z ręki.

Dogonili nas w momencie, gdy zacząłem wierzyć w sukces. Ani przez chwilę nie przypuszczałem, że się przesłyszałem. Rozejrzałem się. Jediną możliwą kryjówką w pobliżu była korona przewróconej lipy. Odwróciłem się do skamieniałych ze strachu towarzyszy, położyłem palec na ustach i pokuśtykałem ku gałęziom lipy. Zdążyłem na czas.

Przyszli po naszych śladach, kierując się bruzdami wyrytymi w błocie przez przeciągane łodzie. Stałem między gałęziami, włócznię sporządzoną ze sztyletu i długiego kija trzymałem w obu rękach na wysokości ramion, tak żeby grot mieć tylko kawałek przed głową.

Było ich trzech, ciągnęli za sobą proste łódki z kory brzoźowej. Varatchi miał w swym oddziale doskonałych tropicieli. Nasz pech. Gdy dostrzegli grupkę uciekinierów, porzucili łodzie.

– Myślę, że nieźle zarobimy, panowie – z zadowoleniem powiedział mężczyzna, którego nie widziałem z mojego miejsca, bo zasłaniaли go dwaj inni. – Ośmiu ludzi to nieźle, sto sześćdziesiąt złotych, co daje pięćdziesiątka na jednego.

Niemowlę wyczuło strach matki i rozplakało się.

– Dziewięć, jeszcze lepiej. Tego pędraka nie zauważyłem.

Zwiększyli odstęp między sobą, teraz widziałem wszystkich, najbliższy był ode mnie o cztery, pięć kroków. Postąpiłem do przodu i używając siły obu ramion i tułowia, zaatakowałem prowizoryczną włócznią. Zdążył się tylko obejrzeć, słysząc plusk wody, gdy grot sztyletu wbił mu się w bok. Po chwilowym oporze kolczuga puściła, żołnierz stęknął. Zdołał jeszcze przeciąć mieczem rękojeść włóczni, ale to było wszystko. Upadł w błoto.

– Ty bękarcie! – zaklął jego kompan stojący po kolana w wodzie.

Wycelowałem w niego lewą rękę, strzała trafiła go prosto między oczy, ale zanim zdążyła wrócić, obrócił się wokół własnej osi, osunął do wody i prąd zaczął go unosić. Strzała straciła kąt umożliwiający powrót.

Trzeci, widząc, że pozbyłem się wszystkich atutów, znów zyskał na pewności siebie.

– Jesteś ruiną stojącą nad grobem, chłopie. Ledwo się trzymasz na nogach. Powiedziałbym, że zarobię dziś o wiele więcej niż jakieś nędzne sto sześćdziesiąt złotych.

Ktoś inny chciałby może przejąć inicjatywę i ruszył mu naprzeciw, żeby samemu wybrać moment ataku. Nie byłem jednak pewny swej równowagi i wolałem zostać na miejscu, na pewniejszym gruncie, a sztych miecza na wszelki wypadek oparłem o kawał pływającego drewna. W ten sposób zyskałem stabilniejszą pozycję.

Zbliżał się ostrożnie, ja tylko czekałem i bardziej niż jego obserwowałem Liameę, Fresz z rozszerzonymi strachem oczami, młodą matkę huśtającą instynktownie niemowlę i dwóch

mężczyzn nadal trzymających w rękach linę.

Chociaż uważał mnie za ruinę stojącą nad grobem, chciał skończyć ze mną jak najszybciej. Widać to było w jego ruchach, postawie, spojrzeniu. Chodzić już nie mogłem, ale na wypad jeszcze mogłem się zdobyć.

Teraz, o ułamek sekundy wcześniej, niż będzie to uważał za możliwe.

Jego klinga dosięgnęła mojego ramienia, ale ja trafiłem go wcześniej w bok, a to odebrało siłę jego atakowi. Chciałem trafić w brzuch.

Obaj zwaliliśmy się do wody, on na mnie. Silne palce natychmiast znalazły moją krtani, ale ja już miałem w lewej ręce mały nożyk schowany w kołnierzyku i przeciąłem mu tętnicę szyjną. Jego krew była taka ciepła, taka przyjemnie ciepła...

Zanim zacząłem naprawdę łykać wodę, ściągnęli go ze mnie, a Liama pomogła mi wstać. Jej wysmarowane błotem ubranie zabarwiło się przy tym szkarłatem.

Chciała coś powiedzieć, ale położyłem palec na ustach. Znów słyszałem plusk wody i rozmowy. Mój gest zmroził wszystkich.

Na razie byli jeszcze daleko, ale wiedziałem, że prędzej czy później do nas dotrą. Wyczerpana załoga w łodziach obciążonych dziećmi i ładunkiem nie miała szans w wyścigu z żołnierzami.

– Ta woda płynie aż do rzeki, do Grutwicy. Wsiadajcie i wiosłujcie co sił – szepnąłem Liamie prosto do ucha. – Zatrzymam ich.

Nie protestowała. Rzuciła mi długie, poważne spojrzenie, którego bym prawdopodobnie nie zrozumiał, nawet będąc w najlepszej kondycji, pocałowała mnie i ostrożnie ruszyła przez wodę ku mężczyznom, żeby powtórzyć im moje rozkazy. Nikt się nie odzywał, wszyscy wiedzieli, że tylko cisza, absolutna cisza może odwrócić ich krwawy los.

Może.

Fresz wyskoczyła z łodzi i zanim pojąłem, o co jej chodzi, już była przy mnie. Nawet nisko pochylony byłem o wiele wyższy od niej. Bezceremonialnie przyciągnęła mnie do siebie, wycisnęła mi na twarzy mokrego buziaka i nie odwracając się, wróciła do uciekinierów. Pierwsza łódź odpłynęła, potem druga, trzecia. Widziałem blade twarze ludzi, którzy zęgnali mnie bez słów, słyszałem delikatne pluskanie wody pod kilem. Ostatnia łódź zniknęła we mgle.

Jeden, zacząłem liczyć uderzenia serca. Dwa. Powiew wiatru przygnał kłęb mgły, los zasunął kurtynę i zniknęli mi z oczu. Zostałem sam. Właściwie nie sam, wiatr przyniósł odgłosy człapania ludzi brodzących w bagnie, pobrzękiwanie wyposażenia, ciche kłątwy. Trzy, cztery, pięć. Liama, Fresz i inni oddalili się już na pięć uderzeń mojego serca. Jeśli

zabije kilku następnych zasrańców, którzy myślą, że łapanie ludzi jest źródłem łatwego zarobku, to będą mieli jeszcze większą przewagę. Siedem, osiem.

Ciemność, piaszczysty stok, ziarenka własnych myśli osypujące się spod nóg, upadek w przepaść, utrata własnego ja. Strach, groza. Koniec.

– Ten bałwan śpi na stojąco!

Odbicie z zakroczonej nogi, błyskawiczny ruch do przodu połączony w jedno z wypadem, pchnięcie i natychmiastowe cięcie oburącz w tył. Dźwięk świszczącej klingi, brzęk stali. Zatrzymanie się z poślizgiem, obrót i uderzenie rękojęścią w wykrzywioną zaskoczeniem twarz. Dopiero wtedy otworzyłem oczy. Cios obalił żołnierza do tyłu. Błoto rozprysnęło się w tym samym momencie, w którym wbiłem mu ostrze miecza w brzuch. Było ich dwóch, uświadomiłem sobie nagle. Odwróciłem się, ten drugi trzymał się za podbrzusze i usiłował coś powiedzieć.

Sto pięćdziesiąt dwa, sto pięćdziesiąt trzy, liczyłem dalej w duchu niezależnie od własnej woli. Z samozaparciem przeciągnąłem ciała do miejsca, gdzie prąd był najsilniejszy i wysłałem je wraz z ich czólnem w ostatnią drogę.

Dwieście. Dwieście jeden...

SENS ŻYCIA

Bamegi szedł powoli, ostrożnie, lecz możliwie jak najciszej. Ślady prowadziły go pewnie, ale ciała, które znajdował, nakazywały maksymalną ostrożność. Żołnierze, Kuzbos z wylupionymi oczami i zmiażdżoną piersią, Darnet i Varnet, jeden z przeciętą szyją, drugi bez ręki. Nie zginęli w ten sam sposób, jak czasem chętnie żartowali.

Koniasz, ninja nie wypowiedział tego nazwiska głośno, wyobraził je sobie tylko w duchu. Wyprostował się i wytarł mokre włosy, żeby mu woda nie ściekała do oczu. Był już blisko celu, czuł to. Najszybszych żołnierzy zostawił o niecałą godzinę drogi za sobą. Najszybszych z tych, którzy przeżyli, uściślił. W trudnym terenie nie poruszali się tak sprawnie jak on, a znajdowane wszędzie zwłoki towarzyszy jeszcze ich spowalniały.

Rozglądał się dookoła z mieczem w ręce. Niedaleko, dlaczego tak myśli? Chmury trochę się przeredziły, przerwy między nimi w kilku miejscach przepuszczały światło słoneczne, czerwone jak krew.

Krew, czuć krew. Ninja odetchnął głęboko i nagle sam nie wiedząc jak, czy powiedział mu to węch, czy szósty zmysł wojownika, dostrzegł wynędzniałą postać pomiędzy poskręcanyimi gałęziami przewróconego drzewa. Człowiek nie ukrywał się, ale dzięki swej postawie i wyglądowi doskonale wtapiał się w krajobraz.

– Osiem tysięcy osiemset sześćdziesiąt trzy – powiedział cicho.

Oszalał? – pomyślał Bamegi.

Chmury rozstały się na krótko i przez wąską przerwę między nimi do szarości bagien wpadło ostre światło zachodzącego słońca.

Twarz mężczyzny była blada, nasiąknięta wodą podobnie jak twarz topielca leżącego w wodzie od kilku dni. A oczy! Nie, nie jest szalony, osądził Bamegi.

Ten mężczyzna u kresu sił, poraniony, krwawiący, ten mężczyzna mimo wszystko był szczęśliwy.

– Tam poluje piźmoszczur! Z gór przywędrował aż tu – powiedział samotny wojownik i wskazał na krzew wierzbowy. – Zazwyczaj musi tu być sucho, ale teraz prąd naniósł cały dywan nenufarów i pęki grążeli. – Rozglądał się nadal. – Powiedziałbym, że te wodne stworzenia jakiś czas tu wytrzymają.

Miecz trzymany oburącz nadal był nisko opuszczony.

– A jak wyjdzie słońce, kosańce otworzą swoje kwiaty. Ta ziemia wygląda nieprzyjemnie, ale w gruncie rzeczy jest pełna życia.

– Ale pan już tego nie zobaczy – skonstatował Bamegi. Mógł zabić Koniasza, ale pytanie, czyby go w ten sposób zwyciężył.

– One i tak zakwitną – jego przeciwnik nie pozwolił popsuć sobie dobrego nastroju. – Nie muszę ich widzieć, potrafię wyobrazić sobie, jak będą wyglądać.

Przez chwilę rozglądał się w milczeniu. Bamegiemu z jakiegoś powodu przypominał ślepcę, który cudem przejrzał i ogląda świat po raz pierwszy. I dlatego jest taki szczęśliwy.

– Powiedzieli mi, że ze skutkami zatrucia preparatem Dwichera mogą poradzić sobie tylko filozofowie, pustelnicy, po prostu wszyscy, którzy poświęcili życie medytacjom, ludzie żyjący w harmonii sami ze sobą i ze światem.

Ninja słuchał. Był już pewny, że to nie jest pułapka. Znał tego człowieka jak samego siebie.

– Czekałem tu na pana całą noc i życzyłem sobie, żeby pan wreszcie się zjawił, a równocześnie, żeby pan przybył jak najpóźniej – ciągnął Koniasz swój monolog. – I wtedy coś zrozumiałem. – Szczupły wojownik wykrzywił się zabawnie. – Ale nie jestem pewny, co to właściwie było.

Niedorzeczność jego wypowiedzi wyraźnie mu się podobała.

Naraz spoważniał.

– Pozostało mi z tego tylko poczucie, że istnienie w każdej formie i cały świat są piękne, że dla tego warto żyć. Poczucie, że wszystko, co do tej pory przeżyłem, służyło temu, abym był przygotowany na tę chwilę.

Położenie jego ciała nie zmieniło się podczas całego monologu, a miecz pozostawał nieruchomy jak wyciosany z kamienia.

– Potem zasnąłem i koszmar nie powrócił.

Każdy mężczyzna miewa koszmary nocne, Bamegi wiedział o tym z własnego doświadczenia.

– I dlatego, że życie jest piękne i warto dla niego żyć, czeka pan tu na śmierć – zauważył cicho.

– Właśnie dlatego – zgodził się z nim Koniasz. – Dziewięć tysięcy dwieście.

– Bamegi nie do końca rozumiał, o czym Koniasz mówi, ale jednego był pewny. Zwyciężyć go nie zdoła, może go tylko zabić.

– Pan krwawi – oznajmił.

– Z rany z tyłu nogi, ktoś mógłby powiedzieć, że na tyłku – usłyszał odpowiedź. –

Opatrunek rozmoczył się i ześlizgnął.

– Popatrzę na to – mruknął. – Mam ze sobą całkiem niezłą maść znieczulającą. Żołnierze będą tu wkrótce, może choć trochę panu pomoże. Co znaczą te liczby? – zapytał Bamegi, skończywszy z opatrunkiem. – Te dziewięć tysięcy dwieście?

– Teraz już dziesięć tysięcy – odpowiedział Koniasz. – To ilość uderzeń mojego serca, przewaga, jaką mają ci, którym obiecałem pomoc – wyjął.

– A więc spróbujmy ją jeszcze powiększyć – zaproponował spokojnie Bamegi.

*

Słońce znów schowało się za chmury. Dwóch ludzi stojących po obu stronach kępy zapełnionej naniesionymi przez prąd drzewami nie ukrywało się, ale gdy dotarli pierwsi tropiciele, żaden z nich ich nie zauważył. Zlali się z krajobrazem, stali się jego częścią, nieruchomi, niewidoczni.

Życie warte jest tego, żeby żyć, pomyślał Bamegi, gdy z mieczem i sztyletem ruszał do ataku.

PONURE ŻNIWO

Słabe jesienne słońce prawie już nie grzało, ale wystarczyło mu siły, żeby w kilka dni odeгнаć wodę od granic miasta aż na kilkaset metrów. Po groźbie powodzi pozostały tylko błyszczące macki kanałów, biegnące zygzakiem poprzez ławice jasnobrunatnego bagna aż ku zabudowaniom miasta. Jasne było, że do zimy cała woda na pewno nie zniknie i tysiące kilometrów kwadratowych mokrego pustkowiecia zamarznie, tworząc lodowe tafle, Varatchi kierował konia wzdłuż granicy mułu oznaczającego maksymalny zasięg wylewu. Blokada miasta już minęła, pojawili się pierwsi rybacy na nowych, smukłych łodziach. Bardziej niż rybami interesowali się jednak oględzinami zabitych, ich ekwipunek oznaczał dla nich pożądaną poprawę wyposażenia na czas zbliżającej się zimy. W miarę jak woda cofała się, wciąż pojawiały się kolejne trupy.

Po mieście krążyły niesamowite opowieści o bitwie całych armii na bagnach, a Varatchi nie zabraniał tych spekulacji. Jego ludzie sprawdzali tylko każdego nieboszczyka, którego wyciągnięto z bagna. Było ich wielu, zaskakująco wielu. Czasem sam miał ochotę uwierzyć, że jego wojsko zaskoczyła jakaś tajna jednostka nieprzyjaciela. W głębi duszy wiedział jednak, że tak nie było, że wszyscy padli ofiarą jednego człowieka. Zabił w końcu i ninję, którego za nim wysłał i po którym najwięcej sobie obiecywał. Ale to się musiało stać gdzieś na ziemi niczyjej, bo nikt nigdy nie znalazł ciała Bamegiego.

Niedaleko przed nim pojawił się jeździec w szkarłatnym płaszczu w towarzystwie licznego oddziału żołnierzy. Varatchi poznałby go nawet bez asysty i charakterystycznego ubrania. Cesarz niegdyś był znakomitym jeźdźcem, ale i dziś trzymał się w siodle z nonszalancką elegancją.

Obaj jeźdźcy spotkali się w połowie drogi, ich poczty zatrzymały się, pozostając w pełnym szacunku oddaleniu.

– Cieszę się, że cię widzę, mój cesarski bracie stryjeczny – Varatchi pierwszy pozdrowił cesarza, ale bez żadnego grzecznościowego gestu.

– Gdzie jest Blatvovic? – cesarz przeszedł od razu do rzeczy.

– Nie żyje – odpowiedział spokojnie Varatchi. – Sądziłem, że już dawno jest martwy, że kazałeś go zgładzić, tak jak mówiłeś.

Konie, które się znały, ocierały się o siebie pyskami, jakby w odróżnieniu od swoich

panów odczuwały radość ze spotkania.

– Kto go zabił? – pytał dalej cesarz, nie reagując na uwagę Varatchiego.

– Nowy główny śledczy Konwentu. Afronzi. Naprawdę zdolny chłopak. Z powodu Blatvovica i jego podejrzanej działalności sytuacja stała się tu dość niebezpieczna.

Wielki Wojewoda Varatchi nie silił się na teatralne wystąpienia, mówił zwięźle, jakby czytał protokół sądowy.

– Ludzie wpadli w panikę, giełdę dotknął krach, poniosłem niemałe straty finansowe. W końcu musiałem przejąć kontrolę nad Krachtiburgiem. Po otrzymaniu pisemnej petycji rady miejskiej, ma się rozumieć. Chętnie ci jednak przekażę wszystkie kompetencje. Zaprowadzanie spokoju po Blatvovicu to żadna przyjemność.

Cesarz w odróżnieniu od Varatchiego nie zdołał zachować kamiennej twarzy, widniała na niej niecierpliwość, obawa i wściekłość.

– A co z tym Afronzim, który zabił Blatvovica? Chcę z nim pomówić.

– On też nie żyje. Miejscowi bali się czarodzieja i winili go za to, co się tutaj działo. Wcale się im nie dziwię. – Varatchi wzruszył ramionami.

Obaj mężczyźni długo patrzyli na siebie w milczeniu. Znad bagien powiał lodowaty wiatr, przenikający przez ubranie aż do ciała.

– Odnoszę wrażenie, że martwych jest tu zbyt wielu – powiedział cesarz z niezadowolaniem i ciałem owiniętym płaszczem. – A ludzie, których poszukiwał Blatvovic?

Varatchi odwrócił konia tak, żeby patrzeć na ponurą pustkę zamarzających bagien.

– Zniknęli.

Zachmurzony cesarz milczał.

– A więc nie zaprzeczasz, że czarownik pracował na twój rozkaz. Myślałem, że jesteśmy partnerami w grze, nie przeciwnikami.

Wielki Wojewoda nadal mówił zwięźle, wystawiając przy tym twarz na silny wiatr.

– Sam nie dasz rady, zbliżają się zmiany, wojna. Albo obaj przetrwamy, albo upadniemy – dokończył i spojrzał na towarzysza.

– Jesteśmy partnerami, przynajmniej byliśmy – przytaknął cesarz. – Tylko że ja jestem o sześć lat starszy od ciebie. Przekroczyłem już siedemdziesiątkę, a Blatvovic obiecał mi lek oddalający starość. Właściwie, jak powiedział, lek odmładzający o parę dziesięcioleci.

Varatchi nie przejmował się swoim wiekiem, pokładał nadzieję w długowieczności swego rodu. Teraz odwrócił się do cesarza z zaskoczeniem i ujrzał go w rzeczywistej postaci: zdeteminowanego siedemdziesięciolatka, który zdaje sobie sprawę, że nawet ogromna władza nie da mu dalszych lat życia. Równocześnie uświadomił sobie, że za dziesięć lat z nim

będzie podobnie.

– Właśnie dlatego tak mi zależało na ludziach, których Blatvovic poszukiwał. To oni powinni być środkiem do wytworzenia leku.

– I do opanowania magii – dopełnił Varatchi.

– To też.

– Na razie nie wiem, dokąd uciekli, ale przypuszczam, że wkrótce się tego dowiem – oznajmił Varatchi zdecydowanie.

– A człowiek, którego ścigałeś?

Varatchi popatrzył na krewniaka. Miał lepszych informatorów, niż się wydawało, nie mógł sobie wyobrazić, w jaki sposób dotarła do niego tak ściśle strzeżona informacja. Nie zamierzał jednak zdziesiątkować swych ludzi z tego powodu. Niektórzy z nich uważali jego i cesarza za uosobienie imperium, nie robili różnic między nimi, wiedząc, że mogą się tym sposobem zasłużyć.

– Też uciekł. Powiedziałbym, że razem z nimi. Dwaj starzejący się mężczyźni ramię przy ramieniu ruszyli brzegiem bagien, milcząc, zatopieni w myślach.

WIELKI MISTRZ

Po powrocie z długiej przejażdżki i pełnej napięcia rozmowie z cesarzem oczekiwało na Varatchiego w przebieralni grzane wino i plik dokumentów dostarczonych przez kurierów. Nie wszystko w Krachtiburgu poszło według jego wyobrażeń, ale co się stało, to się nie odstanie. Potrafił to przyznać, tak samo jak potrafił się z tym zmierzyć. Usiadł w fotelu, w skromnie wyposażonym pomieszczeniu, zapewniającym mu jednak prywatność i spokój, napił się wina i przysunął do siebie papiery.

Nie od razu zaczął czytać, jeszcze raz krok po kroku, przejrzał w myślach wydarzenia ostatnich dni i tygodni. Głuchoniemy służący mocował się tymczasem z jego butami do konnej jazdy. Varatchi pozwolił sobie na lekki uśmiech. Jeśli pominąć fakt, że nie udało się zlikwidować człowieka, który psuł mu krew przez kilka ostatnich lat, to w Krachtiburgu zyskał więcej, niż zakładał na początku operacji.

Odkrył starą twierdzą klanu czarodziejów, a co więcej, udało się zataić fakt jej istnienia przed innymi arystokratami i cesarzem. Wprawdzie nie zdołał jak na razie dostać się do wnętrza i przekonać, co naprawdę uzyskał, ale na to zostało mu aż nadto czasu. Ponadto znacząco osłabił pozycję Konwentu. Musiał wprawdzie zgładzić Afronziego, którego i tak miał owiniętego wokół palca, lecz jeśli powoła na stanowisko głównego śledczego któregoś ze swoich ludzi, to strata okaże się niewielka. Do tego potrzebował jednak Orlanda. Wierzył, że cesarz pójdzie mu na rękę, żeby zatrzeć wrażenie, jakie spowodowała ich ostatnia rozmowa.

– Panie – wyrwał go z zamyślenia głos odźwiernego. Popatrzył na niego ze zdumieniem. Personel dobrze wiedział, że nie znosi naruszania spokoju w przebieralni. Bez konsekwencji tolerował taki postępek tylko w przypadku absolutnej konieczności.

– Przyszedł do pana – odźwierny nie znalazł właściwego słowa i był coraz bardziej zakłopotany – ktoś, kto chce się z panem widzieć.

Sługa zmagający się z butami, które ani rusz nie chciały zejść z napuchniętych nóg pana, zrozumiał, że jego starania nie są w tej chwili pożądane, i wycofał się do kąta.

– Kto to jest? – zapytał Varatchi.

– Nie... nie wiem – odpowiedział odźwierny z wahaniem.

– Jest sam?

– Tak, Wasza Ekscelencjo.

Fakt, że nieznaną osobnik przedostał się tak daleko pomimo świetnie wyszkolonego personelu, zainteresował Varatchiego. O zbrojny napad połączony z rabunkiem tu nie chodziło, poznałby natychmiast.

– Wpuść go – nakazał. – I zostawcie nas samych. Istniał protokół oparty na tajnych hasłach, który umożliwiał kurierom lub gońcom dotarcie aż do niego. Ale odźwierny poinformowałby go, że przybysz użył któregoś z haseł albo kodu. Wojewoda był zaintrygowany.

Gdy obaj służby wychodzili, pochylił się i z pochwy wszytej do cholewy wyciągnął długi, wąski sztylet. Broń nie miała gardy, a kształt rękojeści dopasowany był do ozdobnego wykończenia górnej części cholewy. Varatchi kiedyś zamówił takie osobliwe obuwie, żeby mieć w pogotowiu ukrytą broń. Moda na podobne drobiazgi przeminęła, a czasem nawet dziwiono się, że Varatchi pozostaje przy wciąż takim samym niemodnym kroju butów jeździeckich.

Ukrył sztylet pod przedramieniem i wstał z rękami skrzyżowanymi na piersi. Wierzył, że odeprze jakiegokolwiek podstępny atak. Drzwi otworzyły się po chwili, do wnętrza wszedł młody mężczyzna. Cienie pod oczami i zapadła twarz świadczyły o tym, że ostatnio przeżył chwile o wiele gorsze niż te, do których bywał przyzwyczajony.

Młodzieniec poczekał, aż zamkną się za nim drzwi, zbliżył się do Wielkiego Wojewody i przyklęknął na jedno kolano.

– Chcę zaoferować swoje usługi, panie.

– Dlaczego miałbym je przyjąć? – zapytał Varatchi szorstko.

Był zadowolony, że ma sztylet w pogotowiu. W tym młodym człowieku było coś niepokojącego. Chyba pewność siebie, skonstrastowana z całkowitym wyczerpaniem. Albo jeszcze coś innego. Nie był tego pewny.

– Jestem czarodziejem – odpowiedział młodzieniec.

Varatchi przez chwilę walczył z chęcią zabicia go na miejscu, ale równocześnie jego zainteresowanie i ciekawość jeszcze się zwiększyły.

– Dlaczego miałbym w to uwierzyć?

– Dotarłem aż do pana.

To była trafna odpowiedź. A równocześnie groźna.

– Powiedzmy, że nie wątpię w twoje słowa. Co możesz mi zaoferować jako czarodziej?

Młodzieniec spojrzał na niego, na jego twarzy nie było ani śladu ulgi czy

wdzięczności, jakie prawdopodobnie poczuł. Może dążył do czegoś więcej? Varatchi nie mógł odgadnąć i to go nieco zaniepokoiło.

– Wejście do magazynów bazy Maaterenditu, głowę Samuela Wickera, wielkiego mistrza klanu Rumelkowego, który jakiś czas temu uciekł i przeszedł do działalności nielegalnej. Oprócz tego wszystkie skarby magiczne klanu.

Varatchi odetchnął głęboko. Ten młodzik był na szczęście dobrze przygotowany. Los dał mu do ręki silną broń.

– A czego chcesz w zamian? – zapytał.

– Chcę zostać wielkim mistrzem klanu domu Varatchi – padła zdecydowana odpowiedź.

To definitywnie zadecydowało.

– Zgoda, wielki mistrzu, niech pan wstanie.

Młodzieniec posłuchał, Varatchi popatrzył mu uważnie w oczy. Musiał użyć całej siły woli, żeby znieść ich szczególny wyraz.

Miał nadzieję, że młodzieniec też z trudem wytrzymał jego twardy wzrok. Jak właściwie wyglądała współpraca czarodziejów z arystokratami za dawnych lat? – pomyślał. Nie miał pojęcia, ale to mu nie przeszkadzało.

– Chyba nie może mi pan dać człowieka, który doprowadził pana do twierdzy Maaterenditu? – zapytał po chwili.

Świeżo upieczony wielki mistrz tylko pokręcił głową zamiast odpowiedzi. Dopiero po chwili zorientował się, że nie może w ten sposób rozmawiać z drugim człowiekiem cesarstwa.

– Nie, Wasza Ekscelencjo. Niestety. Cieszę się, że przeżyłem spotkanie z nim.

Varatchi kiwnął głową z zadowoleniem.

Miał wrażenie, że ze swoim nowym sługą przebędzie jeszcze długą drogę. Dłuższą, niż kiedykolwiek sobie wyobrażał.

EPILOG

Siedziałem w foteliku, wygodnie rozparty. Nogi wyciągnąłem przed siebie, a goście lokalu i kelnerzy udawali, że im to ani trochę nie przeszkadza. Wyglądało na to, że nie przeszkadzało im ani moje wyświechtane ubranie, ani miecz w odrapanej pochwie oparty o blat stołu, żeby był pod ręką, ani kusza po drugiej stronie. Też pod ręką. Lewy but miałem inny niż prawy, a ostrogą wyryłem niechcący kilka głębokich rys w błyszczącej podłodze. Wszystko, co posiadałem, nosiło ślady długiej drogi, tak samo jak moja twarz i ciało.

Kelner zakaszlał dyskretnie, zamiast odpowiedzi kiwnąłem tylko głową. Zrobił taką minę, jakby go mój gest niezwykle ucieszył, i pospieszył po nową porcję wina. Piłem sześćioletni trunek, wspaniały wyrób z doskonałej winnicy. Postąpiłem z nim po barbarzyńsku, każąc go zagrzać z goździkami i cynamonem. Musiałem dostarczyć do krwi jak najwięcej ciepła i słońca, bo ciągle czułem w kościach wilgotny ziąb Brunatnych Bagien.

Jeśli usiadłem inaczej niż z wyciągniętymi nogami, rana w tyle uda przenikliwie piekła. To znaczy, nie tyle rana co gojąca się blizna.

Ponieważ nie było zbyt zimno, wybrałem sobie stół stojący w podwyższonym ogródku, przed restauracją, i obserwowałem ruch uliczny. Grinsk był jednym z kupieckich miast-państweczek położonych na północy kontynentu, a swoją niezawisłość zawdzięczał głównie Pustyni Gutowskiej, ponuremu obszarowi ciągnącemu się od jednego wybrzeża do drugiego, prawie przez całą tę część świata. Przebyłem ją tak szybko jak tylko można i miałem nadzieję, że zgubiłem wszystkich tropicieli, jakich za mną wysłał Varatchi albo i sam cesarz. Ale nie sądziłem, żeby było ich wielu. Ramię w ramię z Bamegim odwaliliśmy kawał dobrej roboty. Szczególny człowiek, mógł mnie zabić, ale zdecydował inaczej. Coś mi mówiło, że już go nigdy nie zobaczę.

Znów wróciłem myślami do Randskich Moczarów i do Krachtiburga, gdzie już kilka razy niechcący pokrzyżowałem plany najpotężniejszego człowieka na świecie. I, jak już wielokrotnie bywało, umarło przy tym zbyt wielu ludzi, głównie tych, którzy zupełnie na to nie zasłużyli.

Dopiłem ostatni łyk letniego już wina. Nie było sensu wracać do nieprzyjemnych wspomnień. Jednak nie wszystko było w przeszłości nieprzyjemne. Na schody weszła dama wystrojona w doskonale dopasowane ubranie. Gorsecik uwydatniał wcięcie w talii, krój

pozwalał dostrzec początek zaokrąglenia biodra i prowokował do wyobrażania sobie, co znajduje się niżej. Główny kelner pospieszył ją witać, a ona tymczasem obrzuciła restaurację uważnym spojrzeniem. Profesjonalistka, kurtyzana najwyższej klasy. Popatrzyłem na nią i zamiast niej widziałem zupełnie inną twarz. Błądą, z zamyślonymi, trochę smutnymi oczami, okoloną mokrymi włosami i poznaczoną rysami od cierni. Miałem nadzieję, że się jej, że się im wszystkim dobrze wiedzie.

Ulicą przeszła rudowłosa w spodniach i koszuli z dekoltem. Takie ubranie nie było tu na północy niczym szczególnym, kobiety miały takie same prawa jak mężczyźni i korzystały z nich. Gdy szła, spodnie napinały się na przemian to z jednej, to z drugiej strony, przylegając do ud i łydek, a efekt był wart obejrzenia. Nie byłem aż tak wyczerpany, jak do tej pory myślałem. Skierowała się do gospody. Szczęśliwy marynarz.

Przybył kolejny porcelanowy dzbanek z gorącym, kusząco pachnącym napojem. Siorbnałem nieco, wodząc oczami po ludziach przechodzących przede mną. Po kobietach, małych, wysokich, szczupłych, pyzaty, ale w większości ładnych. Po tym jak dwukrotnie umierałem, za każdym razem innym sposobem, zacząłem myśleć o kobietach częściej niż przedtem. A może to było z innego powodu...

Zacząłem wspominać te, które spotkałem i które pozostały w mej pamięci. Najpierw wspominałem tylko te, z którymi spałem, ale doszedłem do wniosku, że to bez sensu. Pocałowałem się z Liamą tylko dwa razy, a przecież nigdy jej nie zapomnę. Były i inne niewiasty, pamiętałem, jak smakowały, jak wzdychały. Nie zdołałem wybrać spośród nich tej najważniejszej, więc tylko siedziałem sobie, popijałem i grzebałem w pamięci.

Rudowłosa znów zjawiała się na ulicy i rozglądała się. Na ramionach miała plecak, opalona twarz i zmarszczki wokół oczu świadczyły, że spędza dużo czasu pod gołym niebem. Wmieszała się w nurt przechodniów i precyzyjnie ku kolejnej gospodzie. Szukała kogoś i wyraźnie była przyzwyczajona polegać sama na sobie.

– Jeszcze jeden dzbanek – oznajmiłem kelnerowi. Kiwnął głową bez słowa i znów miałem pełną ludzi ulicę tylko dla siebie. Świat nie jest zły, jeśli się od niego zbyt dużo nie wymaga i ma się dość pieniędzy, żeby pozwolić sobie na dobre wino.

Przejechał wóz wyładowany wielkimi beczkami, tuż przed nim przebiegła znajoma rudowłosa. Nie mogłem powiedzieć, że jest w niej coś wyjątkowego, że ma piękną twarz, wspaniałe włosy, piersi lub coś innego. Ale w całości, od końców niesfornych kędziorów aż po łydkę w wysokich butach, była przecież piękna. Przepyszna. Obserwowałem ją aż do chwili, gdy zatrzymała się przed płotem ogródka restauracji i niezwłocznie przeskoczyła go jednym skokiem.

Zrobiła to jak ktoś, kto wysokie ogrodzenia z zastrzonych palików przeskakuje codziennie.

– W końcu pana znalazłam – powiedziała, rzucając mi uśmiech spiskowca, i sięgnęła do plecaka. – Mam dla pana zlecenie.

Koniec